

M a r c i n
G R Y G I E R

NIGDY NIE UCIEKNIESZ. ONE NIGDY NIE ZNIKNA.
SĄ TWOIM CIENIEM.

**NIE MYŚL,
ŻE ZNIKNA**

Prószyński i S-ka

M a r c i n
G R Y G I E R

**NIE MYŚL,
ŻE ZNIKNĄ**

Prószyński i S-ka

Rodzicom

PROLOG

Katowice, 25.04.2015

Zapowiadał się bardzo przyjemny wieczór. Jeden z tych, które wieńczą dobry dzień. Szczupły, solidnie zbudowany trzydziestoparolatek zdjął garnitur, uszyty w londyńskiej pracowni Henry'ego Poole'a, wrzucił do szklanki kilka kostek lodu, zalał je bursztynową dwudziestoletnią whisky *one barrel*, po czym, w samej koszuli i bokserkach, rozsiadł się wygodnie na wielkim, obitym przedniej klasy cielecą skórą fotelu. Mebel był prezentem od żony z okazji ich piątej rocznicy ślubu. Za każdym razem gdy w nim zasiadał, uzmysławiał sobie, że jest to jedyna dobra rzecz, jaką mu w życiu dała. Dzisiaj jednak nie zamierzał zadrećcać się myślami na jej temat, dziś miał dobry dzień i nie chciał go niczym zepsuć. Pierwszą jego obietnicą był telefon, który odebrał wczesnym rankiem. Partner ze Wschodu zadzwonił z wieścią, że trzydzieści wagonów węgla z Donbasu jest gotowych do wysyłki. Gdy wjadą do Polski, będzie miał na nim kilkukrotną przebitkę. Zapłacił w końcu mniej, niż za swój węgiel oferowali chinole, a że trochę trzeba będzie posmarować tu i tam, aby jego, delikatnie mówiąc, mierna wartość opałowa nie była przeszkodą w kontraktach z elektrowniami – cóż, to był koszt wliczony w zysk, który i tak był tłusty jak świąteczna gęś. Wiedział, że dealem z Ukraińcami wkurwi kilku baronów węglowych, z którymi nie od dziś miał na pieńku, ale miał to gdzieś. Oni zrobiliby to samo, gdyby tylko wcześniej niż on dotarli do chłopaków z Donbasu. Tylko że on był szybszy – i dlatego teraz razem ze współnikiem mogą tym wszystkim spasionym wieprzom pokazać gigantycznej wielkości środkowy palec. I niech go sobie wsadzą głęboko w dupę!

Dobrze rozpoczęty poranek doprowadził do równie dobrego popołudnia. Dzisiejszy seks – rzeczy, które robili, sobie samym i nawzajem, maksymalnie przekroczone granice, ekstaza, jaką osiągnęli, doprowadzając się do miejsca, gdzie kończyła się przyjemność, a zaczynał ból – spowodował, że czuł każdy mięsień, niczym długodystansowiec po wielogodzinnym biegu. Ale cóż to był za ból! Był warty każdej chwili ekstatycznego seansu, jaki sobie zafundowali. Teraz, choć nie do końca mu się to podobało, był sam. Trudno. W końcu przed nimi jeszcze wiele wspólnych dni. Ta myśl, początkowo radosna, po chwili zachmurzyła mu twarz. Żona. Kto, jak nie ta wysuszona i chowająca się pod toną kremów i innych mazideł jędza, mógłby stanąć na drodze jego szczęścia? Kiedyś jej potrzebował. Była dla niego furtką, przez którą mógł wejść do świata dotychczas przed nim zamkniętego. Potrzebował też jej pieniędzy, bo tylko ich mu brakowało. Miał pomysły, był ambitny, nie bał się ryzyka – ale był goły. A ona, wdowa, żegnająca już swoje

najlepsze lata, miała pieniądze. Miała też niespełnione pragnienia, które on mógł zrealizować – nieskrępowany, kipiący wigorem, bezpruderyjny seks. Transakcja była więc korzystna dla obu stron i wszystko działało. Do czasu, aż usamodzielniał się finansowo i nie mógł już dłużej znieść jej fizyczności, coraz bardziej nadgryzanej zębem czasu. Wiedział, że znalazła sobie zastępstwo w postaci półmózga, trenera pilates, co obchodziło go mniej niż zeszłoroczny śnieg, ale wiedział też, że sekutnica, z czystej zemsty, nie da mu rozwodu prędzej, niż nie stanie w samych skarpetkach, świecąc gołym tyłkiem na środku katowickiego rynku.

– Kurwa! – zaklął pod nosem, zły, że pozwolił, by te myśli zepsuły mu wyśmienity nastrój.

Wychylił szklankę i wstał, aby nalać kolejną porcję. Po drodze do barku podniósł ze stołu smartfona i puścił ulubione Radiohead. Ze sprzętu audio, połączonego bluetoothem z telefonem, popłynęły dźwięki *Karma Police*. Napełnił szklę, zasiadł z powrotem w fotelu i zamknął oczy. Zaczął czuć pierwsze przyjemne objawy działania alkoholu. Ten fajny szum, ta chwila, gdy jeszcze wszystko jest jasne, ma kształty i kontrast, ale myśli już mkną szybciej, są bardziej przejrzyste.

Nagle poczuł, że ktoś za nim stoi. Nic nie usłyszał – żadnego skrzypnięcia podłogi czy otwieranych drzwi, nie zobaczył cienia sylwetki rzucanego na ścianę przez pokojową lampę. Po prostu wiedział, że ktoś za nim stoi. Ktoś, kogo nie powinno tu być. Ktoś, kto chce mu zrobić krzywdę. Ktoś, z kim może... Ostatniej myśli nie zdążył sformułować. Napastnik w potężnym uścisku unieruchomił mu głowę i szybkim, sprawnym ruchem wbił igłę w żyłę, która nabrzmiała na szyi. Pięćset miligramów pentothalu. Po trzydziestu sekundach zwiotczał i czas się dla niego zatrzymał.

Gdy się ocknął, leżał na podłodze. Z wysiłkiem uniósł głowę i stwierdził, że jest nagi.

– Nie śpisz? Miałeś spać! – usłyszał za sobą głos.

Chciał coś powiedzieć, krzyknąć, ale wydał z siebie tylko cichy bełkot. Po policzku pociekła mu strużka spienionej śliny. Spróbował poruszyć kończynami, ale nie potrafił. Od szyi w dół stracił czucie. Jego ciało było teraz workiem z mięsem, kośćmi i krwią, nad którym kompletnie nie panował. Kątem oka zauważył, jak ktoś kuczający za nim unosi jego przedramię i zacieśnia nad przegubem opaskę zaciskową; po chwili palcami wskazującym i środkowym nieznanemu zaczął uderzać w przegub jego ręki poniżej opaski.

– Już dobrze – usłyszał ten sam głos. – Coś poszło nie tak, ale zaraz to naprawimy. Dobrze, że masz takie ładne żyły.

Po chwili zwiotczał ponownie. Ostatnie, co zobaczył, to plecy kogoś, kto siedzi na nim okrakiem, i dłoń w silikonowej chirurgicznej rękawiczce, w której

błyszczą coś srebrnego. Potem znów zapadł w nicość.

ROZDZIAŁ 1

Drohiczyn, marzec 2015, późny wieczór

Roman Walter czuł się źle. Zmory wróciły. Czekwały, aż będzie gotowy, schowane w jakimś ciemnym kącie jego jaźni. Wiedziały, kiedy nadszedł czas. Wyczuły go, jak drapieźnik wyczuwa swoją ofiarę, i gnane zwierzęcym instynktem zajęły należne im terytorium. Ich własną przestrzeń. Tę, w której czuły się najlepiej i którą tak dobrze znały.

Była smukła i miała charakterystyczne, przypominające ścianę lodowca, rzeźbienia na ściankach. Stała w zasięgu ręki i lśniła. Obok szklanka z grubym dnem. Butelka była zmrożona, w szklance kilka kostek lodu. Z głośnika odtwarzacza mp3 płynęły dźwięki trąbki Milesa Davisa. Walter zacisnął oczy i przełknął ślinę. Choć butelka finlandii była zamknięta, a pasek z numerem akcyzy nienaruszony, nadal znajdował się na swoim miejscu, czuł jej zapach. Był niemal namacalny. Fantom drażnił receptory powonienia i kubki smakowe na języku, przyjemnie rozgrzewał przełyk i zalewał lodowym ciepłem ściany żołądka. Był przyjemny. Nie! Więcej – był kurewsko przyjemny. Jak pierwszy papieros wypalony z kolegami w krzakach, jak pierwszy pocałunek i miękkość piersi, skradzione koleżance w tańcu przy dźwiękach *Brothers in Arms* Dire Straits. Jak wszystko to, za czym tęsknił i czego nienawidził, i od czego wydawało mu się, że uciekł.

Alicja. Nie mogła go już dłużej utrzymywać na powierzchni. Już nie była wyrzutem sumienia i liną, której mógł się złapać. Bo już jej nie było. Po raz kolejny ktoś bliski, kogo kochał i raz zdołał wyrwać śmierci z objęć – odszedł. Wystarczyło parę tygodni i koniec. Czerniak wygrał. Nieodwołalnie i niezaprzeczalnie.

W tylnej kieszeni dzinsów poczuł wibracje komórki. Wyjął ją, spojrzął na ekran i przeczytał: „Gdzie jesteś? Oddzwoń. Musimy pogadać!”. Nie liczył już, który raz w ciągu ostatnich dni dostał tę wiadomość. Różne treści – wciąż takie samo przesłanie. Wygasił ekran i odłożył aparat na stół.

Trąbka Milesa umilkła. Zamiast niej zabrzmiało *Thank You* Alanis Morissette. Ledwo zarysowany, nostalgiczny uśmiech uniósł kąciki ust Waltera. Tak, tylko ona, pomyślał. Nie znał nikogo, kto zbierałby tak różne gatunki muzyczne. Tylko Alicja. Przed Milesem mogła śpiewać Koteluk, a po Morissette niewykluczone, że zabrzmiałby Guns'n'Roses. Kiedyś zapytał ją, dlaczego ma taki bałagan w muzyce. „Słucham tylko tego, co mi się podoba”, odparła. „A co ci się podoba?”, zapytał. „Wszystko, pod warunkiem że jest dobre”.

Wzruszył wtedy tylko ramionami. Wiedział, że w tej absurdalnej potyczce na logikę przyczynowo-skutkową jak zwykle poległ z kretesem. Dlatego po prostu sobie dał spokój, a Alicji frajdę z zapędzenia go w kozi róg.

How 'bout no longer being masochistic

How 'bout remembering your divinity

How 'bout unabashedly bawling your eyes out

How 'bout not equating death with stopping

Gdy Alanis zaczęła śpiewać końcowe wersy, uświadomił sobie, kiedy ostatni raz słyszał tę piosenkę. Poza Alicją na sali nie było innych pacjentów. Była wiosna, piękna pogoda, wszystkie okna otwarte. Alicja spała. W uszach miała słuchawki z mp3. Gdy się pochylił, aby ją pocałować, usłyszał *Thank You*. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się. „Ta piosenka, to *dziękuję*, to takie przewrotnie smutne, wiesz?”, wyszeptała ledwo słyszalnym głosem. Chciał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach. „Nieważna piosenka. Ja ci dziękuję, Roman. Za wszystko. Warto było walczyć”. Uśmiechnęła się jeszcze raz i zapadła w narkotyczny sen.

Kilka dni później już jej nie było. Teraz jej ostatnie słowa brzmiały w jego głowie niczym mantra, ciągle i ciągle.

Wstał, podszedł do zlewu i opróżnił butelkę. Puste szkło wylądowało w koszu. Zapalił papierosa, z blistra wycisnął dwie żółte tabletki zolpidemu i wybrał na smartfonie numer nadawcy ostatnich wiadomości. Inspektor Edward Rymarski, naczelnik komendy stołecznej, odebrał po pierwszym sygnale.

ROZDZIAŁ 2

Drohiczyn, marzec 2015, dzień wcześniej

Do Drohiczyna przyjechał przed niecałymi dwoma miesiącami. Gdy odeszła Alicja, postanowił wyjechać ze stolicy. Tym razem na stałe. Miał dość Warszawy i stołecznej. Lecz nade wszystko pragnął uciec od tego, co mu przypominało o ludziach, których kochał i których stracił – od mieszkania na Powiślu, od knajpek, w których kiedyś z Joanną, a później z Alicją jadał kolacje, od parków, do których chadzał na spacerzy ze swoją córeczką Anetką. Tych kobiet już nie było. Joanna i Anetka zostały zamordowane przez oszalałego z zemsty gangstera, a Alicja, która wypełniła pustkę w jego życiu, przegrała walkę z rakiem. Dwa tygodnie po jej pogrzebie złożył wypowiedzenie, na pniu sprzedał mieszkanie i wyjechał.

Nie miał planu. Wiedział tylko, że chce na wschód. Postanowił tak długo podróżować, aż znajdzie miejsce, które będzie mu odpowiadać. Miał czas, miał pieniądze (biorąc pod uwagę koszt życia poza Warszawą – przynajmniej na kilka najbliższych lat), żadnych zobowiązań, przeszłość, którą rozdrapywał, i przyszłość, o której nie myślał dalej jak dzień w przód. Pojechał drogą sześćset trzydzieści siedem, minął Stanisławów, Węgrów i wjechał na krajową sześćdziesiątkędwójkę. Trzydzieści kilometrów za Sokołowem Podlaskim wjechał do Drohiczyna. Zaparkował samochód i poszedł rozprostować nogi. Widok z Góry Zamkowej – przełom Bugu wijącego się wśród łąk i pól uprawnych – choć zimowo szary i zamazany, przypomniał mu coś, co było długo, długo przed wszystkim. Postanowił, że tu zostanie.

Pierwsze dwie noce, dobre i bez snów dzięki podwójnej dawce zolpidemu, spędził w miejscowym hotelu. Dziesięciopokojowy przybytek świecił pustkami. Gdy zagadnął właściciela, czy nie wie o jakiejś kwaterze, a najlepiej domu do wynajęcia, ten bez zastanowienia zapisał mu adres i zadowolony, że nie będzie musiał grzać całego przybytku dla jednego lokatora, z uśmiechem wskazał drogę.

Niewielki drewniany dom, zadbane, choć tu i ówdzie pamiętający lepsze czasy, stał w sąsiedztwie eternitowych straszdeł z czasów wczesnego Gomułki i sidingowych dziwadeł z lat późnego Wałęsy. W takim towarzystwie, pomalowany na ciemną wiśnię, z dachem pokrytym starą, dobrą blachą – budynek przypominał kwiat, który niespodziewanie wyrósł między płytkami dziurawego, popękanego chodnika. Z właścicielką uzgodnił warunki wynajmu, zapłacił z góry za trzy miesiące i wrócił do hotelu po swoje rzeczy.

– Pan tu chyba nowy? – usłyszał któregoś dnia za plecami. Właśnie wychodził z biblioteki. W Drohiczynie zaczął intensywnie nadrabiać czytelnice zaległości.

Odwrócił się. Przed wejściem stała zadbana kobieta, mniej więcej trzydziestopięcioletnia. Miała na sobie pikowaną kurtkę w kolorze kawy z mlekiem, a jej szyję owijał szal w brązowo-kremowy deseń Burberry. Na ramieniu miała pasującą do szala torebkę, którą Walter, choć nie był w tej dziedzinie znawcą, bez wahania sklasyfikował jako drogi, markowy produkt.

– Na jakiś czas czy na stałe? – zapytała, zanim zdążył zareagować.

– Nie wiem jeszcze. A dlaczego...

– Bo widuję tu pana od jakiegoś czasu. Wie pan, to mała dziura i nie tak trudno wypatrzyć nową twarz, a pańska wydaje się bardzo interesująca – odparła, wyprzedzając pytanie Waltera.

– Tak pani uważa?

– Tak. Karolina Koszyńska. Jestem przewodniczącą rady miejskiej. – Zdecydowanym, wręcz żołnierskim drygiem wyciągnęła rękę w jego kierunku.

– Roman Walter.

Karolina Koszyńska miała pewny i silny uścisk, choć jej dłoń była kobieco drobna.

– W sobotę organizuję małe przyjęcie. Będzie paru moich znajomych. Proszę przyjść. Pozna pan lokalne indywidua.

Wcisnęła mu w garść wizytówkę, rzuciła lakoniczne „do zobaczenia” i wsiadła do zaparkowanego obok biblioteki mini coopera.

W sobotę wieczorem odprasował koszulę, wyjął z szafy dawno nienoszone chinosy i jasnoniebieską marynarkę – prezent od Alicji, kupiony kiedyś przed wyjściem do teatru, gdy zarzuciła mu, że żadna z tych, które ma w szafie, nie nadaje się nawet na festiwal disco polo. Przez chwilę zastanawiał się, czy wziąć krawat, lecz ostatecznie stwierdził, że elegancko-luźny zestaw będzie bardziej odpowiedni na sobotnie przyjęcie organizowane w domu gospodarza, a w zasadzie chyba gospodyni (Czy ona ma męża? – pomyślał).

Pod adres z wizytówki dotarł w niecałe piętnaście minut. Nawet gdyby jego kwatery leżała na jednym końcu miejsciny, a dom Karoliny Koszyńskiej na drugim, droga nie zajęłaby mu więcej niż dwadzieścia, góra dwadzieścia pięć minut.

– Czego pan się napije? Wino, whisky? – zapytała gospodyni na powitanie.

– Wystarczy sok pomarańczowy. Nie piję alkoholu. – Nie umknął mu ledwo zauważalny grymas zdziwienia, który zagościł na twarzy kobiety. – Ach, byłbym zapomniiał. Proszę, to dla pani. – Wręczył jej pudełko czekoladek.

– To miłe, dziękuję. Zapraszam dalej. Przedstawię pana.

Goście przebywali w rozległym salonie umeblowanym na kształt szlacheckiego dworku. Na ścianach wisiały szable i kilka trumiennych portretów wąsatych sarmatów i okrągłoliczych szlachcianek. Do tego parę trofeów myśliwskich wraz z fuzjami, od których być może dokonały żywota zwierzęta zdobiące teraz przybytek pani Koszyńskiej. W pokoju były już cztery pary, z czego trzy z generacji Waltera i gospodyni. Czwarta wiekowo wyraźnie odstawała od pozostałych – byli znacznie młodsi. Dziewczyna – jak się okazało, córka Koszyńskiej – była blondynką o przeciętnej urodzie, lecz na tyle zadbaną, że mogła się podobać. Jej partner, szatyn średniego wzrostu i budowy, z grzywką modnie spiętą na czubku głowy w kucyk, wygolonymi praktycznie do skóry skroniami i równie modnym zarostem à la drwał, od pierwszego spojrzenia nie przypadł Walterowi do gustu. Nie potrafił stuprocentowo określić, co takiego w tym młodym człowieku wywołało w nim natychmiastową niechęć. Może to ta poza – niby swobodna, ale wyrażająca jakby pogardę czy lekceważenie, a może drwiące spojrzenie, którym obdarzył Waltera, gdy gospodyni dokonywała prezentacji? Nie był pewien, natomiast intuicja podpowiedziała mu, że coś z tym facetem jest nie tak.

Przyjęcie, jak dziesiątki podobnych, przebiegało zgodnie ze standardowym, dobrze znanym Walterowi schematem – towarzystwo dyskutowało, plotkowało, politykowało, od kieliszka do kieliszka coraz to głośniejsze i bardziej zażarcie, ze stołu znikwały sałatki, śledziki i wszelkiej maści zakąski, aż w końcu ktoś włączył muzykę i parkiet w salonie zapełnił się drohiczyńskim establishmentem, podrygującym w rytm biesiadnych dźwięków.

Gdy Walter po raz kolejny musiał odmówić wychylenia jednego małego, postanowił wyjść do ogrodu na papierosa. Gdy tylko solidne drzwi tarasowe stłumiły dźwięki ostatniego hitu potańcówek *Ona tańczy dla mnie*, Walter poczuł niewysłowioną ulgę. Przyszło mu do głowy, że mógłby po prostu się zmyć i uwolnić od tego taneczno-alkoholowego harmidru, z drugiej strony gospodyni była dla niego naprawdę miła i czułby się głupio, gdyby tak bez pożegnania dał drapak. Nagle od strony altany, stojącej na drugim końcu ogrodu, rozległ się krzyk. Krótki i z całą pewnością kobiecy – i nie był to okrzyk radości. Walter zgasił papierosa i poczuł nadchodzące napięcie. Gdy zrobił parę kroków w kierunku altany, krzyk rozległ się ponownie. Podeszedł bliżej i wtedy usłyszał, że głosowi dziewczyny towarzyszy drugi, męski. Mężczyzna coś mówił. W jego tonie, chłodnym i opanowanym, wyczuł gniew. Po chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo ten głos przypomina mu sposób, w jaki mówił do niego syn Malety, wtedy, gdy on siedział przykuty do kaloryfera i patrzył, jak zbrodniarz próbuje pozbawić życia Alicję. Wprawdzie nie dopiął swego i w tej samej godzinie pożegnał się z życiem, ale jego głos, zimny, wyrachowany i pozbawiony uczuć, wciąż

pobrzmiwał Walterowi w uszach.

– Brakuje co najmniej dwudziestu gramów. Wiesz, ile to jest warte, kretynko? – wysyczał mężczyzna.

– Ja nic nie wiem. Nie mam pojęcia, co się z tym stało. Puść mnie! – odparła dziewczyna podniesionym głosem.

– Nie wiesz?! A kto ma, kurwa, wiedzieć? – Ton mężczyzny wciąż był chłodny i opanowany. – Wiesz co – nagle pojawił się w nim element rozbawienia – mam pomysł. Wpadnę tu jutro z paroma koleśkami, którzy mają szczególne upodobanie w mamuszkach i córeczkach. W ten sposób, dupą swoją i swojej matki, odpracujesz część długu. A ja to wszystko nagram. Na filmie ze stadem napaleńców rżnących przewodniczącą rady tej pipidowy też zarobię. A kto wie, może sam skorzystam. Z twojej starej jest jeszcze całkiem niezły lachon.

– Ty? – Dziewczyna parsknęła śmiechem. – A kupiłeś już viagrę? Bo ostatnio coś ci szwankuje.

W altanie nagle zapadła cisza. Walter mógł słyszeć, jak przez szum nocnego wiatru przedziera się sapanie rozwścieczonego mężczyzny. Rozległo się głucho uderzenie, a tuż po nim zdławiony okrzyk dziewczyny. Po pierwszym razie nastąpiły dwa kolejne. Komisarz, mając już pewność, że dzieje się tam coś złego, wkroczył do altany.

– Zostaw ją! – krzyknął.

Agresor odwrócił się zaskoczony. Nie spodziewał się, że ktoś mu przeszkodzi. Dziewczyna leżała na podłodze, zwinięta w kłębek, rękami osłaniając głowę i brzuch.

– Nie wtrącaj się, dziadek – odpalił po chwili. – Nie twój interes. Wracaj do pozostałych.

Walter poczuł, że napinają mu się mięśnie. Znowu dopadło go déjà vu. Tym razem inne od poprzedniego i jeszcze gorsze. Wrócił na parking przy Puszczy Kampinoskiej...

– Wypuść ją natychmiast! – zażądał.

– Głuchy, kurwa, jesteś? Spierdalaj stąd – wysyczał przez zaciśnięte zęby brodaty młodzieniec i pchnął Waltera w pierś.

Nie zdążył cofnąć ręki. Walter błyskawicznie złapał go za przedramię i przyciągnął do siebie. Nie spodziewając się takiej reakcji, mężczyzna wypadł z altanki i przelatując przez nogę komisarza, jak długi upadł na trawę. Walter podszedł do dziewczyny. Córka Karoliny Koszyńskiej oddychała płytko. Z jej rozbitego nosa kapiała krew. Miała szeroko otwarte oczy. Walter zobaczył w nich strach i coś jeszcze – coś, co dobrze znał. Widział to w oczach Alicji podczas nocnych koszmarów, powracających jak zły demon; widział to w oczach Joanny i proszących o pomoc oczach Anetki. Córka Koszyńskiej była w tej chwili wszystkimi kobietami jego życia jednocześnie. Bezbronna, na łasce zwyrodnialca.

Zmysły Waltera oderwały się od rzeczywistości. Gdy do niej wrócił, był unieruchomiony przez dwóch mężczyzn. Wokół stali wszyscy goście. Na trawie, trzymając się za pokrwawioną twarz, leżał brodacz.

Wyrwał się i wybiegł z ogrodu. W sklepie przy rynku kupił litrową finlandię i wrócił do siebie.

ROZDZIAŁ 3

Drohiczyn, marzec 2015, następnego dnia rano

Obudził się piętnaście minut przed dzwonkiem budzika. Właściwie to nie był pewien, czy się obudził, czy tylko otworzył oczy. Miał wrażenie, że to, co już od kilku tygodni działo się z nim nocami, bardziej przypomina katatoniczne odrętwienie niż sen. Słyszał każdy szmer pod podłogą, monotonne tykanie zegara ściennego, słyszał wszystkie nocne istoty i ich szepty, których za dnia nie rejestrował. A jednak za każdym razem w końcu zaskakiwał go poranek, a w ciągu dnia nie dręczyło go zmęczenie z niewyspania. Gdyby nie był zadeklarowanym racjonalistą, przypuszczalnie zaczęłby zgłębiać teorię eksterioryzacji, lecz prawda była taka, że nawet widząc siebie – stojącego obok swego śpiącego ciała – uznaliby to za nic więcej jak zręczny, szarlatański trik.

Usiadł na brzegu łóżka i sięgnął po szklanekę wody stojącą u wezglowia. Zwyczaj trzymania wody w zasięgu ręki pozostał mu z dawnych czasów, gdy jej brak o brzasku zmuszał go do półświadomej eskapady do łazienki, co nie zawsze kończyło się bez ubytków w armaturze. Spojrzał na okno. Białe zasłony, haftowane w delikatne, niebieskie ludowe motywy, były odsłonięte. Na dworze było szaro, wschodzące słońce powoli, acz skutecznie zaczęło przeganiać mgły rozlewające się nad meandrami Buga. W Drohiczynie wstawał kolejny dzień.

Dopijał trzecią od rana kawę, gdy za oknem usłyszał chrzęst opon na żwirowym poboczu. Spojrzał na zegarek. Jedenasta. Rymarski był punktualny. Nie czekając na dzwonek, otworzył drzwi i stanął na ganku.

– Gdzieś ty się wyniósł, do diabła? Co to za zabita dechami dziura? – rzucił Rymarski, gdy wymienili powitalny uścisk dłoni.

– Całkiem ładna. Wiem, że chodzenie nie jest twoją pasją, ale po krótkim spacerku na pewno zmienisz zdanie.

Nie trzeba było znać preferencji naczelnika Rymarskiego – wystarczył jeden rzut oka na potężne, grubo ponadstukilowe ciało szefa stołecznej policji i było jasne, że piesze wędrówki nie są jego ulubioną formą spędzania czasu.

– Wiesz co, Roman? Wierzę ci na słowo, ale nie przyjechałem tu na zwiedzanie – odparł i lekko pchnął Waltera do domu.

– Ile lat się znamy? – zapytał, gdy już usiedli przy kuchennym stole.

– Sporo – rzucił Walter. – Z piętnaście?

– Dość, żeby nie uwierzył w tę ściemę, że ta cała ucieczka to panaceum na wszystkie twoje bolączki.

– Edek, czy ja mam w głowie jakąś dziurę, przez którą zaglądasz i widzisz,

co w niej siedzi?

– Niepotrzebna mi żadna dziura. I nie muszę być pieprzonym psychoterapeutą, żeby cię rozgryźć.

– O co ci chodzi? – Walter wyglądał na szczerze zdezorientowanego.

– Romek, dostałeś w dupę od życia. Porządnie. Stary, kurwa, nie wiem, jak ja bym sobie z tym poradził na twoim miejscu. Może też zaszyłbym się gdzieś i zalewał codziennie pałę, żeby nie pamiętać.

– Nie piję – wszedł mu w słowo.

– Nie? A ta pusta flaszka? – Rymarski głową wskazał kosz na śmieci pod blatem kuchennym.

– Nie wypilem jej. Wylałem do zlewu.

– Rozumiem. Kupiłeś ją, bo lubisz wylewać wódkę do zlewu.

– Edek, daruj sobie sarkazm. To nie tak.

– A jak? Ile jeszcze razy dasz radę? Ile butelek skończy w zlewie, zanim pęknie? Roman, siedzisz w tej dziurze sam jak ten palec w dupie. Nie masz z kim pogadać ani czym się zająć. – W głosie Rymarskiego zabrzmiała troska.

– Skąd ta pewność?

– No, chyba że zostałeś jakimś lokalnym detektywem. Tutaj zaginie kura, tam komuś jabłka z sadu zapierdolą. Na pewno jest co robić! Alicja byłaby z ciebie dumna!

Dotychczas Walter siedział spokojnie. Wysłuchiwał tyrady Rymarskiego, pałac i popijając kawę. Tym razem nie wytrzymał. Wstał gwałtownie, przewracając krzesło.

– Edek, kurwa! Proszę cię, nie przeginaj! Mów, z czym przyjechałeś, albo zabieraj się z powrotem!

Jedno spojrzenie na kumpla wystarczyło Rymarskiemu, by nabrał pewności, że ten nie żartuje. Znał ten wyraz twarzy, te tańczące pod skórą mięśnie żuchwy i rozszerzone nozdrza. Roman Walter był gotowy do ataku.

Rymarski odczekał kilka chwil i przeszedł do meritum:

– Dobra, więc...

– A, i jeszcze jedno – gospodarz wszedł mu w słowo. – Tej flaszki nie powinno tu być. Coś się wczoraj wydarzyło, ale to nie twój zasrany interes!

– Jeśli tak twierdzisz.

– Tak twierdzą.

Rymarski wziął kilka oddechów, walcząc z pokusą podjęcia rzuconej znieścacka piłki. Zrezygnował jednak i postanowił przejść do rzeczy:

– Kilka dni temu zadzwonił do mnie kolega z Katowic. Naczelnik tamtejszej komendy wojewódzkiej. Jest wakat, który możesz zająć. Chcesz posłuchać?

ROZDZIAŁ 4

Katowice, 20.04.2015

Nie tak to sobie wyobrażał. W zasadzie niczego sobie nie wyobrażał. Gdy jednak przyjechał do Katowic, nie mógł się oprzeć wrażeniu, że w głębi duszy spodziewał się czegoś innego. Czegoś – wstyd mu było przyznać nawet przed samym sobą – niższej kategorii. W jego podświadomości pokutował utrwalony przez stereotypy obraz, nad którym wcześniej nawet się nie zastanawiał. Tymczasem na miejscu nie ujrzał rozsiansych po horyzoncie kominów fabrycznych, wypływających ze swych czeluści kłęby toksycznego dymu, w powietrzu nie wisiał smog duszących oparów, hutniczych wyziewów i połowy tablicy Mendelejewa, a ludzie na ulicach nie byli przyprószeni węglowym pyłem. Katowice pod względem architektury i infrastruktury niczym nie ustępowały innym wielkomiejskim ośrodkom Polski; na szyldach królowały te same logo kanapkowych potentatów czy szwedzkich tekstyliów, a mieszkańcy wyglądali tak jak rodacy z każdego innego miejsca w kraju.

Inspektor Stefan Król, prawa ręka komendanta wojewódzkiego, był postawnym czterdziestolatkiem o sylwetce i czuprynie, które z pewnością wzbudzały zazdrość u rzeszy jego rówieśników, dźwigających ponad paskami spodni dowody uwielbienia piwa i słonych przekąsek – o ich żonach nie wspominając. Stylowe szylkretowe oprawki okularów, które miał na nosie, dodawały mu wdzięku i sprawiały, że nieco przypominał komiksowego Supermana z lat sześćdziesiątych. Gdy Walter pojawił się w progu jego gabinetu, Król stał przy oknie, tyłem do wejścia, trzymając przy uchu komórkę. Rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych. Wolna ręka mężczyzny była zaciśnięta w pięść i tłukła energicznie w parapet, wprawiając w stan chwiejnej równowagi doniczkę, w której rosło coś, co kiedyś być może było paprotką.

– Nie. Nie prześlę ci więcej. Dostałaś tyle, ile miałaś dostać, a z resztą radź sobie sama! Na razie! – Dwa ostatnie zdania inspektor Król wykrzyczał, patrząc na trzymaną w wyciągniętej ręce komórkę. Kiedyś było łatwiej, można było wyładować nerwy i trzasnąć ebonitową słuchawką o widełki. A teraz? Szkoda komórki, bo to i delikatne, i kosztowne.

Inspektor, zrezygnowany, wsunął aparat do kieszeni i w tym momencie dostrzegł stojącego w progu Waltera.

– Co pan tu robi, do cholery? Kim pan jest?

– Komisarz Roman Walter. Miałem się dziś zgłosić.

– Ach tak, rzeczywiście. Niech pan siada, komisarzu. – Król wskazał Walterowi krzesło po drugiej stronie biurka. – Przepraszam, inspektor Stefan Król – dodał, wyciągając rękę.

Uścisk dłoni miał pewny i mocny, co w zestawieniu z sylwetką, jasnym i pewnym siebie spojrzeniem utwierdziło Waltera w przekonaniu, że ma do czynienia z wysportowanym, prowadzącym zdrowy tryb życia mężczyzną – zupełnym przeciwieństwem większości kolegów po fachu, którzy miewali problemy z zaliczeniem testów sprawnościowych. Nie wiedział jeszcze, czy go polubi, czy będą nadawali na podobnych falach, ale chyba były ku temu spore szanse – w oczach Waltera Król zdał test pierwszego wrażenia. Czy zadziałało to też w drugą stronę? Niespecjalnie o to dbał. Jeśli ktoś go lubił, to super, a jeśli nie – to już nie problem Waltera. Martwić powinni się raczej ci, których on nie lubił.

– Ciągłe mi robi takie numery – westchnął Król.

– Tak?

– No, ta moja asystentka, jak rany – sprecyzował. W końcu Walter słyszał fragment jego rozmowy telefonicznej. – Wie pan – Król przysunął się bliżej i zaczął mówić scenicznym szeptem: – niezła z niej dupa, ale głupia taka, że szkoda gadać. Wywaliłbym ją już dawno, ale co zrobię, jeśli następna też będzie głupia i na dodatek, nie daj Boże, szpetna? – Wzruszył ramionami.

– Jest też trzecia możliwość – powiedział Walter, uśmiechając się.

– Dobra, dobra. Wiem, co ma pan na myśli, ale ja durnej trójki w totka trafić nie mogę, więc wolę nie ryzykować. – Inspektor mrugnął porozumiewawczo i dodał: – Czego się pan napije, komisarzu?

– Herbaty. Earl grey, jeśli jest.

Gdy Król wyszedł, Walter rozejrzał się po gabinecie swojego nowego pryncypała. Pomieszczenie było niewielkie, ale funkcjonalne. Umeblowanie ograniczało się do biurka, na którym stał sporych rozmiarów monitor LCD, a także laptop w stacji dokującej, klawiatura, notatnik i parę długopisów w kubku z logo drużyny piłkarskiej Ruch Chorzów, oraz do wąskiego regału z kilkoma pucharami i proporczykami. Ścianę za biurkiem inspektora Stefana Króla ozdabiały dyplomy i kilka zdjęć przedstawiających sportową drużynę chłopięcą. W trenerze towarzyszącym podopiecznym rozpoznał Króla. Puchary, sportowa sylwetka, zdjęcia z młodzikami – inspektor z zamiłowania był trenerem piłkarskim, nie było co do tego najmniejszych wątpliwości. Rozważania Waltera przerwał dźwięk otwieranych drzwi. Do gabinetu, niosąc na tacy filiżanki z parującą herbatą, wkroczyła urodziwa asystentka inspektora, a zaraz za nią on sam. Walter widział ją wcześniej (to ona, twierdząc, że Król już czeka, wpuściła go do jego gabinetu),

jednak dopiero teraz, zainspirowany ocierającymi się o seksizm wyznaniem Króla, otaksował kobietę, zaczynając od miejsca, na którym dziewięćdziesiąt procent mężczyzn zawiesza wzrok, oceniając kobietę. Ma rację pan trener, przyznał w duchu i potwierdził to samo po raz wtóry, gdy pani Justyna odwróciła się tyłem, żeby wyjść.

– Chciałem panu przedstawić aspiranta Adriana Szutkowskiego, ale jest na zwolnieniu lekarskim – powiedział Król, gdy asystentka zamknęła za sobą drzwi.

– A kto to taki? – zapytał Walter.

– Będzie pana bezpośrednim podwładnym i prawą ręką. – Walterowi nie do końca się spodobało, że z góry zdecydowano, kto z zespołu kryminalnych ma zostać jego prawą ręką, ale postanowił na razie nie dawać temu wyrazu. – Domyślam się, że takie odgórne ustalenie może się panu nie spodobać – kontynuował Król, jakby czytał w jego myślach – ale z Szutkowskim sprawa jest dość delikatna. Chociaż nie jestem pewien, czy to najlepsze określenie, jakiego w tej sytuacji mogę użyć.

– Rozumiem, inspektorze, że chce mi pan o czymś powiedzieć.

– Komisarzu Walter, zanim pan tu przyjechał, rozpytałem o pana. Nie tylko u Rymarskiego, ale też u paru innych osób, i wiem, że z pana kawał twardego sukinkota i skutecznego psa.

– Miło słyszeć, ale co to ma wspólnego z Szutkowskim?

– Myślę, że mogę być z panem zupełnie szczery i że będzie pan w stanie poradzić sobie z sytuacją, którą zastanie. Jeszcze kilka dni temu Szutkowski był pewien awansu i stanowiska, które właśnie pan obejmuje.

– I nagle zamiast awansu zostaje zaszczycony propozycją stanowiska prawej ręki osoby, która z pewnością w jego oczach go wygryzła. To tak na otarcie łez?

– Poniekąd. Według mnie Szutkowski nie dojrzał jeszcze do tej roli. Ma spore ambicje i aspiracje, lecz nie jest to poparte ani doświadczeniem, ani osiągnięciami. Poza tym jest to typ człowieka, który wierzy w swoją nieomyślność i ma problem z zaakceptowaniem innego zdania niż jego własne. Sam pan widzi, skąd we mnie te obiekcje.

– Skąd więc jego nadzieje na to stanowisko? A tak w ogóle dlaczego on jeszcze tu jest?

– Szutkowski ma wuja. Prokuratora z rejonowej. Ten wuj to stary wyga. Zna wszystkich, których trzeba znać. Muszę przyznać, że z niego też kawał twardego i skutecznego skurwiela. – Słyszając te słowa po raz kolejny, Walter pomyślał, że „twardy, skuteczny skurwiela” to swoista nobilitacja w ustach Króla. – Ale w przypadku siostrzeńca wszystkie moralne zasady wyznawane przez Norberta Jarząbka szlag trafia. Mamy do czynienia z najgorszym rodzajem nepotyzmu, jaki można sobie wyobrazić.

– Czyli jest szansa, że prokuratorów krewnych można spotkać tu i ówdzie?

– O ile wiem, nie. Nie ma dzieci ani bliższych krewnych poza siostrą, więc siłą rzeczy aspirant Adrian Szutkowski jest jego najbliższą rodziną.

– To go nie usprawiedliwia, ale może tłumaczy – stwierdził Walter.

– W każdym razie rozumie pan już, dlaczego nie mogłem się go pozbyć. Niemniej zagroziłem odejściem, a proszę mi uwierzyć, że tego nie chcę, jeśli Szutkowski wylądaje na stołku, który jutro pan zajmie. Koniec końców ani wilk nie jest do końca syty, ani owca cała. Ale na razie Jarzabek odpuścił, Szutkowski został mianowany na samca beta, a ja mam w kryminalnym najlepszego specja w kraju.

– No to mecz wygrany. – Walter postanowił nawiązać do pozazawodowego hobby Króla.

– Mecz tak, ale puchar jeszcze nie. Tutaj liczę, że pan mi pomoże.

– Nie jestem pewien, czy do końca dobrze zrozumiałem. Mam nadzieję, że nie jestem tu po to, aby wykończyć Szutkowskiego i położyć się na talerz panu prokuratorowi?

– Absolutnie! – Król zaproponował stanowczo. – Jest pan tu, dlatego że jest pan najlepszy i ma pan im udowodnić, że się nie pomyliłem. A jak tam kwestia pańskiego lokum? – Inspektor zmienił temat.

– Na razie zatrzymam się w hotelu, a potem zobaczymy – odparł Walter.

– Myślę, że będę coś dla pana miał. – Król puścił oko, co miało nadać tej informacji kategorię poufności. – Mamy w centrum bardzo ładną mansardę. Od czasu do czasu wykorzystujemy ją do celów operacyjnych. – Ponownie puścił oko. – Niewiele osób z fabryki wie o tym mieszkaniu, a z naszego wydziału w zasadzie tylko ja. Myślę, że może pan się tam na razie zatrzymać, przynajmniej do czasu, aż znajdzie pan coś na stałe. Po co się błąkać po hotelach? – Rozłożył ręce na boki.

– Jeśli mogę skorzystać, to super – powiedział Walter.

– Może pan, może. Gdzieś tu mam klucze... – Król zaczął grzebać w szufladzie. – O, są! – Zadowolony, wręczył Walterowi klucz do zamka typu Yale. – Na karteczce przypiętej do klucza ma pan adres. A teraz chodźmy, przedstawię pana ludziom z wydziału.

Walter podążył za inspektorem Królem. Weszli do pomieszczenia typu open space. Siedzący za biurkami policjanci zwrócili oczy w ich kierunku.

– Słuchajcie, ludzie – zaczął Król. – Chcę wam przedstawić nadkomisarza Romana Waltera, który objął stanowisko szefa wydziału. Nadkomisarz Walter jest doświadczonym śledczym z... A co ty tu robisz? – zapytał nagle, zwracając się do jednego z funkcjonariuszy.

Mężczyzna wstał zza biurka. Miał na sobie ciemny, dobrze skrojony garnitur. Kilka górnych guzików koszuli rozpiął, tak że widać było zawieszony na jego szyi solidnej grubości złoty łańcuszek. Miał trzydzieści parę lat, gładko

zaczęte kruczoczarne włosy i głęboko osadzone, ciemnobrązowe oczy. W porównaniu z pozostałymi policjantami w bluzach lub porozciąganych swetrach wyglądał bardziej jak syn lokalnego mafiosa niż typowy policjant z kryminalnego.

– Poczuję się lepiej, panie inspektorze, więc przyszedłem – odparł mężczyzna.

– Panie komisarzu – Król zwrócił się do Waltera – przedstawiam panu aspiranta Adriana Szutkowskiego.

– Komisarz Roman Walter. – Walter wyciągnął rękę w kierunku Szutkowskiego. – Cieszę się, że będziemy razem pracować – powiedział, choć nie był pewien, czy w to wierzy.

Aspirant Szutkowski milczał przez chwilę. Spojrzał na inspektora Króla, jakby tamten miał mu potwierdzić, czy Walter mówi serio, czy też postanowił zdrwić z niego okrutnie.

– Ja również się cieszę, panie komisarzu – odparł w końcu.

Walter zaczął się zastanawiać, co zrobić z wiedzą, którą przekazał mu Król. Jak postąpić z człowiekiem, który z definicji raczej nie będzie mu dobrze życzył. Wybrał najprostszą, starą jak świat strategię: może na otarcie łez Szutkowski miał zostać w wydziale samcem beta, ale nie mogło podlegać wątpliwości, kto jest samcem alfa.

– Nie lubię niedomówień, więc chciałbym postawić sprawę jasno – zaczął Walter. – Wiem, że liczyłeś na objęcie stanowiska szefa wydziału. Tak się nie stało. Nie wiem dlaczego, ale taki jest fakt. Faktem jest też, że będziemy ze sobą współpracować, i ma to być współpraca na zdrowych zasadach, opierająca się na zaufaniu i lojalności. Czy mogę na ciebie liczyć?

Szutkowski milczał. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Po chwili się uśmiechnął, a w jego brązowych oczach pojawił się błysk. Wyciągnął w kierunku Waltera otwartą dłoń.

– Zapewniam pana, że może pan na mnie liczyć. Rzeczywiście przez jakiś czas liczyłem na objęcie tego stanowiska, ale rozumiem, że to jeszcze nie ten moment. Ma pan moją stuprocentową lojalność.

Mężczyźni ponownie uściskali sobie dłonie.

– Doskonale – odparł Walter. – Możesz mi w takim razie przedstawić kolegów z wydziału? Myślę, że nie będziemy zajmować więcej czasu panu inspektorowi.

ROZDZIAŁ 5

Katowice, 26.04.2015

Trzech chłopców na rowerach BMX, w bawełnianych bluzach i sięgających do pół łydki kolorowych szortach, lawirując pomiędzy zaparkowanymi samochodami i nielicznymi o tej porze dnia pieszymi, zamiast do szkoły gnało ile sił w stronę parku. Ciepłe promienie wiosennego słońca i głód wrażeń wyгнаły ich z domów. Wszyscy mieszkali na tym samym osiedlu, nazywanym przez miejscowych Tauzenem. Osiedle sąsiadowało z jednym z największych miejskich parków Europy. Zbudowany w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku park, oaza zieleni otoczona ze wszystkich stron przemysłowymi miastami Górnego Śląska, choć dziś trochę zaniedbany, wciąż pretenduje do miana jednej z największych atrakcji wielkomiejskiej aglomeracji i nadal jest miejscem niedzielnych spacerów rodzin z okolicznych miast. To w jego granicach jest położony słynny – i jak powiadano, przynoszący szczęście piłkarskiej reprezentacji narodowej – Stadion Śląski. To tu w czerwcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku drużyna Kazimierza Górskiego po raz pierwszy, i póki co jedyny, w historii polskiego futbolu w meczu eliminacyjnym do mistrzostw świata rozgromiła Anglię. Na koronie i płycie śląskiego giganta tysiące gardeł wraz z Mickiem Jaggerem śpiewały o nieosiąganiu satysfakcji, a wraz z Bono o miłości, która rani i każe czołgać się u stóp.

Chłopcy wjechali do parku. Przejechali pod rozkraczonymi nogami kilkunastometrowej abstrakcyjnej żyrafy, po prawej minęli park rozrywki i przed główną bramą ogrodu zoologicznego, stanowiącą niegdyś wrota do neogotyckiego pałacu von Donnersmarcków, skręcili w lewo, jadąc wzdłuż ogrodzenia zoo.

Nagle jadący z przodu gwałtownie zahamował.

– Co robisz, ty gupku?! Mało żech w ciebie nie walno! – krzyknął kolega za nim, w ostatniej chwili unikając zderzenia.

– Sam żeś jest gupi! – Pierwszy wyciągnął z kieszeni szortów telefon komórkowy. – I kup se lepiej bryle, bo mosz coś z oczami nie tak!

– Teraz bydziesz dzwonić? Dopiero co my wyjechali! – odezwał się trzeci z rówieśników.

– Nie beda nikaj dzwonić, ino pare fotek pstrykna.

Chłopcy spojrzeli na kolegę jak na zjawisko nie z tego świata.

– Fotki? Ale po co? Tam nic ni ma!

– Widzicie te ptoki za płotem? – Gestem głowy wskazał na chudonogie różowe ptaki.

– Flamingi? Łone tam zawsze som. – Niedoszła ofiara kraksy rowerowej wzruszyła ramionami.

– Lucek, a ty pamiętasz, co baba z przyry zadała na następny tydzień? – Fotograf amator uniósł brwi w pytającym geście.

Lucek miał wyraz twarzy jaskiniowca przeniesionego machiną czasu na środek katowickiego ronda. Z niemym pytaniem, szukając pomocy, zwrócił się do Michała, tego, który jechał na końcu.

– Zimny, ty zawsze tak musisz? – odezwał się Michał z udawaną troską w głosie. – Przeca wiesz, że Luca piznoł sie w łeb, jak wylecioł z kołyski!

Lucek, barczysty chłopak o głowę przewyższający kolegów, powoli zsiadł z roweru, delikatnie, niczym drogocenny przedmiot położył go na alejce i jednym skokiem, w tempie nijak nieprzystającym do jego postury, znalazł się przy Michale. Złapał go wpół i zrzucił z roweru, jakby młokos był kartonowym ludzikiem, a nie dobrze odżywionym dwunastolatkiem. Chłopcy zaczęli się tarzać na przylegającym do alei trawniku. Po krótkiej chwili Lucek siedział okrakiem na plecach Michała, okładając kuksańcami jego uda i pośladki. Michał darł się wniebogłosy, próbując zrzucić niewyrośniętego hipopotama ze swoich barków. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że doszło do bójki, być może wtrącić się w akcję lub zadzwonić po straż. Na szczęście o tej porze na ulicach było jeszcze niewielu przechodniów, a ci nieliczni, zaciskając usta, udawali, że nic nie widzą i nie słyszą. Tym razem strategia trzech małych nie była potrzebna. Chłopcy po prostu się wygłupiali, a Michał, dworując sobie z Lucka, doskonale zdawał sobie sprawę z następstw swej złośliwości.

Zimny strzelił parę fotek niemrawym o tej porze roku flamingom, po czym chłopcy umówili się na wieczór, aby wspólnie popracować nad projektem, i ruszyli dalej. Zimny jak zwykle prowadził, Luca znów jechał za nim, a Michał, po niedoszej kraksie przy ptasiej zagrodzie, stwierdził, że jazda przed Lucą nie jest chyba najlepszym pomysłem, i na wszelki wypadek postanowił nadal trzymać się z tyłu. Za ptakami skręcili w prawo i jadąc wzdłuż ogrodzenia, zaczęli zagłębiać się w dzikszere tereny chorzowskiego parku. I tak nieliczni spacerowicze nagle zniknęli, a zadbane alejki z cywilizowanej strony parku z każdym pchnięciem rowerowego pedału zamieniały się w wąskie ścieżki, pokryte popękanymskóra nosorożca asfaltem. Wjechali w las nie las; florystyczną kakofonię o niespotykanej w naturalnych warunkach ilości gatunków drzew i krzewów. Nie wiadomo, czy to z zamiaru, czy też z braku wystarczających środków niezbędnych do utrzymania tej śródmiejskiej dżungli w jakimś kształcie, las przez ponad pięćdziesiąt lat rósł swobodnie, praktycznie nietknięty ludzką ręką, dziś bardziej podobny do buszu niż miejsca, w które zwykło się chadzać na grzyby. Michał, jeszcze kilka minut temu prawiący wewnętrzne komplementy swej przezorności, w jednej sekundzie został zmuszony do rewizji poglądów na temat poziomu bezpieczeństwa jazdy przed

lub za Lucą. Gdy za zakrętem dostrzegł plecy zwałistego przyjaciela, wielkością przypominające wrota domku hobbitów, było za późno. Napał na tylny hamulec (przedni nie działał od ostatniej jesieni i teraz chłopak pożałował, że zaniedbał temat), zarzuciło tylnym kołem i Michał zaliczył efektowną glebę, wpadając wraz z rowerem pod koła kolegi. Lucek nawet nie drgnął. Spojrzał na leżącego Michała, ocenił sytuację i stwierdził, że idzie się odlać. Położył rower na ścieżce i zniknął w krzakach. Zimny i Michał spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Wiedzieli, że Luca w życiu się nie wysika w towarzystwie drugiego człowieka. Czekać na niego, zaczęli rzucać kamieniami w drzewa. Minęło już dobrych parę minut, a Lucek nie wracał.

– Ty, co on tak długo leje? – zapytał Zimny, patrząc w kierunku krzaków, w których zniknął kolega.

– Może go znaleźć nie umie?

– Co? Kogo? – Zimny odwrócił się do Michała i spostrzegł, że ten włożył rękę w szorty i przez rozporek wystawia mały palec, prostując i zginając go w jednoznaczny geście.

– Ale z ciebie zbok! – Po przyjacielsku trzepnął Michała w ucho. – Jego naprawdę długo nie ma – dodał z nutą niepokoju w głosie.

– Dobra, chodźmy zobaczyć. – Michał wyciągnął łapę z szortów.

Oparli rowery o drzewa i ruszyli przed siebie. Ostrożnie stawiali kroki na wilgotnym poszyciu. W powietrzu unosiła się paleta zapachów podmokłego liściastego lasu: mieszanka mchu, jakichś grzybów i gnijących resztek roślin. Słoneczne światło, jeszcze tak żywe i ciepłe w okolicach wybiegu flamingów, teraz wydawało się jakieś rozproszone, jakby z trudem docierało do leśnego poszycia. Suche gałązki z chrzęstem łamały się pod butami i chłopców przeszedł mimowolny dreszcz. W końcu dostrzegli Lucka. Stał nieruchomo kilkanaście metrów od nich i gapił się na coś. Zatrzymali się odruchowo.

– Luca! – krzyknął Michał, lecz tamten nie zareagował.

– Lucek! – powtórzył Zimny. – Co jest grane?

Chłopcy szczególnie mieli ochotę wchodzić głębiej w krzaczasty las, lecz zaniepokojeni reakcją Lucka, a raczej jej brakiem, ruszyli w jego kierunku. Gdy podeszli bliżej, zauważyli, że Lucek jak zahipnotyzowany wpatruje się w coś, co było na dnie niewielkiego jaru, nad którym stał. Podeszli nad krawędź zagłębienia i wychylili głowy, ciekawi, co tak zmroziło ich przyjaciela.

Na dnie parowu twarzą do ziemi leżał mężczyzna. Od pasa w dół był nagi. Miał zakrwawione pośladki. W zakrzepłej krwi migotały kawałki zielonego szkła, rozświetlane przez słabe promienie słońca.

ROZDZIAŁ 6

Katowice, 26.04.2015

Prokurator Norbert Jarząbek, mężczyzna pod sześćdziesiątkę, niemal szerszy niż dłuższy, walczył z przemożną pokusą, aby mocniej przydepnąć pedał gazu. Był wczesny poranek. Puste ulice i przeważnie wyłączona sygnalizacja świetlna zapraszały do jazdy na wyższych obrotach, tym bardziej że Jarząbek był już właściwie prawie spóźniony. Pięć minut po czasie i wylatując, pomyślał, ocierając pulchną dłonią łysiejącą czaszkę. Umknie mu najważniejszy doroczny turniej skata i miejsce na trzeci mistrzowski puchar nadal będzie świecić pustką, nie wspomniawszy o okazji do ponownego utarcia nosa tym zarozumiałcom z Zabrza. Poprzedniego wieczora żona Jarząbka w osłupieniu obserwowała męża, jak z butelką płynu do mycia szyb w jednej ręce i irchową szmatką w drugiej z zapalem pucuje szybę w witrynie.

– Dobrze ci idzie – stwierdziła. – Może oknami też byś się zajął? – Spojrzała na niego z uśmiechem, ujmując się pod biodra.

Jarząbek nie odpowiedział, tylko zrobił jedną z tych min, którymi zawsze wprowadzał żonę w dobry humor. W progu cmoknął ją w czoło, po czym wręczył jej swój porządkowy oręż. Jadwiga była jego jedyną miłością. Tylko przed nią nigdy niczego nie udawał, nie grał żadnej roli, był sobą w każdym calu. Nieważne, czy dotyczyło to jasnej, czy ciemnej strony jego natury. Ostatnio jednak prokuratora Jarząbka zaczęły dręczyć niepokojące myśli. Coś się zmieniło. Chociaż dla Jadwigi nadal był nieskalanym najmniejszą ułomnością ideałem, przestał jej mówić całą prawdę. Dla jej dobra – uspokajał dręczące go sumienie i odrzucał złe myśli tłukące mu się po głowie.

W ciągu swojego bez mała sześćdziesięcioletniego życia, a przynajmniej w jego dorosłej części, Norbert Jarząbek nigdy nie spóźnił się na żadne spotkanie czy jakiegokolwiek zdarzenie wymagające punktualnego stawienia się na miejscu. Punktualność była jedną z cech, którymi mierzył wartość otaczających go ludzi. Stosował ją rygorystycznie wobec siebie i tego samego oczekiwał od bliźnich, nieważne, czy byli to bliscy, czy koledzy z Wydziału V Śledczego Prokuratury Okręgowej w Katowicach.

Ale dziś miał się spóźnić. Po raz pierwszy w życiu. Wszystko przez koła, a raczej ich brak. Nie wierzył własnym oczom, gdy po wyjściu z bloku zobaczył swój samochód stojący na czterech słupkach z cegłówek, poustawianych jedna na drugiej.

– Jakby to był jakiś pieprzony tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty! Kto dziś,

do kurwy nędzy, kradnie koła? – warknął, patrząc na zdekompletowany samochód. Norbert Jarząbek nigdy nie klął; już słowo „kurczę” padające z jego ust, jeśli nie dotyczyło drobiu, dobitnie sygnalizowało, że wszyscy powinni się mieć na baczności.

Minęło dobre piętnaście minut, zanim wrócił na parking z kluczykami od pandy należącej do Jadwigi. Niedługo wszystko będzie inaczej, pomyślał i z trudem wcisnął się za kierownicę fiacika. Zawsze czuł się w nim jak nadprogramowa sardynka w puszcze.

Ponieważ jechał na turniej, walczył z pokusą silniejszego nadeptnięcia na pedał gazu. Gdy w końcu podjął decyzję o złamaniu paru przepisów, w jego kieszeni zabrzączał telefon. Trzymając lewą ręką kierownicę, prawą sięgnął po komórkę. Dzwonił Jan Tkaczyk – jego partner do skata i jednocześnie podwładny z prokuratury. Na pewno chce wiedzieć, co się z nim dzieje, bo przecież zaraz powinni zaczynać!

– Słuchaj, Jasiu, miałem problem z samochodem, ale zaraz powinienem być na miejscu – rzucił, gdy tylko odebrał połączenie.

Głos w słuchawce był wyraźnie zawiedziony.

– Nie zagramy dziś, panie prokuratorze.

– Jasiu, mówiłem, że zaraz będę. Mamy jeszcze pięć minut, prawda?

– Nie o to chodzi. Jestem w drodze do Parku Śląskiego. Rano dzieciaki znalazły tam zwłoki. Czacki jest na chorobowym, a Badera poleciał ze swoją nową żoną do Tunezji, więc muszę jechać sam. Proszę wrócić do domu. W poniedziałek zdam raport.

Jarząbek zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Turniej i tak miał już z głowy. Mógł wrócić do domu, do czego zachęcał go Tkaczyk, lub pojechać na miejsce i osobiście zapoznać się z sytuacją. Niewiele myśląc, podjął decyzję.

– Gdzie dokładnie znaleziono ciało?

Okazało się, że zna ten teren. Poinformował podwładnego, że spotkają się tam za dwadzieścia minut, i rozłączył się. Przynajmniej nie będę spóźniony, pomyślał. Włączył kierunkowskaz i ruszył w kierunku Chorzowa.

ROZDZIAŁ 7

Katowice, 26.04.2015

Norbert Jarząbek zatrzymał samochód przed wjazdem do parku, szczerze się dziwiąc, że tak szybko tu dojechał. Stał po północnej stronie parku. Za jego plecami wznosiła się potężna, ponadstumetrowa wieża telewizyjna, a nie dalej niż pięćset metrów w linii prostej – miejsce tragedii ze stycznia dwa tysiące szóstego roku. Pod obciążonym nadmiarem śniegu dachem, który runął na zwiedzających i wystawców targów gołębi, zginęło wtedy sześćdziesiąt pięć osób, a ponad setka odniosła mniej lub bardziej poważne obrażenia.

Przez chwilę rozważał, czy zostawić auto na parkingu i iść dalej piechotą, czy korzystając z przysługującego mu przywileju, podjechać na miejsce zbrodni samochodem. Pogoda była bajeczna i kusiła go opcja spaceru, tym bardziej że nie pamiętał, kiedy ostatnio tu był, jednak poczucie obowiązku wygrało. Jak zwykle. Wrzucił bieg i powoli ruszył aleją prowadzącą do Planetarium Śląskiego. Wkrótce dostrzegł srebrno-niebieski radiowóz. Obok stał golf Jasia Tkaczyka, dwie nieoznakowane osobówki i szary renault kangoo z niebieskim kogutem na dachu – ambulans kryminalistyczny, duma techników z katowickiej komendy. Nie zdążył wyłączyć silnika, gdy obok, jak spod ziemi, wyrósł mundurowy.

– Proszę natychmiast stąd odjechać, zanim wlepię panu mandat! Tutaj nie wolno wjeżdżać samochodem – usłyszał zdecydowane polecenie, gdy otworzył drzwi.

– Prokurator Jarząbek – przedstawił się, podstawiając mundurowemu pod nos swoją legitymację.

– Przepraszam, panie prokuratorze – rzekł tamten, lekko speszony. – Nie wiedziałem.

– Nie ma sprawy. Wystarczy, że wskaże mi pan, którędy dojdę do miejsca zdarzenia.

– Proszę iść tą alejką. Jakies trzysta metrów. Na pewno pan się zorientuje, bo kręcą się tam już chłopaki z KW.

Najpierw zauważył Jasia Tkaczyka. Trudno byłoby go nie zauważyć. Asesor Tkaczyk, gdziekolwiek się pojawiał, od razu był zauważalny, czy tego chciał, czy nie. Jego prokuratorowska głowa zawsze wystawała ponad wszystkie inne. Był chudy jak tyczka i miał dwieście piętnaście centymetrów wzrostu. Jarząbek nieraz się zastanawiał, dlaczego ten skądinąd nieprzeciętnie inteligentny facet zamiast kariery

koszykarza (na studiach z sukcesem grał przecież w lidze) wybrał robotę prawnika, i to na państwowej posadzie. Kiedyś podczas partyjki w skata nawet zadał Tkaczykowi to nurtujące go pytanie. Ale ten w odpowiedzi tylko burknął coś pod nosem i zabrał się do rozdawania kart. Jarząbek nie drążył. Nie chciał. Wyczuł, że ten temat jest dla Tkaczyka w jakiś sposób trudny i najwidoczniej nie ma ochoty go poruszać.

– Co tu mamy, Jasiu? – zapytał, podając mu rękę na przywitanie.

– Dzieciaki znalazły ciało. Trzech dwunastolatków na rowerach. Jeden poszedł się odlać i znalazł go w pobliskim jarze.

– Co z nimi? Będzie można im zadać parę pytań?

– Myślę, że tak. Nie wyglądali na specjalnie zszokowanych, choć denat, mówiąc ogólnie, jest w nie najlepszej formie.

– A mówiąc bardziej szczegółowo? – Jarząbek przestał lustrować otoczenie i spojrzał na asesora.

– Ktoś mu zmasakrował głowę i zrobił z rzyci jesień średniowiecza.

Prokurator nie zareagował. W swojej kilkudziesięcioletniej karierze niejedno już widział i dawno przestał czemukolwiek się dziwić.

– Prowadź, Jasiu – odparł po chwili. – Mam nadzieję, że w tych chaszczach nie ubłocę spodni. Wiesz, jaka jest Jadwiga.

Jan Tkaczyk wiedział, jaka jest żona Jarząbka, i wiedział, że za jej gderaniem skrywa się najlepsze, co mogło spotkać pana prokuratora – ciepła i kochająca kobieta. Ponadto był pewien, że Jarząbek też doskonale o tym wie, a gadka o ubłoconych spodniach jest niczym więcej, jak typowym teatrzykiem z gatunku „między nami facetami”.

Ze względu na gęstwinę splątanych ze sobą gałęzi przeróżnych krzewów i drzewnych samosiejek otoczenie bardziej przypominało pierwotną puszcę niż to, co przyjęło się nazywać lasem. Jarząbek stawiał kroki ostrożnie, podążając za krocącym pewnie Tkaczykiem. Człowiek tyczka mimo ponadprzeciętnego wzrostu poruszał się niczym doświadczony eksplorator puszczy podzwrotnikowej. Jarząbka coś zastanowiło. Chłopiec, jak twierdził Tkaczyk, wszedł do lasu za potrzebą. Po jaką cholere dwunastolatek, żeby się wysikać, włązi tak głęboko w krzaki? Normalnie stanąłby przy ścieżce i załatwił swoje bez przedzierania się przez te wszystkie gałęzie. Postanowił, że wróci do tej kwestii, jak przyjdzie czas na rozmowę z osobą, która znalazła zwłoki.

Gdy doszli na miejsce, las niespodziewanie się przerzedził. Na niewielkiej polance kręciło się dwóch techników policyjnych. Jarząbek znał ich z widzenia. Nad brzegiem płytkiego jaru stali dwaj mężczyźni. W jednym rozpoznał śledczego z katowickiej komendy wojewódzkiej – aspiranta Adriana Szutkowskiego, syna swojej siostry. Drugiego z mężczyzn nie znał. Był pewien, że dotychczas nigdy go nie spotkał. Miewał problemy z zapamiętywaniem nazwisk, ale nigdy twarzy. Te

pamiętał zawsze. Kiwnął głową, pozdrawiając mijanych techników, i podszedł do Szutkowskiego i jego towarzysza.

– Cześć, Adrian. – Podał dłoń siostrzeńcowi i zwrócił się do nieznajomego: – A z panem chyba jeszcze nie miałem przyjemności. Prokurator Norbert Jarząbek – przedstawił się, wyciągając dłoń.

– Nadkomisarz Roman Walter. Miło pana poznać, prokuratorze.

ROZDZIAŁ 8

Katowice, 26.04.2015

Prokurator Jarząbek cofnął się o krok i zmrużył oczy niczym krótkowidz. Zlustrował bacznie Waltera z góry na dół, po czym wyjął z kieszeni zmiętą paczkę marlboro. Sprawnym ruchem doświadczonego palacza wytrząsnął papierosa, włożył go do ust i zapalił.

– Nadkomisarz Roman Walter – powtórzył, wypuszczając z ust kłęb dymu. – Pan wybaczy, komisarzu, ale czy ja o panu już gdzieś nie słyszałem?

To na pozór proste pytanie wprowadziło Waltera w konsternację. Wiedział, że takie pytania będą padać, ale nie miał pojęcia, jak na nie odpowiadać. Wydarzenia sprzed paru miesięcy, mimo wykrycia sprawcy kilku wyjątkowo okrutnych mordów i zapobieżenia dwóm kolejnym, nie napawały go dumą. Koniec końców ojciec mordercy, niesłusznie podejrzewany o inicjację okrutnej intrygi, poznavszy prawdę o swoim synu, popełnił samobójstwo, a rzeczywisty sprawca krwawej wendety śmiał się Walterowi w twarz, gdyż niczego nie zdołano mu udowodnić.

– Nadkomisarz przyjechał do nas ze stołecznej. – Szutkowski postanowił wyręczyć Waltera.

– Ze stołecznej, powiada pan. – Mina Jarząbka mogła wyrażać zarówno zdumienie, jak i zadumanie.

– Tak, panie prokuratorze, ze stołecznej. Zwolnił się u was etat, zaproponowano mi jego zajęcie, a ja skorzystałem z tej propozycji – odparł Walter, choć podejrzewał, że w żadnym stopniu nie zaspokoił prokuratorskiej ciekawości.

I miał rację. Migracja funkcjonariuszy z reguły biegła w odwrotnym kierunku. W kraju nad Wisłą wszystkie drogi, a już na pewno te główne, prowadziły w stronę Warszawy i jeśli komuś zdarzało się obrać odwrotny kurs, w najlepszym razie prowokował konfabulacje, podszyte słabo skrywaną niezdrową satysfakcją. Oblicze Jarząbka wyraziło nieme: „aha”, podkreślone ledwo zauważalnym skinieniem głowy.

– I jak się panu u nas, na Śląsku, mieszka? W ogóle ma pan gdzie mieszkać? – dociekał prokurator, jakby w tym momencie było to najbardziej istotne.

– Na razie zatrzymałem się w hotelu – odpowiedział Walter. – Ale za parę dni przeprowadzam się do mieszkania, więc pewnie wkrótce odpowiem panu na pierwsze pytanie.

Jarząbek zaciągnął się papierosem, patrząc Walterowi prosto w oczy.

– No to, panie kolego, z marszu, jeśli mogę się tak wyrazić, trafił pan na krwawą jatkę – stwierdził, rzucił niedopałek na ziemię i odszedł.

Walter spojrział na Szutkowskiego, a następnie przeniósł wzrok na niedopałek. Szutkowski wzruszył ramionami, po czym podniósł dymiącego peta.

– Adam – zawołał do stojącego opodal technika – weź to. Tylko nie pomieszaj z resztą, bo nam wyjdzie prokuratorskie DNA.

Technik bez słów odebrał niedopałek, zgniótł i włożył do foliowego woreczka, który wcisnął do jednej z licznych kieszeni drelichowych spodni.

Tymczasem Jarząbek, z założonymi na tyłku rękami, stał, wpatrując się w zwłoki. Martwy, czterdziestoparoletni mężczyzna leżał na brzuchu. Miał półprzymknięte oczy i otwarte usta. Jeden rzut oka wystarczył, aby stwierdzić, że denat nie był człowiekiem z nizin społecznych. Wszystko – od fryzury poprzez markowe ubranie aż do wysportowanej sylwetki – świadczyło o przynależności do co najmniej wyższej klasy średniej.

– I co pan o tym sądzi? – prokurator zwrócił się do Waltera, który stanął właśnie za jego plecami.

– Z całą pewnością nie było to morderstwo na tle rabunkowym. Ofiara nie została okradziona. W wewnętrznej kieszeni kurtki facet miał portfel, a w nim kilkaset złotych i zestaw kart kredytowych. Natomiast brakuje telefonu.

– Może nie miał.

– Wątpię.

– Czyli wiemy, kto to jest albo raczej był.

– Tak. Robert Dębski, lat czterdzieści siedem. Z dokumentów wynika, że mieszkał w... – Walter sięgnął po notes – ...w Zbrosławicach.

– Dębski ze Zbrosławic?

Walter zauważył, że prokurator lekko się wzdrygnął i jakby na chwilę, acz zauważalnie, uszła z niego prokuratorska pewność siebie.

– Tak. Ze Zbrosławic. Znał go pan?

– A skąd, do cholery, miałbym go znać! – Jarząbek odzyskał rezon. – Zapytałem, bo to kawałek stąd, pod Tarnowskimi Górami. Wieś znana ze stadniny koni.

– Wiem. Zdążyłem to sprawdzić.

Obaj mężczyźni wyczuli, że między nimi zaczyna się jakaś gra. Niezamierzona, lecz namacalna. Stołeczny „superglina” pakuje się w królestwo śląskiego Giulianiego? – przemknęło przez myśl Walterowi.

– Co tu robił? – Jarząbek puścił mimo uszu zgryźliwość przybysza z Warszawy. – Nie wygląda mi na porannego biegacza, zwłaszcza w tym stroju.

– Zgadza się z panem – przytaknął Walter. – Poza tym jedzie od niego wódą. Założyłbym raczej, że wracał z jakiejś imprezy.

– W okolicy jest kilka lokali działających do późnych godzin nocnych – zauważył Szutkowski.

– Zakładam, że znasz ich lokalizacje – rzucił Walter.

– Oczywiście. Każdy tutejszy je zna.

– Cyknij komórką zdjęcie ofiary z dowodu osobistego – polecił Walter. – Jak tu skończymy, to rozpytasz w tych knajpach, czy go tam kto nie widział. Jak się czegoś dowiesz, dzwoń.

– Wiemy coś o nim poza nazwiskiem i adresem zameldowania? – zapytał Jarząbek.

– Tyle, ile zdążyłem sprawdzić w sieci. Niewiele tego na razie. Jest... przepraszam, był – poprawił się Walter – właścicielem firmy budowlanej. Deweloperka, jak sędzę. Figuruje pod kilkoma pozycjami w KRS-ie. W serwisach społecznościowych go nie znalazłem, w każdym razie nie figuruje w nich pod swoim nazwiskiem. Niestety, zasięg jest kiepski i przeglądarka chodzi jak żółw, więc póki co tylko tyle.

– Tylko tyle i aż tyle – zauważył Jarząbek.

– Budowlanka to intratny biznes, ale bywa też kamieniem młyńskim u szyi, zwłaszcza dla podwykonawców. Warto będzie sprawdzić, czy Dębski nie nadepnął komuś na odcisk. – Komisarz ponownie odniósł wrażenie, że Jarząbek skrzywił się lekko.

– Wiemy mniej więcej, kiedy to się stało? – zapytał prokurator, nie podejmując rzuconego wątku.

– Mundurowi przyjechali około ósmej trzydzieści. Wtedy był jeszcze wiotki, więc możemy założyć, że między czwartą a szóstą rano.

– Jakieś przypuszczenia, jak zginął? – ciągnął Jarząbek.

Walter kucnął. Dłońmi, wciąż w lateksowych rękawiczkach, uniósł nieco głowę ofiary.

– Zmiażdżona potylicą – stwierdził, upewniwszy się, że prokuratorskie oczy dostrzegły brunatnoszarą miazgę z tyłu głowy nieboszczyka. – No i ta miazga na pośladkach. Oczywiście z oficjalną wersją poczekamy, aż patolog zrobi swoje – dodał, wstając.

– Coś jeszcze poza tym, co już wiem?

Walter zaczął się zastanawiać, czy jawnie obcesowy charakter tej wymiany zdań jest przejawem niechęci prokuratora do przybysza ze stolicy, który w dodatku wyciągnął stołek spod tyłka jego siostrzeńca, czy to tylko maniera, dość powszechnie spotykana w tej grupie zawodowej. Póki co postanowił ignorować nieuprzejmość rozmówcy.

– Nic ponad to, co już pan wie, prokuratorze.

Jarząbek podrapał się po karku i spojrzął na zegarek.

– Skata szlag trafił, to chociaż na obiad zdążę – powiedział, chyba bardziej do siebie. – Proszę zająć się tą sprawą i na bieżąco mnie informować. Wierzę, że będzie nam się dobrze współpracować. – Podał rękę Walterowi, a następnie Szutkowskiemu i oddalił się naprędce. Dwa kroki za nim podążył milczący przez

całą rozmowę Tkaczyk.

- Skat? – Walter spojrział pytająco na Szutkowskiego.
- To taka gra karciana. Bardzo popularna w tych stronach.
- Pierwsze słyszę. Nieważne. Daleko do tych Zbrośławic?
- Jakieś czterdzieści kilometrów, może trochę mniej. Podróż nie zajmie więcej niż godzinę – odparł Szutkowski.
- Jadę do jego domu. Może czegoś się dowiem. Jak tu skończą, sprawdź te knajpy. Dzwon w razie czego – polecił Walter i udał się do swojego samochodu.

Prokurator Norbert Jarząbek, odchodząc z miejsca zbrodni, nawet nie spojrzął na podążającego za nim podwładnego. Bez słowa pożegnania wsiadł do samochodu. Wyjechał z parku i upewniwszy się, że nadgorliwy Tkaczyk nie podąża jego śladem, zatrzymał pojazd. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

- Słucham – po kilku sygnałach odezwał się głos w słuchawce.
- Nadkomisarz Roman Walter. Przyjechał kilka dni temu. Chcę wiedzieć wszystko na jego temat: przebieg kariery, rodzina, kochanka, brudy, w których mógł się ubabrać, wszystko. Jasne?
- Jasne. Na kiedy?
- Na wczoraj.

Rozłączył się i wybrał kolejny numer. Tym razem jednak nie dzwonił, tylko wysłał wiadomość tekstową: „Musimy się wstrzymać, pojawiły się komplikacje”. Po trzydziestu sekundach nadeszła odpowiedź: „Za późno, ogary poszły w las”.

ROZDZIAŁ 9

Zbroślawice, 26.04.2015

Było późne popołudnie, gdy ruszył w stronę Zbroślawic. Z informacji, którą uzyskał od dyżurnego z komendy, wynikało, że pod adresem widniejącym w dokumentach Robert Dębski mieszkał z żoną – Anną Dębską. Walter mógł wysłać tam mundurowych i w ten sposób uniknąć przykrego obowiązku poinformowania wdowy o śmierci męża, lecz postanowił zrobić to osobiście. Wiedział z doświadczenia, że w większość zabójstw zamieszani są bliscy lub znajomi ofiar. Chciał osobiście sprawdzić jej reakcję na wieść o losie męża. Drugim, nie mniej ważnym powodem, dla którego zdecydował się od razu ruszyć do Zbroślawic, było przesłuchanie żony denata, o ile ta, co było całkiem prawdopodobne, nie popadnie w histeryczną rozpacz.

Z parku wjechał na szeroką, dwupasmową jezdnię oddzieloną od równoległej pasem zieleni. Krzewy i drzewa były obsypane białymi i blad różowymi kwiatami. Po lewej stronie ciągnęło się osiedle kilkunastopiętrowych, bliźniaczo podobnych bloków. Walter odniósł wrażenie, że blokowisko ciągnie się na co najmniej kilka kilometrów. Wkrótce osiedle wysokościowców i park ustąpiły miejsca secesyjnym kamienicom i szaroburym, nijakim trzypiętrowym blokom z lat Polski Ludowej.

Walter przejechał przez Chorzów, a następnie przez Bytom i Radzionków. Gdyby nie tablice z nazwami mijanych miast, miałby problem z określeniem, kiedy kończy się jedno, a zaczyna drugie. Za Radzionkowem urbanistyczny krajobraz zniknął natychmiast. Nie było łagodnego przejścia z wielkomiejskiej zabudowy do podmiejskich osiedli, tak jak w Warszawie, w której całe życie mieszkał i za którą zaczynał tęsknić. Tutaj zaraz za miastem po prostu rozciągały się pola, łąki i nieużytki, nadając okolicy wyraźnie wiejski charakter. Tuż przed Tarnowskimi Górami skręcił na obwodnicę i po kilkunastu minutach dotarł do Zbroślawic.

Kierując się wskazaniem nawigacji, skręcił w lewo i szutrową drogą zaczął się piąć do celu. Droga, a w zasadzie wyjątkowo szeroka ścieżka, biegła wśród małego wąwozu. Ściany parowu, pokryte wapiennym tłuczniem, ciągnęły się po obu stronach, tworząc głęboki na ponad trzy metry półotwarty tunel. W powietrzu pachniało wilgocią. Rosnące na szczycie wąwozu kilkudziesięcioletnie klony i topole ograniczały i tak skąpe światło, co wzmagало półmrok panujący tu zapewne przez większość doby.

Gdy wjechał na szczyt wzniesienia, jego oczom ukazała się rozświetlona promieniami wiosennego słońca łąka, jaskrawo kontrastująca z wcześniejszym cieniem. Kilkanaście metrów dalej wznosił się wysoki kamienny mur z kutą, żelazną bramą, której majestatu mogliby pozazdrościć Baidonowie – ostatni właściciele Zbrośławic i okolicznych dóbr. Komisarz zaparkował samochód na podjeździe i podszedł do wideofonu.

– Tak, słucham? – po kilkunastu sekundach w głośniku odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry. Nazywam się Roman Walter, jestem śledczym z komendy wojewódzkiej. Czy może mnie pani wpuścić?

Spodziewając się zwykłej w takich okolicznościach prośby o okazanie służbowej legitymacji, Walter zawczasu wyjął dokument z wewnętrznej kieszeni marynarki i rozłożył przed okiem kamery zainstalowanej nad wideofonem. Po dłuższej chwili rozległo się donośne skrzypnięcie i masywne skrzydła bramy zaczęły się rozsuwać.

Był nieco zdziwiony, gdyż zwykle w takiej sytuacji padały podszyte naturalnym zdenerwowaniem pytania: „Co się stało?”; „O co chodzi?”, tymczasem żona Dębskiego wpuściła go do domu, jakby się spodziewała tej wizyty. Walter schował policyjną blachę i wszedł na teren posiadłości. „Posiadłość” to słowo jak najbardziej odpowiednie do określenia miejsca zamieszkania małżeństwa Dębskich.

Anna Dębska stała w progu. Wysoka, zadbana blondynka, z daleka pachnąca niewyszukanym szykiem i pewnością siebie. Zanim Walter tu dojechał, zatrzymując się na licznych światłach drogowych, za pomocą swojej komórki sprawdził, co na temat Anny Dębskiej ma do powiedzenia sieć. Informacji było niewiele. Miała profil na FB, lecz jej aktywność ograniczyła się do kilku postów, z których treści trudno było cokolwiek wywnioskować. Parę cytatów, dwa humory rysunkowe i tyle. Nie miała profilu ani na Twitterze, ani na Instagramie, za to okazało się, że swego czasu była dość aktywna na pierwotnej wersji Naszej Klasy. Walter zanotował ten fakt w pamięci i postanowił, że przejrzy profil kiedy indziej.

– Czym mogę służyć? – zapytała gospodyni. Nie wyczuł w jej głosie niepokoju. Pytanie było rzeczowe i pozbawione emocji, tak jakby jego wizyta była czymś zupełnie normalnym.

– Pani Anna Dębska?

– Tak.

Tylko „tak”. Żadnego „Ale o co chodzi?”, „Czy coś się stało?”.

– Przepraszam, ale musiałem się upewnić. Niestety mam złe wiadomości. Pani mąż nie żyje. Czy możemy wejść do środka i porozmawiać?

Obserwował jej reakcję. Była skupiona, nie uciekała wzrokiem. Z reguły w takich sytuacjach pojawiają się zwątpienie, niedowierzanie, szukanie chwilowej nadziei. Tymczasem twarz Anny Dębskiej nie wyrażała żadnych emocji. Nie zagościł na niej choćby cień grymasu, nie drgnęła jej powieka, nie zmieniła pozycji ciała – stała niewzruszenie. Walterowi przyszła na myśl Saga Norén ze skandynawskiego serialu kryminalnego, w jakiś sposób były do siebie podobne.

– Nie żyje – powtórzyła. – Proszę, niech pan wejdzie do środka i się rozgości. – Zaprowadziła gościa do obszernego salonu i przeprosiwszy, zostawiła go samego.

Walter usiadł przy wielkim stole wykonanym z litego drewna. Nie był znawcą sztuki użytkowej, lecz nawet jego laickie oko potrafiło ocenić, że opiera łokcie na meblu liczącym kilkadziesiąt lat. Oprócz stołu w salonie stały kredens z zastawą i biblioteczka, z półkami uginającymi się od opasłych tomiszczy w płóciennych lub skórzanych oprawach, zapewne też z dawnych czasów. Po drugiej stronie salonu przy dwóch dużych oknach stały dwa ogromne, obite zamszem fotele i niski stolik kawowy. Na ścianie pomiędzy oknami, za którymi rozciągał się widok na ogród, wisiał jedyny w całym salonie obraz. Znając gusta rodaków chcących brylować swoją postszlacheckością, Walter spodziewałby się jakiejś reprodukcji Chełmońskiego czy innego Podkowińskiego, tymczasem ścianę zdobiła grafika utrzymana w odcieniach bieli, czerni i szarości. Linoryt, wielkości mniej więcej metr na metr, przedstawiał ptaki – kruki lub wrony – siedzące na ścierwie martwego zwierzęcia. Dziobały padłe truchło, walcząc o każdy kawałek mięsa. Miały nastroszone pióra, porozwierane dzioby, wydawało się, że słychać ich przeraźliwy skrzek. Tylko jeden ptak nie był zajęty walką o skrawek padliny, siedział spokojnie i przekręciwszy łeb, przenikliwie wpatrywał się w tego, kto akurat przyglądał się dziełu. Walter musiał przyznać, że artyście udało się osiągnąć cel. Grafika niepokoiła, wręcz wywoływała dreszcze. Ptak zdawał się przypatrywać swojemu następnemu posiłkowi.

Przez tę grafikę, ale głównie przez brak jakichkolwiek znaków, że ktoś w tym domu mieszka, salon sprawiał wrażenie wiecznie niedogrzanego, tak jakby nawet w ciepłe wiosenne dni nosiło się tu sweter. Odczucie, którego doświadczał komisarz, nie wynikało z fizycznego wrażenia zimna. To było coś innego. Coś, co sprawiało, że czuł się jak w muzealnej sali z eksponatami, których nie należy dotykać. Wszystko wydawało się tu mieć swoje miejsce i określony porządek. Nic nie było przypadkowe. Grzbiety książek, choć te różniły się tytułami i obszernością, wyglądały, jakby wyszły spod ręki tego samego introligatora. Każdy mebel był jak z jednej, dziewiętnastowiecznej stolarni i próżno było szukać jakiegokolwiek skazy, czy to wynikającej ze zużycia, czy po prostu z wieku drewna. Filiżanki porcelanowej zastawy za szybą masywnego kredensu stały w idealnym porządku, a ich ucha zwrócone były w tym samym kierunku, jakby wskazywały

niewidoczny cel. Nawet podłoga, wyłożona kremowożółtym gresem, miała tak nieskazitelną połysk, że Walter mógł w niej dostrzec swoje odbicie. Dom Dębskich był jak wielkanocna wydmuszka – piękna, ale zupełnie bez życia.

Dębska wróciła po kilku minutach, niosąc na tacy dwie parujące filiżanki.

– Przepraszam, że nie zapytałam, czego pan się napije, ale założyłam, że herbatę lubi każdy.

W chłodnym i sterylnym pomieszczeniu rozniósł się zapach zielonej herbaty z nutą limonki, wnosząc pierwiastek małej radości.

– Jak to się stało? – zapytała po chwili kobieta.

– Co?

– Jak zginął mój mąż? – Na jej obliczu pojawił się grymas zdziwienia, wywołany bezsensownym na pozór pytaniem.

– A na jakiej podstawie zakłada pani, że zginął? – zapytał Walter. – Poinformowałem panią, że mąż nie żyje, ale nie wspomniałem, że zginął.

– Panie...

– Komisarz Roman Walter – przedstawił się ponownie i zerknął na telefon, który właśnie zaczął wibrować. SMS. Aspirant Adrian Szutkowski informował, że w żadnej z parkowych restauracji nie widziano wczoraj Roberta Dębskiego.

– Panie komisarzu, wybaczy pan, ale gdyby mój mąż zszedł na zawał, to nie fatygowaliby się do mnie oficer z komendy wojewódzkiej – odparła racjonalnie Dębska. – Zakładam więc, że Robertowi stało się coś, co można określić słowem „zginął”, czyż nie?

Twarda baba, pomyślał Walter. Nie da sobie dmuchać w kaszę. Ponownie uderzył go brak przewidywalnej reakcji na złą wiadomość. Żadnej łzy, żadnego „O Jezu!”, spazmów, szlochania czy hysterii.

– Został znaleziony dziś rano w parku.

– W parku? – powtórzyła Dębska.

– Tak, w Parku Kultury. – Walter posłużył się starą nazwą Parku Śląskiego, kojarzoną przez większość mieszkańców Górnego Śląska. – Został uderzony w głowę. Najprawdopodobniej to była przyczyna zgonu. Oczywiście patolog określi ją dokładnie.

Anna Dębska odłożyła na stół filiżankę z herbatą. Lekko drżąca dłoń, jedyny ledwo widoczny ślad przeżywanych emocji, wprawiła w cichy brzęk objijając się o spodek łyżeczkę.

– Co pani mąż robił wczoraj wieczorem? – zapytał, uważnie obserwując reakcję wdowy.

– Nie wiem – odparła Dębska, przenosząc wzrok z filiżanki na policjanta. Patrzyła mu prosto w oczy, wytrzymując jego spojrzenie. Nie miała rozbieganych

oczu. Nie lawirowała spojrzeniem. Spokojnie i miarowo przymykała i otwierała powieki, jakby siedziała przy stole ze starym, przynudzającym przyjacielem, a nie z gliniarzem, który przyniósł jej tragiczne wieści. Walter milczał. Czekał, aż Dębska rozwinie swą oszczędną odpowiedź. Nie miał zamiaru przegrać wzrokowej batalii. – Wyjechał, nie mówiąc, dokąd się wybiera – w końcu kobieta dała za wygraną.

– Powiedział może, z kim miał się spotkać?

– Nie. Tego też nie powiedział. Nie rozmawialiśmy ostatnio zbyt często.

– Rozumiem. – Walter lekko kiwnął głową.

Wtedy prychnęła:

– Wątpię.

Sarkazm w głosie Dębskiej uzupełnił nader skromną listę uczuć, które okazała.

– Czym zajmował się pani mąż? – Komisarz zignorował jej reakcję.

– Ma... to znaczy miał firmę budowlaną. – Dębska potwierdziła to, co już wiedział.

Podeszła do kredensu, otworzyła szufladę i coś z niej wyjęła.

– To folder jego przedsiębiorstwa, jeśli jest pan zainteresowany. Chociaż nie mam bladego pojęcia, kiedy coś ostatnio wybudował. – Położyła przed Walterem kolorowy prospekt. – Tyle wiem, choć jak go znam, to pewnie kręcił coś jeszcze.

– Kręcił? Co pani ma na myśli?

– Robert potrafił, jak to mówią, z gówna bicz ukręcić. Od zawsze miał żyłkę do interesów. Kiedyś nawet mi tym imponował, ale od jakiegoś czasu zaczęło to przypominać jakieś szemrane sprawy.

– Szemrane? – drążył. – W jakim sensie?

– Zaczęli tu przyjeżdżać jacyś faceci w samochodach na ukraińskich rejestracjach. Może mi pan wierzyć, nie byli to goście, których chciałby pan spotkać w ciemnej uliczce.

– Wie pani może, kim byli ci faceci? Jakies nazwiska lub inne szczegóły?

– Pan chyba żartuje – fuknęła.

– Bynajmniej. Czy myśli pani, że mógł mieć zatarg z tymi, jak to pani określiła, facetami? Słyszała pani, że się kłócili, może jakieś groźby, krzyki?

– Robert nie wtajemniczał mnie w swoje sprawy. A poza tym już mówiłam, że nie rozmawialiśmy ze sobą ostatnio. Jak pewnie pan zauważył, to ogromny dom. Robert w piwnicy ma... miał – poprawiła się ponownie – swoje prywatne królestwo. Zawsze tam chodzili obgadywać swoje sprawy.

– Możemy tam pójść? – zapytał Walter, a widząc, że kobieta się waha, dodał: – To tylko prośba, nic więcej.

– Jak pan chce – odparła bez entuzjazmu.

„Królestwo” Roberta Dębskiego miało kilkadziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Już na pierwszy rzut oka skojarzyło się Walterowi z miejscem, które każdy normalny facet chciałby mieć na własność. Środek tego quasi-loftu zajmował stół bilardowy; biała bila czekała w gotowości, aż uderzenie kija pośle ją w kierunku ułożonych w trójkąt kolorowych koleżanek. Na ścianie vis-à-vis wejścia wisiał ekran LCD, którego rozmiar mógł konkurować z ulicznymi billboardami reklamowymi. Ułożony pod ekranem zestaw audio pachniał najwyższą półką, a kolumny głośnikowe, sądząc po ich wielkości, mogłyby obsłużyć niewielką salę koncertową. Obok sprzętu stał barek; drewniany mebel miał koła, uchwyt i dwie półki w formie płytkich koszy – wyglądał trochę jak ogrodowy wózek na napoje. Zupełnie nie pasował do tego miejsca, za to alkoholi, które zawierał, nie powstydziliby się najwybredniejszy koneser. Jack Daniel’s i czarny Johnnie Walker były jedynymi markami, które Walter kojarzył z czasów, gdy w nadmiarze raczył się trunkami. Pozostałe zarówno wtedy, jak i dziś były poza zasięgiem jego gliniarskiego portfela. Wyposażenie sali uzupełniały obita w skórę kanapa i dwa fotele z tej samej serii oraz niski stolik kawowy. Na jednym z foteli rozsiadła się Dębska. Jedynym sprzętem, który nie przywoływał na myśl idealnych chwil z życia idealnego faceta, było stojące w rogu biurko. Mały, prosty, funkcjonalny sprzęt bez szuflad. Przed nim stało obrotowe krzesło. Na blacie nie leżały żadne papiery czy segregatory – oprócz lampki na teleskopowych wyciągach jedynym przedmiotem był piętnastocalowy macbook. Skrzący srebrem w świetle lampki, jaskrawo kontrastował z mahoniowym biurkiem.

– Czy to laptop pani męża? – zapytał Walter.

– Mówiłam przecież, że ta piwnica to jego osobista piaskownica. Tak, to jego laptop – dodała po chwili, jakby się zorientowała, że nadmiar sarkazmu może tylko wydłużyć wizytę gliniarza.

– Mogę zajrzeć?

– Proszę bardzo, jeśli tylko zna pan hasło. – Wstała z fotela, po czym niespodziewanie zaproponowała: – Niech pan go weźmie na komendę i chodźmy już stąd. Nie cierpię tego lochu. – Stała wymownie u wyjścia z piwnicy.

Walter, choć nie dał po sobie znać, był zaskoczony. Ot tak, po prostu, wdowa pozwala mu zabrać komputer jej męża. Ta kobieta już od pierwszych chwil go intrygowała, ale teraz poczuł konsternację. Absolutna obojętność, brak jakichkolwiek emocji wobec tego, co się stało, i chłód, jaki wokół siebie roztaczała, mogły świadczyć albo o emocjonalnej pustce w jej sercu, albo o zimnym wyrachowaniu. A może o jednym i drugim jednocześnie. Jej zachowanie zdecydowanie świadczyło o tym, że jest w to wszystko zamieszana, a może nawet ma bezpośredni udział w morderstwie Dębskiego.

Wrócili na górę i Walter dopił zimną już herbatę. Gospodyni stanęła przy

oknie, patrząc w dal.

– Co między wami było nie tak? – zapytał bez ogródek.

– A co to ma do rzeczy? – Spojrzała na niego, nie kryjąc oburzenia. Przez jej twarz w końcu przemknęło jakieś uczucie.

– Nie wiem. Może ma, a może nie. Oczywiście nie musi pani odpowiadać. To nie jest oficjalne przesłuchanie...

– Zdradzał mnie – odparła bez namysłu.

Zdaniem Waltera trochę za szybko. Była zdenerwowana. Posągowy chłód i opanowanie ustąpiły miejsca zaciśniętym ustom, przyspieszonemu oddechowi i czerwonym plamom w okolicy dekoltu.

– Z kim? Zna ją pani?

– Nie wiem. Nie.

– Od jak dawna?

– Co?

– Od jak dawna panią zdradzał?

– Nie wiem! – podniosła głos.

– Nie wie pani z kim ani od kiedy. Nie sprawdzała pani jego telefonu? Z kim esemesował, do kogo wydzwaniał?

Dębska zaczęła dyszeć. Czerwone plamy z dekoltu wpłynęły na szyję i policzki. Zaciskała dłonie tak kurczowo, że zbieleły jej knykcie. Walter osiągnął swój cel. Królowa śniegu zaczęła się pocić.

– Panie komisarzu, myślę, że powinien pan już pójść – usłyszał po dłuższej chwili. Ton głosu Dębskiej znów był chłodny i opanowany. Nie tego się spodziewał.

– Jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Co pani robiła wczoraj wieczorem?

– Byłam w domu i piłam wino. Chablis Premier Cru, jeśli to pana interesuje.

Do widzenia.

– Przepraszam, ale musiałem zadać pani te pytania – powiedział komisarz, choć tak naprawdę nie interesowały go uczucia Dębskiej. – Zanim wyjdę, czy mogę skorzystać z toalety?

– Jeśli pan musi. – Wzruszyła ramionami i wskazała za siebie ręką. – Do końca korytarza i w lewo.

Długi korytarz prowadził do czegoś w rodzaju pomieszczenia gospodarczego, przed którym znajdowała się toaleta dla gości. Walter minął małej sekretarzyk z tej samej epoki, co meble w salonie. Stał na nim wazon z suszonymi kwiatami. Obok wazonu leżały koperta i telefon. Zwrócił na to uwagę, już gdy wszedł do domu. Teraz zerknął za siebie, upewniając się, że Dębska go nie śledzi. Była odwrócona plecami. Wziął kopertę do ręki. Nie była zaklejona. Wyjął część jej zawartości. Kremowożółty kartonik z czerwonego papieru. Ponownie upewnił się, czy Dębska nie patrzy. Galeria ŚlArt zapraszała Annę Dębską wraz

z osobą towarzyszącą na wernisaż grafik Paula Posnera. Według daty na inwytacji wystawa miała zostać uroczyście otwarta za kilka dni. Ciekawe, czy pójdzie i z kim, pomyślał i postanowił, że osobiście sprawdzi artystyczną wartość dzieł mistrza Posnera. Wsunął kartonik z powrotem do koperty i odłożył na sekretarzyk. Podniósł telefon. Wiedział, że wbrew pozorom masa użytkowników komórek nie dba o zabezpieczenie ich zawartości kodem dostępu. Może będzie miał szczęście i Dębska znajdzie się w tej grupie. Nacisnął na przycisk sterujący i wtedy poczuł, że ktoś za nim stoi.

- Czy w czymś jeszcze mogę panu pomóc? – usłyszał głos Dębskiej.
- Bardzo ładny sekretarzyk. Czy to rodzinna pamiątka?

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ I

Dziewczynka ma sześć lat i bardzo się boi. Nie ma pojęcia, gdzie jest, jak się tu znalazła, nie rozumie, co się z nią dzieje.

– Mamo, mamusiu! – próbuje zawołać, lecz z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Z jej półprzymkniętych oczu płyną łzy. Powoli, leniwie wilgotną ścieżką torują drogę do bladych policzków, do uszu, na szyję. Te, które spływają do nosa, drażnią śluzówki i dziewczynka po chwili dławi się własnymi smarkami. Z jej ust, z nosa, w który ktoś wepchnął przezroczyste rurki, pryskają małe bańki ustrojowych gejzerów. Unosi gwałtownie rękę, chcąc wytrzeć nos, usunąć obcy przedmiot, i nagle w grzbiecie lewej dłoni czuje piekący ból. Z niewielkiej dziurki po wyrwanym wenflonie zaczyna płynąć ciemnoczerwona strużka. Nie bacząc na to, dziewczynka trze twarz mokrą ręką. Jej palce niezdarnie usiłują złapać za rurkę tlenową.

– Jezus Maria, co ty wyprawiasz, dziecko?! – słyszy i dostrzega, że ktoś się nad nią pochyla.

Rozmazana przez łzy postać naciska jakiś guzik i chwytą dziewczynkę za rękę, unieruchamiając ją. Pielęgniarka jest duża i silna. Z łatwością daje radę drobnej sześciolatce. Dziewczynka w spazmie zaciąga się powietrzem, które zasysa do oskrzeli śluz wypełniający jamę ustną. Zaczyna się krztusić. Odruch wymiotny powoduje gwałtowne skurcze mięśni brzucha. Przez mur leków, którymi została naszpikowana, niczym nadciągająca zza horyzontu nawałnica zaczyna przedzierać się ból.

– Co się dzieje? – W sali pojawia się lekarz.

– Wybudziła się – odpowiada pielęgniarka.

– Jak to, do nędzy, „wybudziła się”?! – Medyk gwałtownym ruchem sięga po zawieszoną na rancie łóżka kartę pacjenta.

– To już chyba pytanie nie do mnie, doktorze.

Unieruchomione pewnym chwytem pielęgniarki ciało napręża się i wiotczeje na przemian. Dziewczynka unosi głowę i kręci nią zapalczywie. Pompowana do poszerzonych naczyń krew pstrzy blade policzki i cienką dziecięcą szyję czerwonymi śladami. Pielęgniarka spogląda na lekarza. „Co dalej, doktorze?”, pytają jej oczy. Lekarz odwiesza kartę i podchodzi do stojącej nieopodal przeszklonej szafki. Sięga po jedną z kilkunastu ampulek, zaciąga płyn do strzykawki i wraca do dziewczynki. Ta wciąż walczy z pielęgniarką, choć jej siły słabną.

– Kurwa! – klnie lekarz, gdy spostrzega dyndający pod kroplówką wenflon.

Wraca do przeszklonej szafki i po chwili nowa kaniula dożylna podaje sól fizjologiczną do żyły dziewczynki. Gdy kończy z wenflonem, aplikuje lek ze strzykawki. Nie mija więcej niż pół minuty i ciało dziecka wiotczeje. Oddech się uspokaja, czerwone plamy na twarzy powoli bledną.

– Proszę ją oporządzić i niech ktoś siedzi przy niej do rana – dysponuje lekarz. – Nie mam pojęcia, dlaczego się wybudziła. Do zabiegu musi spać – dodaje i wychodzi szybkim krokiem.

– Nie masz pojęcia. A kto ma je mieć? – mruczy pod nosem pielęgniarka, po czym sięga po krzesło i siada u wezglowia łóżka.

Wilgotną ściereczką obmywa twarz małej z częściowo zaschniętych już łez i smarków.

– Posiedzę z tobą, kruszynko – szepce, głaszcząc wilgotne od potu włosy.

Za oknem zachodzi słońce. Pod parasolem zielonych liści słowik treluje wieczorną serenadę. Pielęgniarka przymyka oczy i zastanawia się, co ugotować na jutrzejszy obiad. Aparatura medyczna buczy i pika miarowo. Pielęgniarka zapada w sen gdzieś między schabowym z kością a roladą śląską.

ROZDZIAŁ 10

Katowice, 26.04.2015

Aspirant Adrian Szutkowski trzasnął drzwiami swojego mieszkania z takim impetem, że podmuch powietrza poderwał leżące na podłodze przedpokoju koperty i foldery reklamowe. Drugi, ostateczny cios Bogu ducha winne papierzyska dopadł od strony podeszew aspiranckich butów. Szutkowski odtańczył na nich płasawicę świętego Wita, przerywając ich żywot nagle i ostatecznie.

Czuł się jak chłopiec, którego wysłano do kąta, choć nie bardzo wiedział za co. Po prawdzie było tak przez całe jego nieco ponadtrzydziestoletnie życie. Ciągłe ktoś go popychał, zawsze mówiono mu, co ma robić, a czego nie i co dla niego będzie najlepsze, tak jakby on sam, kurwa, tego nie wiedział! Ogólniak – pod dyktando, choć on chciał do technikum; uczelnia policyjna w Szczytnie – a jak! Wuj prokurator o wszystko zadbał, przetaił ścieżki, pogadał z kim trzeba i jego ukochany Adrianek, mimo że maturę zdał gorzej niż słabo, bez problemu został wpisany na listę studentów. Niezależnie od tego, jak bardzo chciałby robić coś po swojemu albo udowodnić, że pod przymusem może wszystko zawalić – wuj zawsze naprawiał, korygował, sprowadzał na właściwą ścieżkę, aż w końcu doprowadził go do kryminalnych w wojewódzkiej.

Przez kilka lat nawet było dobrze. Wuj przestał się wtrącać, a on mógł robić swoje. W pracy co prawda niczym się nie wyróżniał, ale udawało mu się unikać wpadek czy większych porażek. Bezpiecznie trzymał się z boku i postanowił czekać na swój moment. Pierwsza zapowiedź złych czasów pojawiła się razem z inspektorem Królem. Jak on nienawidził tych jego świdrujących oczek! Przy Królu zawsze czuł się taki... nagi. Jakby ktoś zdjął z niego skorupkę, pod którą kryło się wielkie, puste nic. Nawet wuj, prokurator trzęsący okręgową w Katowicach, czuł do Króla jakiś niewytłumaczalny respekt. Pewnie dlatego gdy nadarzyła się okazja, aby wskoczyć na stołek po poprzednim szefie kryminalnych, pozwolił, by jego królewska, kurwa, wysokość ściągnął z Warszawy tego dupka. Tak jakby tu, na miejscu, nie było wartościowych ludzi!

Zdjął marynarkę i rzucił na podłogę. Po chwili jednak zdecydował się powiesić ją na wieszaku – w końcu wydał na ten gajer prawie dwa koła. Zgarnął z lodówki butelkę piwa, po czym usiadł na głębokim drewnianym parapecie okna wychodzącego na podwórze kamienicy. W niedzielny wieczór podwórze było puste, dzieciarnia nie hałasowała, nikt nie tłukł trzepaczką w dywan. Odruchowo zerknął w okno naprzeciwko. Zerkał tak od czasu, gdy nieostrożna sąsiadka zapomniała zasunąć zasłony. Seans miłości, który potem odprawił, śmiało mógłby

zyskać opinię epickiego, gdyby nie fakt, że odbył go z własną dłonią, umazaną od wewnątrz kremem czekoladowym. Adrian Szutkowski miał dziwną słabość do kremu czekoladowego. Sąsiadki nie było. Rozczarowany, sięgnął do kieszeni po telefon.

– No co tam? – po trzecim sygnale w słuchawce odezwał się głos.

– Cześć, wujek. Masz chwilę?

– Adrian, jest wieczór! Ciotka właśnie nakrywa do kolacji.

Jarząbek mówił wyjątkowo głośno, tak jakby chciał, aby żona słyszała, jaki jest niezadowolony z telefonu o tej porze.

– Norbuś, kto dzwoni? – w tle zabrzmiał nobliwy kobiecy głos.

– Adrian – odpowiedział Jarząbek.

– No to porozmawiaj z nim koniecznie, bo to pewnie coś ważnego. – Mimo że ciotka stała w innym pomieszczeniu, Szutkowski doskonale słyszał jej donośny sopran.

– Dobra, matka pozwoliła, to możemy pogadać. Co jest?

– Jak to, kurwa, co jest? Dlaczego pozwoliłeś, żeby ta pizda tu przyjechała?

– Słuchaj, chłopcze, ja mam wpływy i sporo wdzięczności u ludzi, ale czasami nawet ja bywam za krótki.

– Jak to „za krótki”? Nic nie rozumiem.

– No i być może na tym polega twój problem.

– Że co, że krótki? Wujek, weź mów jaśniej!

– Że nie rozumiesz, jak działa świat. Że czasem trzeba zrobić krok w tył, aby następnie pójść dwa do przodu.

– O dżizas! Czyli mam siedzieć na dupie i nic nie robić, jak ten jebany warszafka będzie się tu rządzić?

– Tego nie powiedziałem. Właściwie to mamy sporo do zrobienia.

– Co takiego? – W głosie Szutkowskiego zabrzmiała nuta nadziei.

– Nie przez telefon. Bądź na dole za piętnaście minut. Będę czekał w samochodzie. W pandzie, więc się nie zdziw. Z mojego jakiejś chuje pozdejmowały koła.

Gdy Szutkowski wrócił do siebie, wskazówka jego nastroju wskoczyła na maksymalny poziom skali. Tym razem był bezmiernie wdzięczny. Na takiego wuja to nie ma chuja! – pomyślał.

Otworzył kolejne piwo i rozsiadł się wygodnie na kanapie. Przypomniawszy sobie, że miał poinformować tego w kakao rąbanego Waltera, czy w jakiejś parkowej knajpie nie widziano Dębskiego, i ucieszył się, że jeszcze tego nie zrobił. Rozmowa z wujem wszystko zmieniła. Teraz już wiedział, co robić. Zaczął sobie wyobrażać, jak zajmuje upragnione stanowisko. Jak będą go słuchać i wykonywać

jego polecenia. Bez dyskusji, bez zająknięcia. No cóż, teraz jednak trzeba być lisem. Dzięki ci, wuju! Sięgnął po telefon i wysłał Walterowi wiadomość tekstową: „W parkowych knajpach nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Szutkowski”.

Dopił piwo, zsunął spodnie i puścił nagrany na dysk dekodera film z Animal Planet. Przewinął do swojego ulubionego fragmentu z parą kopulujących lwów. Uwielbiał oglądać, jak samiec, leżąc na samicy, kąsa ją w kark. Odłożył pilota i sięgnął do szafki obok kanapy. Słoik z kremem czekoladowym i butelka jacka daniel'sa były na miejscu, tam, gdzie zawsze. Wlał do szklanki solidną porcję whisky i wypił duszkiem. Potem drugą i trzecią. Zaczęło działać po kilku minutach. Poczul, że rozpiera go energia, a świat, ze wszystkimi jego problemami, jest tylko niewiele znaczącym epizodem, nad którym może przejść lekkim, tanecznym krokiem. Zamknął oczy i z perspektywy wiszącego w powietrzu drona ujrzał siebie – siedzącego za wielkim, mahoniowym biurkiem, w miękkim skórzanym fotelu. Miał na sobie garnitur prosto od najlepszego londyńskiego krawca, jedwabną koszulę z szarmancko rozpiętymi dwoma górnymi guzikami, a pod nią najwyższej próby złoty łańcuch z krzyżem wykonanym z tego samego kruszcu. Jego osobista sekretarka, nachylona nad biurkiem, podsuwała mu plik dokumentów do podpisania i gdy stalówka jego mont blanca zostawiła za sobą ostatni atramentowy ślad, szalowa, piersiasta blondyna przysunęła swoje pełne, umalowane karminową pomadką wargi i szepnęła zmysłowo: „Zerznij mnie...”, po czym zrzuciła wszystko z biurka i położyła się na wznak, zadzierając spódnicę.

Szutkowski poczul, że ma gigantyczny wzwód. Otworzył oczy, wstał i zdjął bokserki. W samej koszuli podszedł do wielkiego lustra w garderobie. Przyjrzał się sobie z zadowoleniem i ujął penisa w dłoń. Wycelował nim w wyimaginowany cel i krzyknął:

– Jestem wielki i wszechmocny! A ten warszawski pedał może mnie cmoknąć w sam czubek pały!

Roześmiał się szczerze i poczul, że musi się spełnić – teraz, zaraz, że to będzie orgazm, jeśli nie miesiąca, to na pewno tygodnia. Wiedział, że jest tylko jeden sposób, aby mogło się tak stać. Z kuchennej szafki wyjął puszkę po herbacie, otworzył wieczko i przechylił. Na blat wypadł woreczek z białym proszkiem. Kokaina – najlepsza, jaką można było dostać w Polsce. Kosztowała majątek, o wiele więcej niż produkowane na miejscu syntetyki, ale było go na nią stać. Nie musiał się raczyć rodzimym gównem, mógł jak Al Pacino w *Człowieku z blizną* raczyć się towarem klasy premium i czuć się jak pieprzony król! Wciągnął dwie kreski, a potem jeszcze dwie, tak na wszelki wypadek. Następnie wrócił na kanapę i sięgnął po słoik z kremem czekoladowym. Odkręcił wieczko i palcami wskazującym i środkowym zagarnął solidną porcję.

Gdy skończył, wytarł dłonie w papierowy ręcznik, rozłożył szeroko nogi i zagwizdał doniośle. Po chwili z drugiego pomieszczenia przyczłapał stary, miejscami wyliniały pies. Wyglądał, jakby ktoś wyrwał go z zimowego snu. Ziewnął i merdając leniwie, usiadł między nogami swego pana. Szutkowski zamknął oczy i z błogim uśmiechem położył głowę na oparciu kanapy.

– Tak, właśnie tak – mruczał, czochrając psi łeb.

ROZDZIAŁ 11

Katowice, 27.04.2015

Sala sekcyjna Zakładu Medycyny Sądowej przy Śląskim Uniwersytecie Medycznym lśniła chromem, nieskazitelną białą ścian i czystością podłogi pokrytej anhydrytową wylewką. Gdy Walter przekroczył próg ponurego pomieszczenia, jego uwagę od razu przykuły cztery stoły sekcyjne, wykonane z kwasoodpornej stali. Wyglądały jak skomplikowane urządzenia z półkami, rurkami, wężykami i dźwigniami. Na dwóch – przykryte kremowym prześcieradłem – leżały ludzkie zwłoki.

Doktor Widera, patolog sądowy, który czekał już na Waltera, był drobnym, niskim mężczyzną. Chociaż jeszcze nie przekroczył czterdziestki, miał całkiem łysą głowę, co nadrabiał bujną brodą i sumiastymi wąsami. Gdyby tak jeszcze nałożył mu czerwoną spiczastą czapkę, facet wyglądałby całkowicie jak ogrodowy krasnal.

Gdy tylko dostrzegł Waltera, podszedł do niego rażnym krokiem i wyciągnął rękę na przywitanie. Jak na niepozornego mężczyznę miał zdumiewająco silny uścisk.

– Muszę przyznać, że niewielu pańskich kolegów po fachu fatyguje się do nas osobiście – zagaił. – Z reguły wystarcza im raport, a przecież nawet wnikliwy zbiór zdań nigdy nie zastąpi oczu i nosa.

– Zgadzam się z panem, choć mam nadzieję, że nie każe mi pan niczego wachać – odparł Walter.

Widera spojrzał na niego, jakby rozważał, czy ten żartuje, po czym podszedł do jednego z dwóch zajętych stołów i energicznym ruchem zdjął przykrywające nieboszczyka prześcieradło. Robert Dębski był nagi. Na głowie – w miejscu uderzenia – miał przyklejoną gazę opatrunkową.

– Zwłoki po badaniu patologicznym są pozszywane i gotowe do wydania rodzinie. Reszta roboty w rękach ludzi z zakładu pogrzebowego – zaczął patolog. – Co do bezpośredniej przyczyny zgonu, to miał pan rację, komisarzu.

– Cios tępym narzędziem?

– Tak. Sądząc po rozmiarze i kształcie pęknięcia kości potylicznej, musiała to być stalowa rurka o niewielkiej średnicy.

– Na przykład coś takiego? – Walter wyjął z kieszeni swój telefon i w przeglądarce wyszukał zdjęcie pałki teleskopowej.

– Bardzo prawdopodobne. Ale to nie wszystko.

– Co jeszcze pan odkrył?

– Facet pił jak smok. Jego wątroba wygląda, za przeproszeniem, jak zadek pawiana. – Widera wskazał palcem na ślój, w którym pływał sfatygowany organ. – Pewnie nie pociągnąłby długo bez przeszczepu. Natomiast, co mnie zdumiało, serce tego człowieka było w nadzwyczaj dobrej kondycji, co nijak się ma do powszechnego obrazu zniszczeń organów wewnętrznych u alkoholików.

– To ciekawe. Jakaś teoria?

Patolog podszedł do okna i uchylił je. Z jednej kieszeni fartucha wyjął paczkę marlboro, a z drugiej – małą zamykaną popielniczkę, którą postawił na parapecie.

– Nie będzie panu przeszkadzać? – zapytał, wskazując papierosy.

– Nie. Jemu też raczej nie. – Walter wzruszył ramionami, patrząc na zwłoki Dębskiego.

– Może wieczorami chlał, a rankami biegał czy pływał. – Widera wypuścił z ust kłęb dymu. – W sumie to znam paru takich, co za kołnierz nie wylewają, ale sportowo są całkiem aktywni. Niestety, nie miałem okazji sprawdzić stanu ich wątroby, więc nie potwierdzę tej teorii na sto procent.

– Muszę o to zapytać jego żonę. – Walter zszedł z dymnego szlaku, wytyczanego przez Widerę. Od kilku dni starał się ograniczać palenie, ale teraz miał ochotę na solidną porcję nikotyny.

– Żonę? On miał żonę? – Widera nie krył zdumienia.

– A co w tym dziwnego?

– Ano to, że facet był gejem. Ale skoro twierdzi pan, że miał żonę, to z pewnością był biseksualny.

– Skąd pan to wie? – Tym razem Walter nie krył zdumienia.

– Nasz truposz w pewnym intymnym miejscu miał spermę, i to bynajmniej nie własną.

– Podejrzewa pan, że przed śmiercią Dębski odbył stosunek homoseksualny?

– Jestem tego pewien. Nasienie, że się tak wyrażę, było całkiem świeże. A poza rzeczoną miejscem było też rozmażane po poślądkach i wewnętrznej stronie ud denata.

No proszę! – pomyślał Walter. Czyżby przygodny kochanek zapragnął obrabować pijanego w sztok Dębskiego i uderzył zbyt mocno? Chociaż z drugiej strony przy ofierze znaleziono portfel z kartami kredytowymi i pieniędzmi, więc ta hipoteza raczej odpada. A może to nie przygodny kochanek, tylko jego partner, z którym w pijackiej fantazji uprawiał miłość pod gołym niebem? A potem, jak bywa po alkoholu, doszło do kłótni zakończonej rękoczynami?

– Zabezpieczył pan nasienie do DNA?

– Uznam, że nie było tego pytania – odparł urażony patolog.

– A co pan rozumie przez słowo „świeże”? Jest pan w stanie określić, ile godzin temu miał miejsce stosunek?

Widera dokończył papierosa, założył ręce na piersi i wysunął dolną wargę. Walter pomyślał, że wygląda jak karykatura Duce.

– W spermie, którą przechował denat, część maleństw z ogonkami jeszcze żyła, więc stosunek musiał mieć miejsce nie dalej jak dwadzieścia godzin przed moim badaniem.

– Czyli?

– Myślę, że ramy czasowe to przedział od sobotniego południa do około drugiej, trzeciej w nocy, czyli do prawdopodobnego momentu zabójstwa.

– A co ze szkłem? Widziałem na jego poślaskach kawałki szkła. – Walter przypomniał sobie odłamki połyskujące w promieniach słońca.

– Nasz denat był dwa razy penetrowany. Raz przed śmiercią, a raz po.

– Co szkło ma z tym wspólnego?

Widera sięgnął po plastikowe pudełko, leżące na półce. Uniósł wieczko i podał Walterowi.

– Szkło, które pan widział, pochodzi z rozbitej butelki. Szyjkę butelki – tu patolog wskazał długopisem na nieuszkodzony fragment – znalazłem w jego tyłku. Ktoś musiał mieć do niego spory żal.

Walter się zamyślił. Z rozmowy z Anną Dębską wynikało, że mąż ją zdradzał. Automatycznie założył, że chodzi o kobietę, zresztą sama Dębska nie korygowała tej tezy. Nie wiedziała? A może się wstydziła? Zdrada zawsze boli, ale czy taka, jakiej dopuścił się Robert Dębski, nie boli w dwójnasób? Czy nie byłby to dobry motyw? Żona zdradzana przez męża kryptogeja? O ile jego subiektywna ocena Anny Dębskiej była zasadna, babka miała wszelkie predyspozycje do socjopatycznych zachowań.

– Halo, komisarzu, jest pan tu jeszcze? – do świadomości Waltera dotarł głos patologa.

– Jestem, jestem. Daj pan jednego. – Walter wskazał gestem na kieszeń fartucha Widery.

– Niech pan pali przy oknie – poradził patolog, częstując go. – Teoretycznie tu nie wolno kopcić, a moi koledzy po fachu to straszne mendo w tym względzie.

– Jakby co, zwalę na pana – odparł Walter, odpalając marlboro.

– A zwalaj pan. Tak naprawdę to ja tu rządzę. – Widera, jakby na potwierdzenie tych słów, zapalił drugiego papierosa.

– Czy można przyjąć, że to był gwałt?

– Na tym tutaj? – Widera wskazał ręką na zwłoki Dębskiego.

– A mamy tu kogoś jeszcze? Bo nie zauważyłem. – Walter nie oparł się pokusie wyrównania rachunków za focha sprzed kilku minut.

– Jeśli to był gwałt, to na pewno bez oporu ze strony denata. Żadnych obtarć czy pęknięć nabłonka. Tyle że brak oporu niekoniecznie wynikał z przyzwolenia, bo... – Widera zrobił dramatyczną pauzę, jakby znów się domagał, by ciągnąć go

za język.

– Bo? – Walter nie spuszczał wzroku z jego wielkich okularów.

Przez chwilę między mężczyznami trwała niema próba sił.

– Bo poza alkoholem miał we krwi tiopental. Wie pan, co to?

– Lek usypiający. O ile się nie mylę, w Polsce pod handlową nazwą dostępny jako pentothal – odparł komisarz.

– Dokładnie! – Widera z uznaniem pokiwał głową i natychmiast wykreślił Waltera z listy ignorantów, którzy marnują jego cenny czas. – Domyśla się pan więc, dlaczego nie było oporu. Z drugiej strony kto chciałby gwałcić prawie pięćdziesięcioletniego faceta? Proszę mnie nie brać za szowinistę czy homofoba, ale ten tu nie przypomina ciacha, które chciałoby się schrupać.

Zamożny biznesmen w kwiecie wieku, pijany, ponadto uspiony tiopentalem, homoseksualnie zgwałcony lub też nie, zostaje zamordowany w krzakach Parku Śląskiego, a następnie zbezczeszczony w ohydny sposób za pomocą butelki. Niezły pierdolnik, pomyślał Walter, po czym podziękował Widerze i opuścił prosektorium.

ROZDZIAŁ 12

Katowice, 30.04.2015

Solidne metalowe drzwi wyglądały, jakby kryły wejście do schronu lub innego tajemnego pomieszczenia. Okolica w żaden sposób nie sugerowała, że Walter znajduje się pod galerią ŚlArt, w której niejaki Paul Posner wystawia efekty swych malarskich natchnień. Żadnego szyldu, neonu, gabloty z informacją mającą zachęcić potencjalnych koneserów. Nic.

Sięgnął do kieszeni i wyjął karteczkę, na której zanotował adres wystawy. Wszystko się zgadzało. Był na miejscu. Wzruszył ramionami i nacisnął mosiężną klamkę. Drzwi zaskrzypiały i oczom Waltera ukazały się prowadzące w dół schody.

Najwyraźniej wejście prowadziło do piwnicy. Przytłumione światło, padające z żarówek zamontowanych w maleńkich wykuszach, pozwalało dostrzec wiszące po obu stronach grafiki i czarno-białe fotografie. Stromymi, kamiennymi stopniami dotarł do kolejnych, tym razem drewnianych drzwi. Za nimi rozbrzmiewały dźwięki klasycznego jazzu i gwar rozmów.

Wszedł do środka. Za kontuarem czegoś, co przypominało bufet i sklep z bibelotami w jednym, stała kobieta o wyjątkowo obfitych kształtach. Biust, którego rozmiaru nie było w stanie ukryć obszerne poncho, spoczywał na ladzie. Na półkach za plecami kobiety stały butelki z napojami i alkoholem, przemieszane z wszelkiego rodzaju artystycznym rękodziełem – od miniaturowej wielkości obrazów począwszy, na wisiorkach, bransoletkach i naszyjnikach skończywszy.

– Widzę, że pan u nas po raz pierwszy – odezwała się, patrząc na rozglądającego się Waltera.

– Aż tak to widać? – Komisarz przywołał na twarz uśmiech z nadzieją, że jego sztuczność ujdzie jej uwadze.

– Kręci pan głową, tak że zaraz pana szyja rozboli. Proszę tam powiesić kurtkę. – Wskazała na uginające się pod ciężarem płaszczy wieszaki. – Zapraszam. Mamy dziś bardzo ciekawy wernisaż. No i jeszcze trzy dychy poproszę – dodała.

Walter uniósł brwi, nieco zaskoczony ceną, jaką trzeba zapłacić za obcowanie z dziełami malarza Posnera, ale bez zbędnych komentarzy wyjął dwa banknoty.

– W ramach biletu jest gratisowa lampka wina – dodała muza Rubensa, widząc wędrującego z dołu do góry brwi nowego klienta galerii.

Walter ponownie skrzywił usta w grymasie uśmiechu z reklamy pasty do zębów.

– A może być herbata?

W przestronnej izbie piwnicznej, której łukowe sklepienie podpierały stalowe filary, na ścianach i sztalugach wisiały dzieła Posnera. Artysta, postawny blondyn około pięćdziesiątki, krążąc wśród gości wystawy, przyjmował komplementy i odpowiadał na pytania. Był ubrany w idealnie dopasowany garnitur, a gęste jasne włosy, z modnie wygolonym przedziałkiem, wyglądały, jakby przed chwilą ułożył je fryzjer. Stanowczo odbiegał od utartego wizerunku artysty – brodacza w rozciągniętym swetrze i ze zmierzwioną fryzurą.

Grafiki, o ile Walter dobrze się orientował, przedstawiały pejzaże przemysłowego Górnego Śląska. Szyby kopalniane, kominy, przemysłowe konstrukcje, hałdy, familoki, a w tle tęskna nostalgia za czymś, co powoli przemija. Choć był daleki od uznania siebie za konesera jakiegokolwiek ze sztuk pięknych, musiał przyznać, że nawet podobają mu się te dzieła. Postanowił, że kiedyś przyjrzy się bliżej artyście i jego pracom, po czym przeniósł uwagę na gości wernisażu.

Mężczyźni i kobiety, większość około czterdziestki, stali w kilku grupach zajęci dyskusją. W rogu, na drugim końcu pomieszczenia, dostrzegł tę, z powodu której się tu znalazł. Wiedział już, że Dębska raczej nie jest pogrążona w żalobie po mężu. Podczas ich rozmowy przed trzema dniami zachowywała się tak, jakby śmierć Roberta Dębskiego była jej obojętna. Mimo to jej obecność na, jakkolwiek by na to spojrzeć, rozrywkowej imprezie w czasie gdy jej mąż leżał w kostnicy, wzbudziła w komisarzu niesmak.

Anna Dębska właśnie rozmawiała z jakimś mężczyzną. Ubrana była w czarną sukienkę na ramiączkach – nieprzesadnie wyjściową, w sam raz na kameralną imprezę. Towarzyszący jej mężczyzna, szczupły czterdziestoparolatek, miał na sobie tweedową marynarkę i sportowe, dopasowane chinosy. Każde z nich trzymało lampkę wina i wyglądali na dobrych znajomych – przestrzeń pomiędzy ich twarzami, co nie uszło uwadze Waltera, zdecydowanie przekraczała granicę powszechnie uznaną za strefę osobistą. Kobieta wyglądała na wyluzowaną, jakby w jej życiu ostatnio nic się nie wydarzyło. Gestykulowała zamasyście, jak gdyby chciała upuścić nadmiar kipiącej w niej energii. Jej znajomy przeciwnie – stał w sztywnej pozie i wyglądał na zestresowanego, jakby znalazł się w obcym, nieprzyjaznym mu otoczeniu. Patrzył na Dębską, choć Walter nie dałby głowy, czy jego wzrok skupiał się na jej oczach czy na jakimś punkcie za jej głową. Co chwilę zerkał na boki niczym ktoś, kto spodziewa się, że zostanie na czymś przyłapany.

Dębska stała tyłem do Waltera, więc nie ryzykując, że od razu zostanie zauważony, podszedł bliżej. Niestety gwar skutecznie zagłuszał padające między parą słowa. Dyskretnie wyjął z kieszeni komórkę, zrobił im kilka zdjęć

i upewniwszy się, że twarz towarzysza Dębskiej jest na zdjęciach wyraźnie widoczna, postanowił się ujawnić.

– Dobry wieczór. Nie spodziewałem się pani tu zastać – przywitał się.

Twarz kobiety w jednej chwili stężała. Nawet nie usiłowała ukryć zawodu, jaki poczuła na widok Waltera.

– Nie przypuszczałam, że z pana taki koneser sztuki – odpowiedziała zamiast przywitania.

– Szczerze mówiąc, sam się za takiego nie uznaję, ale mimo to postanowiłem wpaść.

– No tak. – W jej głosie zabrzmiała ironia.

– Przyznaję, że bardzo przypadły mi do gustu te grafiki.

– Nam też, ale jeśli pan pozwoli, teraz chcielibyśmy zostać sami.

– Jasne, nie mam zamiaru przeszkadzać. Czy mogłaby pani jednak przedstawić mnie swojemu znajomemu?

Dębska zmrużyła oczy. Walter odniósł wrażenie, że zastanawia się, czy spełnić jego prośbę, czy też ostentacyjnie go zignorować.

– Oczywiście – odparła po chwili. – Arkadiusz Zaręba, mój stary znajomy. – Wskazała ręką na towarzysza. – A to komisarz... Jak nazwisko, bo nie pamiętam?

– Posłała Walterowi sarkastyczny uśmiezek.

– Roman Walter – odparł, wyciągając rękę w kierunku Zaręby. – Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa męża pani Dębskiej.

– Tak, przykra sprawa – stwierdził Zaręba.

– Chce pan teraz o tym rozmawiać? Naprawdę? – Dębska nie kryła oburzenia.

– Czy znał pan ofiarę? – Walter zignorował jej obiekcje.

– Czy znałem? No... – Zaręba wzruszył ramionami i spojrzał na Dębską, jakby czekał, aż udzieli mu pozwolenia na odpowiedź. – Znałem – odparł w końcu.

– Oczywiście, że znałem.

– Kiedy widział pan ostatni raz Roberta Dębskiego?

– Proszę? Kiedy widziałem?

Głuchy czy idiota? – pomyślał Walter.

– Tak, proszę pana, kiedy ostatni raz widział pan męża tej pani. – Na wszelki wypadek wskazał ręką na partnerkę Zaręby.

– Panie komisarzu, pan tak na poważnie? – wtrąciła Dębska.

Walter poczuł się skonsternowany.

– Nie zależy pani na wyjaśnieniu zabójstwa pani męża? – Zauważył, że drgnęły jej kąciki ust. Wciąż irytacja czy coś innego?

– Oczywiście, że mi zależy – odparła chłodno. – Tylko że czuję się tak, jakby pan nas o coś podejrzewał.

– A powinienem? – rzucił zaczepnie.

Odpowiedziała dopiero po chwili:

– W gruncie rzeczy niewiele mnie to obchodzi. Nie podoba mi się tylko, że napastuje mnie pan w takim miejscu i o takim czasie. Jeśli chce pan porozmawiać ze mną lub z Arkiem, proszę oficjalnie nas wezwać. A tymczasem niech pan się łaskawie od... odczepi! – Jej głos przypominał dźwięk wydawany przez skrzynki z napojami ciągnięte po lastrykowej podłodze.

– Aniu, przecież to żaden problem – niespodziewanie pałeczkę przejął Zaręba. – Ja chętnie panu komisarzowi... – Urwał, gdyż Walter odwrócił się gwałtownie. Nagle poczuł, że po nogawce rozlewa mu się jakaś ciecz. Niemal w tej samej chwili usłyszał:

– Mój Boże, ale ze mnie niezdar!

– Przepraszam, zaraz wracam – zwrócił się do rozmówców, po czym szybkim krokiem udał się do toalety.

Gdy wrócił, zaklął pod nosem. Dębska i Zaręba zniknęli. Ich miejsce zajęła winowajczyni jego niespodziewanej ewakuacji. Naprzeciw, zasłaniając usta, z pustym kieliszkiem w ręku i szeroko otwartymi oczami stała blondynka, której uroda przywodziła na myśl księżniczki z nordyckich sag. Wyraziste rysy twarzy uzupełniał śliczny, nieco zawstydzony w tej chwili uśmiech.

– Strasznie pana przepraszam! Zagapiłam się, a tu taki tłum, no i stało się.

– Nie szkodzi. Proszę się nie przejmować. Wino na szczęście było białe – odparł Walter i pomyślał, że ładnym jednak jest w życiu łatwiej. Gdyby to ten papciowaty Zaręba go oblał, nie byłby chyba taki miły.

– Nawet nie wino, tylko woda. – Kobieta spojrzała mu prosto w oczy.

Odniósł wrażenie, że nie było to typowe przepraszające spojrzenie. W jej wzroku było coś więcej. Tak patrzy kobieta, która wie, czego chce.

– Tym lepiej. Nie będzie śladu.

Ruszył w kierunku wyjścia, ale nieznajoma złapała go za łokieć.

– A może w ramach zadośćuczynienia postawię panu drinka, panie komisarzu?

Odwrócił się powoli. Młoda kobieta patrzyła na niego, lecz jej oblicze nie przypominało tego sprzed kilku chwil. Była poważna i skupiona.

– Kim pani jest?

– Luiza Steiner. Zastanawiam się, czy powinnam się zwracać per „panie komisarzu”, czy raczej „wuju”? Wuju będzie chyba prościej, czyż nie?

– Wuju? Nie rozumiem. O co pani chodzi? – zapytał ostro.

Kobieta nie odpowiadała. Na jej pewnym jak dotąd obliczu nagle pojawił się cień zwątpienia i niepewności. Zmaląła, przygarbiła się i zaczęła uciekać wzrokiem.

– Nieważne, przepraszam – powiedziała po dłuższej chwili, po czym odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem odeszła.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ II

Dziewczynka od czterech lat mieszka w Monachium. Fizycznie jest w pełni zdrowa; we wszystkim dorównuje rówieśnikom, a nawet gra na pozycji obrońcy w dziewczęcej drużynie piłki nożnej. Nikt, kto nie zna jej historii, nie pomyśli, że cztery lata temu jej życie wisiało na włosku i pewnie ta nić łącząca byt z niebytem pękłaby, gdyby nie brat jej matki, uznany bawarski chirurg i profesor na tamtejszym uniwersytecie medycznym. Wiedza poparta latami praktyki, nowoczesna infrastruktura medyczna oraz intensywne rehabilitacje postawiły ją na nogi – wbrew wszystkim przeciwnościom.

Rodziców, jak i wszystkiego, co było przed, nie pamięta. Czuje jednak, że pozostawili po sobie jakąś nieokreśloną pustą przestrzeń w jej życiu. Nie potrafi odtworzyć w myślach ich wyglądu, brzmienia głosu, zapachu, jakby w ogóle nie istnieli, a jednak wie, że ich miała, że kiedyś byli razem. Czasami matka odwiedza ją w snach. Nie ma rąk, nóg ani twarzy. Nie jest człowiekiem w sensie osoby ani istotą w sensie bytu. Jest powiewem letniego powietrza lub ciepłym grzejącym skórę, jest łąką pachnącą zielenią, szumiącym strumieniem i majestatycznym wiekowym lasem na zboczu góry, jest poczuciem bezpieczeństwa i bezwarunkową miłością. Jest wszystkim tym, co sprawia, że nic nie boli, nie martwi, nie lęka. Gdy do dziewczynki przychodzi matka, umiera czas. Nie ma już bolesnej przeszłości ani niepewnej przyszłości. Znika pamięć, nie ma pytań. Jest tylko tu i teraz. Rankiem, gdy się zbudzi po wizycie matki, zawsze płacze. Marzy, by ten sen się nie skończył, aby mogła w nim zostać na zawsze, z matką, której nie pamięta.

Gdy kończy dwanaście lat, wuj postanawia powiedzieć jej prawdę. Mówi, co się stało i dlaczego jest sama. Opowiada jej o matce, ojcu – o tym, kim byli. Pokazuje zdjęcia, na których dziewczynka widzi małą siebie z dwojgiem obcych jej ludzi. Kobieta jest uśmiechnięta i trzyma ją na rękach, mężczyzna obejmuje kobietę w pasie i też się uśmiecha, choć nie tak promiennie. Kobieta jest szatynką, włosy ma spięte, mężczyzna ma wąsy i fryzurę podstarzałego hipisa. Wuj mówi jej, że tam, w Polsce, ma dom z ogrodem, który zostawili jej rodzice, że jak dorośnie, będzie mogła w nim zamieszkać, choć on bardzo by chciał, żeby została z nim i z ciotką. Dla niego jest jak rodzona córka, której nigdy nie miał i mieć nie będzie. Ale zrozumie, jeśli ona zdecyduje inaczej. Dziewczynka nie rozumie, dlaczego miałyby stąd wyjechać i po co ta cała gadka, lecz czuje, że coś się zmieniło i już nie będzie jak przedtem. Jej martwi rodzice nie są już tylko wyobrażeniem. Nagle zyskali imiona i martwe, skremowane ciała.

W noc po rozmowie z wujem po raz pierwszy śni koszmar. Jest sama w wielkiej białej sali. Leży na łóżku i nie może się ruszyć. Jest otoczona stukającą,

szumiącą i popiskującą aparaturą medyczną. Na czarnych ekranach monitorów pobłyskują zielonkawe esy-floresy. Choć nieruchoma, widzi wszystko i czuje wszystko. Czuje, jak z każdym oddechem wpompowywanego w płuca powietrza połamane żebra wbijają się w jej płuca, a pokruszona miednica pali podbrzusze żywym ogniem. Odczuwa każde obce ciało – wsunięte, wkłute, wwiercone w jej organizm. Jest w stanie policzyć, choć ich nie widzi, ile śrub wkręcono w jej kość udową, ile rurek wsunięto w nos, w cewkę moczową, w dreny, odprowadzające płyny ustrojowe z ran pooperacyjnych. Od godzin spędzonych w tej samej pozycji jej plecy są jednym wielkim bólem. Chce coś zrobić, próbuje krzyknąć, zawołać kogoś, błagać o pomoc, ale nie może. Nie jest w stanie ruszyć ręką ani nogą, nie potrafi otworzyć ust ani oczu, choć widzi wszystko wokół. W końcu ktoś wchodzi do sali, za nim ktoś drugi, trzeci – cała grupa ludzi ubranych w białe fartuchy.

– Tutaj mamy pacjentkę z wielonarządowymi obrażeniami odniesionymi wskutek przebytego wypadku komunikacyjnego – słyszy głos wuja, który mówi do grupy studentów uniwersytetu medycznego.

– Pomóżcie mi! To tak strasznie boli! – krzyczy dziewczynka, choć nikt jej nie słyszy.

Wuj mówi coś o krwotokach wewnętrznych, uszkodzeniu kręgosłupa, złamanej w kilku miejscach kości udowej i innych rzeczach, których ona nie rozumie.

– Błagam, zróbcie coś, proszę was! – lamentuje.

Student stojący najbliżej jej głowy nagle coś zauważa. Przez chwilę wydaje mu się – nie, nie wydaje, jest pewien – że dziewczynka kręci głową, a jej gałki oczne gwałtownie się poruszają pod zamkniętymi powiekami.

– Profesorze, czy z nią wszystko w porządku? Mam wrażenie, że pacjentka ma jakiś napad drgawkowy – mówi student.

Profesor zerka na dziewczynkę, a potem na wskazania monitorów.

– Wszystko w porządku – stwierdza. – Utrzymujemy pacjentkę w stanie śpiączki farmakologicznej i jest zwiotczona. Niemożliwe, aby się poruszyła – dodaje i wychodzi z sali.

ROZDZIAŁ 14

Ruda Śląska, 4.05.2015

Pogrzeb Roberta Dębskiego miał się odbyć o szóstej wieczorem. Walter pojawił się pół godziny przed ceremonią. Cmentarz, choć położony w centrum aglomeracji górnośląskiej, otoczony był przez pola i łąki. Z oddali dochodził szum samochodów mknących po autostradzie. Kwitnące kasztanowce i śpiew ptactwa ukrytego w ich liściach, epatując wiosenną świeżością, zdawały się być antytezą wobec kruchości życia, które w końcu obraca się w proch. Porośnięta drzewami nekropolia była podzielona na dwie części. W pierwszej chowano tradycyjnie. Nagrobki, w większości wykonane z taniego lastryka – choć zdarzały się droższe granitowe, a nawet marmurowe – tworzyły kamienne pole równolegle ułożonych różnobarwnych płyt. Niektóre wyglądały, jakby brały udział w konkursie na znicz i wiązanekę, w swej obfitości wyrażając nekrofantazję polskiego narodu. W drugiej części cmentarza znajdowały się urny z prochami. Zamurowane w niewielkich kryptach, kryły się w kilku koncentrycznie ułożonych wobec siebie kolumbariach. Nekropolia była w miarę nowa. Rozległe puste arealy i kolumbaria były przygotowane na przyjęcie jeszcze wielu lokatorów.

Kilka minut przed ustaloną godziną na cmentarny parking wjechało terenowe bmw. Walter rozpoznał samochód Dębskich. Ten sam czarny SUV ze zindywidualizowaną tablicą rejestracyjną „S1 DEBXX” stał na podjeździe rezydencji Dębskich. Z samochodu wysiedli Anna Dębska oraz Arkadiusz Zaręba. Walter spodziewał się, że zaraz pojawią się kolejni uczestnicy pogrzebu, lecz nic takiego nie nastąpiło. Czyżby Robert Dębski nie miał żadnej rodziny poza żoną? Żadnych przyjaciół, znajomych czy choćby współpracowników? Chyba nikt nie żyje i nie umiera w takiej samotności, żeby pies z kulawą nogą nie odprowadził go do wieczności. Nawet jeśli za życia był znienawidzony, powinien się pojawić ktoś, kto zatańczy na jego grobie lub przynajmniej splunie, żegnając w ten sposób swego wroga. Tymczasem za urną Roberta Dębskiego podążali tylko żona i zagadkowy Arkadiusz Zaręba. Kim jest ten facet? Chyba nie należy do rodziny. Czy Dębska nie przedstawiłaby go jako szwagra, kuzyna czy jakoś tak? Powiedziała wtedy: „mój stary znajomy”. Stary, czyli bardziej jej niż Dębskiego? Nie powiedziała „nasz”, tylko „mój”. Kim tak naprawdę jest dla wdowy? Dawnym kolegą czy może kimś, kto zajął miejsce Roberta? Dla żony z takim posagiem może warto zamordować? A może to ich wspólna robota? Dębska pozbyła się niewiernego męża, Zaręba przeszkody w drodze do serca, waginy i kasy Dębskiej? Dowie się tego. Może nie dziś, nie jutro, ale w końcu odkryje prawdę. A jeśli statystyki nie

kłamią, jeśli zwykle mordercą jest osoba bliska ofierze, ta sprawa może mieć banalnie proste rozwiązanie.

Gdy skromna ceremonia dobiegła końca, Walter ruszył w kierunku Dębskiej i Zaręby, którzy zmierzali z powrotem do samochodu. W tej samej chwili zawibrował jego telefon. Nie zwalniając kroku, sięgnął do kieszeni. Na wyświetlaczu widniał nieznany mu numer, choć prefiks wskazywał na połączenie z lokalnego, stacjonarnego telefonu. Odrzucił rozmowę i schował telefon. Nie minęło pięć sekund, a aparat znów zawibrował. Ten sam numer. Tym razem zaraz po odrzuceniu połączenia wyciszył komórkę.

Gdy dotarł do SUV-a, wsiadająca za kierownicę Anna Dębska nawet nie starała się ukryć niezadowolenia.

– Co pan tu robi?! Czy to już nie przesada? – zapytała.

– Chciałem zobaczyć, kto pojawi się na pogrzebie – odparł zgodnie z prawdą.

– I zobaczył pan? W takim razie żegnam! – fuknęła i trzasnęła drzwiami.

Walter zapukał w szybę. Spokojnie, bez pośpiechu, ale zdecydowanie. Minęła chwila, zanim Dębska zsunęła szybę. Gdyby wzrok mógł zabijać, Walter byłby już trupem.

– Zastanawiam się – zaczął – dlaczego nikogo oprócz państwa nie było na pogrzebie?

Dębska milczała, patrząc w niewidzialny punkt gdzieś na horyzoncie. Sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała nad odpowiedzią.

– Bo nikogo poza jedną osobą o nim nie poinformowałam – odparła w końcu.

Nikogo nie poinformowała? Chciała ukryć śmierć męża? Przecież czegoś takiego na dłuższą metę nie da się zataić. A może mści się nawet na jego szczątkach, grzebiąc męża niczym bezdomnego? Ostatnia opcja wydała się Walterowi najbardziej prawdopodobna. Dębska nie kryła uczuć, jakimi darzyła męża.

– Ta jedyna osoba to pan Zaręba? – Walter gestem głowy wskazał na siedzącego obok Dębskiej pasażera.

– Nie, nie jego miałam na myśli.

„Jego”? Wyraża się o nim, jakby go tu nie było. Cóż za babsko!

– Kogo w takim razie?

– Wspólnika Roberta. Poinformowałam go, bo chciałam od razu omówić z nim kwestie biznesowe. Niestety nie odezwał się. Jak widać, nie pojawił się też na pogrzebie.

– Nie wspominała pani, że mąż miał wspólnika – zauważył Walter. Z pewnością ten fakt nie umknąłby jego uwadze.

– A powinnam? Zresztą nie pytał pan. – Wzruszyła ramionami.

– Jak mogę go namierzyć?

Dębska wyjęła z torebki telefon. Kilka razy stuknęła w ekran i podstawiała go Walterowi pod nos.

– Proszę, to numer do Sebastiana Halina. Niech pan sobie spisze. Coś jeszcze? – zapytała.

– Nie. Na razie to tyle. Dzień... – nie zdążył dokończyć. Dębska, wzbudzając tumany kurzu, odjechała z piskiem opon.

Gdy bmw zniknęło za bramą cmentarza, Walter zdecydował, że najpierw zajmie się „starym znajomym” – Arkadiuszem Zarębą. Już podczas ich krótkiego spotkania w galerii sprawiał dziwne wrażenie. Teraz też coś było z nim nie tak. Przez całą rozmowę z Dębską siedział nieruchomo, wpatrzony w dal. Chyba nawet nie mrugnął. Buja się z tą wdówką w wątpliwej żałobie, choć pasuje do niej jak plastikowy kołpak do kół mercedesa – niby się nadaje, ale budzi niesmak.

Walter wsiadł do służbowej insigni. Wcześniej, gdy wpisywał do swojego telefonu numer Halina, zauważył, że ma kilkanaście nieodebranych połączeń. Wszystkie z tego samego numeru co poprzednio. Była też jedna wiadomość tekstowa od doktora Widery: „Dzwoniłem kilka razy. Bezskutecznie. Proszę oddzwonić jutro”.

Jutro? Dlaczego nie dziś? Walter zerknął na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta. Widera z pewnością siedział już w wygodnym fotelu i oglądał *Kości*. Dobrze, w takim razie teraz Zaręba, postanowił i otworzył przeglądarkę internetową.

ROZDZIAŁ 15

Ruda Śląska, 4.05.2015

Nad cmentarzem powoli zapadał zmrok. Walter sięgnął na tylne siedzenie po laptopa i połączył się z siecią. Wejście na serwer komendy, zabezpieczony niczym jakiś cholerny Pentagon, wymagało wpisania kilku kodów generowanych w czasie rzeczywistym przez aplikację na jego służbowym smartfonie. Machnął na to ręką i postanowił użyć najprostszego i najszybszego z dostępnych narzędzi – wyszukiwarki Google. Wpisał słowa kluczowe i nacisnął „enter”. Wynik był do przewidzenia – Arkadiuszów Zarębów było sporo, a nawet więcej niż sporo. Prawie sto tysięcy odniesień do sieciowych zasobów z przynajmniej jednym z wyszukiwanych słów. Postanowił zawęzić obszar poszukiwań przez wprowadzenie dodatkowego odnośnika – „Katowice”, lecz natychmiast dotarł do niego bezsens tego pomysłu. Facet mógł mieszkać w jednej z kilkunastu miejscowości śląskiej aglomeracji, a równie dobrze poza nią, gdziekolwiek w Polsce lub na świecie. Zaklął pod nosem, kiedy doszedł do wniosku, że będzie zmuszony wejść na serwer komendy, gdy dostrzegł dodatkową funkcję wyszukiwarki – grafika. Zamiast tekstowych odniesień do stron internetowych program wiązał słowa z obrazami. Jeśli jakiegokolwiek zdjęcie zamieszczone w sieci zostało opisane, program je odnajdywał. Bingo! Przygnębiona gęba Arkadiusza Zaręby widniała już na pierwszej stronie. Zaręba, jak się okazało, anestezjolog, miał konto w LinkedIn – internetowym bazarze, którego klienci próbowali sprzedać się potencjalnym pracodawcom. Sam chyba nie nadążał za peletonem szaraków pędzących za karierą, gdyż jego curriculum vitae było nader skromne – uczelnia taka a taka, egzamin ze specjalizacji takiej a takiej, zdany wtedy a wtedy. Od kilku lat pracuje w Szpitalu Miejskim w Chorzowie, ale myśli o przeniesieniu się – najchętniej do prywatnej kliniki w dowolnym miejscu aglomeracji. Żadnych osiągnięć, publikacji, udziału w organizacjach branżowych. Jeden z tysięcy trybików w maszynie. Szarak nad szaraki, przeciętniak wśród przeciętniaków. W polu „kontakt” – adres mailowy i numer telefonu. Tylko tyle, choć dla Waltera – aż tyle.

Klepnął się w udo. Zdobył to, czego potrzebował, i to bez większych ceregieli.

Zaręba odebrał po trzecim sygnale.

– Skąd ma pan ten numer? – zapytał, gdy zorientował się, kto do niego

dzwoni.

Musiał jechać samochodem. W tle było słycać charakterystyczny szum. Z cementarnego parkingu odjechał nie dalej niż piętnaście minut temu, więc najprawdopodobniej wciąż był z Dębską.

– Z LinkedIna – odparł zgodnie z prawdą Walter.

W słuchawce zapadła cisza. Komisarz zerknął na wyświetlacz, sprawdzając, czy połączenie nie zostało zerwane, ale licznik wciąż wskazywał mijające sekundy.

– Halo, jest pan tam? – zapytał, nie kryjąc zniecierpliwienia.

– Czego pan chce?

– Chciałbym porozmawiać o Robercie Dębskim. Był pan dziś na jego pogrzebie, więc domyślam się, że znaliście się.

– Tak.

– Wie pan może coś na temat ostatnich godzin jego życia? Chodzi mi o to, co robił wieczorem w sobotę dwudziestego szóstego kwietnia.

– Nie mogę, dziś mam dyżur.

– Słucham? – Walter zmarszczył czoło.

– Tak, w szpitalu. Do widzenia – rzucił Zaręba i rozłączył się.

Jechał z Dębską i nie chciał przy niej rozmawiać? Całkiem możliwe, bo wcześniej wyglądał, jakby się jej bał. Może stąd ta na pozór bezsensowna informacja o dzisiejszym dyżurze? – zastanawiał się Walter. Otworzył okno SMS i wstukał wiadomość: „Dzisiaj, 22.00, szpital miejski Chorzów?”. Po kilkunastu sekundach telefon zawibrował. W zielonym dymku na ekranie widniały tylko dwie litery: „OK”.

ROZDZIAŁ 16

Ruda Śląska, 4.05.2015

Chwilę później telefon zawibrował ponownie. Dzwonił Widera. Tym razem Walter odebrał zaraz po drugim sygnale.

– Dzwoniłem kilka razy, ale bezskutecznie – zaczął Widera bez przywitania.

– Widać nie mogłem. – Walter nie zamierzał się z niczego tłumaczyć.

– Zdecydowałem jednak nie czekać do jutra z informacjami, które dla pana mam – kontynuował patolog, nie zważając na niezbyt grzeczną odpowiedź.

– Zamieniam się w słuch.

– No więc znalazłem ostatniego kochasia świętej pamięci Roberta Dębskiego.

– Jak to „znalazł” pan?

– Może nie dosłownie, bo przywieźli go trzy dni temu do mojej pracowni.

– Trzy dni temu? Skąd przywieźli? Kto to w ogóle jest?

– Za dużo pytań naraz, komisarzu. Zwłoki znaleziono w rzece, w Brynicy w okolicach trójkąta Katowic, Mysłowic i Sosnowca. Były zabezpieczone.

– Co pan przez to rozumie?

– Ktoś się postarał, aby go nie rozpoznano. Oszczędzę panu opisu. Sam pan może jutro zobaczyć.

– Więc nie wiadomo, kim jest, a raczej był ten gość, ale pan wie, że to kochanek Dębskiego?

– Tak jest, komisarzu. Wiem, że to jego kochanek, wiem, kim był, i wiem jeszcze parę innych rzeczy.

Walter był pewien, że Widera zaraz pęknie z dumy. Kurdupelek najwyraźniej był łasy na splendor i uwielbienie. Niech mu będzie, da mu to wszystko, tylko niech, do cholery, zacznie mówić jak człowiek, a nie kiepski aktor w amatorskim kółku teatralnym!

– Wie pan co, zaczynam się trochę gubić. Może jaśniej? – Walter przełożył słuchawkę do drugiej ręki i sięgnął po paczkę papierosów, którą trzymał w prawej kieszeni marynarki. Zapalił i zaciągnął się głęboko.

– Już wszystko panu wytłumaczę, tylko niech pan pozwoli, że sam też zapalę.

Słyszał trzask zapalniczki, skubany? – pomyślał Walter.

– Przywieźli go do mnie ze zleceniem z prokuratury, aby ustalić bezpośrednią przyczynę zgonu. Tyle. Nic więcej. Trochę mnie to zdziwiło, bo gość w zasadzie nie ma twarzy i obcięto mu wszystkie palce u rąk.

– Tak jak pan mówił: komuś zależało, aby ciało zakwalifikować jako NN – zauważył Walter.

– Dokładnie. – Widera zaciągnął się i ze świstem wypuścił dym z płuc. – Morderca jednak nie był perfekcyjny w swym dziele, bo coś przegapił – stwierdził, zawieszając głos.

– No mówże pan! – Walter z trudem panował nad nerwami.

– Nasz NN miał wszczepiony rozrusznik serca...

– A na nim numer seryjny.

– Brawo, komisarzu! Jak pan wie, znając producenta i numer seryjny, można po nitce do kłębka dojść do danych pacjenta. I niech pan posłucha – kolejne zaciągnięcie dymem – tak się szczęśliwie składa, że mam kolegę, którego żona ma przedstawicielstwo producenta niniejszego rozrusznika na Polskę południową. Obiecał, że po starej znajomości zobaczą, co da się zrobić. Odezwią się, jak będzie coś wiadomo.

– Odezwali się, tak? – zapytał, a raczej stwierdził Walter.

– Tak. Ale niech pan jeszcze chwilkę wytrzyma – poprosił Widera.

– Nie robię nic innego od co najmniej pięciu minut, zauważył pan?

– Co? Ech, nieważne. W każdym razie w międzyczasie, szczerze mówiąc z głupia frant, postanowiłem pobrać od gościa materiał DNA i wrzucić go w system.

– W system?

– Sprawdzić, czy nie figuruje już w bazie danych.

– To pewnie trochę jak z szóstką w lotto – zauważył Walter.

– Ktoś jednak te szóstki trafia. Dzisiaj to byłem ja, bo...

– Wyszła zgodność z DNA pobranego z nasienia zostawionego w Dębskim – Walter znów dokończył za Widere.

– Tak! Dokładnie tak, komisarzu. I właśnie z tą wiadomością usiłowałem się do pana dodzwonić. Chociaż nie tylko z tą. Szczerze mówiąc, tak jak pisałem, chciałem poczekać z tym do jutra, ale oddzwonił kumpel, mąż babki od rozruszników.

– Kim on był? – Walter już się domyślał, dlaczego Widera zmienił zdanie.

– Sebastian Halin. Sprawdziłem, że ci dwaj byli...

– Wspólnikami biznesowymi.

– Jak widać, na dobre i na złe.

– Co pan ma na myśli?

– Wspólnicy, kochankowie, co prawda umierają osobno, choć obaj zamordowani, i to mniej więcej w tym samym czasie. Jak w kiepskim scenariuszu, co? – zaśmiał się patolog.

– O jakiej rozpiętości czasu pan mówi?

– Obaj zostali zamordowani w nocy z dwudziestego szóstego na

dwudziestego siódmego kwietnia. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- A ta Brynica, gdzie go znaleziono, to daleko od Parku Śląskiego?
- Z dziesięć kilometrów będzie, ale głowy nie dam.
- Czyli jest prawdopodobne, że mordercą obu współników była jedna osoba
- zauważył Walter.
- Pyta pan czy stwierdza?
- Nie powiedział mi pan jeszcze jednego. – Walter go zignorował.
- Mianowicie?
- Jak zginął Halin.
- Bezpośrednią przyczyną było rozległe uszkodzenie twarzoczaszki. Morderca dosłownie zmiażdżył mu facjatę. I uprzedzę pana pytanie – tak, mogło to być takie samo narzędzie jak w przypadku Roberta Dębskiego, ale... – Widera w teatralnej manierze zawiesił głos – ...jest jeszcze coś.
- Doktorze, za chwilę mi padnie bateria. Niech pan się streszcza, na litość boską! – Walter chylił czoła przed pracą Widery, ale był już na skraju wytrzymałości.
- Sebastian Halin miał we krwi tę samą substancję, jaką znalazłem we krwi Dębskiego.
- Tiopental?
- Dokładnie. I to ilość, która powaliłaby konia. Morderca, można powiedzieć, tłukł tą pałką zwłoki.
- Tiopental jest stosowany w anestezji – ni to stwierdził, ni zapytał Walter.
- Zgadza się, komisarzu.

ROZDZIAŁ 17

Chorzów, 4.05.2015

Rewelacje Widery, zamiast wnieść więcej światła w sprawę zabójstwa Roberta Dębskiego, tylko bardziej ją zagmatwały. Jeśli maczał w tym palce Zaręba (w końcu tiopental plus żyła równa się anestezjolog), to jaki interes miałby, pozbywając się Sebastiana Halina, współnika swojej być może przyszłej żony? Wysłanie na tamten świat obu naraz, jeśli celem było przejęcie biznesu Roberta, nie miało sensu. To tak jakby uszkodzić jednocześnie oba silniki w dwusilnikowym samolocie. Na jednym jeszcze polecą, bez obu z pewnością runie. A Dębska? Może się dowiedziała, że mąż ją zdradzał, i to nie z kobietą, tylko ze współnikiem, i z żądzą zemsty postanowiła wykończyć obu kochanków? Z drugiej strony na cmentarzu wspomniała, że oczekuje Halina, że mają obgadać jakieś biznesowe sprawy. Po co by o tym mówiła, jeśli stałaby za jego śmiercią? A może nie chodzi tu ani o Dębską, ani o Zarębę, tylko o coś związanego z biznesowym duetem Dębski–Halin? Czym właściwie się zajmowali ci dwaj? Dębska wspominała coś o deweloperce, ale mówiła też, że nie ma pojęcia, kiedy jej mąż ostatnio coś zbudował, choć „kręcił” jakieś biznesy. Tyle pytań, żadnej jednoznacznej odpowiedzi. Walter zdecydował, że kwestią interesów duetu i ewentualnym związkiem z morderstwami zajmie się Szutkowski. Przekaze mu wszystko podczas jutrzejszej odprawy. On sam zajmie się Dębską i Zarębą.

Zajechał pod szpital miejski. Zespół budynków, z których najstarsze wzniesiono w połowie dziewiętnastego wieku, otoczony był wysokim, prawie trzymetrowym murem. Już z daleka zauważył charakterystyczną, pękatą wieżę z zegarem, pełniącą niegdyś rolę komina kotłowni i wieży ciśnień w jednym. Jej wygląd, tak nierealny i rzeczywisty jednocześnie, przypominał Walterowi futurystyczne wizje architektury z filmu *Metropolis* Fritza Langa. Zostawił samochód na parkingu i zgodnie ze wskazówkami udzielonymi przez portiera ruszył w kierunku oddziału anestezjologii i intensywnej terapii.

Chylący się ku końcowi dzień musiał być dla szpitala jednym ze spokojniejszych, gdyż izba przyjęć, przez którą musiał przejść komisarz, była pusta. Stał pośrodku i zaczął się rozglądać. Na wielkiej tablicy informacyjnej wśród dziesiątek nazw oddziałów, przychodni i laboratoriów nie potrafił wypatrzeć tego, czego szukał.

– Czy mogę panu w czymś pomóc? – usłyszał za plecami.

Za nim stała młoda kobieta w seledynowym medycznym uniformie. Drobną, o dziewczęcej urodzie, pod pachą ścisnęła butelkę z wodą mineralną, a w dłoni trzymała zwinięte w rulon kolorowe czasopismo.

– Szukam dyżurki anestezjologów – odparł. – Wie pani, jak tam dojść?

– Oczywiście. Proszę za mną, właśnie tam idę. Chętnie pana zaprowadzę. Szuka pan kogoś konkretnego?

Ruszyli długim korytarzem z wysokimi oknami. Kroki kobiety, obutej w oldskulowe chodaki, odbijały się echem od ścian, do połowy pokrytych lamperią.

– Tak, doktora Zarębę. Zna go pani?

Idąca przed Walterem kobieta zatrzymała się i obróciła w jego stronę.

– Oczywiście, że znam. Ale Arka dziś nie ma.

– Nie ma go? To dziwne, bo byłem z nim umówiony.

– Próbował pan dzwonić na jego komórkę?

– Próbowałem. Jest wyłączona.

– Czy mam mu coś przekazać, jak go spotkam?

– A czy siostra może wie, gdzie on mieszka?

Kobieta przechyliła lekko głowę, stanęła szerzej na nogach i założyła ręce na piersiach. Ponieważ wciąż trzymała butelkę i gazetę, wyglądało to nieco komicznie.

– Siostrę, proszę pana, to pan znajdzie w dyżurce pielęgniarek. Jestem doktor Kaja Nawara. Może jeszcze nie nauk medycznych, ale specjalista anestezjolog. – Zmarszczyła czoło i spojrzała groźnie, jednak Walter pomyślał, że nawet przedszkolak by się jej nie wystraszył. Poczuli do niej sympatię.

– Bardzo przepraszam, ja nie...

– Co pan „nie”? Bo jak kobieta, mała, drobna i bez stetoskopu na szyi, to od razu pielęgniarka albo salowa?

Komisarz mimowolnie się uśmiechnął.

– A gdzie pani doktor ma plakietkę, z której mógłbym wyczytać, z kim mam do czynienia? – zapytał z przekorą.

– Nie mam. Dyrekcja nie dała – fuknęła lekarka. – A tak w ogóle to czego pan chce od doktora Zaręby?

– Jestem z policji. Komisarz Walter. Chciałbym z nim porozmawiać.

Na obliczu doktor Nawary pojawiły się powaga i skupienie. Odstawiła na parapet butelkę z wodą i gazetę.

– Czy coś się stało? Coś w związku z Arkiem?

– A dlaczego sądzi pani, że chodzi o coś związanego z nim?

– Wie pan, jesteśmy lekarzami. Pan jest, jak słyszę, gliną, więc w pierwszej chwili pomyślałam, że chodzi o błąd w sztuce. W tym zawodzie to się zdarza. – Kobieta pokiwała głową, jakby chciała podkreślić wagę swych słów.

– Nic z tych rzeczy – zaprzeczył Walter. – Po prostu muszę z nim porozmawiać. To co, da mi pani jego adres? Inaczej będę musiał grzebać w bazie danych. – Uśmiechnął się, starając wypaść jak najprzyjaźniej.

– W sumie czemu nie. – Lekarka wzruszyła ramionami, zgarnęła rzeczy z parapetu i ruszyła przed siebie. – Mam go gdzieś w dyżurce. Chodźmy.

Doktor Nawara zaprosiła Waltera na kanapę, a sama usiadła przy biurku. Wysunęła szufladę i zaczęła w niej czegoś szukać. Później kolejną. Gdy dotarła do trzeciej, tej najniższej, wyprostowała się i odwróciła do Waltera.

– Wie pan, jak tak teraz myślę o Arku, to właśnie sobie uświadomiłam, że od kilku tygodni dziwnie się zachowuje.

– Co konkretnie ma pani na myśli? – zapytał Walter.

– Czy ja wiem... Stał się jakiś taki... nieobecny. Przestał z nami rozmawiać, życie szpitala przestało go interesować, żadne plotki, żadne pogaduszki, nic. Nie ten człowiek. Jakby ktoś nim zdalnie sterował i zapomniał, jak ma gębą poruszać.

– Domyśla się pani, co może być tego powodem?

Walter wyjął papierosa i gestem poprosił o pozwolenie. Nawara bez słowa podała mu popielniczkę i sięgnęła po swoją paczkę.

– Nie mam pojęcia – odparła, wypuszczając dym z ust.

– Nigdy nic nie mówił? Nie zwierzał się z problemów?

Kobieta wstała i uchyliła okno, po czym usiadła z powrotem za biurkiem.

– Nie jestem z nim na tyle blisko, żeby mi się zwierzał z problemów. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Arka chyba nikt tak do końca nie poznał. Zawsze był trochę autsajderem, choć ostatnio to już wybitnie. – Ponownie zaczęła przetrząsać szuflady. – Gdzie jest ten cholerny zeszyt? Mam! Niech pan sobie odpisze. – Wręczyła Walterowi kołonoatnik z zaznaczonym adresem.

Walter telefonem zrobił zdjęcie fragmentu strony.

– Bardzo pani dziękuję – i za adres, i za informacje o doktorze Zarębie.

– Nie ma za co. Kurczę, mam tylko nadzieję, że mu nie zaszkodziłam! – Nawara zrobiła zatroskaną minę.

– Proszę się nie obawiać. Jest okej. W razie czego proszę do mnie dzwonić. – Walter wręczył jej wizytówkę.

– Jasne, jasne. Jak w tych filmach.

– Dokładnie. Jak w filmach. – Mrugnął porozumiewawczo i wyszedł.

Gdy kilka minut później, w połowie drogi do miejsca zamieszkania doktora Zaręby, odebrał telefon, nie przypuszczał, że znów usłyszy głos doktor Kai.

– Właśnie dzwoniła żona Arka. Pytała, czy mąż jest na dyżurze – od razu

przeszła do rzeczy. – Nie wiem więc, czy ma pan tam po co jechać.

– No cóż, muszę się nad tym zastanowić, ale dziękuję za informację – odparł komisarz.

– Nie ma za co. A czy umówiłby się pan ze mną na kawę? – ni stąd, ni zowąd padło pytanie.

Walter stanął na światłach. Milczał, trzymając telefon przy uchu. Po chwili zapaliło się zielone światło i ktoś zaczął za nim trąbić.

– Zamurowało pana? Nikt pana nigdy na kawę nie zaprosił?

– Nie... To znaczy tak... – odparł, nie wiedząc, co z tym zrobić. Rany sprzed paru miesięcy jeszcze się nie zagoiły.

– No to nie czy tak?

– Bardzo chętnie. – Nie wierzył we własne słowa.

– Zadzwoń jutro i się umówimy. – Nawara bez słowa pożegnania skończyła rozmowę.

ROZDZIAŁ 18

Katowice, 5.05.2015

Aspirant Adrian Szutkowski, z papierową teczką pod pachą, przeskakiwał po dwa schody, zbiegając na parking pod komendą wojewódzką. Nareszcie coś się działo – warszawski typek dał mu konkretną robotę. Nie jakieś łązenie po knajpach i wypytywanie zblazowanych barmanów, tylko poważną sprawę. Miał się zająć tym pedziem Halinem. Pedzio Halin i pedzio Dębski wykończeni w jedną noc! Jedną? Szutkowski zastanawiał się chwilę. No, w każdym razie dwie cioty były *dead*, a on miał się przyczynić do rozwiązania sprawy. Może mu się uda i pokaże temu ciulowi z Warszawy, kto tu powinien rządzić? Ech, gdyby tak pierwszy ujął sprawcę... Najpierw dyskretnie podziękowałby mu za niewielki, acz zawsze, wkład w oczyszczenie tego świata z dwóch wstrętnych pedryłów, a potem, skutego w kajdankach, postawił przed wujem prokuratorem. Ech!

Dzielnica willowa położona po wschodniej stronie ulicy Kościuszki w Katowicach, poniżej parku tego samego patrona, najlepsze czasy miała już za sobą. Zbudowana w połowie lat pięćdziesiątych, długo była symbolem luksusu i nobilitacji. Kiedy spółdzielcze trzydzieści metrów kwadratowych w ponurym, betonowym blokowisku dla większości społeczeństwa było szczytem marzeń, brynowskiel osiedle zapewniało ówczesnym elitom socjalistycznego państwa komfort i wygodę jednorodzinnych domów. Dzisiaj podniszczone szarobure sześciany, oddzielone wąskimi uliczkami i ogródkami, dla sporej części mieszkańców, często już w podeszłym wieku, były skarbonką, z której ktoś ukradł dno. Zdarzało się jednak, że wśród jednolitej masy tynkowej szarości jakiś sprytny deweloper wypatrzył kawałek niezabudowanego gruntu – wtedy tu i ówdzie, niczym nowa, kolorowa zabawka wrzucona pomiędzy stare klocki, wyrastały dwu- lub trzypiętrowe apartamentowce. Mimo mało atrakcyjnego sąsiedztwa ze względu na lokalizację cieszyły się sporym powodzeniem. Przed jednym z nich stał teraz aspirant Adrian Szutkowski, podstawiając pod obiektyw wideofonu policyjną legitymację.

– Równie dobrze mógłbyś mi pan pokazać legitymację klubu Myszki Miki, bo w tym szajsofonie i tak gównu widzę. Czego pan chcesz? – zacharczał kobiecy głos, zniekształcony przez głośnik.

– Czy rozmawiam z panią Dolores Halin? – zapytał Szutkowski.

– Tak.

– Aspirant Adrian Szutkowski. Chciałbym porozmawiać o pani mężu. O panu Halinie. – Dodał chowając dokument do kieszeni.

– A myślisz pan, że mam jeszcze jakiegoś innego?

– Co? Kogo innego? – Na czole Szutkowskiego pojawiła się pionowa bruzda.

– Nieważne. W każdym razie już mnie odpytali. Nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać.

– Proszę mnie wpuścić. – Aspirant starał się, aby jego głos zabrzmiał zdecydowanie. – Nie będziemy przecież dyskutować przez domofon.

W progu drzwi, oparta o framugę, stała zadbana kobieta. Szutkowski oszacował ją na pięćdziesiąt plus – ze zdecydowaną przewagą plusa. Natychmiast też ocenił, że figury mogłaby jej pozazdrościć niejedna dwudziątka, a chirurg, który zrobił jej twarz, pewnie zarabiał kokosy. Tylko szyja i dłonie kobiety zdradzały wiek, który tak bardzo chciała ukryć. Dolores Halin taksowała aspiranta Szutkowskiego tak bezceremonialnie, że ten poczuł się jak afrykański niewolnik na licytacji w osiemnastowiecznej Alabamie.

– Czym mogę służyć, młodzieńcze? – zapytała, ukazując w uśmiechu śnieżnobiały rząd idealnie równych zębów.

– Aspirant Adrian Szutkowski, jestem...

– Tak, już pan mówił – weszła mu w słowo. – Co mogę dodać, oprócz tego, co już powiedziałam pańskiemu koledze?

Koledze? Dlaczego ja, kurwa, nic o tym nie wiem? – pomyślał Szutkowski.

– Niestety nie wiedziałem, że moi koledzy już z panią rozmawiali, w związku z czym nie wiem też, na jakie pytania pani odpowiadała. Ale będę wdzięczny, jeśli zechce pani zamienić ze mną kilka zdań.

Dolores Halin milczała. Wyglądała, jakby w myślach ważyła jakąś decyzję. Jej nieziemsko niebieskie, otoczone ciężkimi od tuszu rzęsami oczy ponownie przeskanowały speszonego gościa.

– Wchodź pan, aspirancie – zdecydowała w końcu.

Salon, w którym Dolores Halin posadziła Szutkowskiego, miał powierzchnię przewidzianą przez władze Polski Ludowej dla dwóch czteroosobowych rodzin z psem. Na środku salonu, na idealnie wypolerowanej marmurowej posadzce, pysznił się śnieżnobiały fortepian. Na pokrywie instrumentu, oprawione w przeszklone ramy, stały złote płyty oraz kilka zdjęć. Na większości fotografii Dolores Halin uwieczniono wraz z innymi sławami lat dziewięćdziesiątych oraz pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku. Nie zabrakło nawet pewnego wesołego prezydenta, z którym wywijała dzikie tańce na scenie w czasie kampanii wyborczej. Dlaczego fortepian, a nie keyboard? – pomyślał Szutkowski. W końcu Dolores Halin sprzedała tysiące kaset magnetofonowych i płyt CD, bynajmniej nie z muzyką Chopina, tylko z przebojami wpadającymi w polskie uszy – z prostymi

słowami i jeszcze prostszym przesłaniem: na temat miłości, chłopaków i pluszowych misiów. A wszystko w czteroakordowej wersji disco z nadwiślańskim prząsnym rytmem. Może po prostu fortepian pasuje do wystroju wnętrza? Aspirant rozejrzał się dookoła, konstatując, że sam w miejsce wielgachnego instrumentu wstawiłby stół bilardowy, który ma zdecydowanie więcej praktycznych zalet: od gry z kumplami przy whisky i dobrych cygarach do imprezy z panienkami, przyjmującymi bilardowe kule pomiędzy smukłe, gładkie uda.

Po kilku minutach Dolores Halin wkroczyła do salonu, niosąc na tacy dwie szklanki wypełnione lodem i przezroczystym płynem. Zauważył, że jej satynowa bluzka ma teraz odpięte dodatkowe dwa guziki, ukazując brzeg czarnego, koronkowego stanika.

– Proszę, niech pan się napije. – Wręczyła mu zmrożoną szklankę. – Tylko bez żadnych „jestem na służbie” czy coś w tym stylu, dobra? – dodała, mrugając porozumiewawczo.

Szutkowski wzruszył ramionami i pociągnął solidny łyk. Dżin z tonikiem. Dobry. Być może beefeater. Taki, jak lubił, zaraz po jacku daniel’sie. Gdy odstawił szklankę na stół, była już w połowie pusta. Zauważył, że Dolores Halin też nie próżnowała.

– Kiedy ostatni raz widziała pani męża? – zapytał, czując nadchodzące rozluźnienie.

Gospodyni wzruszyła ramionami.

– Ze dwa tygodnie temu? – odparła niepewnie.

– Nie mieszkaliście razem?

– Od jakiegoś roku już nie.

– Rozwód?

– Nie, formalnie nadal pozostawaliśmy małżeństwem. Mnie nie tak łatwo wydymać.

– Och! – Szutkowski zachnął się na myśl o tym, co wypisują o niej internetowe brukowce. Zaraz jednak, próbując zamaskować niezręczność, dodał: – Co pani przez to rozumie?

– To Sebastianowi zależało na rozwodzie. Ożenił się ze mną dla kasy, to było jasne od samego początku i dla niego, i dla mnie. Ale nawet przy tego typu transakcji obowiązuje pewna lojalność, o czym mąż, od niedawna świętej pamięci, najwyraźniej zapomniał.

Aspirant sięgnął po zroszoną szklankę. Na blacie pod nią pozostał mokry ślad. Wypił resztkę drinka i zanim zdążył odstawić pustą szklankę, gospodyni przejęła ją i wyszła z salonu. Po kilkadziesiąt sekund wróciła z kolejnymi dwoma drinkami. Szutkowski czuł się już całkiem rozluźniony i pewny siebie. Dolores Halin, gwiazda estrady i kanału Disco Polo, nie peszyła go już tak jak na początku. Co więcej – zaczął sobie uświadamiać, że mu się podoba, że patrzy na

nią jak na potencjalną zdobycz i że od kilku minut snuje o niej pikantne fantazje. Zaczął nawet odnosić wrażenie, że Dolores też spogląda na niego innym wzrokiem. Poczł mrowienie w okolicach krocza i speszył się. Na taki poziom wyluzowania jeszcze nie był gotów. Zmienił pozycję i założył nogę na nogę, mając nadzieję, że kobieta tego nie zauważyła. Niestety – widziała. Gdyby nie uciekł wzrokiem, dostrzegłby, że lekko się uśmiechnęła. Szczerze i bez ironii. Odchrząknęła dwa razy, po czym przeplukał drinkiem widmową przyczynę drapania w gardle.

– Czy mówi pani coś nazwisko Robert Dębski? – zapytał pomiędzy kolejnymi łykami.

– Oczywiście. To kochanek i współnik Sebastiana – odparła obojętnie.

– Kochanek? Mówi pani o tym tak, jakby to pani nie przeszkadzało.

– Bo tak było. Sebastian miał swojego kochanka, a ja miałam swoich. Taki układ. – Uśmiechnęła się i puściła do Szutkowskiego oko.

„Swoich”, powtórzył w myślach aspirant. Czyli było ich wielu, zdradzali się nawzajem. Dlaczego więc nie chciała dać mężowi rozwodu?

– Nie rozumiem tu czegoś. Dla...

– Dlaczego nie chciałam mu dać rozwodu?

– No... tak. Dlaczego?

– Bo ten dureń się w nim zakochał. Pukanko na boku? Okej. Nawet z samcami? W porządku, nie ma sprawy. Pieprzenie się przez całe życie tylko z jedną osobą w końcu każdemu się znudzi. Ja to rozumiałam i popierałam. Sama mam kilku kochasiów, ale u mnie to jest tylko seks, ostre, sportowe rżnięcie, a potem „pa, pa” i do domu. Mój durny mąż jednak się zakochał. – Z jej opanowania i seksapilu, który przed chwilą oplatał Szutkowskiego niczym macki ośmiornicy, pozostało tylko wspomnienie. – I jak zakochany dureń postanowił mnie zostawić. Mnie?! – Halin upiła kilka łyków drinka. – Mnie się nie zostawia! To ja, kurwa, zostawiam! – Niemalże wykrzyczała ostatnie zdanie, po czym prychnęła jak kotka i łapczywie pociągnęła ze szklanki.

Oddychała głęboko. Była wyraźnie wzburzona. Jej pełne piersi, wylewające się znad koronki stanika, unosiły się i opadały. Szutkowski pomyślał, że właśnie przyznała, iż miała bardzo dobry powód do wysłania męża na tamten świat. Co więcej – jej zemsta być może dosięgła nie tylko wiarołomnego cioto-męża, ale też jego cioto-kochanka. Tylko czy ta w sumie drobna kobietka mogłaby podołać dwóm sporym facetom? Obaj byli naszprycowani, zgodnie z raportem od Widery dostali w żyłę, a to nie takie hop-siup jak wlanie jakiegoś świństwa do drinka.

– Gdzie pani była wczoro... – Zaraz, zaraz, zaczął gorączkowo myśleć. Kiedy właściwie go... ich znaleźli? Kurde, mocne te jej drinki! – Gdzie pani była dwa dni temu? – Zauważył, że Halin znów jest spokojna i patrzy na niego... uwodzicielsko? Mógłby przysiąc, że między jej wargami dostrzegł przemykający różowy czubek języka.

– Pan myśli, że to ja? – zapytała, zasłaniając dłonią usta, jakby powstrzymywała się przed parsknięciem.

– Oczywiście, że nie! – zaprzeczył pośpiesznie, odchrząknął i dodał: – To czysta formalność.

– Ostatnie cztery dni spędziłam w Zakopanem. Byłam tam razem z moim osobistym trenerem. On oczywiście może to potwierdzić.

Słyszając, że Dolores Halin ma alibi, Szutkowski poczuł dziwną ulgę. W powietrzu wyraźnie unosiła się feeria feromonów, a on nie zamierzał przepuścić nadarzającej się okazji. Byłoby jednak koślawo, pewnie nawet nielegalnie, choć tego nie był pewien, wychędożyć podejrzaną o dwa zabójstwa. Oprócz ulgi poczuł napięcie w podbrzuszu. Wypełniony dżinem i tonikiem pęcherz domagał się opróżnienia.

– To dobrze, bardzo dobrze. – Pokiwał głową. – Wszystko jasne.

– Nie jestem już podejrzaną? Szkoda, bo jeszcze nigdy nie byłam zakuta w kajdanki. – Halin wyciągnęła przed siebie ręce i uśmiechając się, lekko przekręciła głowę.

Szutkowski wstał i wygładził nogawki spodni. W głowie poczuł lekki szum. Dwa drinki i takie uderzenie? Przeszło mu przez myśl, że zaraz skończy tak jak tamtych dwóch.

– Muszę do toalety – stwierdził.

– Oczywiście, zaprowadzę pana.

Kobieta ujęła jego dłoń i pociągnęła za sobą. Schodami z finezyjnie kutą balustradą weszli na piętro. Dolores pchnęła drzwi i znaleźli się w kremowo-złotej sypialni. Podobnie jak w salonie, centralne miejsce pomieszczenia zajmował gigantyczny mebel. Tym razem jednak było to łóżko z baldachimem, na którym komfortowo wyspałaby się drużyna harcerzy.

– Przepraszam, ale ja naprawdę muszę do toalety – stęknął Szutkowski, zatrzymując holującą go Halin.

– Przecież wiem – odparła i pchnęła kolejne drzwi, za którymi znajdowała się łazienka w stylu rokoko, godna samej księżnej.

Gdy Szutkowski wreszcie został sam, zaczął nierówną walkę z rozporkiem. Sklął w duszy pedziowatowego sprzedawcę, który namówił go na zakup garnituru uszytego według najnowszych trendów męskiej mody – w rozporku spodni, zamiast starego, dobrego suwaka, umieszczono chyba z pół tuzina guzików, małych jak pieprzone jednogroszówki. Drugą batalię stoczył ze spodenkami. Szeroka guma z imieniem i nazwiskiem amerykańskiego dyktatora mody wylądowała wysoko powyżej paska spodni.

– Kurwa! – Przeszupując z nogi na nogę, wsunął dłoń w rozcapierzony rozporek spodni od Pierre'a Cardina. Ugiął kolana i desperacko zaczął poszukiwać brzegu gumki. Gdy w końcu mu się udało, zwieracz nie wytrzymał – początkowy

strumień bladożółtego moczu wylądował na posadzce o barwie kości słoniowej. Gdy skończył, odetchnął z ulgą, wytrzepał małego i spojrzął na niewielką kałużę u podstawy sedesu. W sumie nie widać, pomyślał, ale na wszelki wypadek zdjął buta i roztarł kałużę skarpetką. Zerknął w umieszczone obok sedesu lustro. Trochę kręciło mu się w głowie, ale wzrok miał OK, więc babka chyba nie truje. Uśmiechnął się do siebie. Poruszył palcami u stopy, sprawdzając, czy skarpetka nie jest zbyt mokra, po czym otworzył drzwi prowadzące wprost do sypialni Dolores Halin.

Naga gwiazda disco polo leżała na wielkim łóżku. Jej bielizna i ubranie były porzucane po całej podłodze.

– Powiem ci coś, czego nie powiedziałam temu durniowi, który mnie wypytywał przed tobą – odezwała się zmysłowo.

Szutkowski i Halin leżeli na obszytych złotą lamówką poduchach. Oboje trzymali w dłoniach szklanki z drinkami, opierając je na swoich nagich brzuchach. Aspirant odwrócił głowę w stronę kochanki.

– Chciałaś mi coś powiedzieć? – zapytał.

Był zadowolony. Nie spodziewał się takiego seksu. Nie myślał, że dziś doświadczy rozkoszy, o których dotychczas tylko myślał lub oglądał na pornograficznych portalach internetowych. Pomyślał też, że musi wykopać swojego kundla na zbity pysk, bo po dzisiejszym sierściuch nie ma już czego u niego szukać.

– Powiem ci, bo choć mój Sebastian, ten kawał fiuta i dziury w dupie, chciał mnie zostawić, to mimo wszystko go lubiłam. Może nawet kochałam... – Dolores zamyśliła się nad swoimi słowami.

– Mów, moja droga – zachęcił Szutkowski, zataczając palcem kręgi wokół jej sutka.

– Ktoś mu groził. – Kobieta zmrużyła oczy, bo ogarnęła ją kolejna fala podniecenia.

– Kto taki? – Aspirant powstrzymał pieszczotę.

– Widzisz tę komodę? – Wskazała ręką. – W górnej szufladzie jest album ze zdjęciami. Przyniesiesz?

Szutkowski podszedł do komody. Rzeczywiście w szufladzie leżał album. Był opatrzony logo nieznanej mu firmy.

– Ten? – upewnił się.

– Tak. To zdjęcie będzie zaraz na pierwszej stronie. Otwórz – poprosiła kobieta, gdy znalazł się z powrotem obok niej.

– Co to za impreza? – Na fotografii, upozowana do wspólnego zdjęcia, stała grupa kilkudziesięciu mężczyzn i kobiet. Nad ich głowami rozciągał się baner

z tym samym logo i nazwą firmy, które wcześniej Szutkowski dostrzegł na okładce albumu.

– Kilka lat temu ta firma – Dolores wskazała palcem na baner – zaprosiła nas na rejs po Bałtyku. Mówię ci, ale było! – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Co to za firma?

– To nie jest ważne. Producent czegoś tam. Ważny jest ten facet. – Wycelowała paznokiec w mężczyznę stojącego w drugim rzędzie.

Wysoki blondyn, około pięćdziesiątki, w odróżnieniu od reszty towarzystwa miał minę, jakby impreza, na której się znalazł, była uciążliwym obowiązkiem, a nie okazją do darmowej wyzerki, popijawy i nawiązania kontaktów biznesowych.

– Co to za gość?

– Zanim Sebastian na dobre się ode mnie wyprowadził, któregoś dnia wyznał, że ten facet mu grozi. Wyglądał wtedy na mocno przestraszonego, i to całkiem na serio.

– Powiedział, dlaczego mu groził?

– Zapytałam o to samo, ale tylko przebaknął, że weszli sobie w paradę, że tamten go oskarża o milionowe straty w swojej firmie i że się z nim policzy.

– Tylko tyle? Żadnych szczegółów?

– Wspomniał jeszcze coś o handlu węglem, ale nic więcej nie wiem. – Halin zarzuciła na siebie kołdrę.

– A może wiesz, jak znaleźć tego gościa?

– Daj swoją komórkę.

Szutkowski wychylił się za brzeg materaca w poszukiwaniu spodni. Znalazł je, wyjął z kieszeni smartfona i podał go Dolores, która wstukała coś w oknie wyszukiwarki internetowej.

– Facet jest właścicielem tej firmy. – Pokazała wyniki wyszukiwania. – Poczytaj sobie, a ja idę przypudrować nos.

Gdy wstała i ruszyła w stronę łazienki, Szutkowski nie omieszkał otaksować jej wzrokiem. Potem zaczął przeglądać stronę internetową. Po dwóch minutach wybrał numer swojego wuja. Tak jak mu nakazał. Najpierw ma zdawać relacje jemu, potem Walterowi.

– Mówi ci coś to nazwisko? – zapytał po tym, jak pobieżnie wtajemniczył Jarzábka w sytuację.

– Jak od niej wyjdiesz, przyjedź prosto do mnie, rozumiesz? – usłyszał w odpowiedzi. Ton głosu wuja nie pozostawiał wątpliwości, że mówi poważnie. Cholernie poważnie.

– Rozumiem – odparł Szutkowski i rozłączył się.

– Wszystko w porządku? Masz taką zatroskaną minę – usłyszał w tej samej chwili.

Dolores Halin stała w progu łazienki. Miała na sobie blad różowy szlafrok.

- Muszę lecieć. – Wskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. – Robota – dodał.
- Przyjdiesz jeszcze?
- Pewnie, że przyjdę. – Aspirant uśmiechnął się lubieżnie.
- To dobrze, bo mam jeszcze sporo pomysłów w zanadrzu, mój koniku.
- Powiedz mi jeszcze jedno – rzucił, wzuwając buty. – Sebastian przyjął po ślubie twoje nazwisko. Dlaczego?
- Halin brzmi lepiej niż Purchawka.
- 1 Brynów – dzielnica Katowic.

ROZDZIAŁ 19

Katowice, 6.05.2015

Walter i Luiza Steiner siedzieli w pubie kilka przecznic od galerii, w której się poznali. Ku zdziwieniu komisarza tego ranka kobieta odpowiedziała na jego wiadomości, proponując spotkanie. Lokal, podobnie jak galeria, w której go zaczepiła, wydawał się fragmentem innego świata – wciśnięty w szarość nieotynkowanych robotniczych kamienic, spękane płyty betonowego chodnika i zszarzała pod brzemieniem czasu czerwień klinkieru nawierzchni ulicy – przypominał lekko zwiędły, choć wciąż żywy kolorem kwiatek w butonierce starej robotniczej marynarki. Jeśli nie liczyć barmana i przysypiającego nad książką starszego mężczyzny, byli sami. Muzyka sączyła się z głośników na tyle cicho, że mogli się wzajemnie słyszeć, ale wystarczająco głośno, by jakieś wścibskie uszy nie wyłapały treści ich rozmowy.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytała Luiza.

– Fejs.

– No tak – prychnęła.

– Ile masz lat?

Barman przyniósł colę dla niego i lampkę białego wina dla niej.

– Tego nie było na fejsie? Za dwa miesiące kończę dwadzieścia. – Dziewczyna zaczęła kręcić stopką kieliszka.

Walter badawczo spojrział na młodą kobietę, uważającą się za jego bratanicę. Chociaż na jej twarzy nie gościł już ten rozbrajająco kusicielski uśmiech, jakim go uraczyła w galerii, musiał przyznać, że była niesamowicie atrakcyjna. Jasne naturalne włosy kontrastowały z ciemnoszafirowymi oczami, podkreślonymi czarną maskarą i grubym łukiem brwi. Czarna sukienka ściśnięta w talii cieniutkim paskiem podkreślała jej smukłą sylwetkę, a drobne piersi były kusząco ściśnięte w staniku push-up.

– Czyli urodziłaś się dwa lata po tym, jak Kostek...

– Tak, dwa lata po wyjściu mojego ojca z więzienia.

Był zaskoczony taką reakcją. Dziewczyna potwierdziła właśnie, że zna przeszłość swojego ojca. Ale czy całą? Jej chłodny ton, sposób, w jaki to powiedziała, mogły sugerować, że wie więcej. Celowo lub nie – swoimi słowami zadała mu ból. Chociaż Kostek sam sobie zgotował taki los, Walter zawsze czuł się współwinnym tego, co się wydarzyło dwadzieścia cztery lata temu.

– Nie nosisz jego nazwiska. – Postanowił na razie nie drążyć przeszłości.

– Ty też – odpaliła natychmiast.

Rozmawiał z nią od jakichś dwudziestu minut, ale zdążył się zorientować, że ma niewyparzony język. Wiedział też, że nie zaczepiła go z zamiarem rzucenia się na szyję odnalezionemu wujowi – i mimo wszystko, albo właśnie z tego powodu, zaczął do niej czuć coś zbliżonego do sympatii.

– Na razie pomówmy o tobie – odparł, nie dając się zbić z pantafelku.

– Sprawdzasz mnie? – Uśmiechnęła się ironicznie. – Pewnie myślisz, że kłamię?

– Zaczepia mnie bratanica, której istnienia nie byłem nawet świadom, i mam jej uwierzyć na słowo harcerza? – Odwzajemnił uśmiech.

– A więc to, że siedział, wymyśliłam?

– Tego nie powiedziałem.

– A co powiedziałeś?

– Dlaczego nie nosisz jego nazwiska? – powtórzył pytanie.

– Nie ożenił się z mamą. Stwierdziła, że Steiner brzmi lepiej niż Kołeska.

A ty?

– Co ja?

– Walter nie brzmi jak Kołeska. – Dopiła wino i gestem poprosiła barmana o kolejny kieliszek.

– Jak mnie znalazłaś? Skąd wiedziałaś, że będę w tej galerii?

– Ty nie odpowiedziałeś na żadne moje pytanie, a ode mnie oczekujesz, że będę nawijać jak katarynka? – Upiła łyk z nowego kieliszka.

– To nie ja wylałam na ciebie drinka – odparł komisarz, wzruszając ramionami.

– To była woda. Nie chciałam zniszczyć ci gangola.

– Czego?

– Gajera, ubrania. Zresztą nieważne. Zapomnij.

– Skąd wiedziałaś? – zapytał jeszcze raz.

– Bo to taka wielka, kurwa, tajemnica, że gwiazda policji, szeryf z Warszawy przyjeżdża na Śląsk, aby ścigać bandytów i złodziei – sarknęła.

Walter nachylił się przez stół – tak blisko, że poczuł z jej ust woń wina.

– Lusia, od dwudziestu dwóch lat nazywam się Roman Walter. Od dwudziestu dwóch lat nie utrzymuję kontaktu z Kostkiem. Skąd wiesz, że jestem jego bratem?

– Tylko nie Lusia! Nienawidzę tego kretyńskiego zdrobnienia. Brzmi jak z jakiegoś pieprzonego przedwojennego filmu. Po prostu Luiza, okej?

– Okej, niech będzie Luiza – przytaknął Walter obojętnie.

– Nazwisko zmieniłeś, gęby nie. Rozpoznałam cię w telewizji. Pokazywali cię po tej sprawie z facetem, który na bani zabił kilka osób na przystanku. Wyřęczyłeś wtedy sąd, wuju, co nie? – Panna Steiner uśmiechnęła się, puszczając oko. – Pójdę przypudrować nos – rzuciła i wstała od stolika.

O tym nie pomyślał. Zupełnie zapomniał, że przez jakiś czas pismaki i wszelkiej maści poszukiwacze sensacji deptali mu po piętach, wręcz włązili z butami w jego prywatne życie. Jedni próbowali wykreować go na bohatera narodowego, który własnoręcznie uwalnia świat od mętów, drudzy kleili mu etykietę nieodpowiedzialnego i niebezpiecznego prawnicowego Brudnego Harry'ego, stawiającego siebie ponad wymiar sprawiedliwości. Damian Jaszczuk. Walter prowadził jego sprawę. Damian, syn Roberta, znanego w środowisku gangsterskim jako Miotła, pijany i nabuzowany barbituranami, dosłownie zmiotł z powierzchni przystanek autobusowy razem z kilkoma czekającymi na przewóz pasażerami. Wśród nich była młoda kobieta z dwójką dzieci. Żadne nie przeżyło. Jaszczuk nawet nie wysiadł ze swego subaru. Po kilku kilometrach porzucił samochód i pieszo wrócił do domu. W areszcie śledczym spędził trzy doby. Decyzja o poręczeniu majątkowym została podjęta w bezprecedensowo szybkim trybie i chłopak mógł wrócić do domu ojca. Media huczały. Najpierw z powodu zgody sądu, aby oskarżony odpowiadał z wolnej stopy, później – gdy wyrokiem pierwszej instancji został uniewinniony. Zeznania świadczących na niekorzyść Jaszczuka zostały podważone, a twarde alibi zamknęło sprawę – Damian Jaszczuk feralnego wieczora brał udział w bankiecie zorganizowanym przez swego ojca, co zostało potwierdzone przez wiarygodnych świadków. Subaru, które prowadził nieznany sprawca, poprzedniego dnia zostało skradzione, czego Damian lekkomyślnie nie zgłosił, obawiając się ostrej reprymendy ze strony ojca. Prokuratura zapowiedziała apelację, a młody Miotła wrócił do radosnego świata lansu i wiecznego haju. Tamtego wieczora, gdy Walter zobaczył, jak imprezuje w towarzystwie plastikowych panienek i wyciętych z żurnala żigolaków, nie wytrzymał. Kilka uprzednio wypitych drinków i frustracja, która nie opuszczała go od ogłoszenia wyroku, zrobiły swoje. Chciał go tylko zapytać, jak się czuje, czy dobrze się bawi i czy potrafi spać w nocy. Wywiązała się pyskówka, zaraz potem szarpanina, Jaszczuk znieścacka wyjął broń. I stało się. Chłopak zginął postrzelony z własnego pistoletu. Śledztwo potwierdziło, że Walter działał w samoobronie. Ale Robert Jaszczuk i niektóre media uwierzyli w lincz. Wkrótce komisarz słono za to wszystko zapłacił.

– Więc dlaczego zmieniłeś nazwisko? – Luiza wróciła, wrywając go z zamyślenia. – Tak bardzo chciałeś się odciąć, schować przed swoim bratem?

Do stolika podszedł barman i postawił przed dziewczyną trzeci kieliszek wina, a przed Walterem szklanekę wody. Trochę go to zdziwiło, bo niczego nie zamawiał. Może ona to zrobiła, gdy kilka chwil wcześniej poszła do łazienki.

– Przed nikim się nie chowam, a zwłaszcza przed moim bratem. To on zniknął. Zapytaj go o dziadka i o to, co nam zrobił. Zapytaj, czy pamięta jeszcze mamę, twoją babcie. Jej panięskie nazwisko brzmiało Walter.

– A ty nie zapytasz, co u niego słychać? – Luiza podniosła kieliszek

i duszkiem wypięła całą zawartość.

– Powiedz. Chętnie posłucham.

– Wpadnij do nas i sam sprawdź – odparła i wstała, potrącając szklanke z wodą.

Bez słowa pożegnania czy przeprosin skierowała się do wyjścia. Woda rozlała się po stole w nieregularną kałużę. Walter zauważył, że wstając, dziewczyna lekko się zachwiała. Ktoś inny mógłby pomyśleć, że to wina wysokich obcasów czy niewystarczająco odsuniętego krzesła. Ale nie on. On wiedział, co za tym stoi. Miał to wszystko za sobą – i w sobie.

Odprowadził ją wzrokiem. Już nie sprawiała wrażenia podpitej. Szła, pewnie stawiając kroki, zręcznie lawirując pomiędzy stołami. Może była to kwestia samokontroli, zręcznie maskowanego stanu zachwiania po kilku kieliszkach. A może po prostu był przeczulony.

Gdy zniknęła za drzwiami, kątem oka dostrzegł, że od stolika położonego na drugim końcu lokalu odeszło dwóch mężczyzn. Już wcześniej zwrócił uwagę, że ich obserwują. Jeden wyglądał na równolatka jego bratanicy, a drugi przekroczył trzydziestkę, choć pewnie nie dalej jak trzy, cztery lata temu. Młodszy był typem luzaka – w spodniach z jasnoniebieskiego denimu i granatowej bawełnianej bluzie z kapturem, narzuconej na T-shirt z wielkim napisem „Freak” na piersi. Miał rozczochrane, proste, długie do ramion włosy, które układały się w bezładnie pogrupowane pasma. Wyglądał trochę jak wielbiciel grunge’u i czasów Kurta Cobaina, a trochę jak ktoś, kto dopiero co wywlókł się z łóżka. Jego kompan prezentował się zgoła odmiennie. Walter w myślach opisał go dwoma słowami: niewymuszona elegancja. Był ubrany w szary, idealnie skrojony garnitur, pod marynarką nosił rozpiętą na trzy guziki białą koszulę. Całość uzupełniała jedwabna poszetka na pozór niedbale wpuszczona w górną kieszonkę marynarki. Z początku pomyślał, że tych dwóch, jak zwykli robić faceci na całym świecie, najzwyczajniej ocenia urodę siedzącej z nim dwudziestolatki, i najzwyczajniej ich zignorował. Ale teraz jego gliniarski instynkt wskoczył na najwyższy poziom czujności. Nie było wątpliwości, że ruszyli śladem Luizy.

Położył na stole pięćdziesięciozłotowy banknot i podążył w ślad za nimi.

ROZDZIAŁ 20

Katowice, 6.05.2015

Ulica świeciła pustkami. Omiótł wzrokiem obie strony – nic. Ani dziewczyny, ani dwóch dziwnych typów. Nawet spóźnionych nocnych przechodniów czy przejeżdżających samochodów. Gdyby nie uliczne latarnie i poświata ekranów telewizorów, tańcząca na szybach nielicznych okien, ulica wyglądałaby na zupełnie martwą.

Nagle kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym stał, w zaparkowanym samochodzie zapaliły się światła. Rozbłysnął też kremowożółty plastikowy plafon z napisem „taxi”. Walter podbiegł do auta i zapukał w szybę. Kierowca upstrzonego plamami rdzy volvo 850 uchylił okno. Na tyle, aby rozmawiać, lecz nie dość, by pozwolić potencjalnemu napastnikowi sięgnąć do środka. Spojrzał na komisarza pytająco.

– Kilka minut temu z pubu wyszła kobieta – zaczął Walter. – Dwudziestolatka – sprecyzował. – Zaraz za nią wyszło dwóch gości. Widział pan, dokąd poszli?

Taksówkarz wrzucił ramionami i bez słowa zaczął zamykać okno. Nie minęły jednak dwie sekundy i aż podskoczył na swoim siedzeniu. O przednią szybę szwedzkiego mastodonta uderzyła policyjna blacha. Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt metalu o szkło. Kierowca, mląc w ustach przekleństwo, z impetem otworzył drzwi. W tej samej chwili Walter cofnął się o krok i uchylił połę marynarki.

– Co pan, kurwa?! Przypierdolić pa... – Taryfiarz urwał w pół słowa.

Błysk światła z ulicznej latarni padł na rączkę spoczywającego w kaburze glocka. Walter powtórzył pytanie i podstawił facetowi pod nos swoją odznakę.

– Aleś mnie pan, kurwa, przestraszył! Ja pierdołę! Nie cierpię tej okolicy. Pełno tu chacharstwa, a pan mi jeszcze w szybę tłucze.

Komisarz pochylił się tak, że ich głowy znalazły się na tym samym poziomie. Włożył rękę do kabiny auta i zacisnął dłoń na spoconym karku kierowcy.

– Czy pan myśli, że chcę wysłuchiwać tych bredni? – zapytał wyzutym z emocji głosem, wzmacniając uścisk. – Otóż nie chcę. Nie interesuje mnie, czyś pan się zesrał w gacie, czy naszczał na fotel tej kupy złomu. Chcę tylko odpowiedzi na moje pytanie. Mam je powtórzyć?

Taksówkarz, który w normalnych okolicznościach nie darowałby nikomu podobnej obelgi, położył uszy po sobie i delikatnie, z wyczuciem, jakby chodziło o strząśnięcie kobiecej dłoni, chwycił Waltera za przegub ręki.

– Puść pan, proszę! To boli – jęknął i natychmiast dodał: – Tak, widziałem. Poszli w kierunku centrum.

– Nie można było tak od razu? – rzucił Walter z wyrzutem i wsiadł do samochodu. – Jedź pan w kierunku, w którym poszli.

Taryfiarz wzruszył ramionami, potarł kark i ruszył w stronę centrum Katowic.

W miarę jak zbliżali się do centrum, nocne miasto nabierało więcej światła i życia. Witryny sklepowe, kolorowe neony, gęstsze i jaśniejsze oświetlenie uliczne oraz czynne mimo późnej pory lokale gastronomiczne były jak żywa tkanka organizmu, której nie dosięgnęła jeszcze gangrena atakująca peryferie. Walter nakazał taksówkarzowi jechać nie szybciej niż trzydzieści kilometrów na godzinę. Lustrował każdą mijaną przecznicę, zaglądał w każdą bramę. Powoli zaczęło do niego docierać, że mimo wyludnionych o tej porze ulic chyba przecenił szansę znalezienia Luizy w miejskim gąszczu. Mogła wejść do którejkolwiek z klatek schodowych albo wsiąść do tramwaju. A może po prostu przesadził? Może cały ten pościg był jedną wielką farsą?

– Długo będziemy jeszcze krążyć? – Taksówkarz miał chyba podobne wątpliwości. – Wie pan, ja już w zasadzie na dziś skończyłem...

W pierwszym odruchu Walter chciał odwarknąć, żeby się zamknął, ale zmienił zdanie. Niespodziewanie dla niego samego zrobiło mu się żal w sumie już nie najmłodszego człowieka. Może zbyt ostro go potraktował? Może powinien bardziej pracować nad emocjami? Wykrzesać więcej empatii i opanowania, kiedy są niezbędne? Już tyle razy obróciło się to przeciw niemu, a raz, ten nieszczęsny jeden raz, doprowadziło do tragedii, która zabrała mu wszystko i wrzuciła w toń alkoholu, w której pływał przez ponad dwa lata.

Wjechali na rondo okalające plac Wolności z pomnikiem w centralnym punkcie. Zewnętrzzną stronę placu porastały rzadkie krzewy, między którymi stały ławki. Walter miał właśnie poprosić taksówkarza, by odwiózł go do wynajmowanej kwatery, gdy kątem oka dostrzegł Luizę. Siedziała na ławce, oświetlonej żółtym światłem latarni. Miała spuszczoną głowę. Obok niej siedział mężczyzna w garniturze. Naprzeciw, z rękami w kieszeniach, stał jego kompan w bluzie z kapturem. Mężczyzna w garniturze żywo gestykułował. Rozmawiali o czymś. Od razu było widać, że nie jest to przyjacielska pogawędka.

Walter kazał zatrzymać samochód, zapłacił taksówkarzowi podwójną stawkę i wolnym krokiem ruszył chodnikiem po zewnętrznej stronie placu. Chciał podsłuchać, o czym rozmawiają. Może cała ta pogoń okaże się niepotrzebna i tylko wybujała wyobraźnia kazała mu podążyć śladem samozwańczej bratanicy?

Między chodnikiem a ławką rosła kępa krzewów obsypana świeżym

kwieciami, które wraz z gęstym o tej porze roku listowiem stanowiło całkiem skuteczny parawan. Walter wiedział, że stojący przodem do ławki mężczyzna może go dostrzec, cofnął się więc i przeszedł na drugą stronę ronda. Postanowił wrócić na deptak, podejść od boku i stanąć tak, by między nim a ławką cały czas znajdował się kwitnący krzew. Postawił kołnierz kurtki. Nie skradał się, starał się zachowywać jak zwykły przechodzień. Jeśli go zauważą, przynajmniej jest szansa, że zostanie zignorowany. Nie zauważyli. Podeszedł do krzewu. Teraz miał ich dwa metry od siebie.

– To jak, masz jakieś sensowne wytłumaczenie? – Mężczyzna w garniturze mówił piskliwie, jakby nie przeszedł mutacji.

– Całe mnóstwo, niewyczerpaną ilość! – Głos Luizy aż kipiał od ironii.

– To daj mi choć jedno, w które uwierzę. Chociaż jedno, które jak wszystkie poprzednie nie okaże się lipą, ściemą, jednym wielkim gównem. Wybierz z tej listy, co chcesz.

– Mówiłam ci już, że załatwię to do końca tygodnia. Daj mi kilka dni – poprosiła, choć zabrzmiało to bardziej jak żądanie. – Nie wiem, co się stało, ale wszystko załatwię – dodała.

– A czy już kiedyś czegoś takiego od ciebie nie słyszałem? Czy może już coś mi się pierdoli? – zapiszczał „gajer”.

– Może coś ci się pierdoli. Mówię, że załatwię wszystko do końca tygodnia.

– Luiza wstała, ale elegant ją powstrzymał:

– Dokąd to? Siadaj!

Facet w bluzie jak na komendę pchnął ją z powrotem na ławkę. Krzyknęła z bólu, gdy jej wygięty w łuk kręgosłup uderzył w drewniane oparcie, a później jeszcze raz, gdy ten w garniturze otwartą dłońią uderzył ją w twarz. Cios nie był mocny, miał tylko ustawić ją do pionu, ale Walterowi to wystarczyło. Wewnętrzne hamulce puściły. Stary, znajomy demon wydostał się na wolność.

– Co tu się dzieje? – Wskoczył z ukrycia.

– Ty, popatrz! To ten ciul! – krzyknął młodszy.

Starszy podeszedł do Waltera. Blisko, dużo bliżej niż powinien. Zmrużył oczy i poruszając rytmicznie skrzydełkami nosa, zaczął go obwąchiwać niczym pies.

Walter, zdumiony i zniesmaczony tym dziwnym zachowaniem, toczył walkę z demonem, który domagał się, aby przywalić wachaczowi z główki. Już prawie uległ pokusie, gdy facet cofnął się o krok.

– Wszystko w porządku – stwierdził, po czym, pocierając palcem wskazującym zagłębienie między nosem a górną wargą, zwrócił się do Waltera: – Mamy tu prywatną pogawędkę, a pan – tym samym palcem wskazał krzew – niech sobie idzie we własną stronę.

– Na moje oko to nic tu nie jest w porządku – odparł komisarz. – A ty nie wymachuj tym paluchem. Czego od niej chcecie?

Sięgnął do kieszeni po odznakę, gdy poczuł silne pchnięcie w bark. Przed nim pojawił się młodziak w bawełnianej bluzie.

– Słyszałeś, ciulu? Wypad do domu! – krzyknął i zamierzył się do kolejnego pchnięcia.

Tym razem nie zdążył nawet zbliżyć dłoni do barku Waltera – w ułamku sekundy klęczał na deptaku z ręką wykręconą za plecami. Komisarz, ciągnąc do góry przedramię napastnika, drugą ręką dociskał jego głowę w dół. Pod palcami czuł drzenie naprężonych mięśni. Słyszał, jak tamten walczy z własną słabością, dławiąc w gardle krzyk bólu. Czuł, że dochodzi do pewnej granicy, której przekraczać nie trzeba, lecz wciąż z bezwzględną konsekwencją i ślepym gniewem wykręcał ramię chłopaka. Nagle poczuł, jak ręką młodego więdnie, mięśnie, jeszcze przed sekundą walczące, wiotczeją i ramię ucieka powyżej linii łopatek. Wydało mu się, że słyszy krzyk. Stłumiony skowyt, dochodzący zza grubej, kamiennej ściany. Przestał czuć opór. To coś pod jego kolanem, co minutę temu podniosło rękę na bezbronną dziewczynę, leżało teraz pod jego nogą i chlipało żałością. Spojrzał w dół. Zobaczył plecy w bawełnianej bluzie i swoje dłonie – jedną na karku, drugą zaciśniętą na nadgarstku damskiego boksera. Rozluźnił uchwyt. Tamten się nie ruszał, nie walczył, tylko podrygiwał słabo w rytm spazmów.

Walter puścił go i wstał. Oddychał głęboko. Sekunda po sekundzie zaczęła wracać rzeczywistość. Podniósł głowę. Obraz był niewyraźny, jakby ktoś przetaił szybę kostką masła. Stłumione, blade refleksy rozszczeptały się pomiędzy tłustymi smugami w jego polu widzenia. Dwie niewyraźne postacie stały nieruchomo w zasięgu ręki. W jednej rozpoznał cherlaka w garniturze, drugą była Luiza. Krzyczała. Gestykulowała, wyraźnie wzburzona. Jej towarzysz trzymał coś w ręku. Coś niewielkiego, błyszczącego w świetle latarni. Powoli, lecz stanowczo ruszył w stronę Waltera. Miał pochyloną głowę i szykował się do ataku. Nagle ostrość obrazu wróciła i komisarz zorientował się, co to za przedmiot. Mężczyzna był gotowy do natarcia. Wyrzucił lewą rękę, chcąc złapać Waltera za kołnierz kurtki, drugą wziął zamach. Ostrze sprężynowego noża poszybowało w kierunku lewego boku komisarza. Zrobił błyskawiczny unik, wyrzucając lewą nogę do tyłu, a jednocześnie prawą ręką podbił dłoń trzymającą nóż. Napastnik, choć był drobnej postury, wykazał się sporą zręcznością i refleksem. W ostatniej chwili, jakby przewidując intencje Waltera, wstrzymał atak. Natychmiast zamierzył się do kolejnego, tym razem już bez żadnej przeszkody, i... zamarł. Przez moment stał jak wryty. Upadając, zdążył pożałować garnituru, który niedawno odebrał z pralni. Później stracił świadomość.

Za leżącym na deptaku mężczyzną na szeroko rozstawionych nogach stała Luiza. Dyszała ciężko, ale była spokojna. Wbijała wzrok w Waltera. W ręku trzymała pałkę teleskopową.

– Ten młody chujek miał to przy sobie – odparła, zanim usłyszała pytanie.
– O co tu, kurwa, chodzi? – Walter podniósł upuszczony przez napastnika nóż i wyjął z kieszeni telefon.

– Co robisz?! – krzyknęła.

– Dzwonię po radiowóz – odparł i zaczął wybierać numer alarmowy.

– Stój! Nigdzie nie zadzwonisz! Wpierdoliłeś się w to wszystko i teraz... – zacięła się na chwilę – ...i teraz jest, jak jest. – Wskazała na leżących u ich stóp.

Młody w bluzie siedział, jęcząc i przyciskając rękę do brzucha. Ten w garniturze rzeźił coś nieprzytomnie.

– A może miałem pozwolić, żeby ci obili buźkę? No, chyba że tak lubisz. – Komisarz nie mógł sobie odmówić ironii.

– Nic nie wiesz. Ty po prostu, kurwa, nic nie wiesz, a zachowujesz się jak jakiś... jakiś... Szlag, nawet się wygadać nie potrafię! – Nerwowym ruchem dziewczyna wyjęła z torebki papierosa. Włożyła go w kącik ust i zaczęła szukać zapalniczki. Widząc, że prędzej wyrzuci zawartość torebki na chodnik, niż znajdzie w jej otchłani mały plastikowy przedmiot, Walter sięgnął po swoją. Dziewczyna kilka razy zaciągnęła się głęboko. – Posłuchaj – podjęła już nieco spokojniejszym tonem – jak przyjadą psy, to będę miała przejebane, rozumiesz? I nie jestem pewna, od kogo mi się bardziej oberwie: od twoich czy od tych, którzy rzeżą na glebie. Więc bardzo cię proszę, schowaj ten telefon.

– Ten typ przed chwilą wymachiwał nożem, a to już całkiem poważny paragraf – zauważył komisarz. – Dlaczego miałbym mu odpuścić?

– Ty to chyba głuchy jesteś! Przecież ci mówiłam: mam z nimi na pieńku, a jak wmiszasz w to gliny, to już na pewno się nie wywinę.

– Kurwa, przecież sam jestem gliną! I już się w to wmieszałem.

– Jakoś nie zauważyłam, żebyś im zamachał odznaką przed nosem – stwierdziła z przekąsem.

– Bo nie zdążyłem. A tak w ogóle to co z tego?

– Będzie tak: nikt z nas, włączając mnie, nie wiedział, że jesteś policjantem. Przylazłeś tu, wtrąciłeś się w przyjacielską pogawędkę trójki przyjaciół, dwóch z nich dotkliwie pobiłeś, i to bez najmniejszego powodu, a żeby było mało, wymyśliłeś sobie napaść z nożem, który, nie wiedzieć czemu, znajduje się w kieszeni twojej marynarki. – Zaciągnęła się ostatni raz i wyrzuciła niedopałek.

Walter odruchowo złapał się za kieszeń. Tak, miał w niej nóż, a na nim były odciski jego palców. Dopiero teraz zauważył, że dochodzący powoli do siebie elegant ma na dłoniach jasnobrązowe rękawiczki, wykonane z delikatnej skóry. Nie nosił ich przecież z powodu pogody! Do diabła, dziewczyna jest szczwana. Sytuacja go nie pogrąży, bo tych dwóch prawie na pewno ma jakąś kartotekę, a on w końcu jest cholernym gliniarzem. Z drugiej strony ich trzy głosy przeciwko jednemu – jego, a do tego ciągnący się za nim smród wydarzeń z Warszawy

i pieprzony opalcowany nóż w kieszeni marynarki... Nie wygląda to dobrze. Grubas Jarzabek, ta gwiazda prokuratury, na pewno rozdmucha aferę, by wsadzić na stołek swojego przygłupiego bratanka. Szlag! Niepotrzebnie się wpierdoliłem, pomyślał. Chyba nie mam wyjścia.

– Spadaj stąd – rzucił.

Dziewczyna aż się wzdrygnęła w reakcji na ton jego głosu.

– Ty też lepiej już idź – odparła cicho. – Gdy załatwiałeś tego pajaca, tamten gdzieś zadzwonił. – Gestem głowy wskazała na młodziaka w bawełnianej bluzie. – Myślę, że zaraz będziemy mieć towarzystwo – dodała, po czym odwróciła się na pięcie i pobięła przed siebie.

Walter spojrział na pokonanych zbirów. Młody wciąż siedział na ziemi, z przyciśniętą do tułowia ręką. Wodził za nim nienawistnym wzrokiem, ale był cicho. Ten, który oberwał od Luizy, też powoli wracał do formy. Nie wiadomo, ile czasu zajmie mu złapanie ostrości widzenia i czy się nie porzyga, ale jego życiu raczej nic nie zagrażało. Kucnął i zaczął sprawdzać kieszenie jego marynarki. W wewnętrznej wymacał portfel. Było w nim kilka banknotów, pięćdziesiątek i setek, oraz świstek papieru. Mandat za przekroczenie prędkości. Sto dwadzieścia dwa na godzinę w obszarze zabudowanym. No, no, Speedy Gonzales, komisarz uśmiechnął się pod nosem. Za plastikowym okienkiem zauważył dowód osobisty. Wyjął go i sfotografował komórką z dwóch stron, po czym wsunął dokument z powrotem na miejsce. Domyślał się, dlaczego nie było prawa jazdy – rajdowiec od siedmiu boleści! Odłożył portfel i zaczął sprawdzać kolejne kieszenie. W marynarce nic więcej nie było, natomiast w spodniach znalazł komórkę. Produkt Apple'a. Sądząc po modelu, jeden z tych odczytujących odcisk palca właściciela.

Nagle usłyszał dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Spokojne, uspione powietrze niosło go z daleka. Musiał jechać bardzo szybko, manewrując na skrzyżowaniach, gdyż słychać było pisk wydawany przez opony.

Walter schował telefon do kieszeni i oddalił się szybkim krokiem.

Gdy wrócił do mieszkania, zaparzył earl grey, wziął prysznic i rozłożył kanapę. Pościel pachniała jeszcze sklepową świeżością. Nie potrafił zasnąć. Leżał, wpatrzony w pustkę sufitu, na którym majaczyły blade cienie ulicy. Nie potrafił przestać myśleć o wydarzeniach z ostatnich godzin. Ledwo pojawił się na Śląsku, wrzucono mu sprawę morderstwa biznesmena. W tym samym czasie w jego życie, z przytupem godnym *femme fatale*, wkroczyła Luiza Steiner, bratanica, o której istnieniu nie miał pojęcia. Czy naprawdę jest córką Kostka? Tego nie wiedział. Na razie jedynym potwierdzeniem łączących ich więzów krwi były jej słowa, a te na tle wydarzeń, których był uczestnikiem, wypadały mniej niż wiarygodnie. Z drugiej strony – czy Kostek nie był taki sam? Ile to razy pakował się w przeróżne

tarapaty, z których on musiał go potem wyciągać? Jak często salwowali się ucieczką, bo zadzierał z silniejszymi, liczniejszymi i cwańszymi przeciwnikami? A szkoła? Czy w ogóle by ją skończył, gdyby nie Roman? Matematykę zaliczył tylko dlatego, że niedowidzący nauczyciel nie był w stanie zauważyć, że to nie ten Kołeska siedzi w ławce i rozwiązuje zadania. Było jeszcze coś, co kazało Walterowi wierzyć, że dziewczyna mówi prawdę. Chociaż miała ponad dwadzieścia lat i była dojrzałą kobietą, jakimś ojcowskim zmysłem rozpoznał w niej ślad swojej Anetki. Czy to jej uśmiech, a może jakiś specyficzny grymas, czy gest – nie wiedział, ale był pewien, że przywołała w jego wspomnieniach obraz zamordowanej przed laty córki. Może właśnie to obudziło w nim starego demona, gdy ten gnojek uderzył ją w twarz? Dla Anetki, zaślepiony rozpaczą i targany nieopisanym bólem, mógł zabić. Zresztą był tego bliski. Ile razy w koszmarach, nawiedzających go niczym zły duch, naciskał spust! Głowa mordercy jego córki i żony eksplodowała do wtóru z hukiem wystrzelianego naboju. Kiedyś, przebudzony tym snem, wypijał kilka setek i zasypiał ponownie. Od kilku miesięcy nie zalewał mar wódką. Ale też nie mógł wtedy spać. Brał zolpidem. Gdy w końcu udało mu się zasnąć, szedł gdzieś z matką. Trzymała go za rękę. W drugiej trzymała dłoń Kostka.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ III

Dziewczyna ma piętnaście lat i nienawidzi żony stryja, która upiera się, by zapisać ją do kółka plastycznego dla młodzieży. „Prowadzący jest znanym grafikiem”, twierdzi. Stryj, niby mimochodem, zauważa, że chyba tylko ona zna jego dziełka, ale generalnie nie oponuje. Dziewczyna już od jakiegoś czasu wyczuwa, że między stryjem a jego żoną coś nie gra. Koleżanka ze szkoły, z którą dzieli się tą obserwacją, z pewnością znawczyni mówi: „Za stary się zrobił dla niej. Wuj, znaczy się. Więc znalazła młodszego”, po czym mruga porozumiewawczo.

Na pierwszych zajęciach kółka plastycznego widzi go po raz pierwszy. Chłopak siada obok niej. Tak jak ona urodził się w Polsce i wraz z rodzicami kilka lat temu przyjechał do Monachium. Jest weteranem wśród kursantów i zachowuje się, jakby zjadł wszystkie pędzle świata. Z początku ją to drażni, lecz niechęć szybko przechodzi w zainteresowanie. Jest wysoki, przystojny i ma gęste blond włosy, lecz to nie te cechy powodują, że go zapamiętuje. Oczy. Nigdy wcześniej takich nie widziała. Są cudowne, wręcz niesamowite. Dziewczyna ma umysł nastolatki i ciało kobiety. Nie rozumie, co się z nią dzieje, gdy ogarnia ją dreszcz czegoś nieznanego i tak nieziemsko przyjemnego na myśl o tym chłopaku. Nie rozumie, ale chce więcej.

Po trzecich zajęciach chłopak zaprasza ją do kina. Jest tyle uradowana, co zaskoczona. Wydawało się jej, że nie zwraca na nią uwagi, skupiając się na tej cycatej kretynce z drugiego końca sali. Ona sama też nie starała się go zainteresować. Zgadza się. Umawiają się na drugi dzień.

Dziewczyna nieomal się spóźnia na umówioną godzinę, nie mogąc zdecydować, co na siebie włożyć. W końcu wybiera najprostsze i najmniej ryzykowne rozwiązanie – džinsy i blad różową bluzkę z podwiniętymi rękawami. Kilka rozpiętych guziczków tworzy dekolt, ukazując co nieco, nie za dużo, aby nie wyszło prowokacyjnie, ale dość, żeby było sexy.

Spotykają się przed kinem. Chłopak na przywitanie całuje ją w policzek. Robi to z tak niewymuszonym luzem, jakby się znali od lat, a może ma już w tym spore doświadczenie. Dziewczyna czuje ukłucie zazdrości. Oglądają *Piratów z Karaibów*. Jack Sparrow, grany przez Deppa, rozśmiesza ich niemal do łez. Dziewczyna nawet nie wie, kiedy chłopak ujmuje jej dłoń. Nie protestuje i czuje dziwne mrowienie w podbrzuszu, gdy ich splecione palce tańczą godowy taniec.

Po seansie chłopak proponuje, że odprowadzi ją do domu. Kupują po puszcze napoju i ruchomymi schodami zjeżdżają na stację U-Bahn. Na peronie kilkanaście osób czeka na wieczorne metro. Jest po dwudziestej trzeciej i to ostatni tego dnia pociąg kursujący w stronę domu dziewczyny. Popijają colę i trzymają się za ręce.

Od strony ruchomych schodów zbliża się mężczyzna. Mimo wciąż letniej aury ma na sobie sięgający kostek wełniany płaszcz. Płaszcz jest w kilku miejscach potargany. Na stopach ma brudne adidasy bez sznurówek. Zatacza się i bełkocze coś do siebie. Jest pijany albo na narkotykowym haju. W chwili gdy ich mijają, w jego żołądku wybucha gejzer. Wyrzucona pod ciśnieniem żółta śmierdząca ciecz ląduje na czarnych conversach dziewczyny, która z krzykiem uskakuje w bok. Teraz i ona czuje niebezpieczne mdłości.

– Ty brudne ścierwo! – słyszy głos chłopaka, który puszcza jej rękę i doskakuje do menela, wycierającego rękawem nos.

Chłopak sięga do kieszeni. W jego dłoni błyska metal.

– Dostaniesz nauczkę, ty pijana świnió – obiecuje.

Głos ma spokojny i opanowany. Jest wyzbyty z jakichkolwiek emocji. Uzbrojona w kastet dłoń błyskawicznym ciosem uderza w skroń zamroczonego żula, który upada na ziemię. Z niewielkiego tłumu tu i ówdzie słychać słabe okrzyki kobiet. Chłopak unosi nogę. Obuta w solidne skórzane buty stopa ląduje na brzuchu pijanego. Poprawia drugim kopnięciem. Żołądek mężczyzny wyrzuca z siebie kolejną porcję treści, zalewając mu twarz i potargany płaszcz.

– Ty, może już wystarczy? – rozlega się głos.

Chłopak odwraca głowę i kieruje wzrok w stronę tego, kto to powiedział. Tamten spuszcza głowę i cichcem wycofuje się w cień. Chłopak posyła leżącemu ostatniego kopniaka. Później chwytą dziewczynę za rękę i razem wsiadają do wagonu, który właśnie wjechał na peron.

Przed domem dziewczyna zdejmuje trampki i wyrzuca je do kontenera na śmieci. Wchodzi do wielkiej willi stryja w Grünwald, na południe od Monachium, i starając się nie obudzić domowników, idzie prosto do swojego pokoju. Z torebki wyjmuje telefon komórkowy – nokię, którą dostała na urodziny od stryja. Na zielonkawym ekranie widnieje pikselowy obrazek koperty. Otwiera wiadomość. „Podobał Ci się film?”, pyta chłopak. „Jasne, że tak”, odpisuje. Zrzuca ubranie i naga kładzie się do łóżka. Jej serce bije mocniej i szybciej niż zwykle. Czoło rosą krople potu. Wie, że nie zaśnie dziś szybko. Kładzie dłoń na brzuchu. Oddycha głęboko i mocno zaciska nogi. Raz, drugi, trzeci. Ogarnia ją uczucie, którego nigdy wcześniej nie zaznała. Gdy szczytuje, widzi, słyszy i czuje scenę z peronu. Nie potrafi pojąć, co się z nią dzieje, ale wie, że jej się to podoba. Bardzo podoba. Sięga po nokię i wysyła wiadomość: „Pragnę Cię”. Tej nocy po raz pierwszy od miesiąca nie śni koszmarów. Nic jej się nie śni. Rano czuje się dobrze – jak nigdy przedtem.

ROZDZIAŁ 21

Katowice, 8.05.2015

Karteczkę z poleceniem natychmiastowego stawienia się do szefa Walter znalazł przyklejoną do monitora komputera. Zaskoczyła go ta forma – tak archaiczna w czasach elektronicznej komunikacji. Może nowa asystentka Króla nie wpadła na pomysł, że istnieje coś takiego jak poczta elektroniczna? A może celowo nie chciano mu dać czasu na rozeznanie się w sytuacji i ewentualne przygotowanie do spotkania? Przez chwilę rozważał, czy nie spróbować jej pociągnąć za język i dowiedzieć się, co jest grane, lecz ostatecznie zrezygnował. Cokolwiek od niego chca, nie miał zamiaru nastawiać się na defensywę. Nie ta liga. Zgniół karteczkę i celnym rzutem posłał ją do kosza.

Wszedł do gabinetu inspektora Króla. Przed biurkiem, tyłem do drzwi, siedział mężczyzna. Po rozmiarach pleców Walter rozpoznał Norberta Jarzabka. Prokurator trzymał przy uchu telefon. Gdyby nie wypowiedane co jakiś czas „mhm”, „ehe”, „no” i tym podobne, można by pomyśleć, że używa aparatu jako podpórki pod słusznych rozmiarów głowę. Na widok Waltera Król uklonił się lekko i gestem zaprosił go do środka. Komisarz zajął wskazane mu krzesło. Jarzabek nie zareagował na jego wejście. Wpatrując się w niewidoczny punkt na blacie biurka, kontynuował rozmowę. Po kolejnych kilku „ehe” i „mhm” schował telefon do wewnętrznej kieszeni marynarki i przeniósł wzrok na Waltera. Na pucołowatej, gładko wygolonej twarzy pojawił się uśmiech, którego pozazdrościć mógł-by niejeden polityk walczący o wyborców. Rozciągnięte od ucha do ucha usta i rząd śnieżnobiałych zębów – świadectwo kunsztu stomatologa – nie były jednak w stanie przesłonić zimnego mroku. Małe, bladoniebieskie oczka, zdominowane masywnym łukiem brwiowym, wydawały się należeć do kogoś obcego.

– Panie komisarzu, muszę przyznać, że ma pan w zespole zdolnych ludzi – zaczął Jarzabek. – Nie spodziewałem się, że sprawa Dębskiego i Halina zostanie tak szybko rozwiązana.

Waltera zatkało. Co on, kurwa, pieprzy? W co go wkręca?

– Najwyraźniej o czymś nie wiem. Może pan jaśniej, prokuratorze?

– Żona Sebastiana Halina. – Jarzabek rzucił na stół przewiązaną tasiemką aktówkę. – Powodowana zazdrością i znie wagą, wykończyła męża i jego kochanka. Klasyka, choć trąci kiczem. Może się pan zapoznać z jej zeznaniem. Podpisany – dodał, stukając palcem wskazującym w tekturową teczkę.

Walter otworzył aktówkę. Zgodnie ze słowami Jarzabka Dolores Halin

własnym podpisem przyznawała się do zabójstwa męża i jego kochanka. Krótko i zwięźle. Wszystko zawarte w jednym zdaniu.

– Nic więcej? – Komisarz odłożył teczkę na blat.

– A czego panu brakuje? – Uśmiech na twarzy Jarząbka, choć wciąż szeroki, stracił nieco z promienności.

– Nie rozumiem, dlaczego to coś nazywa pan zeznaniem. Dla mnie to najwyżej przyznanie się bez podania motywu, a przede wszystkim szczegółów zbrodni.

– Mówiłem przecież. Głuchyś pan? Była zazdrosna o męża, który zamiast ją wolał walić w dupę innego faceta! – Prokurator Jarząbek roześmiał się, choć ani Walter, ani Król nie widzieli nic śmiesznego w podszytej homofobią wypowiedzi.

– Znam jeszcze co najmniej jedną osobę, która miała dobry powód do wykończenia tych facetów. Wydaje mi się, że zbyt pochopnie chce pan odtrąbić sukces śledztwa.

– Tak dobrze pan zna winną? Puknął pan ją czy co? – zachichotał Jarząbek.

Walter pominął milczeniem złośliwą dygresję prokuratora. Przypomniawsobie, jak kilka lat temu dostali wezwanie do jednej z willi w Marinie Mokotów. Na otoczonym murem, zamkniętym osiedlu koszt metra kwadratowego był wyższy od rocznej pensji kasjerki w supermarkecie. Dolores Halin i dwie inne celebrytki postanowiły urządzić sex party, suto zakrapiane alkoholem i kokainą. Trzy panie, których zsumowany wiek przekroczył sto dwadzieścia lat, zaprosiły sześciu ogierów z popularnej wówczas męskiej grupy tancerzy Albatros. Rankiem drugiego dnia gosposia znalazła całą dziewiątkę, w różnym stopniu roznegliżowania, śpiącą po kątach. Nie byłoby w tym nic niecodziennego, gdyby nie fakt, że jeden z chłopaków miał twarz i szyję spuchnięte jak plażowa piłka. Jak się później okazało, nieszczęśnik był uczulony na jeden ze składników, którym była zanieczyszczona kokaina. Udusił się na skutek wstrząsu anafilaktycznego. Dolores Halin kilka miesięcy później oddała hołd brutalnie przerwaniem młodemu życiu, pisząc rzewną piosenkę o wymownym tytule *Sześciu chłopa z Albatrosa*.

– A co ze szczegółami? Jak to zrobiła? Dlaczego Dębski zginął w parku, a Halina znaleziono pływającego w Brynicy, i to bez twarzy, choć obaj zostali zamordowani mniej więcej w tym samym czasie? Mam wymieniać dalej, prokuratorze?

– Na wszystko przyjdzie czas, komisarzu – odparł Jarząbek. – Jutro spisemy zeznanie pani Dolores Halin i wszystko będzie jasne.

– O której chcecie ją przesłuchać? Chcę przy tym być – zażądał Walter.

– Z tym może być mały problem. – Jarząbek podniósł się z krzesła.

– Jaki problem? O czym pan mówi?

– To już panu wyjaśni inspektor Król.

Gdy za prokuratorским tyłkiem zamknęły się drzwi, Walter bez słowa

spojrzał na inspektora. Jego mina mówiła wszystko – coś było nie tak. Bez słów wpatrywał się w okładkę drugiej teczki przyniesionej przez Jarząbka. Najwyraźniej zastanawiał się, od czego zacząć. Postanowił, że zacznie od końca.

– Roman, jesteś zawieszony. Przynajmniej do czasu, aż zostanie wyjaśniona sprawa pobicia przez ciebie dwóch mężczyzn – zakomunikował Król, poprawiając zsuwające się z nosa szylkretowe oprawki.

– Pan chyba żartuje, inspektorze? – Walter walczył ze sobą, aby nie wybuchnąć śmiechem.

– Chciałbym, ale nie mogę. Jeden z nich był na obdukcji. Lekarz orzekł ponadsiedmiodniową niezdolność do pracy, a to z definicji podpada pod kodeks karny.

– Wie pan co – rzucił Walter po chwili namysłu – mam nieodparte wrażenie, że ktoś próbuje ukrećć sprawie łeb. I niech mnie diabli, jeśli pan tego nie dostrzega.

– O co chodziło z tymi dwoma typami?

– Dwóch facetów zaczepiało dziewczynę. Poprosiłem grzecznie, żeby dali jej spokój. Nie posłuchali, więc ich uziemiłem.

– Z tego co czytam, to raczej wdeptałeś w ziemię. – Inspektor spojrzął na Waltera znad oprawek.

– Kompletna bzdura – zaprotestował komisarz, choć podskórnie czuł, że tamtej nocy mógł trochę przesadzić.

– Dlaczego sądzisz, że Jarząbek ukrećca sprawie łeb?

– Nie powiedziałem, że Jarząbek. Ale teraz już to wiem.

– No więc dlaczego?

– Mogę zapalić?

Inspektor wzruszył ramionami i podszedł do okna. Gdy je uchylił, poczuł przyjemne uderzenie wiosennego powietrza. Przez ułamek sekundy myślał o tym, że nie powinno go tu być. Ani dziś, ani wczoraj, ani nigdy.

– Z tymi dwoma gnojami to się podłożyłeś, nie da się ukryć – stwierdził, wysłuchawszy relacji Waltera. – Niestety jestem za krótki, żeby spuścić Jarząbka po brzytwie, zwłaszcza w tym przypadku. Oficjalnie cię zawieszę, ale działaj dalej.

– A co z Szutkowskim? Jak się zorientuje, zaraz poleci do wujka – zauważył Walter.

– O niego się nie martw. Wyślę go na kilkutygodniowy kurs do Szczytna, niby pod kątem przygotowań do zajęcia stanowiska szefa wydziału. Szutkowski będzie *happy*, Jarząbek będzie *happy*, a ty działaj. Tylko pamiętaj, jakby co, jesteś zdany na siebie.

ROZDZIAŁ 22

Katowice, 11.05.2015

Walter patrzył na logo w kształcie nadgryzionego jabłka znajdujące się na srebrzystym laptopie Roberta Dębskiego. Komputer leżał na kuchennym blacie w jego służbowym mieszkaniu. Niestety nie udało mu się go odpalić. Żadne z popularnych haseł – dat urodzenia, imion czy nazw kojarzonych z właścicielem – nie zadziałało. W końcu, choć miał nadzieję, że nie będzie musiał tego robić, zadzwonił do Króla. Ten, nie zadając zbędnych pytań, obiecał, że załatwi człowieka, który potrafi złamać prawie każde zabezpieczenie.

Magik, jak nazwał go inspektor, pojawił się pół godziny po ich rozmowie. Szczupły szatyn z fryzurą à la późni Beatlesi ubrany był w niemiłosiernie porozciągany szary sweter i dzinsy, ściśle przylegające do patykowatych nóg. Na swetrze, prawdopodobnie zrobionym na drutach, widniały żółte litery układające się w hasło: „Ty git – ja bit!”. Komputerowiec trochę przypominał Walterowi aspiranta Maćka Krępego, członka zespołu z warszawskich czasów, choć tamten nie nosił się w stylu lumpeks.

– Cześć. Magik jestem – przedstawił się na wejściu.

Król podesłał mi magika, pomyślał Walter. Ciekawe, jakich cudaków ma jeszcze w zanadru.

– Poradzisz sobie z tym? – zapytał, podając mu laptop.

Stali w aneksie kuchennym. Walter, swobodnie oparty o blat, popijał poranną herbatę. Magik porzucił gdzieś swój plecak, usiadł za stołem i otworzył komputer.

– Maczek – skwitował. – Co jest z tym do zrobienia?

– Należał do ofiary morderstwa. Dostałem go, że tak powiem, dzięki uprzejmości żony denata, ale bez loginów i haseł. Dasz radę go rozbroić?

– Jeśli to nie zabawka z CIA czy innego pieprzonego trzyliterowca, to nie powinno być większego problemu. Na kiedy?

– A jak myślisz? – Komisarz odstawił pustą szklankę do zlewu.

– Taa... po co w ogóle pytam. Wiadomo: na teraz, na wczoraj, a najlepiej na tydzień temu – westchnął Magik, kręcąc głową.

– No to już wiesz. A tak w ogóle czy Król wspomniał, że działamy poza systemem?

– Tak. Dla mnie to żaden problem. Jestem wrogiem systemów.

– I że masz z tym zadaniem kontaktować się tylko ze mną? – kontynuował Walter.

- Tak jest, tylko z panem.
- Doskonale. Działaj więc. A jak tylko go odpalisz, dzwoń.
- Na służbową komórkę? – Magik nie tracił czujności.
- Dobre pytanie – zauważył Walter. – Jak tylko kupię nową kartę, dostaniesz wiadomość. Na ten numer rzeczywiście lepiej nie dzwoń.
- Jak konspira, to na całego.

Co za czasy, pomyślał Walter, gdy za Magikiem zamknęły się drzwi. Każdy bez większego problemu może być namierzony, podsłuchany, podejrzany. Wystarczy komórka w kieszeni, słowa wpisywane w wyszukiwarce internetowej. Nawet offline w miejskim gąszczu trudno o anonimowość pod okiem kamer zainstalowanych praktycznie wszędzie. Orwellowski Wielki Brat posrałby się ze szczęścia! Co prawda taka łatwość w inwigilowaniu ułatwia życie policji i poprawia wykrywalność przestępstw, lecz jest to miecz obosieczny. Kochali go na równi przestępcy, jak i politycy, którym marzyła się nieograniczona władza.

Nagle coś go tknęło. Kamery! Może zajście na placu zostało zarejestrowane? Wtedy miałby dowód, że działał w obronie Luizy i samego siebie. Trzeba tylko znaleźć dostęp do miejskiego monitoringu. Niestety nie przez drzwi frontowe, tylko od tyłu, po cichu. Magik! Tak, jeśli jego sława nie jest przesadzona, z pewnością sobie z tym poradzi.

Sięgnął po telefon, ale zawahał się. Ten numer z dużą dozą prawdopodobieństwa mógł być namierzany. Zdecydował, że poczeka z tym, aż kupi nową kartę. W tych okolicznościach to w sumie nic szczególnie pilnego, stwierdził. W tym samym momencie zadzwonił telefon. Na ekranie pojawiło się nazwisko Kai Nawary, lekarki, którą poznał w szpitalu. Przypomniał sobie, że ich ostatnia rozmowa skończyła się propozycją spotkania „przy kawie”, która padła ze strony kobiety. Nie spodziewał się, że tak szybko się odezwie, choć w głębi duszy się ucieszył. Babka wydawała się sympatyczna i bardzo rzeczowa. Zawsze imponowały mu kobiety twardo stojące na ziemi. Tylko przy takich czuł się swobodnie i pewnie. Może z Nawarą spędzi kilka fajnych godzin, bez trupów, przesłuchań i całej przeszłości?

ROZDZIAŁ 23

Katowice, 11.05.2015

Magik bez szczególnej finezji pokonał zabezpieczenia laptopa, ale mimo kilku usilnych prób nie dodzwonił się z tą wiadomością do Waltera. Postanowił więc na własną rękę sprawdzić, co znajduje się w pamięci laptopa. Zaczął od folderu z dokumentami. Odetchnął z ulgą, gdy okazało się, że Dębski utrzymywał w swoim komputerze idealny porządek. Wszystkie pliki były opisane i już pobieżne sprawdzenie kilku z nich potwierdziło zgodność zawartości z tytułem folderu. Większość zawierała dokumenty związane z działalnością spółki Dębski–Halin. Faktury, ofertówki, dokumenty przetargowe i tym podobne. Wśród masy nudnych elektronicznych papierzyk znalazł się nawet folder z ofertami wykupu spółki, nadsyłanymi przez jedną i tę samą firmę regularnie od trzech lat co miesiąc. W zasadzie nic, co według Magika wydawałoby się interesujące lub w jakikolwiek sposób rzucające jakiegokolwiek światło na tragiczny los Dębskiego.

Dużo ciekawszy był folder „Zdjęcia”. Żadnych fotek z wakacji czy z weekendowych spotkań przy grillu w towarzystwie żony i wspólnych znajomych, natomiast całe mnóstwo ujęć Dębskiego i drugiego mężczyzny – w przeróżnych, mniej lub bardziej egzotycznych miejscach, w plenerze i w kameralnych okolicznościach, podczas wszystkich pór roku i dnia, a co najlepsze – zwykle w zdecydowanie niedwuznacznych sytuacjach. Odkrycie patologa Widery co do seksualnych preferencji Roberta Dębskiego były teraz *demonstratio ad oculos*², i to w wersji zarówno *soft*, jak i *hard*.

Prawdziwa rewelacja czekała jednak w folderze gromadzącym korespondencję mailową – na samej górze zbioru listów elektronicznych. Już sam tytuł wiadomości intrygował: „Popijawa, sobota 25.04.15”. Dzień przed tym, jak dzieciaki znalazły martwego Dębskiego w parku. List przyszedł z adresu zabaro@gmail.com. „Proponuję knajpę przy Trzech Stawach. Będę na 20.00”, pisał nadawca w odpowiedzi na maila wysłanego przez Dębskiego, w którym ten, używając określeń typu „stary” czy „brachu”, proponował spotkanie w męskim gronie. Na samym końcu nieco rubasznego tekstu dodał zupełnie niepasujące do reszty zdanie: „Musimy też pogadać o tamtej sprawie”. Tylko tyle. „O tamtej sprawie”. Jak wynikało z korespondencji, widzieli się w sobotę o ósmej wieczorem. Kilka godzin przed prawdopodobnym zgonem Dębskiego. Podane na tacy, pomyślał Magik.

² *Demonstratio ad oculos* (łac.) – dowód naoczny.

ROZDZIAŁ 24

Katowice, 12.05.2015

Spotkali się u niej. Z początku protestował, bo przecież miała być „kawa”, czyli raczej w kawiarni lub restauracji, lecz Nawara stwierdziła, że nie ma ochoty na knajpiany gwar, jest zmęczona dyżurem i nie chce jej się nigdzie wychodzić, a tak w ogóle to przygotowała pyszną pieczeń jagnięcą, której koniecznie musi spróbować. Jeśli może, to niech przyniesie tylko jakieś wino. Gdy Walter powiedział, że nie pije, bez zająknięcia stwierdziła, że nie ma problemu, ale dla niej ma być białe, obojętnie jakie, byle wytrawne.

Nawara mieszkała w jednorodzinnym domu. W czasach, gdy został zbudowany, zwykło się nazywać takie budynki willami; dziś był to po prostu stary dom, położony wśród dużego, zapuszczonego ogrodu. Gdy Walter otworzył skrzypiącą furtkę, zauważył czerwoną diodę kamery przemysłowej. Takie same były zamontowane na elewacji. Czy znajdowały się też z tyłu – nie wiedział, ale te z przodu obejmowały przód i boki budynku.

Już od progu uderzył go zapach pieczonego mięsa z wyraźną nutą jakiegoś zioła. Coś, co pamiętał z dawnych, zapomnianych, odsuniętych w podświadomość czasów. Ten zapach przywołał wspomnienia i obudził coś przyjemnego, czego nie mógł zidentyfikować, ale pomyślał, że chyba chce więcej. Może... Kto wie?

– Mieszkam tu sama. Nawet psa nie mam. Kto by się nim zajmował, jak jestem w szpitalu – usłyszał od gospodyni zamiast przywitania.

– A czy ta okolica jest niebezpieczna? – zapytał.

– Nieszczerólnie, ale nigdy nie wiadomo. Widziałam po prostu, że zwróciłeś uwagę na kamery, dlatego mówię.

„Zwróciłeś”... Okej, czemu nie. Bez oficjalnych form będzie swobodniej, pomyślał, wręczając jej butelkę wina.

– Dobry wybór – stwierdziła, patrząc na etykietę. – Od dawna nie pijesz?

Jej bezpośredniość, choć zaskakująca, nawet mu się podobała. Lubił takie kobiety. Kaja Nawara, drobna, o krótko przyciętych włosach, na pozór zmierzwionych, tu i ówdzie sterczących we wszystkich kierunkach, była pewną siebie, twardo stąpającą po ziemi osobą. Już przy pierwszym spotkaniu nie pozostawiała wątpliwości, z kim się ma do czynienia. Jej głęboko osadzone, oddzielone wyraźnie zarysowanym nosem oczy, błyszczące niczym dwa szlachetne kamienie, badawczo obserwowały Waltera.

– Niedługo minie rok – odparł.

– Nieźle. Bez obaw, nie sprowadzę cię na manowce, ale pozwolisz, że sama

wypiję.

– Nie mam z tym problemu. W przeciwnym razie musiałbym chyba wyemigrować do Arabii Saudyjskiej. – Uśmiechnął się.

– Za żadne skarby nie chciałabym tam mieszkać – odparła całkiem poważnie Nawara.

– Ze względu na wino?

– Nie. – Machnęła ręką. – Chodzi mi o ich stosunek do kobiet. Ja rozumiem uwarunkowania kulturowe i całe to politycznie poprawne pitolenie, ale sprowadzanie kobiety do roli maszyny rozplodowej w świecie zdominowanym przez samców? Nie, sorry, tego nie kupuję. – Pokręciła głową z dezaprobatą.

Na jej dekolcie i szyi pojawiły się czerwone plamy emocji. Wydawały się zupełnie nieadekwatne do sytuacji. Jedno zdanie, w dodatku wypowiedziane przez nią samą, niestanowiące żadnej kontry, podniosło jej ciśnienie. Wojująca feministka, atakująca na wszelki wypadek, aby nie zostać zepchniętą do defensywy? – zastanowił się komisarz.

– Widziałem kiedyś dokument, w którym rozmawiano z kobietami z Półwyspu Arabskiego – podjął temat. – Wyobraź sobie, że większość z nich, gdyby dano im wolną rękę, wcale nie chciałyby zmienić stylu życia. Często odnoszę wrażenie, że ten „ucisk” bardziej przeszkadza nam niż samym uciskanym.

– Swoisty syndrom sztokholmski, nic innego. I błagam cię, nie wmawiaj mi, że na przykład obrzezanie dziewcząt to coś, czego one chcą! – Nawara założyła ręce na piersi, patrząc uważnie w oczy rozmówcy.

Walter miał ochotę zripostować, że chłopców w tej kwestii też nikt o zdanie nie pyta, ale odpuścił. W głębi duszy zgadzał się, że to brutalny i godny potępienia zwyczaj, lecz przede wszystkim nie chciał dopuścić do tego, by dyskusja o ciężkiej doli kobiet na Bliskim Wschodzie zdominowała ich spotkanie. Dochodzący z kuchni aromat był doskonałym pretekstem, aby zejść z grząskiego gruntu.

– Pieczeń pachnie wyśmienicie – powiedział, głośno wciągając powietrze przez nos.

– No właśnie, co ze mnie za gospodyni! Zaraz wracam. A ty bądź tak dobry i otwórz wino. Korkociąg znajdziesz w tamtej szufladzie. – Kaja wskazała na komodę i zniknęła w kuchni.

Walter musiał przyznać, że pieczeń była wyśmienita. Zapach nie ustępował smakowi delikatnej jagnięciny. Pochwalił gospodynię za wyborne danie i z żalem pochłonął ostatni kęs.

– Jak tam śledztwo? – zapytała, dopijając wino z kieliszka. Butelka była już w połowie pusta.

– Jakie śledztwo? – Komisarz natychmiast wzmógł czujność. Nie mówił jej

przecież, że prowadzi jakiegokolwiek śledztwo.

– Proszę cię! – zachnęła się. – Przychodzisz do szpitala i ciągniesz mnie za język na temat Zaręby. Dodałam dwa do dwóch i wyszło mi, że prowadzisz jakąś gliniarską robotę.

– Rzeczywiście. – Uśmiechnął się, stwierdziwszy, że może trochę przesadził z reakcją.

– Więc jak? – Nawara nie dawała za wygraną.

Nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Nie chciał rzucać idiotycznym: „nie mogę udzielać żadnych informacji w tej sprawie”, choć taka była prawda, nagle jednak olśniło go, że może jej powiedzieć „prawdę” w wersji Jarzábka.

– W zasadzie sprawa została zamknięta.

– O, to szybko! – Na twarzy kobiety zagościło coś pomiędzy zdumieniem a niedowierzaniem. – No to mów, co się stało?

– Miały miejsce dwa morderstwa. Jedna z ofiar była powiązana z doktorem Zarębą. Dlatego... chciałem – w ostatniej chwili Walter ugryzł się w język, aby nie powiedzieć „chcę” – z nim porozmawiać.

– No i jak? Udało się?

– Niestety nie. Zniknął.

– Dziwne. W pracy też się nie pojawił, do nikogo nie dzwonił. – Kaja pokiwała głową, jakby w zadumie, i wlała resztkę wina do kieliszka.

– Ale to już nie jest takie ważne, bo sprawca zabójstw został ujęty – skwitował obojętnie komisarz.

– Sprawca został ujęty? Ależ ta nasza policja sprawnie działa!

Walter nie był pewien, czy w głosie Nawary usłyszał nutę ironii, czy raczej szum strumyka rieslinga, a może jedno i drugie. Chociaż nie mogła wiedzieć, że prokuratura najprawdopodobniej zszyla sprawę grubymi nićmi, to jej reakcja była jak najbardziej na miejscu.

– Prokuratura – sprostował. – Prokuratura zamknęła śledztwo, nie policja – dodał, widząc, że Nawara chyba nie zrozumiała.

– Ach, nieważne kto, ważne, że bandyci są w areszcie i można bezpiecznie chodzić po mieście. Ha, ha! Nie czuję, że rymuję! – Kobieta roześmiała się, ukazując drobne, zdrowe zęby. Górne trójki wystawały lekko przed szereg pozostałych, nadając jej roześmianej twarzy wyraz lekkiej drapieżności. – Kurczę, ale się zrobiło gorąco – stwierdziła nagle, rozpinając guziki sweterka. – Zostawię cię na chwilę.

Gdy lekkim, niemal tanecznym krokiem Kaja Nawara wyszła z salonu, Walter uśmiechnął się pod nosem. Musiał przyznać, że jak na kobietę ma całkiem mocną głowę. Sama wypila całą butelkę wina i bynajmniej nie było tego po niej widać.

Gdy wróciła, poczuł na karku lekki dreszcz i mimowolnie przełknął ślinę.

Zamiast sweterka kobieta miała na sobie jedwabną bluzkę bez rękawów. Nie dopięła kilku guziczków i dekolt odsłaniał zarys krągłych, wyeksponowanych przez push-up drobnych piersi. Lecz to nie one przykuły jego uwagę. To, w co wlepiał wzrok, miała na prawej ręce – od nadgarstka aż po bark. Języki płomieni wyglądały jak żywe. Wydawało się, że są w ruchu i zaraz ogarną jej ramię, szyję, całe ciało. Pełzły w górę niczym piekielny wąż, szukając miejsca, które można ukąsić, wstrzyknąć w nie śmiertelny jad. Były piękne i straszne zarazem. Przyciągały wzrok, jednocześnie odpychając swym okrucieństwem żywiołu.

– Podoba ci się mój tatuaż? – zapytała.

– Jest... intrygujący.

– A co chciałeś powiedzieć, zanim zdecydowałeś się na „intrygujący”?

– Niepokojący? Tak, na pewno niepokojący – potwierdził po chwili. – Wiąże się z czymś?

– Może kiedyś się dowiesz – odparła, uśmiechając się tajemniczo.

Podeszła do Waltera, stanęła za nim i pochyliła się, przysuwając twarz do jego ucha.

– Zerznij mnie, proszę – szepnęła kusząco, muskając czubkiem języka płatek jego ucha. – Zrób to, mam straszną ochotę, a nie chce mi się bawić w te pitolone gierki. – Rozpięła kilka guzików jego koszuli, wsunęła pod spód obie ręce i zaczęła delikatnie głaskać brodawki sutków.

Walter poczuł biegnące po plecach ciarki, elektryzujące dreszcze, stawiające włoski na sztorc. Jej ciepły, zabarwiony winem oddech, delikatna nuta klasycznych perfum i dłoń, która nie wiedzieć kiedy zawędrowała pod jego koszulę, wywołały podniecenie, jakiego od dawna nie czuł. Zamknął oczy i zacisnął zęby. Czuł, że napinają mu się mięśnie na karku i barkach. Część jego mózgu – ta odpowiedzialna za myślenie przyczynowo-skutkowe – krzyczała: Nie rób tego! Nie jest dobrze, uważaj! Ona zna Zarębę. Może być świadkiem, a ty nie możesz uprawiać seksu ze świadkiem! Ale inna – pobudzająca przyjemność i euforię – strzykała endorfinami i testosteronem, kusząc: Przeleć ją. Niech jęczy w twoich ramionach. Nie chcesz sprawdzić, jakie ma ciało? Nie ciekawia cię jej piersi, jej uda, jej nagość? Zrób to! Poczul, że stężałe mięśnie wiotczeją, że początkowy paraliż, jakieś dziwne napięcie, które zdrętwiało w obronnym odruchu, ustąpiło. Chwycił ją za rękę i jednym zdecydowanym ruchem posadził sobie na kolana. Nawara sprawnie rzuciła pantofle i oplotła go w pasie nogami. Objęła jego głowę i zaczęła mierzwić gęste włosy, przesuwając rytmicznie biodra w przód i tył, gnąc się jak cięciwa przed wypuszczeniem strzały. Patrzyła mu prosto w oczy świadomym, pożądanym wzrokiem, który mówił: To nie ty mnie zdobywasz, to ja pozwałam ci się zdobyć. Lewą ręką wciąż mierzwiąc mu włosy, prawą zaczęła odpinać pasek jego spodni. W chwili gdy jej dłoń była już prawie u celu, Walter poczuł wibracje telefonu w tylnej kieszeni dzinsów. W tej jednej chwili coś się zmieniło. Walter poczuł, jak

rozbudzona żądza topi się gwałtownie niczym płatki śniegu w promieniach wiosennego słońca. Wibrujący aparat obudził rozsądek, który wpompował w jaźń Waltera wspomnienie Alicji i Joanny, dwóch kobiet, które kochał i które od niego odeszły.

Tym samym sprawnym ruchem, którym wcześniej usadził Kaję na swych kolanach, zdjął ją z siebie i wstał.

– Nie mogę. Przepraszam, ale naprawdę nie mogę – powiedział, doprowadzając garderobę do porządku.

Kobieta usiadła na krześle, podciągnęła nogi, przysuwając kolana do drobnych piersi, oparła stopy o siedzisko i objęła uda. Przekrzywiła głowę, obserwując zmagania Waltera z rozporkiem.

– Nie możesz czy nie chcesz? – zapytała.

– Jedno i drugie. Przykro mi.

Wsiadł do samochodu i wyjął z kieszeni telefon. Miał kilka nieodebranych połączeń i jedną wiadomość tekstową. Wszystkie od Luizy.

Gdy przeczytał treść SMS-a, poczuł, że tężeją mu mięśnie żuchwy. Odpisał, rzucił telefon na fotel pasażera i wzbijając tuman kurzu, z chrzęstem opon ruszył w stronę Katowic. Na niewygaszonym ekranie smartfona wciąż były widoczne dwie wiadomości tekstowe przedzielone zdjęciem.

Luiza: „Ty, WUJEK, masz przynieść ten telefon, coś go zajebał. Szafka przechowalni bagażu nr 1252 na głównym w Katowicach. Masz czas do 21.00 albo się wezmę za twoją szmatę. Zobacz, jak nam razem dobrze”.

Ja: „Żadne skrytki. O 21.00 w Starbucksie w Galerii Katow. Chcesz telefon, to przyjdź z Luizą”.

Na zdjęciu, zrobionym najprawdopodobniej telefonem Luizy, ktoś jedną ręką ciągnął dziewczynę za włosy, odchylając jej głowę do tyłu, a drugą trzymał ją za podbródek. Trzecia dłoń, należąca do kogoś niewidocznego w kadrze, trzymała nóż sprężynowy. Jego ostrze było wsunięte w rozchylone usta dziewczyny. Końcówka ostrza, naciskając na wewnętrzną stronę jej policzka, tworzyła niewielką wypukłość. Z kącika ust Luizy płynęła strużka krwi. W jej oczach nie było śladu złości ani tego szelmowskiego błysku, za które tak ją polubił.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ IV

Są razem już ponad dwa lata. Po maturze chłopak przerywa edukację i uruchamia prywatną inicjatywę – tak tłumaczy dziewczynie. Wkrótce może sobie pozwolić na markowe ciuchy i drogie prezenty dla niej. Mając dwadzieścia lat, wozi się sportowym bmw o wartości znacznie przekraczającej finansowe realia większości niemieckich podatników. Dziewczyna uczy się dobrze, w Gymnasium Oberstufe³ jest najlepszą uczennicą na swoim roczniku. Zamierza zostać lekarzem, tak jak jej wuj. Czy chirurgiem – tego jeszcze nie wie.

Pod koniec roku szkolnego 2004/2005 ambicje dziewczyny stają się jej osobistym przekleństwem. Wuj – prośbą i groźbą – zmusza ją do wyjazdu na obóz naukowy dla kandydatów na Wydział Medycyny w LMU⁴. Szlag trafia plany wyjazdu na Ibizę, całodniowe wylegiwanie się na plaży i nocne szaleństwa w klubach.

– I na co mi była ta harówka przez cały rok? – szlocha, wtulona w poduszkę.

Chłopak obiecuje, że odwiedzi ją na „kujonkim obozie”, choć na Ibizę, jak mówi, i tak musi pojechać. Ma tam ważne spotkanie biznesowe, którego nie może opuścić.

– Nie przepal sobie zwojów mózgowych – żartuje, całując ją na pożegnanie.

Stoją na parkingu, z którego autobus zawiezie „kujonów” gdzieś w Alpy Bawarskie. Jest ciepły, letni dzień. Dziewczyna ma na sobie bawełniane szorty i luźno tkaną białą bluzkę, spod której prześwituje koronkowy stanik.

– A ty uważaj, żeby twój fiut nie wylądował gdzieś, gdzie nie powinien! – odcina się, chwytając go przez spodnie za przyrodzenie. – Należy tylko do mnie, pamiętaj – szepce i wsuwa mu język do ucha.

– Ty wariatko! – Chłopak śmieje się i zasłania dłonią ucho. – Lepiej sama uważaj, bo zatłukę każdego, kto się do ciebie zbliży – dodaje wciąż ze śmiechem.

Dziewczyna też się śmieje, choć doskonale wie, że za kurtyną żartów kryje się ziarno prawdy. Wiele ziaren prawdy.

– Spójrz na tych dziwolągów. – Wskazuje na grupkę stojącą opodal. Zauważa, że jeden okularnik, chłopak z równoległej klasy, bacznie jej się przygląda, lecz ignoruje ten fakt. – Czy któryś z nich mógłby z tobą konkurować?

Chłopak odwraca głowę. Przez chwilę obserwuje kursantów zgromadzonych przed autobusem.

– Ale pasztety! – Wykrzywia usta w grymasie obrzydzenia.

– Za minutę odjazd! – wykrzykuje ktoś, prawdopodobnie jeden z opiekunów.

– Kocham cię, ty świrze. – Dziewczyna całuje chłopaka na pożegnanie i znika w autobusie.

Okolica jest piękna. Bungalowy, w których są zakwaterowani, leżą na łagodnym zboczu, na skraju lasu. W dół rozciąga się łąka, pachnąca letnią świeżością, na horyzoncie, jak okiem sięgnąć, pną się w niebo poszarpane grzbiety majestatycznych Alp. Dziewczyna stoi na werandzie bungalowu – oparta o barierkę, z przymrużonymi oczami odpoczywa po zajęciach, wygrzewając się w popołudniowym słońcu. Ma na sobie cienką bluzkę na ramiączkach, dżinsową minispódniczkę i klapki z motylkami. Nie zdaje sobie sprawy, że tył jej spódniczki jest lekko zadarty, tak że spod dżinsowego rantu widać fragment różowych majtek. Mimo wszechobecnej ciszy, zakłócanej tylko ledwie uchwytnym brzęczeniem owadów, nie słyszy, jak ktoś wchodzi na werandę. Jest tym bardziej zaskoczona, gdy czuje lekkie muśnięcie na wewnętrznej stronie ud. Odwraca się gwałtownie, ale nikogo za sobą nie widzi. Za to po jej lewej stronie, jak zmaterializowana zjawą, swobodnie oparty o barierkę, stoi okularnik – ten, który gapił się na nią na parkingu. Jest wyluzowany i pewny siebie. Zachowuje się tak, jakby stali tu razem od kilku dobrych chwil i właśnie przerwali dyskusję. Dziewczyna, speszona, poprawia spódniczkę. Sama już nie jest pewna, czy muśnięcie było robotą okularnika, czy tylko jej się wydało.

– Co ty tu robisz? – pyta. Wciąż jest zakłopotana sytuacją, której nie rozumie.

– Kontempluję. Alpy, łąkę, owce, krowy... – odpowiada okularnik. W jego głosie brzmią znudzenie i maniera.

– No to miłego oglądania. – Dziewczyna odwraca się i chce odejść, ale on chwyta ją za ramię.

– Poczekaj, dokąd ci tak śpieszno?

– Nie twoja sprawa. Puść mnie!

Puszcza, ale z jego twarzy nie schodzi kpiarski uśmieszek. Dziewczyna jest pewna, że obcina ją wzrokiem. Czuje niemal fizycznie, jak skupia się na jej piersiach.

– O co ci chodzi? – pyta.

– O nic, tak pogadać chciałem. – Okularnik odrywa wzrok od piersi dziewczyny.

– To taki twój sposób na podryw?

– Że co niby?

– Macanki od tyłu? A gdybym tak ja ci w dupę palucha wsadziła, kiedy niczego się nie spodziewasz, jak byś się poczuł?

– Proszę, zrób to! – Okularnik, z cynicznym uśmiechem, odpięra atak.

– Świnia! – Dziewczyna ponownie chce odejść i ponownie zostaje zatrzymana.

– Pytałem już: dokąd ci tak śpieszno, ślicznotko? – Tym razem przyciska ją do ściany bungalowu, napierając na nią ciałem.

– Puszczaj!

– Pewnie myślisz, że jesteś taka super, taka mądra i cool – syczy jej do ucha.

– Obserwuję cię od dawna, laleczko. Obnosisz się z tym twoim fagasem i uważasz za najfajniejszą dupę w całej szkole. Znam takie jak ty! Kręcą tyłkiem, ubierają tak, że prawie wszystko na wierzchu, jak jakieś kurwiszony, ale udają święte i grzeczne. „Patrzcie na moje cycki, na goły brzuch pod koszulką i PRAWIEŻEPIZDĘ wysuwającą się z nad paska spodni! Ale nie dotykać! Nie wolno!” Cyniczne hipokrytki – kwituje i pakuje rękę między jej uda.

– Odpieprz się, ty świrze! – Dziewczyna odpycha okularnika z całych sił i wymierza mu kopniaka w krocze. Ten klęka i zwija się z bólu.

– Ty szmato – cedzi, trzymając się za klejnoty. – To się tak nie zakończy. Obiecuję ci!

Dziewczyna odbiega. Jest już za daleko, by słyszeć wypowiedaną w jej kierunku groźbę.

3 W bawarskim systemie edukacyjnym – wyższa szkoła średnia.

4 Ludwig Maximilians Universität München – Uniwersytet Ludwika Maksymiliana w Monachium.

ROZDZIAŁ 25

Katowice, 12.05.2015

Walter zerknął na zegar na desce rozdzielczej. Było prawie wpół do ósmej wieczorem, miał więc trochę ponad półtorej godziny. Do mieszkania, w którym zostawił telefon, powinien dojechać maksymalnie w dziesięć minut, potem do Magika drugie dziesięć, trzecie dziesięć do Starbucksa. Dodając piętnaście minut zapasu, aby znaleźć się na miejscu przed porywaczem, pozostaną jakieś trzy kwadranse, których efektywne wykorzystanie będzie zależało od umiejętności Magika. Facetowi, któremu po nieszczęsnym incydencie na placu Wolności Walter odebrał komórkę, najwyraźniej bardzo zależało na jej odzyskaniu. Do tego stopnia, że posunął się do porwania Luizy. Co więcej – groził, że stanie się jej krzywda, jeśli nie odzyska telefonu. Małe elektroniczne urządzenie musiało zawierać w swej pamięci coś, na czym mu cholernie zależało. Od kilkunastu minut już nie tylko jemu – Walterowi też.

– Jeśli to nie zabawka z CIA czy innego pieprzonego trzyliterowca, to nie powinno być większego problemu – odparł Magik na pytanie, czy poradzi sobie ze złamaniem zabezpieczeń.

– Wiesz, że się powtarzasz? – rzucił komisarz.

– Wiem, ale taka jest prawda.

– Goni mnie czas. Bez ściemy – dodał, chcąc się upewnić, że Magik zrozumiał powagę sytuacji.

– Spoko, komisarzu. Dam radę. Niech pan sobie gdzieś klapnie.

Walter zerknął na zegarek. Aby zdążyć do Starbucksa, musi stąd wyjechać najpóźniej za pół godziny, więc miał chwilę oddechu. Postanowił sprawdzić, jakie grzechy ma na sumieniu Luiza Steiner. Dlaczego rzekoma bratanica padła ofiarą jeśli nie napadu, to co najmniej fizycznego napastowania, i to w dodatku przez ludzi, z którymi coś ją łączyło albo nadal łączy. Najwyraźniej nie była wzorem cnót.

– Jakie masz hasło do wi-fi? – zapytał, włączając swojego laptopa.

– Dawno temu w Ameryce. Bez spacji. Pierwsza i ostatnia małe, reszta duże. Nie okazując zaskoczenia, komisarz wpisał podyktowane hasło.

– Zajebisty film – dodał Magik, odpowiadając na niezadane pytanie.

Walter wpisał odpowiedni adres i połączył się z policyjną bazą danych. Przy drugiej próbie zalogowania się do systemu miał jeszcze nadzieję, że komunikat

„login error” wynika z literówki popełnionej w haśle, przy trzeciej, równie nieudanej, był pewien, że go zablokowali. Nie pozostało nic poza okienkiem Google. Wstukał w okno wyszukiwarki imię i nazwisko, a żeby zawęzić zakres wyszukiwania, dodał: „Katowice” oraz „Śląsk”. W drugiej dziesiątce wyników pojawiło się zdjęcie Luizy z odniesieniem do Facebooka. Już raz był na jej profilu, ale wtedy ograniczył się do wysłania prośby o spotkanie. Kliknął w link i na ekranie pojawiło się panoramiczne zdjęcie gór. Mała fotografia w dolnym rogu przedstawiała uśmiechniętą twarz Luizy. Przewinął stronę. Sekcja z informacjami personalnymi była zablokowana – zgodnie z informacją dostęp mogły mieć tylko osoby z grona znajomych. Przewinął stronę dalej, do zdjęć. Te nie były zablokowane. Kliknął w pierwsze z brzegu. Luiza w górach – Beskidach lub Bieszczadach. Na drugim z dwoma dziewczynami, mniej więcej w jej wieku. Wszystkie trzy robiły zeza i miały wywalone języki. Typowe wygłupy młodych. Kilka kolejnych w podobnym stylu, trochę piesków, kotków i podobnych bzdur. Zatrzymał się przy zdjęciu dwunastym w kolejności – dużo starszym i najwyraźniej skanowanym. Była zima – sądząc po tle – w jakimś parku. Fotografia przedstawiała trzy osoby: mężczyznę w zimowej sportowej kurtce, kobietę w płaszczu i wełnianej czapce i małą dziewczynkę, która stała między nimi, trzymając ich za ręce. Zdjęcie nie było najlepszej jakości, lecz Walter nie miał wątpliwości, kim był uwieczniony na nim mężczyzna. To był jego brat, Kostek.

Zerknął na zegarek. Był już najwyższy czas, aby ruszyć do miejsca spotkania z porywaczem Luizy. Wyłączył laptopa.

– I jak? – zapytał.

Magik w skupieniu pochylał się nad blatem i z wprawą stenotypistki stukał w klawiaturę. Obok, podłączony kablem do laptopa, leżał telefon.

– Okej i nie okej – odparł, podczas gdy jego palce nie przerywały dzikiego tańca.

– A mógłbyś się streścić, bo nie mam za dużo czasu?

W filmowym geście haker stuknął palcem wskazującym w klawisz „enter” i odwrócił się do Waltera.

– Jest kiepsko, bo nie udało mi się rozbebeszyć tej maszynki do końca – oznajmił z wyrazem zadowolenia na twarzy, co nijak nie przystawało do wieści, które właśnie przekazywał. – Ale nie jest beznadziejnie – dokończył, klaszcząc w dłonie.

– Czyli? – Komisarz nie krył zniecierpliwienia.

– Zrobiłem jego mirror. Przekopiowałem całą jego zawartość jeden do jednego. Na razie jeszcze nie znalazłem sposobu, jak zajrzeć pod majtki tej koleżance, ale to tylko kwestia czasu. – Magik odłączył telefon od laptopa i podał

go zleceniodawcy.

– Jak tylko coś znajdziesz, dzwoń od razu – powiedział Walter, ale natychmiast uzmysłowił sobie, że nie miał jeszcze okazji kupić nowej karty. – Nie masz może jakiegoś wolnego prepaida? – zapytał.

– Dobrze pan kombinuje. – Magik otworzył szufladę, z której wyjął plastikowy pojemnik. Otworzył wieczko i wysypał jego zawartość na blat biurka. – Proszę sobie wybrać. Wszystkie odblokowane i załadowane na jakieś dwadzieścia minut krajowych połączeń, oczywiście bez internetu. – Sądząc po kolorach i wydrukowanych na nich logotypów, zbiór należał do prawie wszystkich działających w Polsce operatorów. – Telefon też się panu przyda. – Wręczył Walterowi nokię pamiętającą lata dziewięćdziesiąte. – Paradoksalnie o wiele trudniej hakować tego oldskula niż dzisiejsze smartfony – dodał.

– Dzięki za wszystko, Magik.

– Spoko, komisarzu. Jestem do usług.

– A jak ci idzie z laptopem Dębskiego? – zapytał Walter, bo w progu uświadomił sobie, że przez to całe zamieszanie z Luizą zapomnialby, czym się zajmuje.

– Prawie skończyłem.

– Okej, ale na razie...

– Telefon, jasna sprawa, komisarzu.

– Dokładnie – potwierdził Walter i pognął do samochodu.

Zostało mu dwadzieścia minut. Dotarcie do parkingu na tyłach dworca przy placu znanym powszechnie jako plac Andrzeja nie powinno zająć więcej niż dziesięć. Zostanie mu dziesięć, aby znalazł się tam przed szemranym typem.

Właśnie zamykał drzwiczki, gdy w kieszeni zawibrowała jego komórka. W pierwszej chwili pomyślał, że to znów on, lecz połączenie nadchodziło z innego numeru.

– Walter – rzucił.

– Mówi Magik.

– Słuchaj, teraz nie mogę. Zadzwoń za godzinę, okej?

– Niech pan poczeka, komisarzu. To może być ważne! – krzyknął Magik, zanim Walter zdążył się rozłączyć.

– Masz dziesięć sekund.

Z telefonem przy uchu policjant szybkim krokiem ruszył w kierunku głównej hali dworca. Zszedł do tunelu prowadzącego na perony. W obu kierunkach płynęła rzeka ludzi. Z jednego z wyjść wysypała się chmara rozwrzeszczanych dzieciaków, za którą truchtała szkolna wychowawczyni – jej mina sugerowała, że jest na skraju załamania nerwowego. Lawirując między podróżnymi, Walter starał się przeć do

przodu, nie upuszczając przy tym komórki. Na swoje szczęście wiedział, dokąd iść. Nie bez powodu zażądał spotkania w Starbucksie. Dokładnie znał lokalizację i układ kawiarni. Gdy niecały tydzień temu wysiadł z pociągu, właśnie tu kupił kawę na wynos.

– Dobra, streszczam się – powiedział Magik. – Nie rozkminiłem jeszcze do końca telefonu, ale udało mi się włamać do jego kontaktów. Nie ma ich zbyt wiele, więc to nazwisko od razu rzuciło mi się w oczy.

– Nazwisko? Jakie nazwisko?

– Słyszał pan o naszej prokuratorskiej gwiazdzie, Norbercie Jarzabku?

– Pieprzysz! – Walter na chwilę zwolnił marszobieg.

– Niestety nie, komisarzu. W tej komórce, choć to dziwne, jest jego służbowy numer.

– Co jest dziwne?

– Dlaczego prokurator nie dał temu gościowi numeru jakiegoś prepaida, tylko służbową komórkę?

– Masz rację. Wyślij mi pełny rejestr zachowanych połączeń. Szybko – polecił Walter i rozłączył się.

Stał przed kawiarnią. Rozejrzał się, a następnie sprawdził wnętrze lokalu. Elegancika jeszcze nie było. Możliwe, że właśnie go obserwował, ale komisarzowi to nie przeszkadzało. Zależało mu jedynie, aby jako pierwszy zajął miejsce, które sam wybierze. Zdecydował się na dwuosobowy stolik przy ścianie, w rogu sali. Usiadł tyłem do bufetu. Prawy bok i plecy Waltera zabezpieczały ściany. Przed sobą miał wolne krzesło i przeszkloną frontową ścianę. Z lewej strony, tej najbardziej odsłoniętej, zaraz obok jego stolika siedziała para zajętych sobą nastolatków. Ich rozanielone oblicza i zamglone spojrzenia tłumaczyły wszystko – Romeo i Julia wznosili się właśnie na szczyt wzajemnej fascynacji. Przy drugim, zajęтым stoliku siedział mężczyzna. Był ubrany w powyciągany sweter, na nosie miał okulary i w skupieniu czytał książkę. Wyglądał jak ubogi literat, który przy jednej kawie potrafi przesiedzieć kilka godzin. Walter dyskretnie wyjął glocka spod marynarki i położył na krześle między swoimi nogami. Zaczął obserwować otoczenie.

Dworzec kolejowy w Katowicach wyglądał, jakby był tylko skromnym dodatkiem do dominującej nad nim monstrualnej galerii handlowej. Połyskująca w słońcu stalowo-szklana budowla przypominała gigantyczną kopułę, pod którą ktoś ukrył kolorowy świat markowych sklepów, sieciowych kawiarni, butików i salonów piękności. Setki przechodniów podążały we wszystkich kierunkach. Spora część, sądząc po walizkach i torbach, zmierzała dokądś lub wracała z podróży.

Komórka Waltera, ta z kartą, którą dostał od Magika, zawibrowała. Otworzył wiadomość. Haker wysłał rejestr połączeń. Ale to nie wszystko. Udało mu się też

dotrzeć do zapisanych wiadomości tekstowych i poczty elektronicznej. Walter zaczął pobieżnie przeglądać nadesłaną treść. Wyglądało, że to nic istotnego, typowe esemesowe wiadomości, choć parę z nich sugerowało, że gość para się jakimś pokątnym handlem. Może prochy lub coś w tym stylu? – pomyślał. Poza tym nic, co mogłoby wyjaśnić istnienie prokuratorskiego numeru w tym telefonie. Niestety nie mógł się w pełni nad tym skupić – co chwilę się rozglądał, próbując wyłowić z tłumu osobę zmierzającą do jego stolika. Nie minęły trzy minuty, a z chaosu ludzkich głów, plecaków i toreb wyłonił się człowiek, któremu zabrał komórkę.

ROZDZIAŁ 26

Katowice, 12.05.2015

Był sam. Podobnie jak ostatnio miał na sobie garnitur. W ręku trzymał skórzany męski neseser. Brakuje tylko laski i melonika, pomyślał Walter.

Gdy mężczyzna go dostrzegł, pewnym krokiem podszedł do stolika, odsunął stojące naprzeciwko krzesło i usiadł.

– Dawaj telefon – zażądał, nie siląc się na konwenanse.

– Gdzie jest Luiza? Umawialiśmy się, że przyjdiesz razem z nią – odparł Walter, jednocześnie dyskretnie zerkając za plecy porywacza, czy aby nie przywłókł ze sobą obstawy. Nic podejrzanego jednak nie zauważył.

– Umowa to jest coś, na co zgadzają się obie strony, a ja nie przypominam sobie czegoś takiego – odparł tamten z przekąsem.

– Szczerze mówiąc, mam w dupie kondycję twojej pamięci. Zapomnij, że oddam ci komórkę, zanim zyskam pewność, że dziewczyna jest cała i bezpiecznie wróci pod moją opiekę.

– Opiekun, kurwa, się znalazł – mężczyzna parsknął szyderczo. – Ja to bym ci nawet chomika pod opiekę nie oddał.

Kawiarnia żyła swoim zwykłym rytmem. Barista zawołał klienta, który zamówił dwie latte, ktoś zasiadł do stolika, dworcowy megafon zapowiedział podmiejski do Gliwic.

Walter mimowolnie poczuł, że za tą złośliwą ripostą coś się kryje – że mężczyzna, który stoi za porwaniem Luizy, sporo o nim wie. Tylko skąd? Jakim sposobem mógłby dotrzeć do informacji o zdarzeniach sprzed miesiący, lat? Już nie raz próbowano w różnoraki sposób przekręcać fakty i wykorzystywać je przeciwko Walterowi – czyżby to była kolejna próba? Może tak, a może po prostu nawiązywał do Luizy, w tej jednak chwili coś innego skupiło uwagę komisarza. Porywacz sprawiał wrażenie pewnego siebie, jakby to on rozdawał karty w tej grze. Do tego Walter nie chciał dopuścić. Z doświadczenia wiedział, że nie może pokazać nawet odrobiny słabości. Hiena, która siedziała naprzeciw, gdy tylko to wyczuje, kłapnie zębiskami i nie puści, choćby ją tłuc po łbie przedwojenną cegłą. Takiemu typowi trzeba pokazać wielkie i twarde *cojones*. Inaczej nie pojmie.

– To, co o mnie myślisz, też mam w dupie, razem z tobą i twoim telefonem. Gównu mnie on obchodzi. Mam sto innych spraw na głowie poza tobą i twoją wielką, kurwa, tajemnicą, którą w nim pitrasisz. Ale widzę, że dla ciebie ten aparacik z jakichś powodów jest cenny i chyba chcesz go odzyskać, prawda? – Głos Waltera był stanowczy i surowy.

Mężczyzna przechylił głowę i ze ściągniętymi brwiami patrzył na niego w skupieniu. Po chwili położył obie ręce na stół i nachylił się tak, że ich twarze znalazły się na odległość szeptu.

– Ty, macho-wujek, czy ty, kurwa, myślisz, że takie teksty mnie biorą? Filmów żeś się za dużo naoglądał czy co? Widzisz tych trzech gości? – Gestem głowy wskazał na witrynę trafiki naprzeciwko Starbucksa.

Walter dopiero teraz zauważył trzech solidnej budowy facetów. Ich specyficzny dress code i brak owłosienia na głowach nie pozostawiały wątpliwości co do profesji, jaką się zajmują. Nie widział ich wcześniej – na pewno nie umknęłyby jego uwadze – więc musieli się pojawić przed chwilą. Za ich plecami dostrzegł kogoś jeszcze.

– Jak dam im znać – kontynuował porywacz – to cię stąd po prostu wyniosą razem z moją własnością. A tam, dokąd cię zaprowadzą, nie będzie już takiego Wersalu jak ze mną. Więc jak, wujek, oddajesz po dobroci?

Walter przysunął się do krawędzi stołu. Ich twarze znalazły się teraz tak blisko siebie, że w oddechu rozmówcy wyczuł, co ten jadł na obiad. Nagle mężczyzna drgnął. Wyprostował się i spojrzał na swoje krocze. Między jego nogi wbijała się lufa glocka.

– Co jest, kur... – Podniósł wzrok. Na jego twarzy malowało się szczere zdziwienie.

– Dokładnie to, co widzisz – odparł komisarz. – To nie noga stołowa uwiera cię w jaja. To jak będzie? – Walter docisnął pistolet. – Bawimy się w Wersal i grzecznie zadzwonisz gdzie trzeba czy mam ci zrobić z wora kebaba na miękko?

– Nie zrobisz tego. Jesteś gliną – odparł facet już mniej pewnym tonem.

– Chcesz się przekonać? – Komisarz docisnął lufę.

– Nawet jeśli się mylę i jesteś na tyle szalony, to w jaki sposób później odzyskasz dziewczynę?

– Mam coś, na czym komuś bardzo zależy.

– Mnie, kurwa! Mnie zależy.

– Tobie? – parsknął Walter. – Ty jesteś zwykłym posłańcem, przydupasem nadstawiającym karku i próbującym ratować swoje dupsko po spierdoleniu sprawy – dodał tonem pełnym pogardy.

Blefował. Postanowił zaryzykować i sprawdzić teo-rię, którą zbudował naprędce. Informacja przekazana przez Magika spowodowała, że na pozór niepowiązane ze sobą fakty znalazły wspólny mianownik: prokurator Jarząbek. Skuteczne zamknięcie śledztwa przez prokuratorowskiego siostrzeńca, zawieszenie Waltera w wykonywaniu służbowych obowiązków za „ciężkie” pobicie gości, którzy napastowali Luizę, a wszystko po to, aby odsunąć go od śledztwa. Wisienką na torcie było nazwisko Jarzábka w wykazie połączeń zarejestrowanym w telefonie kretyna. W tym równaniu dwa plus dwa niekoniecznie dawało cztery, ale wszystko

wskazywało, że jest bardzo blisko.

– Nie wierzę, że to zrobisz – powtórzył porywacz, starając się utrzymać fason, choć w jego oczach pojawiło się zwątpienie.

Nagle coś syknęło. W tej samej chwili mężczyzna zgiął się wpół, niemal uderzając podbródkiem w blat kawiarnianego stolika. Jego twarz nabrała purpurowego koloru, kontrastując z białkiem wytrzeszczonych oczu, z których popłynęły grochy łez. Walter gestem nakazał mu milczenie. Mężczyzna zacisnął zęby, jęcząc cicho.

– Ten był ślepy. Dostałeś w dzwona małą falą uderzeniową z powietrza i gazu – wyjaśnił Walter. – Ale następny przeleci ci przez mosznę i utkwi gdzieś w miednicy. A ja spokojnie odejdę i poczekam na następny telefon. Więc jak będzie?

ROZDZIAŁ 27

Katowice, 12.05.2015

Dlaczego oddałeś mu ten telefon? – zapytała Luiza.

Siedzieli przy tym samym stoliku, przy którym Walter upokorzył porywacza. W kawiarni było niewielu klientów i poza obściskującą się parą nikt nie zwracał na nich uwagi. Tych dwoje musiało jednak coś zauważyć. Zaniechali miłosnych igraszek, wpatrując się w nich z niepokojem. W pewnym momencie dziewczyna szepnęła coś do ucha chłopakowi. Wstali i zerkając na Waltera, jakby chcieli się upewnić, czy za nimi nie podąża, wyszli z kawiarni.

– Nie jest mi do niczego potrzebny – odparł, choć była to tylko półprawda. Magik miał klona, więc oryginał faktycznie był mu zbędny. Być może tamci dadzą się nabrać i dzięki temu kupi czas i uśpi ich uwagę.

– Jasne. – Kiwnęła głową. – To co, mogę już iść? – zapytała i nie czekając na odpowiedź, zaczęła wstawać.

– Siadaj – rzucił krótko. Jego głos, choć spokojny i opanowany, niósł w sobie taką dawkę metalicznego chłodu, że dziewczyna bez zajknięcia wykonała polecenie.

Po chwili, najwyraźniej odzyskując rezon, rzuciła:

– Teraz zapewne padnie słynne „musimy porozmawiać”?

– Poprawna odpowiedź, wygrałaś toster.

– A nie możemy przełożyć tej rozmowy? Dzisiaj mam dość. To był naprawdę popieprzony dzień. – Luiza skrzywiła się, niezadowolona. Walter zauważył, że nerwowo rozgląda się dookoła.

– Serio? Do głowy by mi nie przyszło. – Odchylił się i skrzyżował ręce na brzuchu. – Nie wyglądałaś na śmiertelnie przerażoną, gdy stałaś za plecami tych sterydów.

– Okej, może to nie było porwanie, takie klasyczne, wiesz...

– Nie wiem. Wyjaśnisz?

– Szantaż. Mają coś na mnie i... – Przerwała i skryła twarz w dłoniach.

Walter milczał. W tej chwili nie ufał jej za grosz. Znał ją od kilkudziesięciu godzin, a ona już kilka razy zagrała mu na emocjach. Celowo czy nie – tego jeszcze nie wiedział. Fakt, że póki co dopinała swego – ciągnęła go jak psa na sznurku, a on tego nie lubił. Miała w sobie coś z Kostka, choć on nigdy nie działał z premedytacją. To raczej Walter był tym, który planował i wciągał go w swoje zamiary. Ale w jednym Luiza i Kostek byli podobni jak dwa przecinki w tekście – kroczyły za nimi zamieszanie, chaos i bajzel do posprzątania, a przede wszystkim

jedna wielka niewiadoma.

– Masz zamiar się rozplakać? – zapytał tak, jakby w ogóle nie obchodziła go odpowiedź.

Luiza podniosła wzrok. Miała zaszklone oczy, lecz o ile przed chwilą wypełniały je łzy słabości, o tyle teraz lśniły czystą nienawiścią.

– Pierdol się, ty bucu! – Ponownie zaczęła się zbierać do wyjścia, ale złapał ją za rękę.

– Usiądź. – Tym razem jego głos zabrzmiał łagodniej. Pomyślał, że właśnie wypłynęło jego osobiste zaangażowanie. Jedną z najczęstszych przyczyn kłódnienia spraw, nawet tych dziecinnie prostych, bo gdy w grę wchodzi emocje i prywatnie, wszystko staje się trudniejsze.

Luiza niechętnie opadła na krzesło.

– Skąd znasz tych gości? Co to za jedni? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

– Czy to jest takie ważne?

– Tak, to jest takie ważne.

– Przecież sprawa jest załatwiona. Ja jestem wolna, on odzyskał swój cenny telefon, więc czemu tego po prostu nie zostawić?

Gryzła paznokcie. Walter pamiętał, że gdy zobaczył ją po raz pierwszy, miała śliczne, zadbane dłonie. Teraz praktycznie bez przerwy obgryzała skórki, a jej paznokcie miały poszarpane, nieregularne brzegi. W żadnej mierze nie wyglądała na kogoś, kto odczuwa ulgę po traumatycznych przeżyciach. Wręcz przeciwnie – była przerażona. Postanowił, że na razie da jej spokój. Niech ochłonie.

– No dobrze, wrócimy do tego później.

– Później? Co masz na myśli? Jakie „później”? – Uniosła głowę. Smutek w jej oczach zastąpił tak dobrze już znany Walterowi błysk – hardy i zadziorny.

– Po spotkaniu z twoim ojcem. Chcę się zobaczyć z bratem – odparł.

Luiza drgnęła, po czym uśmiechnęła się. Ni to smutno, ni ironicznie.

– Masz już jakieś kwiaty i znicze czy kupimy pod cmentarzem? – sarknęła.

– Chcesz powiedzieć, że on...

– Tak, nie żyje – dokończyła za niego.

Nie odpowiedział. To, co usłyszał, nie było niczym szokującym czy nawet zaskakującym. W końcu Kostek od wielu lat był dla niego jak martwy. Nie czuł smutku ani żalu, jakiego się doświadcza po stracie bliskiej osoby. Czuł coś innego, bardziej rozczarowanie czy zawód. Wszystkie pytania sprowokowane pojawieniem się tej dziewczyny, które chciał mu zadać po tych wszystkich latach, już zawsze pozostaną bez odpowiedzi.

– Nie wydajesz się jakoś specjalnie poruszony tą informacją – zauważyła. – Zastanawiam się, dlaczego nigdy o tobie nie mówił. Co się wydarzyło między wami?

Walter wrócił do rzeczywistości. Coś mu nie pasowało. „Nigdy o tobie nie mówił”...

– Poprzednim razem stwierdziłaś, że rozpoznałaś moją twarz w telewizji, a teraz sugerujesz, że w zasadzie nie wiedziałaś o moim istnieniu. Nie widzisz w tym sprzeczności? – Znowu uważnie spojrzał jej w oczy.

Luiza wzięła głęboki oddech i pokręciła głową.

– To nie tak, mogę wszystko wyjaśnić.

– Umieram z ciekawości.

– Ale chce mi się pić. Kupisz mi coś? – poprosiła.

– Cola, sok?

– Woda wystarczy – odparła i podparła się na stoliku, ujmując głowę w dłonie.

Podszedł do kasy i złożył zamówienie. Barista, szczerząc zęby niczym początkujący celebryta przed obiektywami paparazzich, zaproponował kanapki w promocji. Walter, choć z reguły nie przystawał na tego typu propozycje, tym razem poczuł, że na dźwięk słowa „kanapka” kurczy mu się żołądek. Od rana nic nie jadł.

– Dobrze, wezmę dwie z tuńczykiem – postanowił.

W tej samej chwili uświadomił sobie coś jeszcze. Fatalny, głupi błąd. Jak mógł zostawić ją samą? Jak ostatni idiota! Odwrócił się powoli. Gdy tylko stolik, przy którym zostawił Luizę, wszedł w jego pole widzenia, wiedział już, że się nie pomylił. Dziewczyna zniknęła.

ROZDZIAŁ 28

Katowice, 12.05.2015

Luiza Steiner, nie oglądając się za siebie, wybiegła ze Starbucksa. Z trudem lawirowała wśród podróżnych i klientów galerii. Ciżba była gęstsza niż zwykle. Tłum ją cieszył, sprzyjał jej. Jeśli on ją goni, trudniej mu będzie ją wypatrzeć, a jeszcze trudniej dopaść. Przebiegła przez ulicę 3 Maja w kierunku Stawowej. Przystanęła na chwilę, łapiąc oddech. W końcu spojrzała za siebie. Nigdzie go nie dostrzegła. Może jednak za nią nie pobiegł? Albo dostał zadyszki i odpuścił? W końcu ma już swoje lata i żaden z niego maratończyk. Przycupnęła na brzegu niewielkiej fontanny z mosiężną żabą siedzącą na kamieniu w jej centralnym punkcie.

Była zła. Jeszcze raz sprawdziła, czy Walter nie kręci się gdzieś w pobliżu, i wróciła na 3 Maja. Tam wsiadła do tramwaju. Relikt z lat osiemdziesiątych, chrzęszcząc i trzęsąc żelaznymi bebechami, przejechał przez cieszące się złą sławą Załęże i dojechał na wysokość Tauzena5. Tam wysiadła.

Na przystanku stało kilka kobiet, dzierżących w dłoniach plastikowe torby z zakupami z pobliskiego hipermarketu. Wszystkie z zaciekawieniem, ale i oburzeniem obserwowały zmagania na oko szesnastoletniej Romki usiłującej zapanować nad wózkiem z rozwrzeszczanym oseskiem. Towarzyszył jej pijany w sztok, niewiele od niej starszy, mężczyzna.

– Na co się gapicie, stare motyki! – wybełkotał Rom w kierunku matron.
– Zawrzyj pysk, ty chachorze pieruński! – odpaliła jedna z nich.
– Pilnuj bajtla, a nie chlyj, nierobie jeden! – dodała inna.
– Patrz, pani, godo po naszymu i se myśli, że sie może rządzić sam, pierun jedyn! – dorzuciła trzecia, zerkając mimochodem na wystające z torby butelki wina marki wino.

Luiza ominęła obrzucające się obelgami towarzystwo i szybkim krokiem poszła w kierunku osiedla.

Wejście do klatki monstrum z wielkiej płyty przypominało wysypisko śmieci. Na lastrykowej posadzce walały się papiery, kartony, puste butelki po „małpkach” i bełtach. Na frontowej ścianie klatki wisały skrzynki pocztowe. Dziesiątki ponumerowanych klatek z powtykanymi w szczeliny ulotkami, folderami i wszelkiego rodzaju reklamowym śmieciem, dla którego z pewnością ścięto wiele drzew.

Luiza doskoczyła do drzwi windy i zerknęła na wyświetlacz. Dźwig był na dwunastym piętrze. Drugi stał na ósmym.

– Kurwa! – zakleła.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Jakiś pierwotny instynkt przetrwania podszeptował jej, że są już blisko. Drażnił zmysły i podkreślał wyobraźnię. Mogli być wszędzie – na schodach – lewych lub prawych, w windzie, która zaraz zjedzie. A może już na nią czekają? Siedzą sobie na jej kanapie, popijając herbatkę, w oczekiwaniu, aż sama wpadnie w ich łapska? Boże! Może niepotrzebnie tu przyszedłam? – pomyślała, lecz zaraz odezwał się głos rozsądku: Tak szybko by tu dotarli? Tak zaraz mieliby się z nią policzyć? Kim ona dla nich jest? Świadkiem – tak, ale też zwykłą dziewczuchą, głupią dilerką pracującą dla Stróżika. Poczekają na lepszą okazję, zamiast gnać za mną w biały dzień, pocieszała się, wciskając raz za razem guzik przywołania windy, jakby to mogło cokolwiek przyspieszyć.

W końcu dźwig przyjechał. Stalowe drzwi zaczęły się rozsuwać leniwie, zbyt leniwie. Luiza odsunęła się na bok, ostrożnie zajrzała do środka i odetchnęła z ulgą. Winda była pusta. Wskoczyła do środka i wybrała szóste piętro. Drzwi zaczęły się zamykać – tak samo powoli, z tym samym metalicznym łoskotem. Nagle, gdy szpara między nimi była mniejsza niż dwa centymetry, rozległ się stłumiony męski głos:

– Stój!

Luiza zatkała uszy i cofnęła się, przywierając plecami do ściany windy. Jakby mogła w ten sposób uniknąć niebezpieczeństwa.

Dźwig ruszył. Dziesięć, może piętnaście sekund, które trwała podróż z parteru na szóste piętro, wydawały się ciągnąć w nieskończoność – jak w koszmarach, które nawiedzały ją od lat – gdzie każdy krok, każda myśl czy spojrzenie miały formę kisielu. Gęstej, ciągnącej się substancji, w której żyła, którą była.

Wysiadła na szóstym piętrze. Korytarz był pusty. Podbiegła pod drzwi swojego mieszkania, zanurzając rękę w czeluściach torebki. Klucze wymacała od razu. Już miała wsunąć jeden z nich w otwór zamka, gdy usłyszała sygnał nadjeżdżającej windy. Cofnęła dłoń, wstrzymała oddech. Może to tylko omamy, wywołane przez dudniący w uszach puls? A jednak nie! Tym razem wyraźnie rozległ się łoskot rozsuwających się drzwi. Nie mogła to być ta sama winda, którą przed chwilą tu dotarła. Tak szybko nie obróciłaby na dół i z powrotem. Ktoś musiał wjechać drugą windą – zaraz za nią. Ktoś, kogo głos usłyszała na parterze.

Co robić, kurwa, co robić... – zastanawiała się gorączkowo. Uciec drugimi schodami, tymi na końcu korytarza? Jako nastolatka przesiadywała na nich często, gdzieś pomiędzy piętrami. Ćmiła fajki z kumplami, czasem obalali jakieś jabcki. Było spokojnie i pusto. Przede wszystkim dlatego, że pożarowe schody, wbrew wszelkiej logice i przepisom, na każdym piętrze były odcięte od korytarza. Wtedy było to zaletą; teraz – parszywą pułapką. Nie będzie miała jak uciec, bo najprawdopodobniej wpadnie w ślepią ulicę. Musi się dostać do mieszkania, musi

otworzyć te cholerne, wiecznie zacinające się zamki i wierząc w wytrzymałość antywłamaniowych drzwi, zadzwonić po pomoc. Walter! Tak, zadzwoni do niego, tylko żeby zdążyła się schować! Nie pamiętała, kiedy tak drżały jej ręce. Nawet wtedy, gdy przesadziła z jakimś chemicznym gównem, którym poczęstował ją jej durny chłopak, i rano nie mogła podnieść filiżanki bez rozlania kawy na stół, ani wtedy, całkiem niedawno, kiedy ten teutoński blond bandzior w garniaku za kilkanaście tysi sięgał za pazuchę po coś, czym zapewne miał zamiar strzelić jej w łeb.

Przygryzła wargę – z całych sił. To zawsze pomagało odciągnąć myśli od tego, co je rozpraszało – skupić się na bólu. Na bólu i zadaniu. Poczula znajomy metaliczny smak. Przełknęła mieszankę krwi i śliny i pewnym, bezbłędnym ruchem wsunęła klucz do zamka. Dwa obroty, dwa kliknięcia i już była w środku. Natychmiast zablokowała zasuwę i plecami przywarła do drzwi. Stała tak przez chwilę, nasłuchując odgłosów z zewnątrz. Cisza. Po kilkunastu sekundach, upewniwszy się, że nikt nie kombinuje przy zamku, nie kopie, nie wali łomem czy innym narzędziem, odwróciła się, aby zerknąć w wizjer. Nie zdążyła odsunąć klapki zakrywającej obłą soczewkę judasza, gdy poczuła, że ktoś łapie ją za włosy. Chciała krzyknąć, odwrócić się, wyrwać napastnikowi – ale w tym momencie jej głowa walnęła w skrzydło drzwi, znacząc je krwawym rozbryzgiem. Pod Luizą ugięły się nogi. Klapnęła na tyłek. Przewróciłaby się na plecy, gdyby napastnik nie trzymał jej za włosy. Złapała go za rękę, jednocześnie przebierając nogami. Spróbowała wziąć oddech i krzyknąć. Z bólu, ze strachu. Wydobyła z siebie jednak tylko bulgoczący charkot; powietrze zmieszało się ze spienioną śliną i krwią.

Gdy dotarli do salonu, rzucił ją – jakby była workiem kartofli, stertą ubrań do prania. Gdy spróbowała się podnieść, kopnął ją w twarz. Podeszwa wojskowego buta przeorała jej kość policzkową i brew, zdzierając naskórek. Luiza jęknęła z bólu i zrezygnowała. Nie chciała być więcej bita. Niech skurwiel robi, co musi, byleby nie bił, myślała, łykając łzy.

Nagle na zmasakrowanej twarzy poczuła powiew świeżego powietrza. Przekręciła głowę w kierunku, z którego dochodził, i zmoczyła majtki. Dwumetrowe monstrum – lekko, jakby ważyła dwadzieścia kilogramów – zarzuciło ją sobie na ramię i ruszyło w stronę otwartych drzwi balkonowych.

Pofrunę... – pomyślała, zanim straciła świadomość.

5 Potoczna nazwa osiedla Tysiąclecia.

ROZDZIAŁ 29

Katowice, 12.05.2015

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła twarz człowieka, przed którym kilkadziesiąt minut temu uciekała. Wtedy dotarło do niej, że jednak nie pofrunęła. Czy to on mnie uratował? Skąd w ogóle się tu wziął? I co z tamtym? Czy na pewno jestem bezpieczna? Pytania kotłowały się w jej głowie.

Gdy Luiza uciekła z Galerii Katowickiej, Waltera coś tknęło. Jakieś niejasne, ale natrętne przeczucie, że dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Zdecydowanie za dużo wiedziała – i to na temat osoby, która wiele by zrobiła, aby ta wiedza nie wypłynęła na światło dzienne.

To wtedy zadzwonił do Magika. Hakerowi wystarczył profil Luizy na Facebooku, żeby wydobyć z sieci jej adres IP, a co za tym idzie – adres, pod którym mieszkała. Zdążył w ostatniej chwili. Typ, klasyczny mięśniak, właśnie wchodził do klatki schodowej. Walter rozpoznał w nim jednego z gości z obstawy Stróżika. I wszystko było jasne. Komisarz dostał od Magika nazwę ulicy i numer bloku, niestety nie miał numeru mieszkania. Gdy wpadł do klatki, za cynglem właśnie zamknęły się drzwi windy. Obserwował zmieniające się na elektronicznym wyświetlaczu cyfry. Winda stanęła na szóstym piętrze. Wtedy ruszył po schodach, doceniając fakt, że odstawił wódkę i ograniczył fajki. Jeszcze kilkanaście miesięcy temu wypłułby płuca w okolicach drugiego piętra. Teraz, choć daleko mu było do kondycji sportowca, bez większej zadyszki wbiegł na piętro docelowe. Dopiero wtedy dostrzegł, że dźwig zatrzymuje się między poziomami. Dwa rzędy schodów prowadziły w dół, a dwa w górę. Wybrał jedno z tych prowadzących w górę. I miał szczęście – choć Luiza zdecydowanie większe. Zza drzwi jednego z mieszkań w korytarzu dochodził hałas. Walter nie miał wątpliwości, że słyszy Luizę. Cyngiel najwyraźniej nie należał do tych subtelnych i nie zadał sobie trudu, by załatwić sprawę po cichu.

Gdy wpadł do środka, facet już niósł bezwładną dziewczynę w kierunku balkonu. Wolnym, pewnym siebie krokiem szedł przed siebie. Był potężny. Walter zdał sobie sprawę, że tylko solidny kij do bejsbola mógłby zrobić mu krzywdę, a niczego takiego wokół siebie nie widział. Postanowił użyć broni ze ślepymi nabojami w magazynku – tej samej, którą nastraszył Stróżika. Niewiele myśląc, wyciągnął z kabury pistolet. Zszedł napastnika od tyłu, na odległość wyciągniętej ręki, i wypalił mu ślepakiem prosto w ucho.

Facet runął na podłogę, łypiąc na komisarza nieprzytomnym wzrokiem. Z jego ucha wypłynęła strużka krwi. Zwiotczały wór kości i mięśni bez żadnego oporu dał się związać tym, co Walter znalazł w naprędcie przeszukanych szufladach. Komisarz dokończył dzieła, kneblując sterydowi gębę kilkoma parami fig, które wyjął z kosza na brudną bieliznę. Teraz mógł spokojnie zająć się poturbowaną Luizą.

– Pomóż mi usiąść – poprosiła.

Gdy tylko spróbowała unieść głowę, poczuła zawroty oraz tętniący ból nosa i górnej wargi, która miała już rozmiary niewielkiego serdelka.

– Lepiej leż i nie ruszaj się przez jakiś czas – odparł Walter.

– Jest bardzo źle? – Dotknęła spuchniętej twarzy.

– Prawdopodobnie masz złamany nos, ale zachowałam wszystkie zęby. Gdzie trzymasz opatrunki?

– Opatrunki?

– Wiesz, bandaże, gazy, plastry i takie tam. Chciałbym cię doprowadzić do porządku.

– Sorry, trochę mi się jeszcze miele we łbie. – Dziewczyna ściągnęła brwi, krzywiąc się z bólu. – W kuchni, w pierwszej szafce po lewej.

Po chwili Walter wrócił z buteleczką spirytusu salicylowego i paczką sterylnej gazy.

– Wiesz, że w zasadzie powinienem cię aresztować? – rzucił, kucając na wysokości głowy Luizy.

– Grzebałeś w tej szafce – stwierdziła z wyrzutem.

– Nie musiałem. Wystarczy ją otworzyć i od razu wiadomo, co oprócz apteczki tam trzymasz. Zapach mówi wszystko.

– To nie moje, tylko mojego chłopaka. – Odwróciła wzrok.

– Twojego chłopaka. Jasne. – Pokiwał głową. – Widzisz wyraźnie? – zapytał, ścierając kawałkiem nawilżonej gazy krew z twarzy i szyi dziewczyny.

– Tak.

– Na pewno?

– Mam ci policzyć wągry na nosie?

– Dzięki, nie musisz. Ile widzisz palców? – Uniósł dłonie.

– Cztery u lewej i dwa u prawej. Mówiłam, że widzę dobrze, kurczę!

– Średnio ci ufam.

– Gównu mnie to obchodzi.

– Luiza, nie fikaj, bo wiesz, że masz przerąbane na całej linii. Naprawdę chcesz mieć we mnie wroga? Jestem gliną, pamiętasz?

– No to mnie aresztuj – odparła obojętnie.

– Uwierz mi, że jeśli to zrobię, nie będziesz bardziej bezpieczna. Wręcz przeciwnie.

Spojrzała mu w oczy.

– Dobrze. Przepraszam. Nie wiem, dlaczego to robię – wyznała po dłuższej chwili.

– Jeśli mam ci pomóc, musisz być ze mną szczerą. Koniec ściem. Ze swojej strony obiecuję, że zrobię wszystko, aby cię z tego wypłatać. Tylko musisz mi pomóc, okej?

– Dobrze, obiecuję. Tylko zabierz mnie stąd – poprosiła.

Nie było w niej już śladu buńczuczności. Powoli zaczęła się podnosić z podłogi, ale ją powstrzymał.

– Poczekaj jeszcze chwilę. Będzie lepiej, jak zatkaś sobie tym dziurki w nosie. – Wręczył jej dwa zwinięte kawałki gazy. – Jak się spionizujesz, możesz znów zacząć krwawić.

Luiza wcisnęła prowizoryczne tampony w dziurki nosa i wspierając się na Walterze, ostrożnie wstała.

– Kręci ci się w głowie? – zapytał.

– Nie.

– Jeśli tylko czujesz, że coś jest nie tak, to nie chojrakuj, tylko od razu mów, dobrze?

– Dobrze.

– A teraz daj mi dwie minuty. Muszę zadać kilka pytań temu wielkoludowi.

– Zmywamy się, natychmiast. – Walter był wyraźnie poruszony.

– A co z tamtym? – zapytała Luiza. – Nie było cię najwyżej pół minuty. Wszystkiego zdążyłeś się dowiedzieć?

– Niczego się nie dowiedziałem, bo już go tam nie ma.

– Jak to nie ma? Odfrunął czy co?

– Najwyraźniej taki miał zamiar. Tylko niezbyt mu wyszło, bo leży na betonie w kałuży krwi. Ten ślepek musiał mu niezłe przeorać we łbie, błędnik zaszalał i chyba po prostu wypadł. Miałem nadzieję, że nie podniesie się tak szybko, a jednak. Za chwilę na dole będzie policja. Niewykluczone, że ktoś widział, z którego balkonu poleciał, więc powtarzam: spadamy!

ROZDZIAŁ 30

Katowice, 12.05.2015

Weszli do mieszkania Waltera. Mansarda wyglądała jak loft w wersji kompaktowej. Z sieni wchodziło się bezpośrednio do mniej więcej trzydziestometrowego pomieszczenia, które pełniło kilka funkcji – salonu, sypialni i kuchni. Umeblowanie było proste i funkcjonalne: rozkładana kanapa, dwa fotele, niski stół kawowy. Obok stolika z telewizorem LCD stały niewielki regał i podłogowa lampa z papierowym kloszem. Wszystko z Ikei, nie wyłączając umeblowania aneksu kuchennego. W sam raz jak na potrzeby Waltera.

Usiedli, popijając herbatę. Przyjemny aromat earl grey roznosił się w powietrzu. Walter na fotelu, Luiza w rogu kanapy. Ramionami obejmowała zgięte nogi, brodę opierała na kolanach. Mimo przyjemnego ciepła panującego w mieszkaniu owinęła się kocem. Z włosami upiętymi w kok na czubku głowy przypominała Walterowi Małą Mi z opowieści o Muminkach, choć w obecnej wersji już nie tak zadziorną jak ta oryginalna. Pomyślał o córce, którą stracił kilka lat temu. Uwielbiała, jak czytał jej do poduszki, a *Kometa nad Doliną Muminków* była jej ulubioną bajką.

– Musimy porozmawiać – oznajmił teraz. – Jesteś gotowa?

– A mam wybór? – Luiza wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że masz. Ale też musisz mieć pełną świadomość konsekwencji swojej decyzji.

– Czyli?

– Możesz milczeć, a ja się postaram, żebyś odpowiedziała za sfingowane porwanie. Możesz też zacząć mówić, a ja podejmę właściwą decyzję w zależności od tego, co usłyszę.

– Wsadziłbyś do więzienia własną bratanicę? – Zmarszczyła czoło z niedowierzaniem.

– Owszem. Zwłaszcza taką jak ty – odparł bez chwili wahania.

Nie odpowiedziała, tylko jeszcze szczelniej okutała się kraciastym kocem.

– Zrobisz mi jeszcze herbaty? – poprosiła po dłuższej chwili. – To będzie długa opowieść.

Luiza ogląda wieczorny film, gdy ktoś puka do drzwi jej mieszkania. W wizjerze widzi dilerę, od którego kupuje zioło i któremu jest winna kupę forsy. Zła decyzja, nieprzemyślany i ryzykowny interes, który dosłownie idzie z dymem,

gdy próbuje zaistnieć na rynku marihuany, zadłuża ją po uszy. Gdy uchyla drzwi, te prawie wypadają z zawiasów, kopnięte przez barczystego mężczyznę, który towarzyszy dilerowi. Diler ma na nazwisko Strózik. Gdy są już w środku, bez żadnych wstępów oświadcza, że od dziś to on jest jej wierzycielem. Dla podkreślenia wagi swych słów uderza ją na odlew w twarz. Zapowiada, że wróci jutro, i wychodzi.

Drugiego dnia Strózik tylko dzwoni. Proponuje spotkanie w parku. „Ładna pogoda”, mówi. Pieprzony romantyk w gajerze z bazaru, myśli Luiza, wspominając garnitur, który miał na sobie podczas ostatniej wizyty. Gdy przychodzi do parku, Strózik już na nią czeka. Siedzi, rozwalony jak ruski dygnitarz, i opala się. Marynarka leży na ławce. Facet ma podwinięte nogawki. Nad czarnymi skarpetkami bieleją owłosione piszczele.

– Zalało ci piwnicę? – pyta Luiza, uśmiechając się ironicznie.

– Nie bądź taka pyskata, bo poprawię z drugiej strony. – Strózik wskazuje na jej policzek.

Dziewczyna siada obok. Na wszelki wypadek postanawia trzymać język za zębami. Facet sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjmuje złożoną na pół kopertę A4.

– Czytaj – nakazuje, podając jej.

– Kto to jest? – pyta Luiza po przeczytaniu zawartości koperty.

– Twój stryj, kurwa.

– Jaki stryj? – nie kryje zdziwienia.

– Brat twojego starego – odpowiada rzeczowo Strózik.

– Mojego starego?

– A co, nie wiedziałaś? Czy to zresztą ważne... – Wzrusza ramionami i wskazuje na papiery. – Wystarczy, że się nauczysz tej instrukcji i zrobisz, co do ciebie należy. Tyle. Ja nie wnika, ty nie wnikas, a oboje dobrze na tym wyjdziemy. I wiesz co? – Zakłada ręce na piersi, teatralnie zawieszając głos. – Jeśli niczego nie spieszysz, to może twój dług zniknie. Co ty na to?

Luiza wzrusza ramionami i czyta ponownie.

– Do zrobienia – stwierdza po chwili. – Skąd wiadomo, że będzie na tym wernisażu?

– Chwalił się tym w psiarni i chyba ktoś stamtąd doniósł. Zresztą, to nie jest ważne. Ważne, że tam będzie, a ty masz wykombinować, jak to zrobić. – Mężczyzna ponownie stuka wskazującym palcem w plik kartek.

– Będę potrzebować trochę kasy – stwierdza Luiza.

– Na co?

– Na kieckę. Przecież nie pójde tam w szmatach, które mam na sobie – prychna.

– Ile?

– Z pięć stów – odpowiada obojętnie.

Ku jej zaskoczeniu Strózik sięga do kieszeni po zwitek pieniędzy. Odlicza pięć banknotów i wręcza jej. Gdy wyciąga rękę po pieniądze, łapie ją za nadgarstek.

– Jak spieprzysz sprawę, to te pięć stów będzie twoim najmniejszym zmartwieniem – syczy i wciska banknoty w jej dłoń.

– Nie spieprzę. – Luiza wyrywa rękę z jego uścisku i wstaje z ławki. – Frajer – szepce dobitnie, gdy jest już kilka kroków od niego.

– Słyszałem! – dolatuje ją głos.

Luiza wystawia za plecy prawą rękę, prostując środkowy palec. Szybkim krokiem oddala się w stronę przystanku.

Z początku wszystko idzie dobrze. Waltera znajduje w galerii, której adres dostaje od Strózika, i z talentem godnym zawodowej aktorki odgrywa swoją rolę w przedstawieniu. Niestety, zamiast do końca trzymać się scenariusza, pchana jakimś wewnętrznym sprzeciwem wobec tego, co kazali jej zrobić, ucieka. Wyczuwa w tym człowieku coś znajomego – coś w postawie, ruchach, a może w tonie głosu? Nie jest pewna, ale instynkt podpowiada jej, że ten przystojniak, o rysach rzeźbionych doświadczeniem i życiowymi zakrętami, w jakiś sposób jest jej bliski. Ojciec nigdy jej nie mówił, że miał brata. Jak twierdził, wychował się w sierocińcu, nie znał rodziców i nie miał rodzeństwa. Na Śląsk trafił po odsiadce. Wtedy poznał jej matkę, wtedy poczęła się Luiza.

Jej ucieczka z galerii, przerwanie akcji, jeszcze zanim na dobre się zaczęła, doprowadzają Strózika do szewskiej pasji. Wyzywa ją od najgorszych i straszy konsekwencjami, o jakich Luiza nie śniła w najgorszych koszmarach. Sam też wygląda na przerażonego. Mówi coś o ludziach, którzy im nie odpuszczą, i zarzeka się, że za wszelką cenę muszą zrobić, co do nich należy.

Ku zaskoczeniu Luizy i Strózika Walter sam podsuwa im rozwiązanie. Znajduje Luizę na fejsie i proponuje spotkanie. I znów, tak jak poprzednio, słowo po słowie, zdanie po zdaniu, choć Luiza twardo robi, co jej kazano, w środku zaczyna czuć dziwne mrowienie. Za chwilę zamienia się ono w strach, że z jej udziałem stanie się krzywda człowiekowi, który niczemu nie zawinił i z którym instynktownie wyczuwa nieodgadnioną bliskość. Luiza rozpoznaje nadchodzący atak paniki. Wypite wino niestety nie pomaga. Nerwowo wodzi wzrokiem od Waltera do Strózika, który siedzi kilka stolików dalej w towarzystwie jakiegoś przydupasa. W końcu jej wzrok zatrzymuje się na szklance z wodą, która stoi przed komisarzem. Tej samej, do której wcześniej wlała płyn z fiolki przekazanej jej przez Strózika. Nie wytrzymuje napięcia. Wstaje, gwałtownie trącając stolik. Woda, którą miał wypić Walter, zalewa kremową serwetę. Luiza wybiega z lokalu.

Stróżik i ten drugi ruszają za nią. Dopadają ją na placu Wolności. To wtedy, jak rycerz na białym rumaku, z odsieczą pojawia się Walter.

Nazajutrz przychodzą do jej mieszkania. Stróżik i nieznany jej mężczyzna. Jest przekonana, że zaraz będzie po niej. Nie znajduje powodów, dla których mieliby jej darować. Za chwilę jednak ze zdziwieniem konstatuje, że Stróżik też wygląda, jakby miał zaraz narobić w portki. Jest blady, roztrzęsiony i jakby przykurczony przy górującym nad nim mężczyźnie.

Garnitur, który ma na sobie obcy, z daleka krzyczy czterocyfrową ceną w euro. W wypastowanych na błysk, zapewne ręcznie robionych butach odbija się światło sufitowej lampy, a pod mankietem śnieżnobiałej koszuli, wystającym spod marynarki na przepisowe półtora centymetra, pobłyskuje bransoleta omegi. Mężczyzna ma wszelkie atrybuty Jamesa Bonda – z wyjątkiem aparycji. Tą przypomina raczej teutońskiego herosa z oper Wagnera.

Mija stojącą w progu Luizę i bezceremonialnie wchodzi do środka. Za nim w milczeniu podąża Stróżik. Dziewczyna zauważa, że jego zwykle harda mina znikła – teraz rozgląda się nerwowo i przygryza dolną wargę. Nieznajomy siada na kanapie i zakłada nogę na nogę. Odchyła połę marynarki i z wewnętrznej kieszeni wyjmuje papierośnicę, inkrustowaną masą perłową. Na jej jasnym tle wyraźnie zaznacza się jakiś znak czy herb, a w nim dwie czarne litery: „PP”. Te same litery Luiza zauważa na spinkach jego koszuli. I spinki, i papierośnica wyglądają, jakby były zrobione na zamówienie. Kształt liter i ich ułożenie z czymś się Luizie kojarzą. Mężczyzna zapala papierosa, zaciąga się raptem trzy razy, po czym rozgniata długiego peta skórzaną podeszwą buta. W powietrze wzbija się swąd nadpalonej wykładziny dywanowej.

– Muszę rzucić to cholerstwo – mówi, po czym zwraca się do Luizy: – Masz jakąś wodę?

To wtedy po raz pierwszy na nią spogląda. Luiza pierwszy raz w życiu widzi oczy o tak bladym kolorze – niebieskie tęczówki są niewiele ciemniejsze od otaczających je białek, a nienaturalnie rozszerzone źrenice podkreślają ich demoniczny wygląd. Są jak dwie czarne dziury bez dna. Hipnotyzują, paraliżują, zmuszają do bezwzględnego posłuszeństwa.

– Mam – odpowiada Luiza, gdy w końcu udaje się jej oderwać od nich wzrok.

– *Errare humanum est*, mawiali starożytni Rzymianie, lecz z tą mądrością wyjątkowo się nie zgadzam. – Mężczyzna odbiera od Luizy szklankę z wodą. – Myślę zresztą, że wymyślili ten bzdet w czasach, gdy ich świetność była już tylko wspomnieniem, a nieudolne rządy oraz ruja i porubstwo, które zżerały ich od środka, prowadziły tę największą kiedyś potęgę do nieuchronnego upadku. –

Milknie i wypija kilka łyków wody. – Ja nie toleruję błędów. Ani u siebie, ani u innych. Błędy trzeba naprawiać, a to kosztuje i czas, i pieniądze. Tego pierwszego nie mam, a drugiego nienawidzę tracić. A wy daliście dupy, i to razy dwa! – kładzie nacisk na ostatnie słowo.

– To już się nie powtórzy, proszę pana – odzywa się niepewnym głosem Stróżik.

„Proszę pana”? Luiza nie wierzy własnym uszom. Stróżik brzmi jak skarcony uczeń. Kim ten diabeł jest?

Mężczyzna spogląda na Stróżika. Jego twarz nie wyraża żadnych emocji. Wygląda jak woskowa maska, pod którą nie porusza się ani jeden mięsień.

– Oczywiście, że się nie powtórzy. Nie ma takiej opcji – odzywa się po chwili i sięga prawą ręką pod lewą połę marynarki.

Ten gest jest jak zapowiedź czegoś ostatecznego i nieodwracalnego. Luiza czuje biegnące po plecach ciarki. Widziała takie sceny w dziesiątkach filmów. Wie, że są skreśleni, że za chwilę ten gangster ich skasuje.

– Proszę pana, niech pan poczeka! On mi coś zabrał. To ważne! – Stróżik podnosi głos.

Mężczyzna zatrzymuje rękę. Na jego kamiennym obliczu pojawia się cień zainteresowania. Luiza odczuwa chwilową ulgę, gdy widzi, że w dłoni, którą wyjął spod marynarki, nic nie ma.

– O czym ty mówisz?

– Ten glina zajeb... przepraszam, zabrał mi telefon.

– I co z tego?

– A to, że jak zobaczy, co w nim jest, to ktoś może mieć sporo kłopotów. – Stróżik powoli odzyskuje rezon.

– Mów jaśniej, bo tracę cierpliwość. – Mężczyzna wymownie klepie się po piersi.

– Pewien grubas dzwonił do mnie ze służbowej komórki. Zapewne wie pan, kogo mam na myśli. Glina będzie bardzo ciekawy, co takie nazwisko robi na liście kontaktów takiej mendi jak ja.

Tym razem mężczyzna sięga pod prawą połę marynarki. Wyjmuje telefon komórkowy. Wybiera jakiś numer i przykładą komórkę do ucha.

– Stróżik twierdzi, że do niego wydzwaniałeś. Czy to prawda? – rzuca w przestrzeń. Następuje chwila milczenia. – Ze służbowej? Postradałeś zmysły? – pyta retorycznie i nie czekając na odpowiedź, rozłącza się.

– Mogę odzyskać ten telefon. Wiem, jak to zrobić – zapewnia Stróżik.

– Skąd wiesz, że ten glina jeszcze go nie prześwietlił?

– Jest dobrze zabezpieczony, a poza tym chyba nie miał na to zbyt wiele czasu.

Mężczyzna milczy, jakby rozważał różne opcje. W końcu podejmuje

decyzję.

– Masz dwa dni. Zjeżdżaj!

– Ona mi będzie potrzebna. Na przynętę. – Stróżik wskazuje na Luizę.

Nieznajomy wstaje i wygładza idealnie odprasowane spodnie. Wzrokiem bez wyrazu spogląda na Luizę, a potem na Stróżika.

– Dwa dni.

Walter w skupieniu wysłuchał spowiedzi bratanicy. Część jego świadomości analizowała słowa Luizy, starając się dopasować informacje do tego, co już wiedział, natomiast reszta w tym samym czasie próbowała sensownie odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego, do cholery, wciąż tak ją lubię? Odpowiedź mógłby pewnie znaleźć w którymś z dzieł Junga czy innego specja od ludzkiej psychiki. Poczyta może kiedyś, jak przyjdzie na to czas. Teraz postanowił się skupić na sprawie i na tym, co dziewczyna ma do powiedzenia. O prokuratorze Jarząbku z jej relacji nie dowiedział się niczego ponad to, co już wiedział. Nie miała pojęcia, co wiąże go ze Stróżikiem ani dlaczego pospolity diler kontaktuje się z prokuratorską szycią.

Teutoński blondyn w nieskazitelnie eleganckim garniturze. Gość, którego Stróżik przyprował do Luizy. Ta informacja podkreśliła uwagę Waltera, bo dziś pierwszy raz usłyszał o tym człowieku. Zauważył też, jak wspomnienie o nim wpłynęło na Luizę. Mówiła niechętnie, tak jakby chciała wyprzeć go z pamięci. Stało się dla niego jasne, dlaczego Stróżik z taką desperacją pragnął odzyskać odebrany mu telefon. To nie przed Jarząbkim stawał na baczność.

– Ten PP... Widziałaś go kiedykolwiek przedtem? – zapytał.

Luiza pokręciła głową.

– Wtedy pierwszy raz.

– Jesteś pewna? Wygląda na to, że Stróżik miał z nim już do czynienia.

A was dwoje łączyły zawodowe sprawy.

– Jestem pewna, że gdybym kiedykolwiek spotkała tego człowieka, z pewnością nie zapomniałabym. – Dziewczyna puściła mimo uszu wtręt na temat jej działalności.

– A Stróżik zwracał się do niego jakoś?

– „Proszę pana”. Po prostu.

– Z tą garstką faktów trudno mi będzie go namierzyć – stwierdził komisarz.

– Jezu, a nie macie w tej gliniarni speców od portretów pamięciowych?

Mogę go opisać ze szczegółami. – Luiza westchnęła z rezygnacją.

– Super, że na to wpadłaś, ale tymczasowo nie mogę skorzystać z tego rodzaju pomocy naukowych. Chyba że znasz jakiegoś studenta Akademii Sztuk Pięknych czy innego artystę malarza?

– Ty pytasz serio? – Wytrzeszczyła oczy.
– Serio – odparł Walter. – Jak będziemy mieć portret pamięciowy, to mam gościa, komputerowego mózgowca, który znajdzie typa w sieci.
– Niestety nie mam takich znajomości. – Dziewczyna wzruszyła ramionami.
– Ale wiesz co – dodała zaraz – ten facet miał papierośnicę i spinki u koszuli jakby robione na zamówienie.
– Na zamówienie? Co przez to rozumiesz?
– Zarówno na papierośnicy, jak i na spinkach były te same inicjały. Tak myślę, że to były inicjały, a może logo czy coś takiego. Albo jedno i drugie! Ha! – Była wyraźnie zadowolona z właśnie wyciągniętego wniosku.

Walter wstał i podszedł do regału z książkami, stojącego w rogu salonu. Wysunął jedną z szuflad i wyjął blok rysunkowy oraz kilka ołówków.

– Poprzedni lokator gryzmołił w tym jakieś szkice. – Rzucił blok na stół. – Dasz radę odtworzyć te znaki?

– Myślę, że tak. To nie było jakoś bardzo wymyślne. Dwie litery „P”, jedna wyżej, druga niżej, na czymś w kształcie tarczy, takiej jakby szkolnej.

– Szkolnej tarczy? – Walterowi trudno było uwierzyć, że dziewczyna może pamiętać, co to takiego.

– Widziałam takie na starych fotografiach ojca – odparła, jakby czytała w jego myślach. – O, mniej więcej takie. – Oddała komisarzowi kartkę ze szkicem.

Dwie litery „P”, nie do końca jedna nad drugą, stanowiły raczej obraz bliźniaczych figur, narysowanych w trójwymiarowej perspektywie. Ktoś mógłby stwierdzić, że dolna jest niczym innym jak odbiciem tej górnej, ktoś inny widziałby tylko nałożone na siebie znaki. Walter od razu skojarzył złożony z inicjałów logotyp z brytyjskim producentem silników oraz legendarnej marki ekskluzywnych samochodów – Rolls-Royce – znaki „PP” miały prawie identyczną czcionkę, brakowało tylko drugiej wysuniętej nóżki. Schował rysunek do kieszeni i postanowił, że przy najbliższej okazji pokaże go Magikowi. Może ten wygrzebie coś w sieci.

– Masz papierosa? – zapytała Luiza.

Wstał i poszedł do garderoby. Po chwili wrócił z paczką fajek. Wyjął jednego papierosa dla siebie, a paczkę rzucił Luizie. Złapała ją ze zręcznością cyrkowego żonglera, a jednocześnie jakby od niechcenia.

– W zasadzie próbuję rzucić – stwierdził, przypalając papierosa.

– Aha – odparła, nie wiedząc za bardzo, co ma odpowiedzieć na to głęboko filozoficzne stwierdzenie.

Walter spojrzął przez uchylone okno na ulicę spowitą miejskim mrokiem i poczuł, że jest śmiertelnie znużony. Zerknął na zegarek. Minęła druga w nocy. Luiza zasnęła z papierosem między palcami. Podszedł do niej, wziął wciąż tłący się niedopałek i zgasił pod strumieniem wody z kranu. Dziewczyna nawet nie drgnęła.

Gdy nakrywał ją kocem, poczuł coś pomiędzy zazdrością a żalem. Wiedział, że jemu nie pójdzie tak dobrze – że mimo przytłaczającego zmęczenia i łzawiących oczu nie zaśnie tak szybko. Jak przez dziesiątki, setki, a może już tysiące nocy będzie się ocierał o krawędź snu, ale tak do końca nie odpłynie w objęcia Morfeusza. Będzie słyszał każdy przejeżdżający ulicą samochód, będzie świadomy każdej godziny i minuty, choć ani razu nie spojrzy na zegarek.

Westchnął i z poczuciem kolejnej małej porażki połknął tabletkę zolpidemu.

ROZDZIAŁ 31

Katowice, 13.05.2015

Która godzina? – zapytała Luiza, przeciągając samogłoski w ziewnięciu.

– W radiu twierdzą, że minęła siódma. Chcesz omlet czy jajecznicę?

Walter odwrócił się do niej. W ręku trzymał szklaną misę, w której pływało kilka rozbitych jaj. Przez ostatnich kilkanaście minut trzaskał drzwiami od szafek i tłukł kuchennymi akcesoriami, aż w końcu dopiął swego. Obudziła się.

– Siódma? To chyba jakiś żart! – fuknęła poirytowana.

– Jesteś umówiona? Zaspałaś?

Luiza spojrzała na niego nieufnie. Nie mogła wyczytać z jego twarzy, czy mówi poważnie, czy też stroi sobie z niej żarty. Przez kilka sekund szukała w głowie jakiejś ciętej riposty, ale o tej porze jej mózg nie funkcjonował, jak należy.

– Pocałuj mnie w nos! – odparła w końcu, drapiąc się po głowie. – Chcę jajecznicę. Tylko nie zetnij jej na kamień, błagam.

Zanim wyszła z łazienki, zdążył posprzątać po śniadaniu i zaparzyć kolejne dwie kawy. Z kartonika wycisnął ostatnie krople śmietanki i cisnął pustym pudełkiem do kosza pod zlewozmywakiem. Nie trafił.

– Normalnie drugi Gortat – zauważyła z przekąsem i przykucnęła, aby podnieść pudełko.

Była owinięta łazienkowym ręcznikiem, na tyle kusym, że gdy kucnęła, jej uda odsłoniły się niebezpiecznie wysoko. Walter odruchowo odwrócił wzrok.

– Jaki wstydlivy! – zawołała z rozbawieniem.

– Raczej dobrze wychowany.

– Skoro taki z ciebie dżentelmen, to daj mi jakąś koszulę czy bluzę, zanim moje rzeczy się upiorą. Skorzystałam z twojej pralki, nie gniewasz się?

– Taka może być? – zapytał, rzucając jej bawełnianą bluzę, w której chadzał na piesze wycieczki jeszcze w drohiczyńskich czasach.

– Może być – odparła. – Podobno jesteś dobrze wychowany – dodała, wymownie kręcąc palcem w powietrzu.

Posłusznie się odwrócił, a gdy za jej zgodą znów na nią spojrzał, siedziała na kanapie, z podwiniętymi nogami, schowanymi pod bluzę, dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej wczoraj zasnęła.

– Gdzie znajdę Stróżika? – zapytał.

Wyszedł, wymusiwszy na dziewczynie obietnicę, że do jego powrotu nigdzie się nie ruszy. Podała mu adres Stróżika i zapewniła, że znajdzie go tam o tej porze.

– Nie wychodzi z wyra przed południem, a jak na niego to i tak wcześniej. Zwłaszcza jak przygrzeje, a grzeje co wieczór – stwierdziła, a po chwili dodała z wyjątkową powagą: – Tylko uważaj, bo to naprawdę zakazana dzielnica.

Luiza miała rację. Miejsce, w którym znalazł się Walter, krzychało drukowanymi literami: TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA, JEŚLI NIE JESTEŚ STĄD! Jednakowe trzypiętrowe familoki, zbudowane niegdyś przez właścicieli kopalni, stały w długich rzędach, tworząc siatkę wąskich uliczek przecinających się pod kątem prostym. Uliczki wewnątrz osiedla nie były utwardzone. Wydeptana ziemia tworzyła bladoczną twardą nawierzchnię, znaczoną tu i ówdzie częściowo wyschniętymi kałużami. Elewacja nieotynkowanych domów, zbudowanych z surowej czerwonej cegły, dziś przypominała zepsutą marchewkę, obsypaną szarymi plamami pleśni i zgnilizny. Każda piwnica miała zamkniętą kratą czarną paszczę – wsypywano przez nią węgiel, służący do opalania pieców kaflowych. Gotowano na nich i grzano nimi mieszkania. Centrum osiedla stanowił niewielki plac otoczony chlewikami i wianuszkami ławek. Niegdyś przesiadywali na nich mieszkańcy, dzieci biegały po placu. Dzisiaj, gdy kopalnie już dawno zamknięto, osiedle toczyła gangrena bezrobocia, wody i szemranych interesów.

Gdy Walter otworzył skrzypiące drzwi, poczuł stęchliznę zmieszaną z wonią gotowanej kapusty. Od siedzącego przed domem skacowanego typka w zamian za papierosa dowiedział się, że Stróżik mieszka na samej górze. Zaczął się pięć po schodach. Powierzchnia drewnianych stopni przypominała płytkie niecki wydeptane przez tysiące stóp, na drewnianych poręczach gdzieś brakowało tralek, a ponure wnętrza klatki schodowej oświetlały nieliczne przybrudzone żarówki. Zza drzwi – każde w innym kolorze i deseniu – prowadzących do mieszkań docierały dźwięki kuchennej aktywności, płacz dzieci, wrzask matek, ale nade wszystko – ryk przaśnej muzyki, płynącej z maksymalnie podgłośnionych telewizorów.

Drzwi do mieszkania Stróżika były inne: solidne, nowe i najpewniej antywłamaniowe. Wziąwszy pod uwagę profesję gospodarza, takie zabezpieczenie wcale nie zdziwiło Waltera. Nacisnął na przycisk dzwonka. Cisza. Spróbował jeszcze raz. Nic. Zapukał energicznie. Raz, drugi, trzeci. Tylko stłumione odgłosy, dochodzące z niżej położonych mieszkań. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zacząć kopać w drzwi, ale doszedł do wniosku, że szkoda butów. Jeśli Stróżik odsypia nocną imprezę, na nic się to zda. Nagle przypomniał sobie, że ma numer

jego komórki. Magik przecież sklonował pamięć jego telefonu, a wszystko skopiował do smartfona, który tkwił teraz w kieszeni komisarza. Wyjął aparat i wybrał numer. Jednocześnie przyłożył ucho do drzwi, próbując wyłapać dochodzący z wnętrza mieszkania dźwięk dzwonka. Usłyszał refren popularnej piosenki – o tańczącej dla kogoś tam dziewczynie. Po chwili muzyka ucichła.

– Kurwa, kto tam?! – w słuchawce zabrzmiał rozeźlony głos Stróznika, a zaraz potem przeciągłe ziewnięcie.

– Hipopotam. Otwieraj, stoję za drzwiami.

– A niby czemu? Kto ty, kurwa, w ogóle?

– Ten, co ci gnata między jaja wcisnął. Otwieraj!

Walter zauważył niewielkie światełko w wizjerze. Pojawiło się na chwilę i zniknęło.

– Spierdalaj, bo napuszczę na ciebie psa, psie – odpalił Stróznik.

Komisarz, jak na zawołanie, w tle usłyszał stłumiony skowyt.

– Chcę pogadać. Potrzebuję tylko paru informacji. Do ciebie nic nie mam – przekonywał.

– Całuj mnie w dupę. Dlaczego miałbym z tobą gadać?

– Mogę ci załatwić taki najazd narkotykowych na tę norę, że dostaniesz więcej lat, niż potrafisz zliczyć. A choćby dlatego.

– Zaraz się posram ze strachu! – Stróznik zarechotał szyderczo.

– No to ty biegnij do kibla, a ja dzwonię na komendę. Poczekam tu, aż przyjadą czarni. Będzie niezły show, jak cię wywloką za szmaty z ryjem przy glebie. – Tym razem Walter nie odmówił sobie szydery.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza. Komisarz zastanawiał się, na ile Stróznik uwierzył w jego groźbę. Gdyby był zmuszony ją spełnić, wierzył, że Król zrobi, co należy, lecz zawsze istniał jakiś margines niepewności. Inspektor mógł mu nie uwierzyć lub zwątpić w jego wiarygodność, zwłaszcza jeśli w międzyczasie Jarząbek ze swoim siostrzeńcem skończyli swoją krecią robotę. Wtedy Walter będzie zmuszony zacząć się gdzieś i poczekać, aż Stróznik wypełnie ze swej nory. Tylko że taki scenariusz oddali w czasie dotarcie do odpowiedzi na nurtujące go pytania.

– Masz przy sobie gnata? – Stróznik przerwał ciszę.

– Nie – skłamał Walter.

– Nie wierzę.

– A jeśli mam, to co?

– To spierdalaj.

– Wiesz, że się powtarzasz? Czy myślisz, że gdybym chciał zrobić z niego użytek, to bawiłbym się z tobą w tę pasjonującą konwersację?

– W co?

– Nieważne. Zapomnij. Nie zrobię ci krzywdy. Gdybym chciał, już dawno

byś leżał z rurkami w gębie.

Znowu zapadła cisza. Po chwili zgrzytnął zamek i antywłamaniowe drzwi się uchylły.

– Wchodź – powiedział Strózik. – Tylko uważaj, w kuchni siedzi pies. Duży i zły pies. Jak mnie wkurwisz, to go wypuszczę.

Gdy tylko Walter przekroczył próg mieszkania, w nozdrza uderzył go smród. Mieszanka dymu z papierosów, konopi indyjskich i diabli wiedzą czego jeszcze wisiała w powietrzu, oblepiała ściany i podłogi, wypełniała wszystko, co mogło ją pochłonać – materiały obiciowe mebli, szmatę na podłodze, która kiedyś może i była dywanem, wspomnienie firanek, byle jak zasłaniających okna, których szyby miały brudnożółty, obrzydliwy kolor. Sam Strózik, jakby w uzupełnieniu obrazu narkotykowej nory, niczym diler z *Pulp Fiction* był ubrany w aksamitną podomkę, nieudolnie zakrywającą biały podkoszulek na ramiączkach i bokserki z logo znanego dyktatora mody. Walter nie potrafił pojąć, w jaki sposób facet, który chodzi w garniturach i skrapia się wodą kolońską, może mieszkać w takim chlewie?

– Chce pan się czegoś napić? – zapytał gospodarz.

Walterowi nie umknęła zmiana stylu komunikacji. Zastosowanie grzecznościowej formy „pan” sugerowało, że facet nieco spuścił z tonu.

– Nie, dzięki. – Wolał nie myśleć, jak będzie wyglądać szklanka, w której Strózik zaserwowałby mu herbatę.

– A ja sobie zrobię. Niech pan siada, zaraz wracam.

Walter najchętniej by postął, nie ryzykując, że jego ubranie przesiąknie tym, co wchłonęła kanapa, lecz taka demonstracja nie sprzyjałaby rozmowie. Nie chciał ryzykować, że gospodarz znów wpadnie w bojowy nastrój, więc ostrożnie przysiadł na brzegu mebla.

– Co chce pan wiedzieć? – zapytał Strózik, gdy wrócił z kuchni.

– Podobno masz tam psa.

– O psie chciał pan rozmawiać?

– Cichy jakiś.

– I co z tego? – Wzruszył ramionami.

– Mówi ci to coś? – zapytał komisarz, pokazując mu narysowany przez Luizę symbol z dwoma „P”.

– Mówi – odparł krótko Strózik.

Walter odniósł wrażenie, że koleś lekko zbladł. Zaczął też nerwowo pocierać kciuk prawej dłoni.

– Kim jest ten facet?

– Gościem z wielką forszą i władzą.

– Ma imię, nazwisko?

– Jakieś ma, ale ja go nie znam.

– Jaja sobie robisz? Pracujesz dla niego i nie wiesz, jak się nazywa?

– A skąd pan wie, że dla niego pracuję?

– A nie pracujesz?

Stróżik wzruszył ramionami i spojrzał na sufit, jakby miał tam znaleźć odpowiedź na w sumie proste pytanie.

– To, że od czasu do czasu coś dla niego robię, nie oznacza, że wszystko o nim wiem. W zasadzie to głównie o nim wiem. I jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy.

– Boisz się go?

Stróżik nie musiał odpowiadać. Było widać, że robi w gacie na samą myśl o tym człowieku.

– Naprawdę nie wiem, jak on się nazywa. Nie wiem też, gdzie mieszka. Słyszałem, że podobno robi szmal na węglu.

– Od kogo to słyszałeś?

– Mój kumpel był jego kierowcą. Jak go woził, to słyszał, o czym pan Pepe gada przez telefon.

– Pepe? – Walter uniósł brwi.

– No, Pe i Pe, dwa „P”.

– Aha, okej. Kierowca woził, słyszał. Dlaczego używasz czasu przeszłego?

– Bo ten kierowca to już czas przeszły. Wciągnął mnie w ten syf i zniknął. Ani słyhu, ani widu.

Pan Pepe, jak nazwał go Stróżik, najwyraźniej stanowił jądro ciemności w całej tej sprawie. To prawdopodobnie on stał za intrygą mającą na celu odsunięcie Waltera od śledztwa, a Jarząbek był tylko jego narzędziem. Ale dlaczego? Jaki to ma związek ze śmiercią Roberta Dębskiego? Dębska nie wspominała nic o facecie obnoszącym się z herbem. Mogła nie wiedzieć. Może Magik znalazł coś w kompie, którego mu dała? Koniecznie musi do niego pojechać, jak tylko skończy z tym tutaj.

– Skąd w twoim telefonie kontakt do Jarząbka?

– Zadzwoił do mnie kiedyś. Pomyślałem, że numer do grubej prokuratorskiej szyszki może się przydać, więc go zapisałem. Teraz żałuję. Złe się stało, że zabrał mi pan telefon – przyznał.

– Dlaczego Jarząbek miałby dzwonić do kogoś takiego jak ty? – drażył Walter.

– Dostał mój numer od pana Pepe. Miałem podrzucić drągi koleśowi, którego ten wieprz chciał usadzić, a brakowało mu paragrafu – odparł Stróżik.

Komisarz mylił się, sądząc, że nie poczuje do niego większej odrazy niż w Starbucksie. Ale to nie Stróżik był jego celem. Był tylko środkiem, źródłem informacji, którego potrzebował. Dlatego postanowił na razie zostawić go w spokoju. Może kiedyś się nim zajmie.

– Chce pan się dowiedzieć więcej o panu Pepe? Niech pan pójdzie do Jarząbka. Tych dwóch chyba dobrze się zna – zauważył Strózik i kręcąc głową, dodał: – Ja nic już nie pomogę.

– Nie jestem o tym przekonany. Ale na razie to by było na tyle. – Walter podniósł się z kanapy. – I wiesz, jak to mówią, nie wyjeżdżaj z miasta. Może jeszcze będziesz mi potrzebny.

Gdy ruszył w stronę drzwi wyjściowych, Strózik podążył za nim. W pewnej chwili Walter się odwrócił.

– Jeszcze jedno. To za Luizę – syknął, wyprowadzając potężny prawy prosty w splot słoneczny zaskoczonego mężczyzny. – Masz się trzymać od niej z daleka, zrozumiałeś?

Nie czekał na odpowiedź. Wiedział, że przez kilka minut, zwinięty na podłodze przedpokoju, koleś nie będzie w stanie nic powiedzieć.

Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ V

Klub w miasteczku nieopodal kompleksu wypoczynkowego, gdzie mieszkają i uczą się kandydaci na studia na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Ludwika Maksymiliana w Monachium, może nie jest tak cool jak te w stolicy Bawarii, ale grają tu całkiem przyzwoitą muzykę. Przede wszystkim jednak piwo kosztuje połowę tego, co w monachijskich imprezowniach.

Okolo jedenastej w nocy, gdy w brzuchach brakuje już miejsca na piwo, a w głowach wciąż nie dość szumi, ktoś rzuca hasło, żeby popalić hasz. Wychodzą na zewnątrz. Pomysłodawca ugniata w palcach czarną kulkę i umieszcza ją w szklanej lufce zagiętej na końcu. Strzela zapalniczką i zaciąga płomień do wnętrza lufki. Gęsty, mocny dym spływa do płuc. Lufka krąży, aż trafia do dziewczyny. Ta nieraz paliła przyniesioną przez chłopaka gandzię, ale haszyszu jeszcze nie zna. Zaciąga się głęboko. Wstrzymuje dym w płucach, aby jak najwięcej THC6 dostało się do krwi, a następnie do mózgu, wywołując to cudowne uczucie luzu, radości i szczęścia. Tym razem jednak jest inaczej. Zupełnie inaczej. Narkotyk uderza mocno i z zaskoczenia. Dziewczyna traci równowagę. Musi usiąść na ziemi, żeby nie upaść. Podpiera się na szeroko rozłożonych rękach, bo świat wciąż kołuje. Grawitacja niestrudzenie ciągnie jej głowę do poziomu gruntu. W końcu się poddaje i kładzie na wznak. Postaci stojące wokół niej rozmywają się jak akwarela wrzucona do wody, do jej uszu dochodzi kakofonia dźwięków. Ktoś się śmieje, ktoś inny wykrzykuje niezrozumiałe słowa, ktoś chwyta ją za rękę, chcąc postawić ją do pionu. Dziewczyna próbuje wstać, bardzo tego pragnie, lecz jej mózg stracił władzę nad ciałem. Poddaje się. Znowu leży na ziemi.

Po chwili głosy cichną, otaczają ją cisza i ciemność. Jest sama, nie wie – nie pamięta – gdzie. Zaczyna się bać. Za chwilę to minie, za moment będzie dobrze, pociesza się w myślach i oddycha głęboko. Znowu próbuje wstać. Jej umysł już wytrzeźwiał, ciało jeszcze nie. Udaje się jej usiąść. Jest postęp, myśli i szuka czegoś, za co mogłaby się złapać. Dostrzega ścianę, a w niej zakratowane okno. Jest dosyć nisko, więc powinna dosięgnąć. Podpiera się na rękach i z mozołem sunie w stronę okna. Jest może metr, półtora od niego, ale jej wydaje się, że dużo dalej.

– Widzę, że lubisz ostro imprezować – słyszy nagle za sobą.

Odwraca się. Mimo panującego mroku rozpoznaje twarz – ostatnią, którą chciałaby dziś zobaczyć. Okularnik stoi nad nią na szeroko rozstawionych nogach. Trzyma ręce w kieszeni. Wygląda na bardzo zadowolonego.

– To mój szczęśliwy dzień – mówi i kuca za nią. – Nie mogę go zmarnować.

– Rozgląda się, a gdy już wie, że są sami, odgarnia dziewczynie włosy z karku

i zaczyna wodzić dłońmi po jej ramionach. – Cicho wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie... – szepce jej do ucha, wsuwając obie dłonie pod stanik.

Czuje rozkoszną miękkość jej sutków, a za chwilę metaliczny posmak krwi, gdy potylicą dziewczyny uderza go w nos.

– Odpieprz się, z boku! – krzyczy ona i próbuje wstać, gdy okularnik odruchowo łapie się za twarz.

Chociaż nogi wciąż ma miękkie, udaje się jej odsunąć od napastnika.

– Ty kurwo! Złamałaś mi nos! – stwierdza chłopak z niedowierzaniem, ścierając lepką czerwoną maź z ust i brody.

Dziewczynie w końcu udaje się odzyskać władzę nad nogami. Niezdarnie, potykając się co chwilę, próbuje uciec. Okularnik rzuca się za nią. Jest większy, silniejszy i w odróżnieniu od niej – trzeźwy. Po trzech szybkich susach dopada ją, powala na ziemię i siada na niej okrakiem. Dziewczyna chce krzyknąć, ale on zamyka jej usta dłonią, a drugą wsuwa pod spódniczkę; chwytą za majtki i zdiera je tak lekko, jakby były z papieru.

– Mmm... – mruczy, przyciskając do nosa potarganą bieliznę. – Zatrzymam je na pamiątkę – postanawia i wsuwa zdobycz do tylnej kieszeni dżinsów.

Dziewczyna nie ma złudzeń. Wie, co zaraz się stanie. Widzi, jak tamten grzebie przy rozporoku. Chociaż osłabiona narkotykiem, walczy zawzięcie. Szarpie się i wije. Myśli, że zostanie zgwałcona, napawa ją przerażeniem i obrzydzeniem. Zaczyna okładać napastnika pięściami po tułowiu i twarzy. Gdy trafia w rozbity nos, okularnik krzyczy z bólu. Blokują jej ręce i przez sekundę patrzy na nią nieruchomym wzrokiem. Jest wściekły, jego oczy wyrażają czystą nienawiść. Odchyła głowę i z całej siły uderza czołem w jej twarz. Gdy dziewczyna wiotczeje, puszcza jej ręce, zsuwa spodnie, rozchyła jej nogi i wciska się między nie. Mimo potężnego ciosu wciąż jest przytomna.

Nie rozumie, co się dzieje, gdy nagle okularnik jak długi zwała się na podłogę obok niej.

6 THC – tetrahydrokannabinol, organiczny związek chemiczny, główna substancja psychoaktywna zawarta w konopiach.

ROZDZIAŁ 32

Katowice, 13.05.2015

Walter potrzebował Magika i jego zdolności. Nie mógł pójść prosto do Jarzabka, bo stary wyjadacz wyśmiałby go i najprawdopodobniej kazał uziemić pod byle pretekstem. Za mało miał. Żadnych dowodów – tylko słowa Stróżyka. Mógł natomiast przycisnąć Szutkowskiego. I postanowił tak zrobić. Siostrzeniec Jarzabka nie miał charakteru swojego wuja, o czym Walter zdążył się przekonać podczas ich krótkiej współpracy. Już przy pierwszym spotkaniu, gdy Król ich sobie przedstawił, komisarz wyczuł w nim słabeusza, pozą i miną nadrabiającego braki w charakterze. Szutkowskiego mógł przemaglować klasycznie, tak jak lubił najbardziej, perswadując prosto i po męsku. Mógł też zadziałać bardziej subtelnie, co – jeśli tylko będzie mieć odpowiednie narzędzia – powinno odnieść znacznie lepszy i szybszy skutek. Właśnie dlatego potrzebował Magika.

– Dlaczego pan nie odbiera telefonu? – spytał Magik od progu.

– Dzwoniłeś. Wiem.

– Tak, dzwonię od dwóch dni.

– Sorry, Magik, byłem zajęty – rzucił Walter. – Ale, jak widzisz, jestem. Co się dzieje?

– Rozbebeszyłem tego laptopa – oznajmił haker, a widząc, że komisarz puścił tę uwagę mimo uszu, dodał: – Tego od Dębskiego.

– Fantastycznie. Ale teraz mam dla ciebie coś innego. – Walter potwierdził przypuszczenia Magika.

– Oczywiście, komisarzu – odparł ten, wzruszając ramionami. – Co takiego?

– Adrian Szutkowski.

– Ten aspirant od Króla?

– Tak. A do niedawna człowiek z mojego zespołu.

– Co z nim, panie komisarzu?

Walter przez chwilę zastanawiał się, czy Magik nie dworuje sobie z niego trochę tym „komisarzem”. Musiał wiedzieć, że wylali go z komendy, a wciąż tytułował go służbowym stopniem. Spojrzał na niego wnikliwie, lecz w oczach chłopaka nie dostrzegł cienia kpiny.

– Mówiąc wprost: muszę mieć na niego jakiegoś haka. Coś, co pozwoli mi otworzyć mu gębę. Wiem, że z etyką ma to niewiele wspólnego, ale uwierz mi – to śliski typ, a ja nie mam czasu na granie fair.

– Spoko, panie komisarzu. – Magik machnął ręką. – Znam faceta i naprawdę nie mam z tym żadnego problemu.

- Dasz radę się włamać do jego kompa i pogrzebać? Ile czasu potrzebujesz?
- Nie muszę się nigdzie włamywać.
- Jak to?
- Widzi pan, z taką prośbą zwrócił się już do mnie wcześniej ktoś inny.

Walter milczał. Czekał, aż usłyszy odpowiedź na niezadane pytanie. I doczekał się.

- Zrobiłem to już dla inspektora Króla.

Nadal milczał, lecz jego oczy wyrażały zdziwienie.

– Nie pytałem, po co mu to, a on nie tłumaczył swojej prośby, ale – Magik zawiesił głos i spojrzał na niego wymownie – po tym, co znalazłem, przestałem mieć jakiegokolwiek wyrzuty sumienia.

- Pokaż. – Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz niż prośba.

Magik wyszedł i za chwilę wrócił z pendrive'em w ręce. Uruchomił laptopa i wsunął napęd w gniazdo USB. Na ekranie pojawił się folder zatytułowany „Adrian Szutkowski”.

– To jest kopia twardego dysku z jego prywatnego laptopa. – Najechał kursorem na nazwę folderu i rozkliknął datę utworzenia zbioru. – Zrobiona jakieś sześć miesięcy temu. Są tu wszystkie dokumenty, historia wyszukiwarek internetowych, maile i zapis czatów. – Kliknął na ikonkę folderu i ekran wypełniły dziesiątki podzbiorów.

– Sporo tego – zauważył Walter. – Masz może coś konkretnego, czym mogę mu walnąć między oczy? – zapytał.

- W większości są to rzeczy, za które poszedłby siedzieć na parę lat.

– Czyli?

– Gość kocha zwierzęta. Dosłownie i... dogłębnie – odparł, otwierając jeden z folderów.

Oczom Waltera ukazała się galeria zdjęć. Miniaturki z ludźmi i zwierzętami wypełniły ekran laptopa.

– O kurwa... – zaklął mimowolnie. Wyjął swojego smartfona i zrobił zdjęcie ekranu laptopa. – Zamknij to. Wystarczy – polecił.

- Z przyjemnością. – Magik wysunął napęd z gniazda USB. Ekran zgasł.

– Czy poza tym lubuje się w jakichś innych „-filiach”?

– Nie. Najwidoczniej z całej gamy zбочzeń gustuje tylko w czworonogach. Chociaż ma też całkiem sporo normalnego porno wszelkiej maści, ale to bynajmniej nie podpada pod paragraf.

- Przekazałeś to wszystko Królowi?

– Tak.

– Tylko jemu?

– Tylko. I zastanawia mnie, dlaczego nic z tym nie zrobił? – zapytał Magik, patrząc Walterowi w oczy.

– Nie mam pojęcia. Z pewnością ma jakieś istotne powody.

Ukrywanie takiego materiału dowodowego, obciążającego aktywnego funkcjonariusza policji, mogło mieć miejsce jedynie w sytuacji, gdyby przeciwko Szutkowskiemu było prowadzone jakieś grubsze śledztwo i dla dobra tegoż trzymano by tę wiedzę tymczasowo w cieniu. Tylko że Król w ogóle nie wspomniał o czymś takim. Mówił natomiast, że Szutkowski ma wuja – prokuratora. I że chciałby się go pozbyć, ale nie za bardzo może. Dlaczego więc nie wykorzystał dostarczonych przez Magika materiałów? Dlaczego schował je do szuflady, samemu ryzykując wejście pod paragraf? Kurwa, zaklął w myślach Walter, czyżby Król też był czymś ubabrany? Może Jarząbek ma coś na niego i obaj wzajemnie trzymają się za jaja?

– Słuchaj – spojrzał na Magika. – Możesz gdzieś ukryć tego pendrive’a?

– Spoko, u mnie jest bezpieczny – odparł haker.

– Wolałbym, żebyś jednak tego u siebie nie trzymał.

– „U mnie” niekoniecznie oznacza, że w moim domu.

– Dobrze. Mam nadzieję, że wiesz, co robisz. A teraz powiedz mi, co znalazłeś w laptopie Roberta Dębskiego.

Galeria zdjęć Roberta Dębskiego z Sebastianem Halinem potwierdziła odkrycie patologa. Dodatkowej pikanterii sprawie dodawał fakt, że obaj panowie – wspólnicy biznesowi – mieli żony. Jedna z nich, co Walter już wiedział, nie zaliczała swego małżeństwa do szczęśliwych. Wiedziała też, że mąż ją zdradzał. Przyznała to, choć nie chciała powiedzieć z kim. Nie wiedziała? Kierował nią wstyd za męża, który okazał się kryptogejem? Może też, mimo pozornego oswojenia się społeczeństwa z orientacją seksualną inną niż powszechnie uznana za tradycyjną, bała się, że romans męża położy się cieniem na jej reputacji? Albo nie chciała, by Walter się dowiedział o parze kochanków, bo pchana zemstą, wstydem, wstrętem i nienawiścią, sama wysłała męża geja na tamten świat? Może tak, może nie. Zapewne wkrótce się okaże. Była jeszcze przecież Dolores Halin, żona Sebastiana, zamordowanego mniej więcej w tym samym czasie, co Robert Dębski. Według błyskotliwego Adriana Szutkowskiego to ona była sprawczynią obu zabójstw. W to jednak Walter nie wierzył.

– Wiesz, gdzie jest knajpa, o której pisał w mailu Dębski? – zapytał Walter, gdy Magik skończył zdawać mu relację.

– Każdy to wie. – Haker wzruszył ramionami.

– Okej, ja pojedę pogadać z naszym wielbicielem czworonogów, a ty podskocz tam i użyj całego uroku, żeby bez nakazu dali ci wgląd w zapis kamer CCTV z wieczora, kiedy Dębski miał się spotkać z tym „zabaro”.

ROZDZIAŁ 33

Katowice, 13.05.2015

Luiza siedziała na szerokim drewnianym blacie parapetu. Podciągnęła kolana i oparła na nich brodę. Wpatrywała się za okno. Najmniejszym gestem, skinięciem głowy nie dała znaku, że zauważyła wejście Waltera. W pierwszej chwili pomyślał, że może ma słuchawki w uszach, ale dostrzegł je, zwinięte na stole.

– Tramwaj kogoś rozjechał? – zapytał, rzucając kurtkę na fotel.

– Co? – Odwróciła głowę w jego stronę.

Jej mina mówiła wszystko: była zła. Ściągnięte brwi, zaciśnięta kreska ust, nieobecny wzrok. Foch, bez dwóch zdań, pomyślał.

– Wyglądasz na zafascynowaną jakimś widokiem za oknem – odparł z premedytacją. Jej dąsy nie były mu do niczego potrzebne.

Luiza spuściła nogi z parapetu i założyła ręce na piersiach. Na jej czole pojawiła się pionowa kreska.

– Tak, kontempluję go od kilku godzin. Gdzie byłeś tak długo?

– Mogłaś coś poczytać albo posurfować w necie – zauważył, nastawiając wodę na herbatę.

– Poczytać?! Najbardziej fascynującą lekturą, jaką znalazłam w tej norze, jest „Tele Tydzień”! A co do neta – nie zostawiłeś mi hasła, ty dupku!

– Nie przeginaj pały. – Walter wycelował w nią palec wskazujący. Jego ton i wyraz twarzy nie pozostawiały najmniejszych wątpliwości, że nie żartuje.

– Przepraszam, może przesadziłam – przyznała, patrząc mu w oczy. – Ale nie zostawiaj mnie samej na tak długo.

Nie odpowiedział. Obawiał się, że wybuchnie i powie o jedno słowo za dużo. Nie dość, że Luiza świadomie pakuje go w tę hecę, on ratuje jej tyłek, to ta ma ciągle jakieś pretensje! Królowna na ziarnku grochu, cholera jasna! Na wszelki wypadek przymknął oczy i wziął kilka głębokich oddechów, tłumiąc szykujący się do ataku gniew. W sumie zmusili ją do tego, pomyślał w końcu. Dziewczyna i tak wykazała się nie lada odwagą, nie trując go świństwem, które miała mu podać. Stróżika też palnęła w łeb w pewien sposób dla ochrony Waltera. Może to ja jestem przewrażliwiony, a może działa na nas stres, w jakim żyjemy? – pytał sam siebie. Z drugiej strony czy zamknięta w jego tymczasowym mieszkaniu dziewczyna na pewno jest bezpieczna? Początkowo założył, że tak będzie, ale czy nadal mógł ufać Królowi? Po tym, co usłyszał od Magika, inspektor nie wydawał się już taki krystaliczny. Zresztą nie tylko Król znał ten adres. Gdy wręczał mu klucze, wspomniał wprawdzie, że o mieszkaniu wie tylko parę osób, ale w obecnej sytuacji

„parę” to o wiele za dużo. Ponadto ta poufała tajemniczość, gdy proponował mu zatrzymanie się pod tym adresem. Do czego służyła im ta mansarda? Czy wśród tych „paru osób” był prokurator Jarząbek? Bardzo możliwe. Zdążył już udowodnić, jakie ma wpływy w katowickiej psiarni. A jeśli wie Jarząbek, to z pewnością wie też pan „PP”. Nie, zdecydowanie nie mógł już zakładać, że jest tu bezpiecznie.

– Chcesz herbaty? – zapytał, przerywając tok własnych myśli. Odkręcił kurek i zaczął nalewać wodę do czajnika.

– Zostaw, ja zrobię. – Luiza odebrała mu czajnik. – Dla ciebie oczywiście earl grey?

– Oczywiście. Ciuchy już ci wyschły?

Dziewczyna wciąż była ubrana w jego bluzę.

– Dlaczego pytasz?

– Wypijemy herbatę i pojedziemy odwiedzić pewnego policjanta.

– Razem? – Wyraźnie mu nie dowierzała. – Zabierzesz mnie?

– No, przecież mówię.

– Zaraz będę gotowa! – zawołała z entuzjazmem.

W drodze do łazienki cmoknęła go w policzek.

Aspirant Adrian Szutkowski siedział w rogu kawiarni hotelu Monopol i nerwowo stukał łyżeczką w spodek filiżanki. Co chwilę zerkał na zegarek i rozglądał się dookoła sali. Obok filiżanki leżał talerzyk z na wpół zjedzonym ciastkiem. Kawa mu nie smakowała, ciastko wyraźnie pamiętało zeszły tydzień. Miał ochotę zrugać za to wszystko Bogu ducha winną kelnerkę, zwłaszcza że była brzydka, miała tłuste włosy i kwadratową sylwetkę – tyle samo wzdłuż, co w poprzek. Był poirytowany i nie do końca pewny, czy powinien się zgodzić na to spotkanie. W końcu Walter nie był już jego przełożonym i generalnie mógł mu naskoczyć, ba – nie był już nawet czynnym oficerem w komendzie, bo dzięki wujowi został zawieszony, tylko... No właśnie – skąd on mógł o tym wiedzieć? Jak, do kurwy nędzy, do tego dotarł? Przecież był taki ostrożny, zawsze się pilnował i używał różnych adresów i nicków. A może ten cały komisarz tylko ściemnia? Może to jedynie blef, z nadzieją, że go łyknie? – kombinował, próbując jakoś się uspokoić. W końcu wysłał mi tylko logo Animal Planet, więc może nic nie ma? Z drugiej strony sugestia była jasna jak słońce...

– Dzień dobry, aspirancie – usłyszał nagle za plecami i aż podskoczył na krześle.

– Ja pierniczę! Chce pan, żebym zawału dostał? – Dopiero teraz Szutkowski zauważył, że Walter nie jest sam. – A to kto?

– Moja bratanica.

Zaskoczenie aspiranta, co nie uszło uwadze Waltera, było szczerze.

Szutkowski najwyraźniej nie był wtajemniczony w intrygę.

– A po diabła pan ją przyprowadził?

– Nie znalazłem opiekunki na czas.

Luiza parsknęła cicho. Walter odsunął dla niej krzesło, po czym sam usiadł.

Podeszła do nich kelnerka, przyjęła zamówienie i po kilku chwilach wróciła, niosąc wodę dla Waltera oraz colę i ciastko dla Luizy.

– Dobrze – oceniła dziewczyna po pierwszym kęsie.

Szutkowski spojrział na nią jak na obcego z innej planety.

– Kto to jest? – Walter pokazał młodemu rysunek z symbolem dwóch „P”.

Aspirant spojrział na obrazek, a potem na komisarza.

– Jaja se pan ze mnie robi? – zapytał.

– Jestem śmiertelnie poważny.

– Pokazuje mi pan jakieś bazgroły i pyta, kto to jest? Co to, jakaś ukryta kamera czy co? – fuknął, odsuwając od siebie kartkę.

– Wujku, ten pan chyba nie kuma – wtrąciła Luiza.

Walter spojrział na nią, a potem na Szutkowskiego. Dziewczyna z obojętną miną wsuwała ciastko, a aspirant wyglądał tak, jakby rzeczywiście ktoś go wkręcał. Rozglądał się bezradnie, najwyraźniej nic nie rozumiejąc.

– Kim jest człowiek, który nosi takie dwa „P” na spinkach, papierośnicy i innych gadżetach? Czy teraz rozumiesz pytanie? – Walter ponownie podsunął Szutkowskiemu rysunek.

– Dlaczego w ogóle mam z panem gadać? Przecież jest pan zawieszony. O co panu, kurwa, chodzi? – odpalił Szutkowski.

Komisarz nie odpowiedział. Po dobroci czy z grubej rury? – zastanawiał się, patrząc na aspiranta, który nerwowo zagryzał dolną wargę. Postanowił, że nie będzie się z nim cackać. Szutkowski najprawdopodobniej zacznie kręcić, próbować uników, a on nie miał na to ani czasu, ani ochoty.

Wyjął z kieszeni smartfona, parę razy przesunął kciukiem po ekranie i odłożył na stół. Szutkowski i Luiza w tej samej chwili pochyłili się nad urządzeniem.

– O kurwa! – krzyknęła Luiza i zasłoniła usta dłonią. Niestety kilka drobin ciastka zdążyło wylądować na obrusie.

Twarz aspiranta nabrała koloru brudnej kredy. Walter z satysfakcją zauważył, że lekko drży mu żuchwa.

– Skąd pan to ma? – zapytał Szutkowski po dłuższej chwili.

– Po prostu mam. Zresztą nie tylko to. Więc...? – Komisarz dwa razy stuknął palcem w kartkę z rysunkiem.

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, przysięgam na Boga!

– Słabo. Może przysięgnij na psa, bo nie brzmiś wiarygodnie – wtrąciła Luiza, popijając colę.

– Zamknij się, ty...!

– Lepiej nie kończ! – Walter przerwał mu w pół słowa.

– Idę na fajkę, muszę odetchnąć. A poza tym jestem uczulona na sierść. – Luiza rzuciła Szutkowskiemu pełne pogardy spojrzenie i wyszła z lokalu.

Aspirant utkwiał wzrok w nieokreślonym punkcie na przeciwległej ścianie.

– Wuj nigdy ci nie wspominał o tym człowieku? – drażył Walter.

– Jaki wuj?

– Nie rznij głupa, dobrze wiesz, o kogo chodzi.

– Nie wspominał. Nie wiem, dlaczego miałby.

– Ano dlatego, że pan prokurator i ten Pepe to kumple.

– Skąd założenie, że znam wszystkich kumpli Jarzábka? A tak w ogóle to dlaczego sam pan go o to nie zapyta? Ja nic nie wiem.

– Szkoda, że nic nie wiesz. W takim razie nie mam motywacji, aby nie ujawnić tych pikantnych materiałów, komu trzeba. A uwierz, że nawet wujo ci nie pomoże, jak to gówno się wyleje. – Komisarz wskazał wymownie na telefon.

Szutkowski, zrezygnowany, podparł czoło na dłoni. Kilka razy westchnął głęboko i pokręcił głową, jakby prowadził wewnętrzny dialog, sprzecząc się z własnym alter ego. Po chwili wyprostował się i spojrzał Walterowi w oczy.

– Wiem, że to nie Dolores Halin załatwiła swego męża i tego Dębskiego – oznajmił.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – odparł Walter.

– Gdy ją przesłuchałem, miałem zadzwonić do pana. – Walter pokiwał głową. Wiedział, że Szutkowski łże, ale w tym momencie nie miało to większego znaczenia. – Nie zdążyłem. Zadzwonili do mnie, że jest pan zawieszony, a sprawę Halinów przejmuje prokuratura.

– Kto konkretnie do ciebie zadzwonił?

– Prokurator Jarzábek – wyznał aspirant z pewnym ociąganiem.

Walter nie oparł się pokusie skwitowania tego cynicznym uśmieszkiem.

– Czego się od niej dowiedziałeś?

– Była fajną babką.

– Jesteś głuchy czy tylko głupi? I dlaczego mówisz o niej w czasie przeszłym? – zapytał komisarz, choć był prawie pewien, że zna odpowiedź. Czyżby posunęli się aż tak daleko tylko po to, by odsunąć mnie od śledztwa? – pomyślał, zanim Szutkowski odpowiedział:

– Powiesiła się w śledczym na własnych rajstopach. Tak słyszałem – dodał, jakby chciał umniejszyć swoją rolę w tragedii.

– Na rajstopach? – Walter pokręcił głową, słysząc tę wierutną bzdurę. – Co ci powiedziała, gdy u niej byłeś?

– Wiedziała o romansie męża z tym, którego znaleźli w parku. Halin i ten Dębski byli współnikami.

– Szutkowski, proszę po raz ostatni: powiedz mi coś, czego nie wiem.

– A co będzie ze zdjęciami, komisarzu?

– Zaraz ci, kurwa, powiem, co z nimi będzie. Wylądują w prokuraturze i osobiście zadbam o to, by wpadły w ręce kogoś, kto ma na pieńku z twoim wujciem. Jestem pewien, że zrobi z nich właściwy użytek. Mów, czego się dowiedziałeś od Dolores Halin! – Walter wykrzyczał ostatnie zdanie i kilka głów z zaciekawieniem odwróciło się w ich stronę.

– Powiedziała, że ktoś groził jej mężowi – odparł zrezygowany Szutkowski.

– Kto?

– Nie wiem. Ona też chyba nie знаła nazwiska tego człowieka.

– Chyba? Człowieku, ty jesteś oficer śledczy czy dupa wołowa?

Walter wręcz słyszał, jak Szutkowski ściera sobie szkliwo, zgrzytając zębami, ale miał to gdzieś. Miał te zboczone zdjęcia i był zdecydowany zrobić wszystko, aby uzyskać informacje, które pchną śledztwo do przodu.

– Pokazała mi tego faceta na zdjęciu. – Aspirant jeszcze bardziej skurczył się w sobie.

Zdjęcie! To już coś. Magik robi skan i może nazwisko wypłynie z sieci? – pomyślał komisarz.

– Dobrze, wobec tego teraz pojedziemy do jej domu i mi je pokażesz – zdecydował i podniósł się zza stołu.

– Niech pan usiądzie, komisarzu. Niczego już tam nie znajdziemy.

– Jak to? – Walter opadł na krzesło.

– Nie domyśla się pan? Ale coś mi się przypomniało! Czegoś im nie powiedziałem. Niech pan wpisze w wyszukiwarce tę nazwę. – Szutkowski zapisał coś na serwetce.

– Bidex? – Walter spojrzał na niego pytająco.

– Według Dolores Halin to jego firma. W necie wszystko pan znajdzie, mam taką nadzieję.

Rzeczywiście, gdy tylko komisarz wpisał podaną przez Szutkowskiego nazwę, od razu wyskoczył odnośnik do strony firmy Bidex sp. z o.o. Według informacji na niej zamieszczonych firma zajmowała się hurtowym handlem paliwami oraz węglem brunatnym i kamiennym. Walter kliknął ikonę „O nas”. Otworzyło się okno z trzema zdjęciami portretowymi. Dwóch mężczyzn i kobieta.

– To ten? – zapytał, wskazując na zdjęcie umieszczone na górze.

Szutkowski kiwnął głową.

– Przemysław Poręba, właściciel – przeczytał podpis.

– Co ty nie powiesz? – zakpił komisarz i schował smartfona do kieszeni. – Znasz go?

– Nie, nigdy w życiu go nie widziałem.

Przemysław Poręba, czyli „PP”. Branża węglowa. Blondyn, wyliczał

w myślach Walter. Tylko dlaczego na stronie internetowej prowadzonej przez niego firmy nie ma tego dziwnego symbolu, skoro sam tak się z nim obnosi? Luiza! Widziała go! Będzie mogła potwierdzić, czy „PP” i Poręba to ta sama osoba. Komisarz zerknął w stronę kawiarnianej witryny, za którą jeszcze przed chwilą dziewczyna paliła papierosa. Nie było jej tam teraz. Poczul ukłucie niepokoju. Sięgnął po komórkę.

– Gdzie jesteś? – zapytał z wyraźną ulgą, gdy po trzecim sygnale odebrała.

– Fajki mi się skończyły.

– Nie o to pytam.

– Jestem w Galerii Katowickiej i kupuję fajki – westchnęła.

– Za chwilę prześlę ci link. Odpal go i sprawdź, czy twarz Przemysława

Poręby nie wydaje ci się znajoma.

– Kto to jest Przemysław Poręba?

– Sam sobie zadaję to pytanie. Oddzwaniam za dwie minuty.

Walter rozłączył się i wybrał numer Stróżika.

– Gdzie jesteś? – zapytał bez zbędnych wstępów.

– U siebie, a co?

– Coś ci zaraz wyślę, a ty potwierdzisz, czy znasz faceta...

– Moment, ktoś puka – przerwał mu Stróżik.

W słuchawce rozległ się trzask otwieranych zam-ków, a potem łoskot wydany przez uderzający o coś telefon. Jeszcze tylko coś zatrzeszczało i zapadła cisza. Walter spojrzał na wyświetlacz – „Połączenie przerwane”. Wybrał numer ponownie. „Kimkolwiek jesteś, nie zostawiaj żadnej wiadomości” – usłyszał głos Stróżika w komunikacie poczty głosowej. Ktokolwiek go odwiedził, najwyraźniej nie przyszedł z przyjacielską wizytą.

Walter wstał gwałtownie.

– Jak będziesz grzeczny, to może zapomnę o tych zdjęciach. A na razie zapłać rachunek. Jesteśmy w kontakcie – rzucił w kierunku Szutkowskiego i wybiegł z kawiarni.

W tej samej chwili w kieszeni aspiranta zawibrował telefon. Po raz któryś w ciągu ostatnich kilkunastu minut. W końcu mógł odebrać połączenie.

ROZDZIAŁ 34

Katowice, 13.05.2015

Magik czuł dziwne podniecenie. W jednej chwili ze specjalisty IT awansował do roli śledczego. Stanął przed lustrem wiszącym w przedpokoju i zaczął się przeglądać – najpierw en face, później z profilu. Jak założył bluzę z kapturem i tę starą wojskową kurtkę, to odzieniem zakamufluje braki w umięśnieniu i raczej drobną sylwetkę. To powinno wystarczyć, aby wyrzeć odpowiednio silne wrażenie na osobie, od której musi wydobyć nagrania.

Zapakował do plecaka laptopa, portfel i dokumenty. Gdy już przekręcał klucz, pomyślał, że może powinien zabrać ze sobą coś jeszcze. Otworzył drzwi i sięgnął do pudełka po butach, które leżało na półce w szafie wnękowej. Schował przedmiot do kieszeni kurtki i już po chwili – na kolarzówce, która zapewne pamiętała czasy Ryszarda Szurkowskiego⁷ – pedałowal w stronę katowickiej Doliny Trzech Stawów, gdzie mieściła się popularna restauracja Panderoza. Zgodnie z prośbą Waltera miał sprawdzić, co nagrały tamtejsze kamery monitoringu w wieczór poprzedzający domniemany czas zabójstwa Roberta Dębskiego.

Mimo dość późnej godziny i środka tygodnia taras przed lokalem wypełniał tłum gości. Na stolikach królowały smukłe szklanki, ozdobione logo jednego ze znanych browarów. Magik pomyślał, że chętnie chlapnąłby jedno albo dwa zimne piwka dla odprężenia. Poczuł dobrze mu znane ssanie, tęsknotę za bąbelkami delikatnie gryzącymi przełyk i cierpkością goryczki. Postanowił, że jak skończy, da się skusić pragnieniu. Przypiął rower na tyłach lokalu i wszedł do środka.

Wewnątrz było mniej ludnie. Wiosenne wieczorne powietrze wyciągnęło większość gości na zewnątrz. Za kontuarem, w czarnej koszuli i spodniach tego samego koloru stał barman. Oparty plecami o ścianę, wyglądał na znudzonego lub zmęczonego – Magik nie umiał tego jednoznacznie stwierdzić. Wyjął odznakę i położył na blacie. Już jakiś czas temu kupił sobie fałszywkę na Allegro, tak dla jaj. Nie wiedział, że kiedyś może się przydać. Ech, gdyby tak jeszcze miał gnata. Jak miło byłoby czuć ciężar w kaburze, zawieszony pod pachą albo na pasku z tyłu spodni. Tymczasem musi mu wystarczyć paralizator – w odróżnieniu od odznaki prawdziwy i działający.

Barman wyjął z ust wykałaczkę i powoli przeniósł wzrok z odznaki na Magika.

– No i? – zapytał od niechcenia.

Na jego znudzone oblicze wypłynęła pogarda. Niczym niemaskowany

grymas obrzydzenia i zniesmaczenia. Patrzył na Magika, jakby ten był robalem, którego chętnie zdeptałby obcasem buta.

– Jest kierownik czy menadżer sali? Ktoś, kto aktualnie tu zarządza? – zapytał Magik, wyobrażając sobie, że ściera typowi z mordy tę obrzydliwą kpinę.

Barman, nie spuszczać z niego wzroku, sięgnął pod ladę po telefon.

– Przyjdź tutaj. Jakiś piesio wpadł w odwiedziny – zakomunikował. – Taa... glina... chyba... Chce gadać z tobą – dodał, po czym odłożył komórkę i wrócił do poprzedniej pozycji.

Tego już było za wiele. Facet wyraźnie go prowokował. Magik pochylił się nad barem i kiwnął przyzywająco palcem wskazującym.

– Masz jakiś problem, koleś? – zapytał, gdy tamten się zbliżył. – Bo wyglądasz, jakby ci ktoś pannę wydupczył, a potem wytarł się twoją koszulą i zapytał, czy może przyjść jutro z kolegą.

Twarz barmana nabrała koloru dojrzewającego w słońcu pomidora. Pod masywną szyją zatańczyły wiązki ścięgien. Magik był prawie pewien, że szykuje się do ataku. Nagle jednak poczuł, że ktoś klepie go po ramieniu.

– Chciał się pan ze mną widzieć – usłyszał.

Za jego plecami stała kobieta. Była około trzydziestki i miała ognistoczerwony kolor włosów, w połowie długich do ramion, a w połowie przyciętych przy skórze na półcentymetrową szczecinę. W każdym uchu miała po kilka kolczyków, różnej wielkości i kształtu. Była ubrana w coś, co wyglądało na ręcznie malowane spodnie typu ogrodniczki, za duże na nią co najmniej o dwa rozmiary. Dość obfity biust, odznaczający się pod trykotową bluzką, i nieco pucułowata twarz mogły sugerować, że pod obszernymi spodniami maskuje za dużą dolną partię ciała.

– Zgadza się. Przemysław Nowak z policji – przedstawił się Magik, machnąwszy kobiecie przed nosem fałszywą odznaką. – Czy mogę zająć pani kilka chwil?

– W jakiej sprawie?

– Czy te kamery działają? – Wskazał na umocowane pod sufitem urządzenia.

– Oczywiście. Bywają bardzo przydatne. Ostatnio przyłapaliśmy jednego takiego, jak wyjmował ludziom portfele z kieszeni.

– To bardzo dobrze, bo chciałbym się przyjrzeć gościom, którzy byli tu w ostatnią sobotę. Mam nadzieję, że nie będzie z tym problemu?

Kobieta przez chwilę nie odpowiadała. Jej twarz wyrażała niepokój zmieszany z lekkim niezadowoleniem.

– W zasadzie nie – odparła, pogłębiając grymas. – Tylko wie pan, tego będzie kilka godzin materiału. Mamy osiem kamer, więc w sumie to może nawet kilkanaście godzin. A za godzinę zamykamy.

– Tak szybko? – Magik odruchowo zerknął na zegarek.

– To jest ten jeden dzień, kiedy pracujemy krócej niż zwykle – wyjaśniła menedżerka.

– Rozumiem. Ale proszę się nie martwić, nie będę przeglądał nagrań tutaj. Po prostu skopiuję materiał na mój dysk. Sprzęt mam przy sobie. – Magik wskazał na swój plecak. – I nie zajmie mi to więcej niż kilkanaście minut – zapewnił.

– No nie wiem... A nie powinien pan mieć jakiegoś nakazu czy coś?

Poczuł mrowienie na plecach i przymknął oczy. Kurwa, Walter wykrakał ten nakaz, pomyślał. Przywołał jednak najszczerzy uśmiech, na jaki było go stać, i zapytał:

– Naprawdę pani tego chce? Całego korowodu, który tu wparuje, gliniarze zaczną się szwendać, węszyć, płoszyć klientów? No i, nie daj Boże, znajdą coś zakazanego. Właściciele nie byliby szczęśliwi, co?

– Proszę za mną – odparła kobieta i poprowadziła Magika na zaplecze.

Gdy skończył, zamówił obiecane sobie wcześniej piwo. Ponury barman gdzieś zniknął, a ten, który go zastąpił, był jego zupełnym przeciwieństwem. Obsłużył Magika, jakby był najważniejszym klientem, uśmiechając się bez cienia sztuczności. Magik, zadowolony z obsługi, a przede wszystkim ze swojego sukcesu aktorskiego, położył na kontuarze banknot dwudziestozłotowy i nie biorąc reszty, wyszedł z lokalu.

Gdy odpinał rower, poczuł, że piwo wyjątkowo szybko spłynęło mu do pęcherza. Rozejrzał się. W pobliżu było pusto, a panujący półmrok dawał szansę, że nie zostanie przyłapany na obsikiwaniu restauracyjnego zaplecza. Sprawdził ponownie, czy nikt nie nadchodzi, po czym rozpiął rozporek. Zamknął oczy, wzdychając z błogością.

Był mniej więcej w połowie, gdy jego głowa, pchnięta od tyłu, zderzyła się z drewnianą ścianą. Najpierw pomyślał, że to barman, któremu się naraził, zaczął się na niego i teraz spuści mu wpierdol. Złapał się za głowę i uskokzył w bok. W tym momencie potężny kopniak trafił w jego podudzie, powodując natychmiastowy skurcz mięśni. Drugi trafił w miękki bok pod żebrami.

– Przestań, kurwa! Czego chcesz?! – krzyknął, zwijając się z bólu.

Niepewnie się odwrócił i ze zdziwieniem stwierdził, że widzi przed sobą ubraną w czarny kombinezon postać z twarzą ukrytą pod kominiarką. To nie mógł być barman. Człowiek w czerni był od niego o głowę niższy. W ręku trzymał jakiś przedmiot – po chwili z metalicznym łoskotem rozwinęło się ramię teleskopowej pałki. Magik poczuł, że zaraz popuści i niekontrolowanie zakończy czynność, którą mu przerwano. Był przerażony. Bał się bólu, uszkodzeń ciała i upokorzenia. Nie był typem fightera, nigdy się nie bił, zawsze unikał kłopotów. Chciał, aby to się skończyło. Zdjął plecak i położył obok siebie. Założył, że to właśnie o niego chodzi. Nie mylił się. Ręka z teleskopową pałką opadła i napastnik sięgnął po plecak.

Wtedy stało się coś, czego Magik nigdy racjonalnie nie wytłumaczy. Tak jakby ciało przestało słuchać sparaliżowanego strachem mózgu albo jakby jego umysł podzielił się na dwie przeciwstawne części: jedną – chcącą za wszelką cenę przetrwać, i drugą, która chciała walczyć. Gdy zamaskowany agresor się pochylił, prawa ręka Magika błyskawicznie sięgnęła po przytroczony do paska paralizator. Końcówki elektrod precyzyjnie trafiły w odsłonięty fragment białej szyi. Pięćset tysięcy woltów poraziło układ nerwowy napastnika. Zacharczał i trzymając się za szyję, opadł na kolana.

Magik, już w pełni świadomy, zerwał się na nogi, złapał plecak, wskoczył na rower i pognął przed siebie. Dopiero pod domem zauważył, że jego skurczony i pomarszczony ptaszek wciąż jest na wierzchu. Schował przyrodzenie w spodnie i poczuł odpływającą adrenalinę. Dysząc ze zmęczenia, usiadł na schodach przed swoją klatką. Spojrzał na żółte światło ulicznej latarni. Z oczu popłynęły mu łzy. Nie czuł, jak płyną po brodzie i szyi, jak wpływają za kołnierz koszulki. Postanowił, że jutro odda Walterowi nagrania i powie mu, żeby się od niego odpiardolił. Wystarczy mu zabawy w policjantów i złodziei.

7 Ryszard Szurkowski – jeden z najwybitniejszych w historii polskich kolarzy szosowych.

ROZDZIAŁ 35

Katowice, 13.05.2015

Walter szybkim krokiem zmierzał na parking w podziemiach centrum handlowego, gdzie zostawił samochód. Ponownie wybrał numer Luizy.

– Kurwa! – zaklął, gdy w słuchawce odezwała się poczta głosowa. – Muszę pojechać do Strózika. Spotkajmy się za godzinę w Starbucksie. I nie wyłączaj tego cholernego telefonu! – nagrał wiadomość.

Ignorując ograniczenia prędkości, fotoradary i przekleństwa rzucane w jego kierunku przez uczestników ruchu drogowego, w niecałe dziesięć minut dotarł na Załęże. Na ławce pod ścianą z brudnoczerwonej cegły tym razem siedziała grupka wyrostków. Palili papierosy i pluli synchronicznie, strzykając śliną przez zęby. Odprowadzili niechętnym wzrokiem Waltera, który wbiegł do klatki schodowej.

Załomotał w drzwi. Tak jak poprzednio odpowiedziała mu cisza. Zaczął rozważać ich wyważenie, lecz natychmiast zrezygnował z tego pomysłu. Była to solidna antywłamaniowa konstrukcja, zaopatrzona w trzy zasuwę, wpuszczane w stalową framugę. Jak zabezpieczenie kasy pancerniej. Nacisnął na klamkę i znieruchomiał – drzwi ustąpiły. Uchylił je nieznacznie – na tyle, by zajrzeć do środka.

W półmroku dostrzegł czyjeś stopy, bezwładnie leżące na podłodze. Wyjął glocka i otworzył drzwi na oścież. Zawiasy skrzypnęły. W normalnych okolicznościach ciche jęknięcie byłoby ledwo słyszalne, teraz jednak zabrzmiało jak ryk wściekłego słonia.

Wszedł do przedpokoju, ostrożnie stawiając kroki. Poczł smród. Do gamy zapachów, których doświadczył podczas ostatnich odwiedzin, doszedł jeszcze jeden – odór fekaliów. Walter pamiętał, że mieszkanie Strózika było kawalerką z jednym pokojem i kuchnią. Wejście do kuchni znajdowało się po lewej stronie, nieco bliżej od tego prowadzącego do pokoju, z którego na przedpokój wystawały nieruchome stopy.

Wziął trzy głębokie oddechy i w stabilnym rozkroku, trzymając wyciągniętą przed siebie broń, stanął w progu kuchni. Nikogo tam nie było. Odwrócił się błyskawicznie i uważając, by nie potknąć się o wystające nogi, w ten sam sposób sprawdził pokój. Jeśli nie liczyć Strózika, leżącego we własnych fekaliach, pomieszczenie było puste. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby stwierdzić, że gospodarz nie żyje. Jego głowa przypominała czerwony grejpfrut, po którym przejechały koła samochodu. Kawałki tego, co kiedyś było czaszką i mózgiem, leżały na podłodze i oblepiały narzutę kanapy, na której Walter siedział jeszcze

kilkanaście godzin temu.

Luiza! Ona nie może być teraz sama! – pomyślał nagle. Później ze zdumieniem spostrzegł, że traci władzę w nogach. Coś ciepłego zaczęło mu spływać po karku, jego oczy zasnuła ciemność i runął na podłogę.

Szedł leśną ścieżką. Powietrze pachniało żywicą i suchym runem leśnym. Rozgrzane letnim słońcem, drgało z gorąca. Idąc, słyszał, jak pod jego stopami chrzęści wysuszone na wiór poszycie. Pękające drobne gałązki, igliwie i porosty znaczyły ślad jego stóp. Uniósł głowę i zmrużył oczy, chroniąc je przed promieniami słońca, przemykającymi się pomiędzy koronami sosen. Gdy opuścił głowę, spostrzegł, że jest bosy. Zdziwił go ten fakt, gdyż w ogóle tego nie czuł. Zrobił krok do przodu. Nic, żadnego ukłucia czy ucisku. Pochylił się i wskazującym palcem nacisnął grzbiet prawej stopy. To poczuł. Tak samo z lewą.

Wyprostował się i zobaczył falującą na wietrze trawę. Była ogromna, wyższa od niego, i miała grube jak palec źdźbła. To nie jest trawa, zorientował się. Stał wśród sitowia. Było wszędzie – przed nim i za nim. Zrobił krok, z trudem uwalniając ugrzęzłą w mule stopę. Potem drugi i trzeci, rękoma torując drogę przez sitowie. Z poruszonego mulastego dna ku górze ruszyły dziesiątki gazowych baniek, niosąc ze sobą zapach rozkładu i zgnilizny.

– Roman, Roman! – usłyszał nagle.

Nawet przez ułamek sekundy nie miał wątpliwości, czyj to głos.

– Joanna! Gdzie jesteś? – krzyknął ile sił w płucach.

– Rooomaaaaan... – zabrzmiało w odpowiedzi.

– Joanna, czekaj, już idę, zaraz będę! Czekaj!

Ruszył w kierunku, z którego dochodził głos. Brodził po pas w wodzie, z każdym mozolnym krokiem coraz bardziej zapadając się w grząskie dno. Bezkręsitowia zdawał się nie mieć końca. Jego ostre jak brzytwa liście boleśnie raniły jego twarz i ręce. Po jego szyi i ramionach spływały wąskie, wijące się strużki krwi i potu.

– Rooomaaan... – Głos wydawał się słabnąć.

– Czekaj! Nie odchodź, idę! – chciał odkrzyknąć, lecz z jego gardła dobył się tylko zduszony szept.

Woda sięgała mu już podbródka. Każdy kolejny krok kosztował coraz więcej wysiłku. Czuł, że traci moc. Starał się przeć do przodu, chwytając za sitowie, lecz każda próba podciągnięcia ugrzęzłego ciała kończyła się fiaskiem. Czuł, że przegrywa, że nie ma dość sił, by dotrzeć do swojej żony, że znów ją zawiedzie, ponownie straci. Zaczął drzeć. Z zimna i rozpacz. Ostatnim haustem powietrza wypuszczonego z płuc wykrzyczał gniew, żal i tęsknotę.

Obudził się zlany potem. Wydawało mu się, że tłukące jak młot

pneumatyczny serce zaraz wyskoczy mu z piersi. Siedział przy stole w bokserkach i podkoszulce. Wokół czuł smród własnego, niemytego od wielu dni ciała, przepełnionej niedopałkami popielniczki i przetrawionego alkoholu. Uniósł wyżej powieki. Obraz był zamazany, ale miał pewność, że w butelce jeszcze coś jest. Półożąc na stole, zaczął szukać po omacku. Gdy dłoń natrafiła na szkło, poczuł jego przyjemny chłód. Oddychał ciężko i powoli. Łapał tyle powietrza, na ile pozwalały mu zniszczone płuca. Chciał się przygotować na łyk. Chciał go dobrze poczuć i wierzył, że wentylacja mu w tym pomoże. Dostarczy ożywczego tlenu, poprawi ukrwienie języka, jamy ustnej, przełyku. Przyłożył szyjkę butelki do ust i wypił wszystko jednym mocnym haustem.

Nagle wzrok mu się wyostrzył. Jakby ktoś podkręcił ostrość na ekranie telewizora. Pod ścianą naprzeciw stołu ktoś stał. Joanna trzymała za rączkę jego pięcioletnią córkę, Anetkę. Obie były nieruchome. Zamiast twarzy miały czarne dziury. Ich czerń była absolutna i zdawała się wsysać wszystko dookoła. Butelka stoczyła się ze stołu. Uderzając o podłogę, zamieniła się w pył połyskujący w świetle jarzeniowej lampy. Walter chciał wstać, podejść do żony i córki, zdjąć z ich twarzy czarną nicość – lecz nie potrafił. Nie miał władzy nad swoim ciałem. Było jak odlane z ołowiu. Zawył z rozpacz i żalu i zaczął tłuc głową o blat stołu. Łup, łup, łup...

Puk, puk, puk... Ktoś klepał go po ramieniu.

– Hej, Walter, obudź się! To ja, spójrz na mnie.

Skądś znał ten głos. Całkiem niedawno o nim myślał i pamiętał, że czuł jakąś obawę. Czegoś nie wiedział, nie rozumiał, coś mu umknęło, coś zgubił?

– Walter, podnieś głowę! Już dobrze, otwórz oczy i popatrz na mnie – zażądała ponownie kobieta.

Zrobił, o co prosiła. Obraz stopniowo się wyostrzał. Już rozumiał, już wiedział, co się stało.

– Gdzie byłaś? – zapytał.

– Całe szczęście niezbyt daleko – odparła Luiza.

– Rzeczywiście mam szczęście – potwierdził słabo. – Gdzie jesteśmy?

– U mnie – odparł jakiś inny głos.

Walter z trudem uniósł rękę.

– Witaj, Magik.

ROZDZIAŁ 36

Katowice, 14.05.2015

Walter leżał na kanapie z wielkim kubkiem parującej aromatycznej herbaty. Napis na kubku brzmiał: „Don't mess with the IT guy8”. Był obolały i miał problem z odtworzeniem zdarzeń z ostatnich godzin. Nie miał pojęcia, czym potraktował go napastnik. Jedno jest pewne – to, co mu wstrzyknął, zadziałało na tyle skutecznie, że na ładnych kilkadziesiąt minut stracił świadomość, a potem bredził w majakach. Był wściekły, bo wszystko szło nie po jego myśli. Miotał się niczym uwięziona w kloszu ćma, objijając się o niewidoczne przeszkody. A na dodatek jak ostatni frajer dał się zaskoczyć w mieszkaniu Stróżika. Gdyby przyszedł tam kilka minut wcześniej, to może byłoby już po sprawie. Złapałby na gorącym uczynku sprawcę, który pozbywał się niepotrzebnego świadka, tak jak wcześniej chciał się pozbyć Luizy. Walter był już przekonany, że za tym wszystkim stoi herbowy „PP”, nie wiedział tylko, co nim kieruje, jakie miał motywy, mordując Roberta Dębskiego i Sebastiana Halina, ani dlaczego tak usilnie chce się go pozbyć – bo tego też był pewien.

Magik, wbijając wzrok w ścianę, siedział na pufie z kolanami pod brodą. Luiza siedziała na podłodze. Między skrzyżowanymi nogami trzymała otwartą butelkę cydru. Z całej trójki tylko ona nie wyglądała, jakby trapiły ją problemy całego świata. Z głośników, połączonych bezprzewodowo ze smartfonem, płynęły dźwięki *Dark Side of the Moon*, konkurując akustycznie z łyżeczką uderzającą o ściankę kubka Waltera.

W końcu komisarz poczuł na sobie wzrok swoich towarzyszy.

– Sprawdzacie, czy nie zwariowałem? – rzucił, przerywając mieszanie herbaty.

Oboje spojrzeli po sobie. Luiza wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

– Jak się pan czuje? – zapytał Magik.

– Bywało lepiej. Jak się tu znalazłem? – Walter upił trochę herbaty.

– Ona zaczęła pana szukać. – Haker gestem głowy wskazał na Luizę.

– A on znalazł – dodała dziewczyna.

– Słuchajcie – komisarz pokręcił głową – mam mętlik w głowie. Mówcie do mnie dużymi literami, okej?

– Zostawiłeś mi na fonie wiadomość, że mamy się spotkać w kafejce w galerii.

Teraz przypomniał sobie, dlaczego był na nią tak wściekły.

– Gdzie cię wzięło spod tego hotelu?

– Czy to jest w tym momencie takie ważne? – odparła Luiza pytaniem na pytanie.

– Nie tobie to oceniać.

– Powiedziałam ci przecież, że poszłam po fajki.

– I zajęło ci to tyle czasu? – nie dowierzał.

– No dobra, musiałam jeszcze kupić tampony, a potem jednego se wsadzić, zadowolony? – fuknęła.

Tym razem wzrok obu mężczyzn spoczął na niej. Walter nie wiedział, co ma począć z tą informacją, na wszelki wypadek postanowił więc ją zignorować.

– Byłaś w Starbucksie? – zapytał.

– Tak. Nie przyszedłeś, więc postanowiłam pójść do ciebie i tam poczekać. No i przyszedł ten *freak*. – Wskazała na Magika, który natychmiast się odciął:

– Dziewica Orleańska się znalazła.

– Zaraz, zaraz... – Walter uniósł rękę. – Jak do mnie weszłaś? Nie przypominam sobie, żebym ci dał klucze.

Luiza wzruszyła ramionami.

– Drzwi były otwarte.

– Jasne. Na oścież z pewnością – parsknął. – Zresztą nieważne. Nadal nie rozumiem, jak mnie znaleźliście.

– Namierzyłem pana komórkę, komisarzu – powiedział Magik. – I szczerze mówiąc, chyba znaleźliśmy pana w ostatniej chwili.

– W ostatniej chwili? Co masz na myśli?

– No wie pan, chodził pan po tym mieszkaniu jak zombie obok leżał koleś z rozpieprzoną głową, a pod tę ruderę podjechały dwa radiowozy na sygnale. Wyrzależem przez okno, patrzę, a z suk wysypuje się cały pluton czarnych i walą do klatki schodowej. Ta tu zaczęła wrzeszczeć, żeby pana stamtąd zabrać, bo to jest ustawione, więc jej pomogłem i wciągnęliśmy pana na strych.

– Dzięki. – Komisarz nieznacznie kiwnął głową. – Uważam, że Luiza ma rację. Od samego początku ktoś usiłuje mnie usadzić.

– Szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Przestało mi się to wszystko podobać. – Magik postanowił wyrzucić z siebie, co mu leży na wątrobie. Był zdenerwowany i przestraszony. Skulony na pufie wyglądał jak ktoś, kto za wszelką cenę próbuje się ukryć, a najlepiej zniknąć.

– Magik, naprawdę doceniam to, co zrobiłeś – zapewnił Walter.

– Nie. – Haker pokręcił głową. – Nie zależy mi na pana względach. Po prostu uważam, że współpraca z panem jest niebezpieczna. Po tym, co zrobiłem, mogą mnie wsadzić, że nie wspomnę o napaści na mnie po tym, jak zdobyłem te cholerne nagrania.

– Jakie nagrania? – zainteresowała się Luiza.

– Nie czas, żeby to tłumaczyć – uciął komisarz, po czym zwrócił się do

Magika: – Zapewniam cię, że to nie ja wysłałem tego śmiecia na tamten świat. Ale gdyby nie wy, to faktycznie siedziałbym przed prokuratorem i udowadniał, że nie jestem wielbłądem.

– To pana problem – rzucił Magik tak cicho, jakby nie był pewien, czy chce być usłyszany.

– Mylisz się. Ale nie mam zamiaru ani czasu, żeby wyprowadzać cię z błędu.

Zamilkli. Magik schował twarz w dłoniach, Walter wyglądał, jakby nad czymś ciężko myślał. W panującej wokół ciszy słychać było brzęczącą lodówkę i szum wentylatora w laptopie Magika.

Luiza podniosła się z podłogi i podeszła do okna. Usiadła na parapecie i wypila resztkę cydru. Odstawiła pustą butelkę na parapet i głośno beknęła. Zawstydzona, zasłoniła ręką usta, patrząc szeroko otwartymi oczami to na Waltera, to na Magika. Komisarz sprawiał wrażenie, jakby nie miał pojęcia, skąd doszedł charakterystyczny dźwięk. Magik natomiast podniósł głowę i spojrzał na dziewczynę, skwaszony.

– Jezu, wyglądacie, jakbyście z pogrzebu przyszli – stwierdziła, zeskakując z parapetu.

– Sprawdziłaś link, który ci przesłałem? – Walter wrócił do rzeczywistości.

– Tak. To nie ten facet.

– Tak przypuszczałem. Nigdzie nie było symbolu, z którym obnosi się ten twój. – Cmoknął z niezadowoleniem. – Magik, jesteś jeszcze z nami?

– No – odparł cicho komputerowiec.

– To weź swoją maszynę i szybko sprawdź, co system ma do powiedzenia na temat niejakiego Przemysława Poręby. Jego firmową stronę możesz sobie darować.

Magik sięgnął po laptopa z wyraźnym ociąganiem. Z każdym stuknięciem w klawiaturę jego oblicze nabierało jednak dawnej pewności siebie.

– Kiedy miały miejsce te zabójstwa? – zapytał.

– W okolicach dwudziestego siódmego kwietnia.

Uśmiechnął się od ucha do ucha i odwrócił ekran laptopa w stronę Waltera i Luizy.

– Nie trzeba daleko szukać. Mówię wam, fejs to niewyczerpana kopalnia wiadomości. Jak widać z jego tablicy i zdjęć, facet w tym czasie był na Kanarach. Swoją drogą ciekawe, czy ta lala obok niego to córka, czy kochanka?

– Kochanka – zawyrokowała Luiza. – Córka by się tak do niego nie kleiła.

– Wiecie co? – Magik był znów w swoim żywiole. – Z tego, co tu widzę, to raczej Sebastian Halin miał powody, aby wykończyć Porębę.

– Mów dalej – ponaglił Walter.

– Jedna z internetowych bulwarówek kilkanaście miesięcy temu doniosła, że przegrał proces z powództwa cywilnego i musiał wypłacić Porębie kilkaset tysięcy złotych zadośćuczynienia za jakieś biznesowe machlojki.

– Słuchaj, a byłbyś w stanie wyszperać z sieci, co to za logo? – Komisarz wręczył Magikowi wykonany przez Luizę szkic, przeklinając się w duchu, że zupełnie o nim zapomniał, gdy ostatnio widział Magika.

– Da się zrobić. Ale to nie jest zabawa na teraz. – Komputerowiec wziął kartkę i podszedł do skanera. – To nie jest zdjęcie ani tym bardziej grafika, więc program trochę się napracuje – stwierdził, oddając rysunek. – A w międzyczasie może obejrzymy te nagrania z knajpianych kamer, przez które dostałem po łbie?

– No właśnie. – Walter zmarszczył czoło. – Co się właściwie stało?

Magik pokrótce opisał zdarzenie z zaplecza lokalu, w którym Robert Dębski w wieczór przed swoją śmiercią miał się z kimś spotkać.

– Ty niezły jesteś! A robiłeś z siebie taką łajzę – zauważyła Luiza ze szczerym podziwem.

Magik spiekł raka i bąknął coś pod nosem.

– Jesteś cały i to jest najważniejsze. A teraz puszczaj – polecił Walter.

– Jest tego trochę. Mają tam z pięć kamer, więc będzie co oglądać.

– Przy wejściu też? – zapytała Luiza.

– Też. Bo co?

– Dziewczyna dobrze kombinuje – stwierdził z uznaniem komisarz. – Jeśli Dębski i ten, z którym się tam umówił, nie weszli przez okno, to kamera na pewno go uchwyciła.

– Mogli przecież przyjść osobno – zauważył Magik.

– Mogli, ale jak określimy czas wejścia Dębskiego, to będzie można zawęzić przeglądanie nagrań z pozostałych kamer. Gdybym miał obstawiać, która ma być druga, to ta w okolicach baru.

– W porządku. Puszczam więc nagranie z kamery nad wejściem do lokalu.

– Poczekaj, kogo właściwie szukamy? – zapytała Luiza.

Walter uświadomił sobie, że czy tego chce, czy nie, dziewczyna siedzi po pas w jego nieoficjalnym śledztwie. Kobieta nieprzewidywalna i charakterna, w dodatku o przeszłości grubo ocierającej się o kilka paragrafów z KK, ma razem z nim próbować rozgryźć tę sprawę. Czy to jest normalne? Bynajmniej, ale czy normalna jest cała sytuacja, w której się znaleźli? O nie, do normalności jest jej tak daleko jak stąd do Berlina, skonkludował w myślach i postanowił zapoznać bratanicę ze szczegółami sprawy.

Gdy skończył, wyjął smartfona i wywołał zdjęcie Dębskiego.

– Całkiem spoko staruszek – skwitowała Luiza.

Chciał jej wygarnąć, że Dębski był jego równolatkiem, a sam bynajmniej nie uważa się za „staruszką”, lecz postanowił pominąć to milczeniem.

W końcu Magik uruchomił odtwarzanie filmu i ekran laptopa wypełnił czarno-biały obraz o rozdzielczości sygnału telewizyjnego z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

– Nie można by tego jakoś podkreślić? Trudno cokolwiek dostrzec – stwierdziła Luiza.

– HD z tego nie będzie, poza tym na zewnątrz było już ciemno. Ale poczekajcie... – Magik zaczął stukać w klawiaturę. – No, teraz powinno być lepiej – stwierdził po chwili.

Na puszczonej z czterokrotnym przyspieszeniem obrazie ludzkie sylwetki poruszały się w poklatkowych skokach. Zdecydowana większość sfilmowanych klientów wchodziła do lokalu. Wychodzących można było zliczyć na palcach jednej ręki. Po kilkunastu minutach bezowocnego polowania na Dębskiego Walter zaczął się zastanawiać, czy zwiększona prędkość odtwarzania nie spowodowała, że im umknął. Już miał się zwrócić z tą wątpliwością do Magika, gdy pole objęte obiektywem kamery wypełniła twarz głównego bohatera.

– Jest! Zatrzymaj! – krzyknęła Luiza.

– Nie jestem ślepy – stwierdził z ironią w głosie Magik, wybierając komendę „pause” na odtwarzaczu.

– Cofnij trochę. Chcę się upewnić, czy idzie sam – polecił Walter.

Obraz cofał się klatka po klatce aż do momentu, gdy postać Roberta Dębskiego pojawiła się w obiektywie kamery. Wtedy Magik uruchomił odtwarzanie w czasie rzeczywistym.

Dębski szedł sam. Raźnym, sprężystym krokiem zmierzał w stronę lokalu.

– Mają tam kamerę, która obejmuje wejście od zewnątrz? – zapytał Walter. – Może człowiek, z którym miał się spotkać, czekał na niego przy wejściu?

Haker kiwnął głową. Nie czekając na kolejne polecenie, wybrał odpowiedni katalog i uruchomił nagranie.

– Przewiń do... – zaczęła Luiza.

– Tej samej godziny. Wiem, panno mądralińska – nie dał jej skończyć. Tym razem stężenie ironii w jego głosie wyraźnie zmalało, ustępując miejsca czemuś w rodzaju przyjaznej przekory.

Rzeczywiście – przy wejściu ktoś stał. Drobna kobieta średniego wzrostu. Niestety połowa jej sylwetki była zasłonięta przez filar podtrzymujący zadaszenie i nie było widać jej twarzy. Robert Dębski otworzył drzwi, puścił kobietę przodem i wszedł za nią.

– Odpalaj kolejne pliki od tego momentu – polecił Walter.

Następne dwie kamery nie zarejestrowały obrazu Dębskiego. Jedna z nich dawała ujęcie na część restauracyjną, druga filmowała parkiet, na którym tańczyło kilka osób.

– Cholera, przecież wlaź do środka. Gdzieś musi być! – Komisarz nie krył zniecierpliwienia.

Jak nigdy przedtem pragnął wyjaśnić tę sprawę. Podświadomie zaklinał rzeczywistość, aby ten, z którym się spotkał Robert Dębski, był tajemniczym „PP”.

Przypuszczał – a właściwie był pewien – że to, co się stało w mieszkaniu Strózik, było jego sprawką. Facet próbował załatwić dwa tematy za jednym zamachem – zlikwidować niewygodnego świadka i wrobić w morderstwo Waltera. Lokalna prokuratura nie miałaby żadnych wątpliwości – w końcu wywalili go z roboty za pobicie Strózika i jego koleżki tamtej nocy na placu Wolności. Niezrównoważony był glina chce się zemścić, ponoszą go nerwy i rozwała facetowi łeb kijem bejsbolowym. Dla Jarzábka jak dwa dodać dwa – i po zawodach. Tylko co łączyło Dębskiego i Halina z tym całym „PP”? Dlaczego „PP” ich wykończył? Nic nie wskazywało na to, że istniał między nimi jakiś związek. Anna Dębska też nie wspominała o „PP”, a sama miała powody, aby pozbyć się męża. Czy to z pewnością robota tego faceta? Walter zaczął podważać własne tezy. A Dolores Halin? Teoretycznie też mogła pragnąć śmierci męża i jego kochanka, tyle że teraz sama już była martwa, nie wspominając o tym, że najwyżej w jednym procencie pasowała do profilu mordercy. Tak naprawdę w sprawie morderstwa Sebastiana Halina nie miał nic. Jedno wielkie zero wymalowane na gołej dupie.

– Magik, puść obraz z kamery, która obejmuje bar. Jak tam go nie będzie, to znaczy, że coś przeoczyliśmy. – Walter uwolnił się od trapiących go myśli.

– O, to ten chamowaty barman, o którym wam opowiadałem. – Magik stuknął palcem w ekran.

– Ten, którego potraktowałeś paralizatorem po jajkach? – rzuciła z uznaniem Luiza.

– Nie jestem pewien, czy to był on. Tamten był jakiś mniejszy.

– Cicho! – krzyknął nagle Walter. – Zatrzymaj to i powiększ mi obraz tego gościa. – Wskazał na mężczyznę siedzącego plecami do baru. Jedną rękę miał opartą o kontuar, w drugiej trzymał szklanę.

Magik wykonał polecenie Waltera, po czym wyostrzył rozmyty obraz. Ekran wypełniła twarz Arkadiusza Zaręby. Walter uruchomił nagranie. Obraz wrócił do pierwotnej skali i za chwilę cała trójka zobaczyła Dębskiego i Zarębę obejmujących się w przyjacielskim uścisku.

Wtedy Walter uzmysłowił sobie, że przez cały ten bajzel z Luizą, tajemniczym „PP”, Strózikiem i Szutkowskim zupełnie zapomniał o Zarębie.

8 Nie zadzieraj z informatykiem (ang.).

9 Dziwak (ang.).

ROZDZIAŁ 37

Chorzów, 24.04.2015

Nocne powietrze pachniało bzem i robinią, niosąc ze sobą powiew świeżości. Szarzejące na wschodzie niebo zapowiadało pierwszy brzask. Doktor Arkadiusz Zaręba zerknął na zegarek. Wskazówki nakręcanej doxy wskazywały czwartą trzydzieści. Zaczynała się sobota. Czasomierz, klasyczny model wzorowany na tych z lat pięćdziesiątych, dostał w prezencie od żony. Na urodziny. Piętnaście lat temu. Pamięta, jaki był rozpromieniony, gdy otworzył pudełko. Fabrycznie nowy, klasyczny model na sprężynę. Coś wyjątkowego – w czasach elektronicznych cudów bez duszy i charakteru. Poczul się wtedy kimś wyjątkowym i to samo widział w oczach swojej żony. Był dla niej kimś wyjątkowym. W zeszłym roku na urodziny dostał kupon zniżkowy. Przesłała mu go mailem. Słowa, które wtedy przeczytał, mimowolnie wbiły mu się w pamięć: „Wszystkiego najlepszego. Kup sobie coś w Empiku. Na pewno znajdziesz tam coś dla siebie. Ściski. Aha, życzenia złożę osobiście, jak wrócę z pracy. Pap”.

Wstał z wersalki nakrytej kraciastym kocem i podszedł do okna. Szpitalny dziedziniec, nie licząc trzech pielęgniarek palących papierosy przy wejściu do izby przyjęć, był pusty. Plac wielkości małego boiska porastały krzewy bzu i wiekowe kasztanowce. Pomędzy drzewami ciągnęły się alejki. W takie dni, ciepłe i słoneczne, pacjenci, którzy nie byli przykuci do łóżek, przesiadywali na ławkach, gawędząc ze sobą.

W trzypiętrowym bloku naprzeciwko, z oddziałami okulistyki, laryngologii i pediatrii, świeciły się światła w pojedynczych oknach. W jednym z nich Zaręba dostrzegł postać. Kobieta zapinała guziki fartucha. Zaraz potem pochyliła się, wypinając sporych rozmiarów pośladki, po czym się wyprostowała i zniknęła za drzwiami. Po niej w oknie pojawił się łysy mężczyzna – nagi do pasa. Na jego torsie i szerokich, wręcz atletycznych ramionach kłębił się gąszcz włosów.

Wilczek z laryngo. Ten to nie przepuści żadnej siostrzyczce, pomyślał Zaręba i zamknął okno.

Dręczyła go bezsenność. Nie licząc krótkich drzemek, w czasie których jego mózg nawet nie zdążał się wyłączyć, od kilku tygodni nie przespał porządnie ani jednej nocy. Swoją dzisiejszą dyżur przeleżał, obracając się z boku na bok i marząc, by wezwano go na salę operacyjną. Telefon z dyżurki przerwałby koszmar niekończącej się nocy. Jak na złość żaden z oddziałów nie potrzebował usług anestezyjologa. Ponownie spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta. Za dwie godziny go zmieniają.

Postanowił, że da sobie spokój i podda tę rundę. Sięgnął po leżący na szafce plecak i z wewnętrznej kieszeni wyjął elektryczną golarkę, pastę do zębów i szczoteczkę. Podeszedł do umywalki, włączył umieszczoną nad lustrem lampę i natychmiast zapragnął, by zgasła. Szara skóra, obwisłe policzki i wory pod przekrwionymi białkami oczu.

– Gdzie się podziałeś, panie Zaręba? – zapytał retorycznie i włączył golarkę.

Prowizoryczna ablucja zajęła mu kilka minut. Osuszył się z grubsza, przebrał koszulę i wyjął z plecaka swój laptop. Uruchomił pocztę. Poczł niepokój i naprężył mięśnie. Ta sama mimowolna reakcja towarzyszyła mu od kilku tygodni za każdym razem, gdy zaglądał do skrzynki mailowej. Program odpalił. Miał jedną nieodczytaną wiadomość. Tym razem nadawca był znany. Robert. Ulżyło mu. Zaczł czytać.

ROZDZIAŁ 38

Chorzów, 24.04.2015

Do domu dotarł przed ósmą rano. Po drodze w lokalnej piekarni, kilkadziesiąt metrów od jego bloku, kupił świeże bułki i kefir. Wszedł do klatki schodowej i sprawdził skrzynkę na listy. Była pełna. Po raz setny z wyrzutem pomyślał, że w tej rodzinie nikt poza nim nie wpadnie na pomysł, by raz na jakiś czas sprawdzić korespondencję. Tak było zawsze. Tylko on co jakiś czas sprawdzał tę cholerną skrzynkę, a oni po prostu przechodzili nad tym do porządku dziennego.

– Jebane status quo – zaklął pod nosem, wciskając przycisk przywołania windy.

W domu wszyscy jeszcze spali. Nie musiał nawet tego sprawdzać. Zza uchylonych drzwi małżeńskiej sypialni usłyszał miarowy, spokojny oddech Justyny. Pewnie jak zwykle do bladego świtu thukła w klawiaturę na jednym z tych skretyniałych czatów. Nie pamiętał, kiedy ostatnio przywitała go kubkiem gorącej kawy i nakrytym do śniadania stołem.

Zajrzał do pokoju syna. Na dźwięk otwieranych drzwi chłopak przewrócił się na drugi bok i naciągnął kołdrę na głowę. Student drugiego roku na Politechnice Śląskiej od kilku miesięcy zafascynowany był tworzeniem muzyki. Obserwując jego noty z ostatniego semestru, Zareba zaczynał się zastanawiać, na ile jego hobby zaczyna dominować nad postępami w studiach. Gdy raz użył tego słowa, próbując wysondować jego podejście, usłyszał w odpowiedzi: „Tato, hobby to mają kolekcjonerzy znaczków. Dla mnie muzyka to cały świat, rozumiesz?”. Nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Wciąż miał w pamięci swoich starych, którzy zrzędzili mu nad uchem o odpowiedzialności i ambicjach. Chciał oszczędzić tego swojemu synowi, choć nieraz musiał się gryźć w język. Oceny w indeksie spadały, lecz młody wciąż był na całkiem przyzwoitym poziomie, zdecydował więc, że na razie machnie na to ręką.

Do pokoju córki nawet nie chciał zaglądać. Dobrze wiedział, co tam zastanie. Nie chciał sobie psuć i tak już wisielczego humoru. Córka była pod skrzydłami Justyny. Ta rozpostarła je nad nią, przy okazji całkowicie zasłaniając sobie pole widzenia na wyczyny ukochanego dziecka. Nie przeszkadzało jej, że miała w wieku dwunastu lat poprzekłuwała sobie usta i uszy. Jako trzynastolatka upstrzyła tatuażami swoje plecy i ramiona. Justyna nie potrafiła zrozumieć, dlaczego z tego powodu rozpętał karczemną awanturę i zażądał od córki adresu studia, w którym wykonano te wątpliwej jakości dzieła. Złapała wtedy córkę za rękę i pobiegły gdzieś razem. Gdy wróciły po godzinie, Justyna jak gdyby

nigdy nic zaczęła wychwalać lodziarnię, w której były. Trzy miesiące później pojawił się nowy tatuaż – tym razem na szyi, a ze szkoły nadeszła informacja o kilkutygodniowej absencji uczennicy w zajęciach. Zaręba bez słowa wręczył żonie list i pojechał do szpitala.

Wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Czternastopiętrowe betonowe bloki stały w dwóch równych rzędach. Fantazja lokatorów malujących przestrzenie balkonowe podług własnego gustu sprowadziła wieżowce do formy bałkańskiej komuny, wzmocnionej przez brzuchatych macho, w podkoszulkach na ramiączkach, kopających papierosy. Spojrzał w dół. Doliczył do ośmiu. Tym razem o dwa mniej. Dzisiaj tylko osiem psów, prowadzonych na smyczy, obsikiwało i obsrywało placki zieleni, które nie miały szans zyskać miana trawników. Zgasił papierosa, pstryknięciem wyrzucił niedopałek i postanowił pojechać rowerem.

Jakoś muszę zabić ten czas, pomyślał, wkładając jaskrawozieloną termiczną kurtkę.

ROZDZIAŁ 39

Katowice, 25.04.2015

Siedział przy stoliku, popijając piwo. Roberta Dębskiego jeszcze nie było, choć umówiona godzina spotkania minęła kilkanaście minut temu. Lokal był położony na wzgórzu nad niewielkim, ładnie zagospodarowanym stawem. Z miejsca na werandzie, gdzie siedział, rozciągał się widok na urbanistyczną zabudowę, światła pobliskiego centrum handlowego i nitkę autostrady przecinającej miasto. Powietrze było przejrzyste i pachniało wiosną. Zachodzące słońce oblewało czerwienią pojedyncze postrzępione chmury. Od granatowosinych po stronie wschodniej po złotomiedziane na zachodzie.

Upił łyk piwa i wziął głęboki oddech. Na kilka chwil udało mu się zapomnieć, uwolnić myśli, które poszybowwały nad miasto.

Pub powoli się zapełniał. Z każdą minutą ubywało wolnych miejsc. Wokół roznosił się gwar rozmów, z głośników sączyła się muzyka. Zaręba zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć nazwę kapeli, która właśnie grała. Uśmiechnął się pod nosem, gdy w końcu skojarzył – to nie zespół, tylko Don Henley. Śpiewał o pustych plażach i końcu lata. Tekst trochę nie na czasie, pomyślał, ale kawałek na tyle fajny, że nie ma to żadnego znaczenia.

Dębskiego wciąż nie było. Właściwie go to nie dziwiło. Zawsze się spóźniał. To świat miał wyczekiwać Roberta, a nie na odwrót. Nawet na własny ślub ledwo zdążył. Wtedy, ten jeden raz, Arek był z tego powodu naprawdę zadowolony. Przez dwadzieścia minut ścisnął w kieszeni obrączkę, którą Robert miał włożyć na palec serdeczny Anny. Przez dwadzieścia minut miał nadzieję, że jego była dziewczyna, która miała wyjść za jego przyjaciela, w teatralnym geście rzuci ślubną wiązanekę na posadzkę kościoła. A wtedy on będzie mógł spróbować ją odzyskać. Niestety kilka godzin później bukiet wpadł w ręce jego narzeczonej – dziś żony i matki jego dzieci.

Od tamtego dnia widywali się sporadycznie, aż w pewnym momencie, kilka lat temu, kontakt się urwał. Arek zamknął się w przestrzeni pomiędzy szpitalnym murem a blokowiskiem, gdzie mieszkał; Robert, jak słyszał, zaczął robić jeszcze większe pieniądze i wstąpił do grona najbogatszych w kraju. Milczenie przerwał Robert. Zadzwoił kilka tygodni temu. Gadka szmatka, co słyhać i tym podobne bzdury, a jednak wyczuł, że coś jest nie tak. Robert nigdy nie dzwonił, nie kontaktował się bez wyraźnego powodu. Był konkretny i zawsze miał jakiś cel. Tym razem nic. Na koniec rozmowy rzucił tylko zdawkowe: „Koniecznie musimy się spotkać, piwko, te sprawy, wiesz...” i się rozłączył.

Przed paroma dniami zadzwonił ponownie i zaproponował wspólną popijawę. Termin miał potwierdzić mailem, co uczynił. Arkadiusza Zarębę niespecjalnie zdziwił fakt, że Dębski odezwał się po latach milczenia. Robert zawsze robił, co chciał, i nikomu się z tego nie tłumaczył. Zaniepokoiły go za to anonimowe wiadomości, które zaczął otrzymywać tuż przed pierwszym telefonem Dębskiego. Wiadomości dotyczące zdarzenia, w którym obaj wzięli udział. Dawno, dawno temu.

Zerknął na pustą szklanę i zdecydował, że zamówi następną. Podeszedł do baru. Barman lekko się zdziwił, gdy poprosił o piwo zmieszane z 7 upem – w jego klasyfikacji to drink dla gimnazjalistów – ale bez mrugnięcia zrealizował zamówienie.

Postanowił zostać przy barze. Usiadł na wysokim stołku, plecami do kontuaru, i zaczął wodzić wzrokiem po gęstniejącym tłumie. Z przyjemnością skonstatował, że średnia wieku otaczających go ludzi wcale aż tak nie odstaje od jego pokolenia – byli między trzydziestką a czterdziestką. Ceny drinków skutecznie odstraszały od tego miejsca gówniarzy, nastawionych na szybkie i ekonomiczne picie. Cieszyła go ta naturalna selekcja. Nie lubi – nigdy nie lubił – hałaśliwych gnojków, którzy po paru piwach dostają małego rozumu i wydaje im się, że są królami świata.

– Siemanko, Zarąbek, bracie! – od strony tarasu, przebijając się przez gwar rozmów, zabrzmiał znajomy głos.

Robert Dębski w swoim stylu nie omieszkał ogłosić wszem i wobec: LUDZIE, UWAGA! JESTEM! PRZYSZEDŁ WASZ ULUBIENIEC! GWIAZDA WIECZORU! Wszedł, a właściwie wpłynął do lokalu, sprawnie lawirując pomiędzy gęstwą popijającą drinki i podrygującą w rytm muzyki. Wysoki blondyn w sportowej marynarce, jedwabnej koszuli, rozpiętej na dwa guziki, i spodniach z wysokiej klasy denimu na odległość pachniał górną półką – i tak też wyglądał. Już od progu sprawiał wrażenie, jakby był u siebie, a wszyscy dookoła byli jego dobrymi znajomymi. Pełen luz i swoboda. Nawet barman, mimo ścisku panującego przy kontuarze, gdy tylko Dębski znalazł się w jego pobliżu, jak za dotknięciem magicznej różdżki od razu podeszedł i przyjął zamówienie.

– Byłeś tu już kiedyś? – zapytał Zaręba.

Dębski rozejrzał się dookoła.

– Jeśli nawet, to chyba tego nie pamiętam! – Ze śmiechem poklepał Zarębę po ramieniu, po czym wziął kufel i duszkiem wlał w siebie połowę jego zawartości.

– Dlaczego pytasz? – odstawił szkło na blat.

– Tak z ciekawości. A co tam w wielkim świecie?

– Jakim tam, kurwa, wielkim! – prychnął. – Trzydzieści kilometrów stąd? Ja

przecież na wsi mieszkam. To ty, bracie, w wielkim świecie żyjesz. – Dębski znów podniósł kufel i druga połowa piwa znalazła drogę do jego żołądka.

– Tak wielkim jak ta dyżurka, w której kwitnę kilkanaście nocy w miesiącu, albo jak dwunastoletni grat, który tylko patrzeć, jak złamie się na pół na jakiejś większej dziurze.

Dębski przewrócił oczami.

– Arek, kurwa, weź nie dołuj! – Spojrzał na Zarębę z grymasem. – Jest sobota, wiosna za oknem, my sami, bez naszych bab, możemy pochłać, ile wlezie, a ty jęczysz i jęczysz! Daj se trochę luzu, dobra? Idę do kibla. Zamówisz coś dla nas? – Klepnął kolegę w ramię i odszedł.

Zaręba odprowadził go wzrokiem. Jak on to robi? – pomyślał. Gdziekolwiek się pokaże, od razu jest w centrum uwagi. Wszyscy rozstępują się przed nim niczym Morze Czerwone. Studiów nie skończył, a tu proszę – wakacje z rodziną na Seszelach w Med Clubie? – żaden problem. Kilka razy w roku wypadły z kumplami na kitesurfing do Brazylii? – spoko, luzik. Tenis i golf w doborowym towarzystwie – a jak! Dom, w którym śmiało zmieściłoby się dziesięć standardowych mieszkań, w garażu trzy samochody. Trzy? Nie, cztery! Przecież chwalił się tym, który sprowadził ze Stanów. Kolekcyjerski model z siedemdziesiątego roku. Plymouth jakiś tam, coś jak ta ryba. Barracuda! Puszyl się, że ze swym siedmiolitrowym silnikiem może się rozpędzić ponad trzysta na godzinę, i nawet proponował wspólną jazdę na torze. Zaręba wykręcił się wtedy, zasłaniając się dyżurem w szpitalu. W głębi duszy jednak zazdrościł przyjacielowi. Nawet nie chodziło o te wszystkie rzeczy – zazdrościł mu swobody, którą Dębski zawsze się cechował, luzu w sposobie bycia i tych różowych okularów. Lecz było coś, czego zazdrościł mu najbardziej. Coś, za co własną krwią podpisałby cyrograf samemu diabłu. Zdolność, której on nie miał i której jego zdaniem nie można się było nauczyć. Z tym trzeba się urodzić. Dębski miał umiejętność wypierania z głowy złych rzeczy. To, czego nie mógł zmienić, a co mogłoby mu ciążyć, przeszkadzać czy dręczyć, wymiatał skutecznie i definitywnie. Niewygodną przeszłość zostawiał za sobą i nigdy nie odwracał się w jej kierunku. Zaręba tego nie potrafił. Żył przeszłością, karmił ją każdego dnia, a ona rosła w siłę. Rosła i dojrzewiała, aż w końcu go dopadła. Czyżby Roberta też? Czyżby stąd ta maskarada?

Zamówił kolejne piwa oraz dwie setki wódki, które wychylił od razu – jedną za drugą. Dębski wrócił z toalety. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, spoglądając na coraz to bardziej rozbawione towarzystwo. Z głośników płynęły dźwięki hitów lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Przestrzeń między barem a stolikami niezauważalnie przeistoczyła się w parkiet taneczny. Tuż przed nimi trzy mniej więcej trzydziestoletnie kobiety, rozpromienione, zaczęły pisać w rytm muzyki. Każda trzymała w dłoni kieliszek z winem, a pod pachą ścisnęła torebkę. Najwyraźniej były same.

– Patrz, jakie dupeczki tu się kręcą – zauważył Dębski, pociągając solidny łyk kolejnego piwa. – Uderzymy do nich? – W jego oczach pojawił się błysk.

– Nie jestem pewien, czy mam ochotę. – Zaręba wzruszył ramionami, lecz nagle, niespodziewanie dla siebie samego, zmienił zdanie. Wypita wódka zaczęła działać. Niczym piach rzucony w ognisko chwilowo przygasła dręczące go myśli. – A niech mnie! W sumie dlaczego nie? – Postawił kufel na kontuarze i wtopił się w roztańczony tłum.

Okolo czwartej nad ranem zaczęło się wyludniać. Brzask wschodzącego słońca wyganiał ostatnich wytrwałych. Zaręba i Dębski siedzieli na restauracyjnej werandzie, palili papierosy i dopijali colę z wysokich szklanek, którą Dębski przyniósł z baru. Nie było go dłuższą chwilę. „Fajną babkę spotkałem przy barze. Pogadałem z nią trochę, a potem jeszcze musiałem skoczyć do kibla”, tłumaczył po powrocie.

Byli wstawieni, ale już nie pijani. Wraz z potem na parkiecie wyparowała z nich część alkoholu. Wpatrywali się w toń stawu sąsiadującego z lokalem. Ciszę przerwał Dębski:

– Śpieszy ci się do domu?

– Niespecjalnie – odparł Zaręba. – Dlaczego pytasz?

– Masz ochotę na śniadanie? Zapraszam do siebie. – Dębski poufale klepnął go po plecach.

– To dobra pora na jazdę do Zbrosławic? – zdziwił się Zaręba, odruchowo zerkając na zegarek.

– Spoko. Od niedawna razem ze współnikiem jesteśmy właścicielami hotelu w Parku Śląskim. To niedaleko stąd. Zresztą sam wiesz. To praktycznie twoje śmieci. – Dębski sięgnął po kolejnego papierosa. – Tak w ogóle to musimy pogadać – dodał po chwili. Na jego twarzy nie pozostał nawet cień rozbawienia sprzed kilkunastu minut.

Zarębę przeszedł dreszcz.

– O czym? – zapytał, choć doskonale wiedział.

– Ktoś wie, co wtedy zrobiliśmy – rzucił Dębski i poszedł zamówić taksówkę.

Zaręba dopił colę i odłożył szklankę na stół. Gdyby nie poalkoholowe pragnienie, w ogóle by jej nie pił. Miała dziwny smak. Nie raz słyszał, że barmani kantują na napojach, mieszając je z wodą lub jakimś badziewiem. Najpewniej sam stał się teraz ofiarą ich przedsiębiorczości.

W oddali usłyszał klakson samochodu.

Dębski już czekał w taksówce.

ROZDZIAŁ 40

Chorzów, 14.05.2015

Trzynastopiętrowy wieżowiec, jeden z sześciu identycznych wielkopłytowych cudów architektury, górował ponad dachami familoków otaczających osiedle. Parking pod blokiem pękał w szwach – można było odnieść wrażenie, że na każdą rodzinę w stuosiemdziesięciomieszkaniowym mrówkowcu przypada co najmniej półtora samochodu. O ile w szerszej perspektywie mogło to sugerować dobrobyt, o tyle przy bliższym spojrzeniu czar mleka i miodu zniknął, wypchnięty przez rdzawą wiekowość pojazdów, niewiele młodszych od domu, pod którym stały.

Zgodnie z adresem, który Walter dostał od Nawary, mieszkanie Zaręby mieściło się pod numerem osiemdziesiątym ósmym. Mniej więcej w połowie wysokości żelbetonowej wieży.

Stał pod drzwiami i nacisnął przycisk dzwonka. Gong odegrał parodię londyńskiego Big Bena. Po kilku sekundach drzwi się uchylły. Zanim zdołał zobaczyć, kto za nimi stoi, poczuł w powietrzu zapach konopi indyjskich. W progu stanęła mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna. Była drobna i raczej niska jak na swój wiek. Czubek jej ufarbowanych na kardynalską purpurę włosów sięgał Walterowi do połowy klatki piersiowej. Miała na sobie podarte dzinsy i rozciągniętą bawełnianą koszulkę na ramiączkach. Na każdym niezakrytym przez odzienie fragmencie ciała aż do wysokości obojczyków widać było kolorowe tatuaże – były nawet na piersiach, częściowo widocznych pod luźnym materiałem. Dziewczyna musiała zauważyć, gdzie spoczął jego wzrok, bo odruchowo poprawiła koszulkę.

– Kto ty jesteś? – zapytał Walter, przenosząc wzrok w bezpieczne rewiry kolorowej panny.

– A ty, kurwa, kto jesteś? – odparowała, uświadamiając mu, jak idiotycznie zaczął.

Walter wziął głęboki oddech i sięgnął po odznakę.

– Ja pierdolę! – krzyknęła, niemal rozbijając mu nos zamykanymi w panice drzwiami.

Pokręcił z rezygnacją głową i zadzwonił ponownie.

– Słuchaj, nie przyszedłem tu w sprawie tego, co czuję w powietrzu, ale jeśli nie otworzysz, to zaraz pojawi się tu ktoś, komu te zapachy na pewno się nie spodobają. Słyszysz? – Zapukał w drzwi. – Masz dziesięć sekund na decyzję.

Po chwili drzwi ponownie się otworzyły. Tym razem dziewczyna miała na

sobie długą do kolan bawełnianą bluzę. Świst przeciągu sugerował, że ekspresowo wietrzy mieszkanie.

– Mogę wejść?

Kiwnęła głową i bez słowa wpuściła go do środka.

– Więc kim jesteś? – powoli pytanie.

– Gosia Zaręba – odparła, uciekając wzrokiem w bok.

Gdyby nie opary marihuany i dziary, Walter mógłby przysiąc, że słyszy zahukaną pensjonariuszkę przyklaszczonej szkoły dla dziewcząt.

– Ojciec jest w domu? – zapytał, choć tak naprawdę znał już odpowiedź.

– Nie ma go. Matki też – uprzedziła kolejne pytanie.

– Nie wiesz, gdzie może być? Pytam o ojca – sprecyzował.

– W szpitalu? – Młoda wzruszyła ramionami.

– Tam go nie ma. Chyba że pracuje jeszcze w jakimś?

– Nie. – Gosia Zaręba pokręciła głową. – Tylko w tym tutaj, niedaleko.

– A matka?

– Co matka?

– Pstro! Nie jaraj tyle, dziewczyno, bo ci na mózg siada. Gdzie jest matka, pytam.

– Nie wiem, do cholery! – W jej głosie znów zabrzmiała początkowa zadziorność. – Pewnie poszła na jedno z tych swoich spotkań z idiotami z forum. Czego pan właściwie chce?

– Muszę pogadać z twoim ojcem.

– Przecież mówię, że go nie ma. Niech pan wróci za jakiś czas.

– Nie mogę za jakiś czas, tylko teraz. Ojciec często tak znika?

– Proszę pana, moja rodzina jest, oględnie mówiąc, porypana. Tutaj nikt nikomu nie mówi, jakie ma plany, co robi i gdzie. Kiedyś, nikogo nie uprzedzając, ojciec wyjechał na jakąś lekarską konferencję i wrócił za trzy dni, a telefon zostawił w domu. Z nim i matką wszystko jest możliwe, więc naprawdę nie mogę pomóc.

– „Porypana”? – powtórzył z wyraźną nutą sarkazmu.

W tym samym momencie usłyszał:

– O co chodzi?

W progu mieszkania stanęła kobieta – około czterdziestki, choć ubrana jak dwudziestolatka. Była nieco zdezorientowana. Walter wyczuł woń papierosów i wina. Doskonale potrafił odróżnić, co piła osoba na procentach.

– Pan jest z policji, mam – wyjaśniła córka Zaręby.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi, minęła Waltera i stanęła przed nim.

– Szukam pani męża – powiedział. – Chciałbym z nim porozmawiać.

– Ja też. Jak pan się czegoś dowie, proszę dać mi znać – odparła, po czym powiesiła na wieszaku płaszcz, zzuła buty i bez słowa weszła do kuchni.

Ponieważ młoda w międzyczasie gdzieś zniknęła, komisarz został w przedpokoju sam. Słowo „porypana” zaczynało nabierać realnego znaczenia.

– Napije się pan wina? – usłyszał. – Mam portugalskie verde.

– Za wino dziękuję, ale szklanek wody chętnie. – Wszedł do kuchni.

– Niech pan siada. – Gospodyni wskazała mu krzesło przy stole, a sama sięgnęła do jednej z szafek. Wyjęła butelkę i wręczyła Walterowi. – Otworzysz ją dla mnie? – zrećcznie przeszła na ty.

Gdy uporał się z korkiem, naląła sobie trzy czwarte kieliszka. Upiła trochę, odstawiła szkło na blat, po czym sama na nim usiadła, nie dbając o to, że podwinęła się jej spódniczka, która i tak była dość krótka. Nos Waltera wylądował mniej więcej na wysokości jej kolan oraz ud, błyszczących jak wysmarowane oliwką niemowlę.

– Dlaczego chcesz z nim porozmawiać? – zapytała, opierając ręce za sobą. Ściągnięte w tył barki wyprężyły klatkę piersiową, uwydatniając biust, skryty pod napiętą w guzikach bluzką.

– Znasz niejakiego Roberta Dębskiego? – Zignorował jej pytanie.

– A kto to taki? – Założyła nogę na nogę, po czym gestem głowy wskazała na butelkę. – Na pewno nie chcesz się napić?

– Mąż nie mówił ci, z kim miał się spotkać w restauracji Panderosa w sobotę dwudziestego piątego?

– W tej knajpie przy Trzech Stawach? – Pokręciła głową, układając usta w podkówkę, i zmieniła ułożenie nóg.

– Słuchaj – w głosie Waltera zabrzmiało znużenie – przestań mi tu odgrywać Sharon Stone i zacznij normalnie rozmawiać. Chyba że chcesz jutro odwiedzić prokuraturę. To jak będzie?

– Jezu, ale sztywniak... – Zaręba pokręciła głową, zsunęła się z blatu i wygładziła spódniczkę. Walter odniósł wrażenie, że lekko się zaczerwieniła. – Nie wiem, z kim się spotkał w tej knajpie, nie wiem nawet, że tam był. A o tym Dębskim rzeczywiście coś wspominał.

– Co takiego?

– Niezbyt wiele. Podobno to jakiś kumpel ze studiów czy szkoły, z którym nie widział się od lat.

– Tylko tyle?

– Niestety, mój mąż nie należy do wylewnych osób. Wołów czasem mało, żeby coś z niego wyciągnąć.

Z tym stwierdzeniem Walter mógł się zgodzić. Parę chwil, w których miał do czynienia z Zarębą, wystarczyło, by zauważył, że facet jest jakiś wycofany. A wszystkie te spotkania... Anna Dębska! Kurwa, czyżby to jednak było tak banalne?

– Mógł mieć kochankę?

– Co? – W oczach kobiety dostrzegł szczerze niezrozumienie.

– Czy twój mąż mógł mieć kochankę?

Zaręba w pierwszej chwili parsknęła śmiechem. Szczerym, nieudawanym. Zaraz jednak, jakby coś sobie przypomniała, zdała z czegoś sprawę, zaczęła cichnąć.

– Kochankę... – powtórzyła. – Ty wiesz, że możesz mieć rację! – Wycelowała w Waltera palec wskazujący. – Jak mówiłam, mój Aruś nigdy nie był energetycznym facetem, ale ostatnio rzeczywiście sprawiał wrażenie, że coś go gnębi.

Walter przypomniał sobie, że tak samo mówiła Kaja Nawara, lekarka, która pracowała z Zarębą. Tylko czy romans może być przyczynkiem do depresji?

– Kochanka mogła go przygnębiać? – zapytał. – Nie powinien raczej odkryć w sobie drugiej młodości czy coś takiego?

– Gdybyś go znał, zrozumiałbyś, co mam na myśli. To jest taki typ, który wszędzie i we wszystkim widzi problem. Kiedyś go zapytałam, co by zrobił, gdyby wygrał w lotto parę baniek. I wiesz, co odpowiedział?

– Co?

– „Wolałbym nie wygrać, bo na pewno miałyby to negatywny wpływ na życie nasze i dzieci”. Czujesz to? Dupek żołądny! Tak jakby w tym zasranym szpitalu zarabiał kokosy! – Uderzyła ręką w kuchenny blat i dołała sobie wina. – Na pewno nie chcesz? – zapytała ponownie, wyciągając butelkę w kierunku gościa.

– Nie. – Walter pokręcił głową. – Myślę, że na ten moment nie mam więcej pytań. Dzięki. – Wstał i ruszył w stronę wyjścia.

– Wszystko? – Zaręba ruszyła za nim chwiejnym krokiem.

– A jest coś jeszcze, o czym powinienem wiedzieć? – Zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Może...

Spojrzał przenikliwie w jej lekko zamglone oczy.

– Kiedyś podejrzałam, jakie ma hasło do Google i poczty. Sprawdziłam strony, które przegląda, z kim koresponduje... Byłam ciekawa, czy świntuszy w necie. Ale najbardziej gorszące, co znalazłam, to kolekcja playmate z Playboya. Po prostu nuda, taka jak cały mój mąż.

– Możesz mi podyktować te dane? – Komisarz wyjął smartfona.

– Daj, sama wpiszę, będzie łatwiej. – Wzięła telefon, a gdy po chwili wyciągnęła go w stronę Waltera, dodała: – Zapisałam ci też numer mojej komórki.

Idąc do samochodu, przesłał Magikowi dane do logowania, które dostał od żony Zaręby, oraz zwięźle opisał, czego od niego oczekuje. Poinformował też, że najbliższą noc spędzi w jakimś hotelu, poprosił o przenocowanie Luizy i obiecał,

że odezwie się rano. Był zmęczony; potrzebował kilku godzin ciszy i spokoju. Do wynajmowanego mieszkania nie mógł wrócić, bo z pewnością już tam na niego czekali, więc pozostawał hotel – i to najlepiej taki, w którym nie będą pytać o dane osobowe.

Odpalił aplikację do wyszukiwania hoteli i w kategorii liczby gwiazdek zawęził zakres wyników do maksimum dwóch. Pomyślał, że w dwugwiazdkowcach jest większa szansa na zachowanie anonimowości. I nie pomylił się.

Niewielki, kilkupokojowy hotel przy trasie ekspresowej na granicy Katowic i Sosnowca zapraszał bladozielonym neonem i obietnicą dyskrecji. Sądząc po rejestracjach i firmowych logo na kilku samochodach stojących na parkingu, służył głównie za miejsce noclegowe podróżującym po kraju handlowcom. Znużonemu recepcjoniście zapłacił z góry za pobyt, butelkę wody oraz zestaw do golenia i mycia zębów, dołożył trzy dychy za brak zainteresowania danymi z dowodu i ruszył w stronę schodów. Wtedy dostrzegł, że na sofie w zaułku między recepcją a schodami ktoś siedzi. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko. Nie miała więcej niż dwadzieścia pięć lat. Walter odwzajemnił uśmiech i wszedł na górę.

Pokój, choć skromnie urządzony, był czysty i schludny. Dwa pojedyncze łóżka, niewielkie biurko, na ścianie dwudziestocalowy telewizor LCD, w łazience kabina prysznicowa i toaleta. Standard.

Wyjął z kieszeni zolpidem i przez chwilę rozważał, ile tabletek wziąć. Był zmęczony, kleiły mu się oczy, a do tego wciąż odczuwał skutki środka, którym potraktował go napastnik w mieszkaniu Stróżyka. Postanowił wziąć jedną tabletkę. Popił ją wodą i w samej bieliźnie wsunął się pod kołdrę. Zerknął na ekran smartfona – żadnych wiadomości. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, zostawiając Luizę samą z tym komputerowym nerdem. Powinna być u niego bezpieczna; Magik wygląda na spoko gościa, pocieszył się i włączył telewizor. Po przeskoczeniu kilkunastu kanałów dał sobie spokój, nic nie było w stanie go zainteresować. Zrezygnowany, wyłączył odbiornik i naciągnął kołdrę pod szyję. Było tuż po dwudziestej trzeciej. Gdy spojrzął na ekran smartfona po raz kolejny, cyfry zegara przeskoczyły o pięćdziesiąt minut. Znowu nie mógł spać. Może powinien wziąć dwa zolpidemy? Pewnie byłoby mu łatwiej zasnąć, gdyby potrafił uwolnić głowę od gonitwy myśli. Od Warszawy, od Joanny i Alicji. Od sprawy, w której najwyraźniej to on miał zostać schwytany i postawiony przed obliczem sądu, od pana „PP” i Jarząbka, i tego, co tych dwóch ma wspólnego ze śmiercią Dębskiego i Halina. Od Zareby, który nagle okazał się głównym podejrzanym i zapadł się pod ziemię. W końcu od Luizy... Kim jest ta dziewczyna, poza tym, że to córka jego nieżyjącego brata? Dlaczego czuje do niej... Właśnie – co? Na pewno coś więcej niż sympatia, ale też z całą pewnością nic związanego z uczuciem mężczyzny do kobiety. Czyżby Luiza zaczęła wypełniać pustkę, jaką zostawiła po

sobie Anetka? Czy to w ogóle możliwe? Jego córka miałaby dziś czternaście lat, Luiza jest przed dwudziestką, a jednak... Nie, to bez sensu. Jak może darzyć bez mała ojcowskim uczuciem osobę, która pomagała go zrobić. Jedna myśl wypychała drugą, plejada zdarzeń i postaci, dziesiątki pytań i żadnych odpowiedzi. I wciąż to znajome wrażenie, że śpi, a jednocześnie dryfuje na jawie.

Gdy zerwał się z łóżka, był mokry od potu i spragniony, jak za dawnych pijackich lat. Spragniony czegoś słodkiego i z gazem. Otworzył barek. W lodówce, oświetlone bladym światłem jarzeniówki, stały buteleczki z wódką i parę piw. Żadnej coli czy soku. Poczul przechodzący przez ciało dreszcz, a zaraz potem ścisk w przelyku. W jednej chwili wróciło wspomnienie rozlewającego się po ciele ciepła, obietnicy spełnienia. Zacisnął powieki i zaczął głęboko oddychać. Dziesięć równomiernych wdechów. Tyle samo długich wydechów. Gdy skończył, poszedł do łazienki. Wyjął z kosza czarny worek na śmieci i wrzucił do niego całą zawartość lodówki.

Założył spodnie, złapał worek i bosy zszedł do hotelowego lobby. Recepcjonista oglądał właśnie jakiś film. Niechętnie podniósł głowę znad ekranu komputera.

– Niech pan to zabierze – poprosił Walter, wręczając mu worek z zawartością minibarku.

Mężczyzna, bez oznak zdziwienia, wziął worek i schował pod kontuar.

– Coś jeszcze?

– Cołę. Albo dwie. – Walter wskazał na plastikowe butelki w przeszklonej chłodziarce.

– Dycha będzie.

– Zapłacę jutro, okej?

Recepcjonista tylko kiwnął głową i wrócił do swojego filmu.

Walter upił kilka łyków. W pewnej chwili zauważył, że dziewczyna, którą widział tu prawie trzy godziny temu, wciąż siedzi na sofie.

– Chodź – powiedział, zaskakując samego siebie.

Wstała i ruszyła za nim.

Gdy wyszła, poczul się podle. Bynajmniej nie dlatego, że przespał się z przypadkowo spotkaną kobietą, bo takich sytuacji za czasów alkoholowych rajdów po stołecznych klubach miał aż nadto. Czul się fatalnie, bo za to zapłacił – bo po raz pierwszy w życiu uprawiał seks z prostytutką. Z kobietą, która najprawdopodobniej dla kogoś pracowała i którą, sądząc po jej wschodnim akcencie, zwerbowano z jakiejś zapadłej ukraińskiej wioski obietnicami dobrobytu i nowego życia. A działało się tak tylko dlatego, że zawsze znajdowali się faceci tacy jak on, których nie obchodzi nic poza chwilą rozkoszy, osiągniętej dzięki ciału, za

wynajem którego zapłacili.

Usiadł na łóżku i zmierzwił wilgotne od potu włosy. W powietrzu wciąż unosił się zapach jej perfum czy dezodorantu. Choć był potwornie zmęczony, wiedział, że nie zaśnie. Postanowił wziąć jeszcze dwa zolpidemy. Lekarz ostrzegał, żeby nie przekraczał dawki, lecz teraz miał to w nosie. Chciał spać, przestać myśleć. Po prostu się wyłączyć.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ VI

Pierwsze, co jej przychodzi do głowy, to zasłonić swą nagość. Zaciska odruchowo nogi, a jej dłonie nerwowo i chaotycznie szukają spódniczki, którą zadarł napastnik. Gdy osiąga cel, jej mózg daje znać, jak bardzo jest obolała. Dociera do niej, że usta ma zalane krwią, ledwo widzi, a jedyne, co słyszy, to tętniący łoskot, jakby szalony kowal walił młotem w potłuczone szkło. Nie zdaje sobie sprawy, że ktoś przykucnął obok niej. Gdy ten ktoś unosi jej głowę i wsuwa pod nią coś miękkiego, w pierwszej chwili ogarnia ją przerażenie, że to okularnik. Mruga kilka razy, próbując pozbyć się łez i wyostrzyć obraz. Gdy to nie pomaga, unosi ręce do twarzy, lecz ktoś ją powstrzymuje.

– Mała, nie rób tego. Masz całe ręce w błocie – mówi.

Dziewczyna rozpoznaje głos swojego chłopaka.

– Co ty tu robisz? – pyta i zaczyna płakać.

– Już dobrze, wszystko jest dobrze – mówi on, delikatnie ocierając jej twarz z łez i krwi. – Musimy pojechać do lekarza. Dasz radę złapać mnie za kark?

Dziewczyna zaplata dłonie na szyi chłopaka. On unosi ją bez wysiłku i niesie do samochodu. Delikatnie kładzie ją na tylną kanapę i już po kilku chwilach mkną w kierunku Monachium.

– Co jej się stało? – Lekarz spogląda badawczo to na dziewczynę, to na chłopaka.

Dziewczyna leży na kozetce. Ma potargane włosy i spuchnięte wargi. Całą jej twarz pokrywają zaschnięte plamy krwi i błota. Wygląda jak ofiara trzęsienia ziemi, wydobyta spod gruzów.

– Jeździliśmy na rolkach, wywróciła się i upadła twarzą na asfalt – tłumaczy chłopak.

– Rolki w środku nocy?

– Tak, rolki w środku nocy – potwierdza chłopak i dodaje: – W parku są lampy.

Lekarz przenosi wzrok na dziewczynę. Stara się dostrzec jakiś sygnał w jej oczach. Nie są szeroko otwarte, nie kręci gałkami, wołając o ratunek – tak mu się wydaje, lecz wciąż jest podejrzliwy. Praktykuje od lat i jeszcze nigdy nie spotkał pacjentki, która naprawdę spadła ze schodów lub uderzyła się o drzwi. Schodami był zwykle krewki małżonek, a drzwiami – pijany konkubent, wściekły z powodu płaczącego dziecka.

– Możesz nas zostawić i poczekać na zewnątrz? – zwraca się do chłopaka.

– Chcę, żeby został – dziewczyna odzywa się po raz pierwszy. Jej pewny, zdecydowany głos, choć nieco sepleniący, nie pozostawia złudzeń.

Lekarz odczuwa autentyczną ulgę. Prosi chłopaka, żeby usiadł przy jego biurku, i zaczyna badanie.

– Nie ma tragedii – mówi w końcu. – Chrzątka nosowa jest cała, nie zauważam też objawów wstrząśnienia mózgu. Niestety, na górną wargę muszę założyć szwy, ale od wewnątrz, więc nie będzie widać blizny. Sugeruję wizytę u dentysty, bo siekacze są niebezpiecznie poluzowane. No i jeśli w ciągu najbliższej doby pojawią się wymioty, natychmiast zgłaszacie się do szpitala, jasne?

– Dzięki, doktorze – odpowiada chłopak. – Ona na pewno będzie cierpieć przez jakiś czas. Może jej pan przepisać coś mocniejszego?

Lekarz zauważa, że chłopak przesuwa w jego kierunku banknot o nominale stu euro. Odruchowo przelicza jego wartość na stare marki. Wychodzi prawie dwieście. W pierwszej chwili chce się oburzyć i odrzucić propozycję łapówki. W drugiej postanawia, że jeszcze raz spróbuje szczęścia w kasynie. Naprawdę już ostatni raz. Chowa banknot do kieszeni fartucha.

– To powinno zadziałać – mówi po chwili, wręczając chłopakowi receptę.

ROZDZIAŁ 41

Okolice Tarnowskich Gór, 15.05.2015

Wiadomość z instrukcją obudziła go tego dnia wcześniej niż budzik. Była piąta rano. Spał tylko dwie godziny.

Prokurator Norbert Jarząbek był zaledwie cieniem samego siebie sprzed kilku miesięcy. Jego potężna, niegdyś dumnie wyprostowana sylwetka jakby się przykurczyła, skóra na twarzy zszarzała, a oczy pod szklami okularów zapadły się w ciemnych jarach wklęsłych oczodołów, co zabawnie i przerażająco zarazem kontrastowało z wciąż okrągłą i pulchną – czy raczej napuchniętą – twarzą. Gdy kilka dni temu wszedł na wagę, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dwanaście i pół kilograma w ciągu zaledwie sześciu tygodni bez jednej minuty ćwiczeń fizycznych, o diecie nie wspominając. A wszystko tak dobrze szło...

Jęknął i wsiadł do granatowego audi A4, które kupił mniej więcej wtedy, gdy jego życie legło w gruzach. Uruchomił silnik i wstukał w nawigację koordynaty – szereg cyfr, oddzielonych kropkami i przecinkami. Kobięcy głos oznajmił, że do celu pozostało trzydzieści sześć kilometrów i pięćdziesiąt minut jazdy. Jarząbek po raz enty sprawdził, czy rewolwer leży w przegródce aktówki, przełożył dźwignię automatycznej skrzyni biegów i ruszył.

Gdy pod koniec lutego, w niedzielny poranek, prokurator Norbert Jarząbek oddawał się swej największej pozazawodowej pasji, czyli grze w skata, z wewnętrznej kieszeni jego dwurzędowej marynarki dobył się polifoniczny dźwięk popularnej polskiej kolędy. Normalnie zignorowałyby połączenie – w końcu gra to rzecz święta – ale jeden z trójki siedzącej przy stole poszedł właśnie za potrzebą. Wyciągnął komórkę, prosty, choć funkcjonalny koreański model. Otrzymał wiadomość. Niestety, zamiast danych nadawcy nad ikoną koperty widniał tylko szereg liter i cyfr. Pamiętał, że na jakimś szkoleniu z informatyki prowadzący gołowąs powtarzał, żeby pod żadnym pozorem nie otwierać wiadomości od nieznanych nadawców, zwłaszcza tych, które przychodzą na służbowe konta. Zanim jednak jego umysł przełożył teorię na czyn, palec zdążył stuknąć w niebieską kopertę. Ekran wypełniło zdjęcie. Prokurator Jarząbek w pierwszej chwili nie wiedział, na co patrzy. Sytuacja przedstawiona na fotografii była zupełnie nierzeczywista. Na podłodze, w pozycji na czworaka, klęczał jakiś mężczyzna. Był nagi od pasa w dół i trzymał się za nabrzmiałe przyrodzenie. Za nim – Jarząbek przetarł oczy, żeby się upewnić, czy dobrze widzi – siedział

średniej wielkości pies z nosem między wypiętymi pośladkami. Mężczyzna miał głowę odwróconą w stronę zwierzęcia. Drżącym palcem prokurator wycentrował obraz na głowę mężczyzny i powiększył. Gdy dotarło do niego, na kogo patrzy, poczuł, że miękną mu nogi. W ostatniej chwili jedną ręką złapał się stołu, a drugą wsunął aparat do kieszeni.

– Złe się czuję... – oznajmił zdumionym współgraczom i bez pożegnania szybkim krokiem udał się na parking.

Po drodze wybrał numer swojego siostrzeńca. Aspirant Adrian Szutkowski odebrał po dłuższym czasie.

– Śpisz, kurwa? – ryknął z wyrzutem Jarząbek. – O tej godzinie?!

– Co ci, wujek, odbija? Jest niedziela – odezwał się młody.

– Ja ci zaraz odbiję, ty, ty... Psia twoja mać! Jesteś w domu?

– Tak. – W głosie Szutkowskiego zabrzmiał ton niepewności.

– To siedź na dupie i się nie ruszaj! Będę za dziesięć minut.

Norbert Jarząbek wiele w życiu widział. Za dawnych lat, gdy jeszcze pracował w rejonie, naoglądał się rzeczy, o których niejednemu scenarzyście filmów *gore* się nie śniło. Zwłoki noworodków, rok po roku, warstwowo ułożone w beczce przez rodziców, którzy w sądzie zeznali, że stosowanie kondomu to grzech; pięćdziesięciolatek pobierający rentę za martwą od sześciu lat matkę, której ciało trzymał w łóżku, w pokoju obok – to jedne z lżejszych kalibrów, z jakimi miał do czynienia. Ten przypadek był jednak inny. Nie dlatego, że bardziej drastyczny, plugawy czy wstrętniejszy – dlatego że dotyczył kogoś, kogo kochał, z kim wiązał nadzieje. Traktował Adriana jak syna, którego nie miał i mieć nie będzie – i to bolało w dwojnasób. Degenerata w rodzinie można było naprawić, zamieść pod dywan lub w najgorszym razie wyprzeć się go. Ale jeśli ktoś ową czarną owcą miał zamiar się posłużyć, aby szkodzić, podkopywać wiarygodność czy – na co wszystko wskazywało – szantażować – to był prawdziwy problem i Norbert Jarząbek miał tego pełną świadomość.

Zaparkował samochód pod kamienicą, w której mieszkał jego siostrzeniec, i w tym momencie zadzwoniła jego komórka. „Numer zastrzeżony” – głosił komunikat na wyświetlaczu. Odrzucał połączenia, za którymi najczęściej kryły się oferty darmowego badania serca, zaproszenia na pokaz supergarnków czy na tanią wycieczkę do znanego sanktuarium, tym razem jednak zawiesił kciuk nad symbolem czerwonej słuchawki. Poczuł, że włoski na karku stają mu na baczność. Odebrał i przyłożył aparat do ucha.

– Ha... – Jarząbek zaciął się w połowie. Miał wrażenie, że ktoś wepchnął mu do gardła ubitą kulkę waty.

– Mógłbym się założyć, że właśnie zasuwasz do swojego zboczonego siostrzeńca – zabrzmiał głos w słuchawce. Prokurator rozejrzał się nerwowo. W pierwszym odruchu pomyślał, że ten facet musi być w pobliżu. – Zapewne

kręcisz teraz łbem, sprawdzając, czy nie siedzę na jakiejś gałęzi z lornetką przy nosie. Nie wysilaj się, nie musisz za tobą łązić, żeby wiedzieć, gdzie jesteś.

– Czego chcesz?

– Współpracy.

– Jakiej współpracy? Kim ty w ogóle jesteś? – Jarząbek powoli odzyskiwał rezon.

– Wszystko w swoim cza...

– W zasadzie gówno mnie to obchodzi. Jeśli myślisz, że możesz mnie szantażować tymi zdjęciami, to grubo się mylisz!

– Po pierwsze, nie przerywaj mi, bo tego nie lubię. Po drugie, twój zboczony siostrzeniaszek jest jednym z moich najlepszych klientów. Mam zarejestrowane, jak kupuje, a następnie wciąga kreskę w nochal. Biało na czarnym, że tak powiem, i to w stereo. – W słuchawce rozległ się szyderczy chichot. – Za zdjęcia wywalą go z roboty z wilczym biletem, a potem jacyś nawiedzeni animalsi zgłoszą do twojej instytucji doniesienie o znęcaniu się nad zwierzętami. Będzie syf i wstyd na całą rejonową, ludzie i media szybko zwietrzą, kim jest wujek zboka. Ale jak dołożę nagranie i powiem komu trzeba, że Adrianek ma w chacie zakazane prawem środki odurzające – a zapewniam, że będzie je miał – to kryminał jak w banku. Chcesz mnie sprawdzić, panie prokuratorze? – rozmówca zaakcentował ostatnie zdanie.

Jarząbek milczał. Szacował, na ile może mu to wszystko zaszkodzić. Czy ten facet w ogóle mówi prawdę? Kto to może być? Po sposobie, w jaki go podszedł, wiedział, że to nie byle bandzior, tylko jakaś grubsza ryba. Ilu takich działało w regionie? Tych, o których wiedział, było dwóch. Obaj mieli czyste kartoteki, bo niczego nie można było im udowodnić. Który z nich chce go dorwać? Z którym rozmawia? ROZMAWIA! Właśnie! Z Grabarzem nie mógł rozmawiać, bo Grabarz już nie mówił, a przynajmniej miał z tym wielkie trudności, od kiedy usunięto mu guza razem z krtanią.

– Wiem, że to ty, Dawinczi – Jarząbek przerwał milczenie.

– Cóż za przenikliwość. Gratuluję!

– Gdzie i kiedy?

– Na razie nie ma żadnego „gdzie i kiedy”. Wkrótce kurierem na adres domowy dostaniesz komórkę. Noś ją zawsze przy sobie, bo któregoś dnia zadzwoni. Rozumiesz?

– Rozumiem.

Po kilku sekundach ciszy Jarząbek zrozumiał, że tamten się rozłączył. Zerknął na dom, w którym mieszkał Adrian. Zrezygnował z wizyty.

Telefon zadzwonił po kilku tygodniach. Chodziło o wycofanie zarzutów wobec pewnego zdolnego chemika z Politechniki Śląskiej, wobec którego toczyło

się śledztwo w sprawie nielegalnej syntezy amfetaminy. Proceder był uskuteczniany w uczelnianym laboratorium, gdzie naukowiec pracował nad swoim doktoratem.

Później dzwonił jeszcze trzy razy – z kilkumiesięczną przerwą. W dwóch przypadkach Jarząbek musiał ukręcić łeb prowadzonemu przez prokuraturę śledztwu, a w trzecim miał postawić w stan oskarżenia i doprowadzić do kilkuletniego wyroku kogoś, kto najwyraźniej nadepnął Dawincziemu na odcisk.

Robił, co mu kazano, choć za każdym razem zastanawiał się, kiedy w końcu wpadnie. W odpowiedzi na kolejne telefoniczne polecenie początkowo odmówił. Zmienił zdanie, gdy na jego służbowego maila przyszedł zapis rozmów z poprzednich czterech zleceń.

„Do celu pozostały dwa kilometry i pięćset metrów”, oznajmił kobiecy głos.

Prokurator Jarząbek czuł narastający niepokój. Chociaż wykonywał polecenia Dawincziego od kilku miesięcy, po raz pierwszy mieli się spotkać twarzą w twarz – i to napawało go największym lękiem. Sięgnął do teczki, wyjął rewolwer i położył go na siedzeniu obok. Niewielki smith&wesson, który wpadł mu w ręce podczas którejś z wizji lokalnych, idealnie leżał w dłoni i można było bardzo łatwo go ukryć. Widok broni, połyskującej w świetle porannego słońca, ukoił nieco jego nerwy. Pewniej chwyciwszy kierownicę audi, Jarząbek zjechał z szosy na polną drogę.

Po pokonaniu kilkuset metrów wertepów i kałuż, zgodnie z komunikatem nawigacji, dotarł do celu. Znajdował się na polanie. Za plecami miał las, a przed sobą pofalowany horyzont – z kępami krzewów, grupkami srebrzystobiałych brzoź i mgłą niczym kołdra pokrywającą to zapomniane miejsce.

Wyłączył silnik, wsunął broń do kieszeni prochowca i wysiadł z samochodu. Słońce, choć wzbiło się już wysoko nad horyzont, wciąż raziło porannym blaskiem. Przez krótką chwilę doznał czegoś w rodzaju déjà vu – zapach świeżej zieleni o brzasku i absolutny brak odgłosów cywilizacji. Kiedy to było? Gdzie poczuł coś takiego po raz pierwszy, przeżył na tyle głęboko, że wróciło właśnie teraz? Tak, przypomniał sobie – dawno, dawno temu, gdy jeszcze nie był prokuratorem, gdy nawet nie zaczął studiów prawniczych. Był w górach, wszyscy jeszcze spali, a on po prostu zapragnął pobyć sam. Wyszedł na szlak. Która to była trasa? Tego nie zapamiętał, ale widok parujących traw i rozszczepionych w kroplach rosy promieni słonecznych utkwiał gdzieś na dnie jego świadomości. Dzisiaj postanowił o sobie przypomnieć.

Jarząbek zacisnął powieki i poczuł pieczenie w kąciakach oczu. Czy potem jeszcze kiedyś tak było? Jak długo pozostał niewinny? Kiedy przekroczył próg, za który nie da się już cofnąć? Czy teraz stoi na kolejnym takim progu? Czy

cokolwiek za nim będzie?

Wierzchem dłoni przetarł oczy i zaczął wypatrywać człowieka, z którym miał się spotkać. Po chwili w oddali dostrzegł postać. Wyraźnie do niego machała. Westchnął ciężko i ruszył przed siebie.

– Uwielbiam zapach mokrej trawy o poranku – oznajmił Dawinczi, biorąc głęboki oddech jak Robert Duvall w słynnej scenie z *Czasu Apokalipsy*.

Stał kilka metrów od urwiska, za którym rozciągało się gigantyczne wyrobisko, głębokie na kilkadziesiąt metrów. Żółto-brązowa skalna ściana, z wyraźnie widocznymi warstwami geologicznymi, przywodziła na myśl słynne kaniony ciągnące się wzdłuż rzeki Kolorado. Jarząbek, dostrzegłszy głębię urwiska, odruchowo cofnął się o krok.

– Boisz się, że cię zepchnę? – zapytał Dawinczi.

– A zepchniesz?

Mężczyzna wzruszył ramionami. Gest mógł oznaczać zarówno „nie wiem”, „być może”, jak i „ależ skąd!”. Na wszelki wypadek prokurator pozostał tam, gdzie stał. Z pozornie bezpiecznej pozycji zaczął się przyglądać swemu prześladowcy. Nigdy przedtem go nie spotkał. Dawinczi miał oczywiście swoją kartotekę, a w niej kilka zdjęć, był też bohaterem jakiegoś dokumentu o polskim podziemiu narkotykowym, ale niczego mu nie udowodniono. Był ubrany jak angielski lord wybierający się na polowanie na lisy – kraciaste, odprasowane na kant wełniane spodnie wpuścił w wysokie sznurowane cholewy butów, wykonanych z najlepszego gatunku cielęcej skóry. Pod marynarką z obszernymi kieszeniami i kamizelką, uszytych z tego samego materiału, co spodnie, miał śnieżnobiałą bawełnianą koszulę i krawat zawiązany na półwindsora. Całość garderoby uzupełniał kaszkiet, włożony nieco na bakier.

– Zapalisz? – Wyciągnął w stronę Jarząbka złotą papierośnicę inkrustowaną masą perłową.

– Nie. Rzuciłem dwadzieścia lat temu.

Dawinczi wziął sobie papierosa, po czym wsunął papierośnicę do kieszeni marynarki. Z drugiej kieszeni wyjął benzynową zapalniczkę, zrobioną do kompletu z tego samego kruszcu.

– Mądra decyzja. Ja jakoś nie potrafię – stwierdził, zapalając papierosa.

– Po co tu jesteśmy? – zapytał Jarząbek.

– Jestem zawiedziony, cholernie zawiedziony. – Dawinczi schował zapalniczkę i wypuścił z ust kłęb niebieskawego dymu.

– Wiedziałem, że wszystko zacznie się pierdolić, jak tylko zobaczyłem nazwisko gościa znalezione w parku. Tak swoją drogą, jak dałeś radę załatwić obu praktycznie w tym samym czasie?

– Nie przeceniaj moich umiejętności. Poza tym to nie jest istotne.

– A co jest istotne?

– Ano to, że gliniarz nadal chodzi swobodnie i grzebie w tej sprawie. – Dawinczi pstryknięciem wystrzelił niedopałek w stronę wykopu.

– Po co, kurwa, te wszystkie ceregiele? Nie mogłeś po prostu go załatwić?

– Gdybym chciał, już dawno by nie żył.

– A dlaczego nie chcesz? – Na twarz Jarzábka wyplęło szczere niezrozumienie.

– Bo przypadki chodzą po świecie. A ja dostałem na niego wysoce intratne zlecenie, które brzmi bardzo wyraźnie: „Ma wylądować w pierdlu”.

– Akurat gliniarz, który prowadzi dochodzenie w twojej sprawie? – Prokurator pokręcił głową z niedowierzaniem.

– No, wyobraź sobie, jaki ten świat mały! – rzucił Dawinczi. – Ktoś bardzo, ale to bardzo nie lubi komisarza Waltera i pragnie, aby spędził długie lata za więziennym murem ze wszystkimi atrakcjami wpisanymi w pobyt. A żeby było śmieszniej, ten ktoś jest moim biznesowym partnerem. Dasz wiarę? – Prokurator wzruszył ramionami, zanim usłyszał kolejne pytanie: – Wiesz, dlaczego w życiu osiągnąłem tak wiele?

– Oświeć mnie.

– Dlatego że jestem konsekwentny, nie rzucam słów na wiatr i tego samego oczekuję od innych. Od ciebie też – oznajmił, celując w Jarzábka palcem wskazującym.

Prokurator dostrzegł, że w nonszalanckiej pozie Dawinczego zaszła pewna zmiana: wydawał się napięty i skupiony – jak drapieżnik gotujący się do ataku. Jarzábek włożył rękę do kieszeni prochowca i zacisnął dłoń na rękojeści rewolweru, jednocześnie kciukiem odciągając kurek. Chociaż nadrabiał miną, pocił się i drżały mu nogi. Dłonie miał tak wilgotne, że kciuk nieomal ześliznął się ze stalowego kurka rewolweru.

– Ale ten idiota Strózik, a potem ty – kontynuował Dawinczi – dajecie dupy na całej linii. I wychodzi na to, że moją reputację trafi szlag, bo komisarz Roman, kurwa, Walter wciąż jest na wolności!

– W mieszkaniu Strózika zabezpieczyliśmy odciski jego paluchów. Mam też świadków, którzy potwierdzą, że Walter tam był i że się kłócili. Może to ty zawałiłeś i facet za wcześnie się ocknął? – odparował Jarzábek.

– Uważaj, co mówisz. – Dawinczi zbliżył się do niego. – Dostał dawkę, która powaliłaby konia. Twoje psy po prostu tak się grzebały, że cholerny Walter jakimś cudem się stamtąd wyczołgał, bo na nogach raczej nie wyszedł. A wy i tak go nie znaleźliście. I ufaj tu, człowieku, polskim stróżom prawa! – Zrobił kolejny krok i zaczął dźgać palcem obszerną pierś prokuratora.

W tym momencie w Jarzábku coś pękło. Był śmiertelnie zmęczony i pragnął, aby ten koszmar się skończył. Jakkolwiek miałyby to wyglądać. Potwornie się bał i tego strachu też miał już dość. Wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi, będzie się bał

dalej. Wiedział też, że Dawinczi nigdy nie da mu spokoju, a jeśli kiedyś pójdzie na dno, to pociągnie go za sobą. Zaprażył zakończenia i wiedział, że tylko jednym sposobem może je osiągnąć.

Gwałtownym ruchem wyszarpnął ściskającą rękojeść broni dłoń. Jeszcze wczoraj obiecywał sobie, że w końcu odda do krawca rozprutą podszewkę wyściełającą kieszenie jego prochowca. Teraz odwiedziony kurek rewolweru zahaczył o fragment tkaniny, klinując broń wewnątrz kieszeni. Zalany nagłą falą adrenaliny, za wszelką cenę próbował ją wydostać.

Dawinczi, widząc, co się dzieje, rzucił się na niego i powalił bez mała studwudziestokilogramowe cielsko na ziemię. W tym momencie broń wystrzeliła. Jarząbek poczuł potężne szarpnięcie, a po chwili palący ból na wewnętrznej stronie uda. Z rozszarpanej pociskiem tętnicy udowej wartkim strumieniem popłynęła krew. W tej samej chwili gangster z główki uderzył go w twarz i chwycił za rękę z bronią. Otumaniony prokurator nawet nie walczył. Pozwolił zablokować sobie zwiotczące ręce. Rewolwer pozostał w kieszeni prochowca.

– Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś, grubasie. – Dawinczi usiadł okrakiem na krwawiącym prokuratorze.

– Dzwon na pogotowie...

– Widzę, że mimo wszystko humor cię nie opuszcza. – Poklepał go po pulchnym policzku, a widząc, jak obficie krwawi, dodał: – W zasadzie jestem ci wdzięczny, bo odwaliłeś za mnie robotę.

– Obyś szczeł, skurwysynu – przeklął Jarząbek słabnącym głosem.

– Mam wrażenie, że najpierw twoja kolej. Ja jeszcze trochę pożyję – odparł Dawinczi, wstając.

Nie zauważył, że prokurator chwycił go za kieszeń marynarki. Mimo szybkiego upływu sił uchwyt był na tyle mocny, że szwy puściły i kawałek materiału został w dłoni Jarząbka.

Spojrzał z wyrzutem na dogorywającego mężczyznę.

– Kieszonkowy terminator, jak babcię kocham – rzucił, patrząc na uszkodzoną marynarkę. – Wiesz, ile ona kosztowała?

– Gównu mnie to obchodzi – odparł prokurator, zanim stracił przytomność.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ VII

Siedem dni po tamtej nocy warga dziewczyny nie jest już spuchnięta i tylko końcówki cieniutkich jak włos szwów drapią jej język, utrudniając picie i jedzenie. Wuj i jego żona jakimś cudem dają wiarę w bajkę o wypadku na rolkach i dziewczyna może w spokoju dochodzić do siebie. Jej chłopak odwiedza ją codziennie. Gdyby nie czujne i nader surowe oko wuja, najchętniej zostawałby na noc. W siódmy wieczór prosi, aby z nim wyszła, a wujostwu wmówiła, że będzie spać u koleżanki. „Chcę cię na całą noc”, mówi.

Dziewczyna szybko się orientuje, że nie jada do niego. W ogóle nie jada w stronę Monachium. Kierują się na Alpy. Za oknami samochodu przedmieścia szybko zastępuje wiejski krajobraz. Jest pochmurnie i zaczyna padać.

- Dokąd jedziemy? – pyta.
 - Zobaczysz – odpowiada chłopak.
 - Dlaczego nie chcesz powiedzieć?
 - Zobaczysz – powtarza i podkreśla głośność.
- Z głośników płyną dźwięki The Doors:

Ride the snake, ride the snake

To the lake, the ancient lake, baby

The snake is long, seven miles

*Ride the snake...he's old, and his skin is cold*¹⁰.

Chłopak mruży oczy. Wygląda na zadowolonego i pewnego siebie. Kiwa głową w rytm psychodelicznego kawałka o końcu wszystkiego, jakby właśnie to ich czekało. Dziewczyna nic nie rozumie, ale się tym nie przejmuje. Nie ma powodu. Wie, że może mu ufać. Opiera się wygodnie i pozwala, by uwiodła ją falująca muzyka.

W pewnej chwili chłopak sięga do schowka po stronie pasażera i wyjmuje dwa plastikowe pojemniki na leki. W jednym z nich dziewczyna rozpoznaje przepisany przez lekarza specyfik, którego nigdy nie dostała.

- Wyjmij po jednej z każdego i łyknij – mówi chłopak.

– Co to jest?

– Zaufaj mi. Sprawdziłem na sobie. Będzie dobrze, bardzo dobrze – zapewnia.

Dziewczyna połyka dwie tabletki i popija napojem z puszki. Czekają na efekt. Mija minuta, druga, trzecia, a ona ma wrażenie, że nic się nie dzieje. Nie martwi jej to specjalnie, a nawet cieszy. Po ostatnim razie ma dość mocnych wrażeń.

Patrzy na drogę przez mokrą od deszczu szybę. Wycieraczki wędrują po szkle, zostawiając za sobą opalizujący ślad. Wyprzedza ich jakiś samochód. Nawet gdy jest już daleko, dziewczyna wciąż widzi jasne światła jego reflektorów. Z naprzeciwka nadjeżdża kolejne auto. W chwili gdy się mijają, wszystko zamiera. Muzyka płynąca z głośników ciągnie się jak guma, a krople deszczu przybierają formę ukośnych srebrzystych kresek.

Dziewczyna spogląda na swojego chłopaka. Ten, jak gdyby nigdy nic, wciąż kiwa głową w rytm muzyki. Dziewczyna mówi coś do niego, ale on nie reaguje. Nagle jej uwagę przykuwa kolejny samochód, który się z nimi zrównuje. Widzi wyraźnie siedzących w nim pasażerów. Widzi, co mają na sobie, rejestruje kolor ich włosów i oczu. Kobieta ma na ustach karminową szminkę, a mężczyzna blizny po trądziku. Za nimi, z tyłu, siedzi pies – wielki dog niemiecki z obrozą na szyi. Na obroży wisi metalowe kółko z napisem. Dziewczyna potrafi odczytać, że pies wabi się Rudolf. Zamyka na chwilę oczy. Gdy je otwiera, samochodu już nie ma. Deszcz znów jest tylko deszczem, a muzyka muzyką.

– I jak? – pyta chłopak.

– Czy ja wiem... Trochę dziwnie, ale nawet fajnie – odpowiada. – Czuję się, jakbym dostała jakichś supermocy. – Zaczyna się śmiać.

– Dokładnie tak miało być. Zobaczysz, jaka będzie zabawa – zapewnia on i zatrzymuje samochód. – Jesteśmy na miejscu.

Stoją przed wiejskim gospodarstwem. W domu nie świeci się żadne światło. Mimo zmroku dziewczyna zauważa, że szyby w oknach są przykurzone, a donice na parapecie puste. Nie musi pytać – wie, jest pewna, że dom od lat jest niezamieszkały.

– Chodź. – Chłopak bierze ją za rękę.

Idą na podwórze, do drewnianej stodoły. Jest ogromna i stara. Drewno, z którego jest zbudowana, ma ciemnobrązowy kolor przechodzący w czerni. Gdzieś widać ubytki – jak w zaniedbanym uzębieniu.

Stają u wrót. Chłopak podnosi skobel i drzwi otwierają się z głuchym jękiem. W nozdrza dziewczyny uderza zapach siana, kurzu i rdzy. Czuje coś jeszcze, ale nie potrafi tego określić. Chłopak przekręca wiekowy igelitowy włącznik i pod sufitem zapala się sodowa lampa. Żarówka brzęczy niczym trzmiel uwięziony w szklance postawionej do góry dnem. Dziewczyna się rozgląda. Z wyjątkiem kilku zardzewiałych narzędzi walających się po klepisku i kopy siana

pod przeciwległą ścianą w stodole jest pusto.

– Co my tu robimy? – pyta dziewczyna.

Chłopak ponownie bierze ją za rękę i prowadzi w stronę siana.

– Na sianie ci się zachciało? – Dziewczyna parska śmiechem.

Chłopak kręci głową i przykłada palec do ust. Podchodzi bliżej i rozgarnia siano nogą.

Dziewczyna tłumi okrzyk. Cofa się o krok, widząc nieruchomą sylwetkę okularnika.

10 Fragment utworu *The End* zespołu The Doors.

ROZDZIAŁ 42

Katowice, 15.05.2015

Dźwięk, który słyszy, dochodzi z zewnątrz. Jest znajomy. Słyszy go prawie każdej soboty. Łup, łup, łup. Przerwa. Łup, łup, łup. Przerwa. Rytmiczne uderzenia są stłumione przez szyby w zamkniętych oknach. Zerka na matkę, zajętą przygotowaniem obiadu. Upewnia się, że na niego nie patrzy, po czym otwiera okno. Matka by na to nie pozwoliła. Zabrania mu się zbliżyć do okien od czasu, jak zeszłego lata mały Jacuś wypadł z czwartego piętra. Wyziera w dół i widzi, że sąsiad z piętra poniżej stoi w kłębach kurzu i zawzięcie wali w wyliniałego persę przewieszoną na podwórkowym trzepaku. Ze spodni na elastycznych szelkach wylewa się obwisłe brzuszysko. Ma na sobie poszarzałą podkoszulkę, w kąciku ust trzyma tłącego się papierosa. Przerywa na chwilę, zaciąga się dymem i wystrzeliwuje niedopałek, który ląduje tuż przy ścianie kamienicy. Mały dostrzega szansę. Niezauważony przez matkę, zbiega na podwórze i wypatruje wciąż tłącego się niedopałka. Jest! Leży pod ścianą. Wygląda, że wystarczy na dwa, może trzy machy. Kuca, sprawdza, czy nikt go nie obserwuje, wkłada do ust wilgotny od śliny niedopałek i zaciąga się. Dym gryzie i drapie. Mały kaszle i wypluwa poprzyklejane do języka drobiny tytoniu. Po drugim machu jest lepiej. Już tak nie dusi. Mężczyzna wraca do swojej pracy. Łup, łup, łup. Przerwa. Łup, łup, łup. Przerwa. Z każdym uderzeniem coraz głośniejsze. Nagle ktoś szarpie małego za ramię. Chłopiec z przerażeniem stwierdza, że został przyłapany. „To nie moje, to jego!”, krzyczy, wskazując na grubasa przy trzepaku...

– Szefie, hej, komisarzu, obudź się. – Magik szarpał za ramię śpiącego jak suseł Waltera.

– Co? Co się dzieje? – zapytał komisarz, przecierając załzawione oczy. – A ty co tu robisz? Myślałem, że masz mnie dość?

– Rozmawiałem z Królem. Poleciał, abym dalej panu pomagał, więc od kilkunastu minut staram się pana obudzić. – Słowa Magika wprawiły zaspanego Waltera w przyjemne zaskoczenie. Jednak we mnie wierzy, pomyślał z pewną ulgą.

Magik podszedł do okna, rozsunął zasłony i otworzył skrzydło, wpuszczając do hotelowego pokoju poranne powietrze i hałas sąsiadującej z hotelem trasy ekspresowej. W tym momencie Walter przypomniał sobie, o czym przed chwilą śnił. Zamknął oczy i znów się tam znalazł. Co się dzieje? – pomyślał. Zolpidem. Przesadziłem z dawką.

Usiadł na skraju łóżka.

– Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? – zapytał i od razu uświadomił sobie, że przecież zna odpowiedź. Magik namierzył go tak samo jak poprzednio: komórka. – W zasadzie to nieważne. Powiedz lepiej, co się stało, że pofatygowałeś się osobiście aż tutaj.

– Najpierw dzwoniłem, ale bez skutku – oświadczył mężczyzna, przysiadając na parapecie.

– No dobrze, ale to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Prokurator Jarząbek nie żyje.

– Co? – Walter nie wierzył własnym uszom.

– Jacyś goście jeżdżący quadami znaleźli go przy wyrobisku nieopodal Tarnowskich Gór. Miał rozerwaną tętnicę udową. Najprawdopodobniej od strzału z rewolweru, który znaleźli w kieszeni jego płaszcza. Sądząc po śladach na prochowcu, postrzelił się sam.

– Sam? A co on tam, kurwa, robił z rewolwerem w kieszeni? Gdzie to było, na jakimś wyrobisku?

– Tak, była kopalnia Blachówka przy drodze numer jedenaście. Myślę, że miał tam spotkanie.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – Walter zaczął się ubierać.

Magik zeskoczył z parapetu, sięgnął po leżący na biurku plecak i wyjął laptopa. Uruchomił go i podał Walterowi.

– Pan wie, że mam „pewne” zdolności – oświadczył niezbyt skromnie. – Proszę bardzo, oto kopia raportu sporządzonego z oględzin miejsca, w którym znaleziono zwłoki. Niech pan kliknie na to zdjęcie. – Wskazał na ikonkę z rozszerzeniem „jpg”. – To znaleźli przy Jarząbku.

Walter wykonał polecenie. Ekran komputera wypełniło zdjęcie złotej benzynowej zapalniczki z wygrawerowanymi dwoma „P”.

– Kurwa!

Grawerunek był podobny do tego, który naszkicowała Luiza, z jednym wyjątkiem – litery były umieszczone wewnątrz rombu, podobnego do logo koncernu Renault.

– Zakładam, że zdjęli z tego paluchy?

– Zdjęli, ale system nic nie wypluł – odparł Magik. – Ich właściciel najwyraźniej nie był notowany. A co do tego logo, to już pan rozumie, dlaczego nie potrafiłem niczego znaleźć w sieci. Luiza ma chyba kłopot z pamięcią.

Walter milczał. Już wtedy, gdy bratanica narysowała te dwa „P”, miał niejasne wrażenie, że gdzieś to widział. Teraz miał już pewność. Widział to... Tylko gdzie? Kiedy? Przy jakiej okazji?

Podszedł do okna i zapalił papierosa.

– Tutaj można? – zapytał Magik z wyraźną dezaprobatą.

Komisarz zbył go machnięciem ręki, skupiając myśli na wydarzeniach z ostatnich dni. Był pewien, że widział ten symbol, choć prawdopodobnie nie był on jakimś obiektem zainteresowania. Może tylko dostrzegł go kątem oka, niechcący kodując w pamięci. Wspomnienie nigdy by się nie ujawniło, gdyby nie ta zapalniczka.

Zaciągnął się i wychylił za okno, aby wydmuchać dym. Bądź co bądź w hotelowym pokoju obowiązywał zakaz palenia. Wtedy go dostrzegł. Czarny ptak łąził po trawniku, raz za razem dziobiąc ziemię. Obraz, a w zasadzie grafika, którą widział w domu Anny Dębskiej! Kruki czy wrony dziobiące padlinę. W prawym dolnym rogu grafiki, zamiast podpisu autora, mieściły się dwie litery „P” – dokładnie takie jak te na zapalniczce znalezionej przy zwłokach prokuratora Jarzabka.

ROZDZIAŁ 43

Katowice, 15.05.2015

Walter i Magik zeszli do recepcji. Komisarz mimowolnie zerknął na sofę schowaną w zaułku przy schodach. Poczul znajome ukłucie wyrzutów sumienia. Może po wszystkim spróbuje znaleźć tę dziewczynę i jakoś jej pomóc. Może w ten sposób choć odrobinę naprawi ten świat, a przy okazji zmyje z siebie brud wczorajszej nocy. Może... W recepcji zapłacił za dwie butelki coli. Recepcjonista, ten sam, który miał nocny dyżur, albo jakimś cudem się wyspał, albo był bliźniakiem tego z wczoraj – wyglądał, jakby dopiero co rozpoczął pracę. Świeży, ogolony i odprasowany.

– Masz tu kluczyki do mojego samochodu – Walter zwrócił się do Magika. – Poczekaj tam na mnie, zaraz przyjdę.

Gdy za hakerem zamknęły się drzwi, komisarz ponownie spojrzął na recepcjonistę.

– Czy zna pan dziewczynę, która tu wczoraj siedziała? – zapytał i zaklął w myślach, patrząc na ścienny zegar.

– Oksanę?

– Może i Oksanę. Nie wiem, jak miała na imię.

– Spodobała się? – zapytał recepcjonista konspiracyjnym tonem, puszczając do Waltera oko.

– Jak można się z nią skontaktować? – Walter zignorował jego ocierające się o seksizm zachowanie.

– Proszę bardzo. – Pracownik wręczył mu wizytówkę.

Komisarz zerknął na kolorowy kartonik z napisem „PARADISE”, odłożył go i wyjął z kieszeni portfel.

– Chcę jej prywatną komórkę, ma pan? – Przesunął po blacie pięćdziesięciozłotowy banknot.

Recepcjonista wrzucił banknot do szuflady i na odwrocie wizytówki zapisał dziewięć cyfr.

– Jakby co, to nie ode mnie, dobra? – poprosił, wręczając Walterowi kartonik.

Dochodziło południe, ale kilkupasmoowa trasa ekspresowa, prowadząca z Katowic przez Częstochowę do Warszawy, wciąż była wypełniona mknącymi w obie strony samochodami. Słońce grzało przyjemnie, zapowiadając pogodną

resztę dnia.

Walter poczuł, że jest głodny. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadł. Przegryzł coś u Magika? Nie był pewien.

– Gdzie tu można coś zjeść na szybko? – zapytał.

– Tam jest hamburgerownia. – Magik wskazał na pobliską stację paliw. – Taka lokalna, polska sieciówka, całkiem smaczna.

Zamówili ociekające sosem kanapki, frytki i pepsi. Walter dodatkowo wziął nuggetsy.

– Co z Luizą? – zapytał, wycierając usta serwetką, gdy pochłonął kaloryczną bombę.

– Została u mnie – odparł Magik, starając się, aby nie wypadły mu z ust kawałki burgera.

– Tak z własnej woli?

– Wciągnęła się w COD-a. Ma co robić.

– W co się wciągnęła? – Komisarz zmarszczył czoło.

Magik spojrzał na niego i parsknął śmiechem. Drobiny mięsa wylądowały na blacie.

– *Call of Duty*. Strzelanka na konsolę – wyjaśnił, zmiatając ze stołu resztki jedzenia.

– Sprawdziłeś pocztę i konto Google Zaręby? – Walter nie miał najmniejszego zamiaru ciągnąć tematu strzelanek.

– Sprawdziłem. W mailu poza spamem i komunikacją z banków, operatorów czy innych tego typu szajsów jest kilka maili między Zarębą a Dębskim.

– Coś ciekawego?

– Niewiele poza tym, co już wiemy. Wygląda, że byli starymi kumplami ze szkolnych lat. Dębski zaczął pisać do Zaręby, gadki szmatki, co tam u ciebie, ale w tej całej paplaninie pojawił się pewien interesujący szczegół. Jak już widzieliśmy w mailu z kompa Dębskiego, chłopaki mieli coś obgadać, jakąś dawną sprawę. Niestety, żadnych konkretów, ale widać, że obaj doskonale wiedzieli, o czym mowa.

– Tylko tyle? – zapytał Walter.

– Jeśli chodzi o pocztę, to tak. Ale za to przeglądarka Google z profilu Zaręby opowiada ciekawą historię.

– Zamieniam się w słuch.

– Doktor Zaręba w ostatnich tygodniach z uporem maniaka starał się wyszukać informacje na temat jakiegoś wypadku komunikacyjnego sprzed lat.

– Jakiego wypadku?

– Nie wiem. Wpisywał tylko hasła: „Gliwice”, „ulica Tarnogórska”, „wypadek”, „czerwiec 1992”. W różnych kombinacjach i odmianach.

– No to czego nie wiesz? Starał się dowiedzieć czegoś o wypadku,

najprawdopodobniej samochodowym, który wydarzył się w Gliwicach na ulicy Tarnogórskiej w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego. Czy to nie jest jasne?

– Nie, no oczywiście, że jasne. – Magik uniósł ręce.

– Jestem w stanie się założyć, że to ta „sprawa”, o której wspominali w mailach.

– Tak, ale chodziło mi o to, że podobnie jak Zaręba głównie znalazłem na ten temat.

– Magik, ty po prostu się urodziłeś w innych czasach. Myślisz, że dwadzieścia trzy lata temu każdy komisariat w Polsce miał internet, połączenie z serwerami i tak dalej? Chłopie, większość nawet nie miała „pecetów” na wyposażeniu, tylko stukali raporty na maszynie do pisania. Jak mieli szczęście, to była elektryczna.

– Serio? Przecież internet działa co najmniej od początku lat dziewięćdziesiątych. – Twarz komputerowca wyrażała szczere zdumienie.

– Ale nie w Polsce.

– No to co robimy?

– Wysadzę cię pod komendą. Pójdiesz do Króla, powiesz mu, czego się dowiedziałeś, i poprosisz, aby wystawił ci bumagę z prośbą o dostęp do archiwum w Gliwickiej Prokuraturze Okręgowej. Jeśli w wypadku ktoś zginął, a zakładam, że Zarębie nie chodziło o przejechanego kota, to tam wszystko znajdziesz. Od razu dzwonicz z tym do mnie, jasne?

– Jak słońce. A pan?

– Ja jadę do Zbrosławic. Muszę popytać o Zarębę i pewną grafikę.

Walter wysadził Magika pod komendą wojewódzką i autostradą A4 ruszył w kierunku Tarnowskich Gór. Wyjął komórkę i wybrał numer Luizy. Zgłosiła się poczta głosowa. Spróbował jeszcze raz – to samo. Doczekał do końca wypowiedzianego beznamiętnym głosem komunikatu i nagrał wiadomość: „Tu Walter, oddzwon do mnie”.

ROZDZIAŁ 44

Zbrosławice, 15.05.2015

Gdy Anna Dębska otworzyła drzwi, od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Jej oczy były podkrążone i zapuchnięte. Miała na sobie porozciągany bawełniany dres, a jej włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą wstała z łóżka. W niczym nie przypominała zadbanej, dumnej i wyniosłej kobiety, którą poznał kilkanaście dni temu.

– Dobrze, że pan jest. Miałam do pana dzwonić – usłyszał zamiast zwyczajowego powitania.

– Mogę wejść? – zapytał.

– Oczywiście. – Dębska odsunęła się o krok. – Chodźmy do kuchni, zrobię herbatę.

Kuchnia, w odróżnieniu od salonu, gdzie odbyła się ich pierwsza rozmowa, zdecydowanie bardziej przypominała miejsce, w którym przebywają żywi ludzie. Na kuchence stały garnki, w zlewie było kilka brudnych kubków i talerzy, a w koszyku przy dwudrzwiowej lodówce pomidory i zielone ogórki. Pomieszczenie wyglądało jak pobojoznica po domówce licealistów.

– Przepraszam za ten bałagan. – Gospodyni zatoczyła ręką wokół.

– Co się stało? – zapytał Walter, darując sobie grzecznościowe zaprzeczenie.

– Ma pan może papierosy?

Poczęstował ją i podał ogień.

– Arek zniknął – odparła, wypuszczając dym.

– Arek?

– Arkadiusz Zaręba. Przedstawiłam was, pamięta pan?

– Oczywiście, że pamiętam. – Postanowił jeszcze nie zdradzać, że jest tu między innymi w tej sprawie. – Skąd przypuszczenie, że zniknął?

– Nie mogę się do niego dodzwonić od ponad tygodnia.

– To wcale nie musi oznaczać, że zniknął – stwierdził komisarz, choć doskonale wiedział, że Dębska ma rację.

– My jesteśmy ze sobą – oświadczyła, strzepując popiół.

– Ze sobą? – Zmarszczył czoło. Czuł, że jego tezę o „PP” w roli mordercy obu mężczyzn przysypuje gruz. Nie wspominając o tym, że raczej się nie dowie, gdzie przebywa Zaręba.

– Tak. Jesteśmy kochankami, spieramy ze sobą. Czy już pan rozumie? – wróciła Dębska, którą zapamiętał z poprzednich spotkań.

– Rozumiem, bez obaw. Gdy rozmawialiśmy po raz pierwszy, powiedziała

pani, że nie wie, z kim spotkał się pani mąż w wieczór swojej śmierci. Czy nadal tak pani twierdzi?

– Spotkał się z Arkiem, tak? – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Zgadza się.

– Nie wiedziałam o tym.

– Ale też nie wygląda pani na specjalnie zaskoczoną tym faktem – zauważył. Kobieta westchnęła głęboko i grzbietem dłoni starła z czoła niewidoczny pot.

– Nasza trójka zna się od lat. Chodziliśmy do jednego ogólniaka. A Arek...

On zawsze się we mnie podkochiwał.

– Sądząc po pani wyznaniu, nie było to jednostronne uczucie. Jak więc doszło do tego, że wyszła pani za Roberta?

– Gdy kończyliśmy studia, coś się stało. Można powiedzieć, że później Arek się odseparował. A ja w końcu wyszłam za Roberta.

– Co takiego się stało?

– Nie wiem. Wiem tylko, że jak wróciłam z praktyki studenckiej, to Arka już nie było. Zerwał ze mną wszelkie kontakty. Można powiedzieć, że zniknął.

– A co na to „zniknięcie” powiedział Robert?

– Wtedy właśnie wrócił z Niemiec, gdzie mieszkał przez kilka lat. Twierdził, że nie ma pojęcia, co ugryzło Arka.

– Wyszła pani za Dębskiego, a Zaręba nagle się odnalazł?

– Jeśli dwadzieścia lat później to według pana „nagle”. – W głosie Dębskiej pojawiła się nuta kpiny.

– Ale też nie stało się to wczoraj. Tak z grubsza osiem lat temu, dobrze policzyłem?

– Tak z grubsza – potwierdziła. – Było to mniej więcej wtedy, gdy Nasza Klasa święciła swój triumf. Pamięta pan?

Walter pamiętał. Pod koniec pierwszej dekady dwudziestego pierwszego wieku net wręcz oszalał na punkcie tego serwisu społecznościowego. Dzięki grupowaniu użytkowników na podstawie szkół, do których uczęszczali, pozwalał on odnowić kontakty z koleżankami i kolegami ze szkolnych ław. Przypomniał też sobie, że gdy szukał w sieci czegokolwiek o Dębskiej, jedynym źródłem, jakie znalazł, była właśnie Nasza Klasa, a w zasadzie to, co z niej pozostało. Przeklął się w duchu, że kompletnie wyleciało mu to z głowy. Być może związek całej trójki byłby już dawno wyjaśniony.

– No i co z tą Naszą Klasą? – drażył.

– Dzięki niej się odnaleźliśmy. W zasadzie to Arek wykonał pierwszy krok i napisał do mnie parę słów. Od maili przeszliśmy do spotkań w realu.

– A może Zaręba nie „zniknął”, tylko po prostu się ukrywa?

– Dlaczego miałby to robić?

– Bo wygląda na to, że miał sporo powodów, aby się pozbyć pani męża.

Zrobił, co zrobił, potem spanikował i zaszył się w jakiejś norze.

– Kompletna bzdura – zachnęła się Dębska.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Bo gdyby tak było, nie rozmawiałabym teraz z panem. Dlaczego miałabym ogłaszać zaginięcie Arka? Przecież jako jego wieloletnia kochanka powinnam być z nim w tym spisku, zgadza się?

– Bardzo prawdopodobne – potwierdził Walter.

– Nie wie pan jednak czegoś, co burzy tę trywialną koncepcję.

– Zapewniam, że większość zabójstw to jeszcze bardziej trywialne sprawy.

– Robert o nas wiedział. Powiedziałam mu o Arku już dawno. Ja też wiedziałam o Robercie. Doszliśmy do konsensusu, że taki układ jest do zaakceptowania. Przecież pan wie, że był gejem, prawda? – Dębska spojrzała Walterowi głęboko w oczy, jakby chciała się upewnić, że go nie zaskoczyła.

– Wiem – odparł. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego nie dowiedziałem się o tym od pani. Zamiast tego odgrywała pani rolę zdradzanej żony, skrzywdzonej przez męża potwora. Można było wręcz pomyśleć, że mężowi się należało. Jak pani to wytłumaczy? – Skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o kuchenny blat.

– Nie powiedziałam, bo wtedy uważałam, że to nie jest istotne – stwierdziła.

– A teraz już jest? Skąd taka zmiana?

– Halin, kochanek Roberta, też zostaje zamordowany, Arek znika, a Robert jest dokładnie pomiędzy nimi. Zjawia się pan, a ja chcę się dowiedzieć, co z Arkiem. Mam dalej tłumaczyć? – Kobieta rozłożyła ręce, ukazując wnętrze dłoni.

– I niech pan posłucha – podjęła po chwili. – Jakkolwiek by to w tej sytuacji nie zabrzmiało, śmierć Roberta nie była na rękę ani mnie, ani Arkowi.

– A czemuż to? Niech mnie pani oświeci.

– Pieniądze – proste. Jak pan myśli, kto za to wszystko płacił? – Zatoczyła ręką dookoła.

– A ja myślę, że z kasą nie byłoby problemu, gdyby ktoś nie wykończył Halina. Biznes kręciłby się dalej. A tak rzeczywiście może być klops. Muszę jednak przyznać, że paradoksalnie śmierć Halina świadczy na waszą korzyść, choć i tak uważam, że w jakiś sposób wszyscy jesteście w coś zamieszani. Jak mój młody współpracownik się spisze, wkrótce będę wszystko wiedział – zapewnił Walter i ruszył w kierunku salonu.

Dębska bez słowa poszła za nim.

Od razu spojrzał na ścianę. Grafika była na swoim miejscu. Wstrętne ptaszysko z lekko przekręconą głową łąpało na niego małymi, przenikliwymi oczkami. Dwie litery „P” opasane romboidalnym kształtem znajdowały się w dolnym prawym rogu dzieła.

– Skąd ten obraz? – zapytał matowym i chłodnym głosem.

– Grafika – poprawiła go gospodyni.

– Niech będzie: grafika. Skąd pani ją ma? – Spojrzał na Dębską. Chciał zobaczyć, jak zareaguje na to pytanie.

– Robert ją kupił. Jakies dwa miesiące temu – sprecyzowała. – Dlaczego pana interesuje? – Na jej czole pojawiła się pionowa bruzda.

– Chcę wiedzieć, kim jest jej twórca i gdzie go znajdę.

– Przecież był pan w jego galerii. To Paul Posner. On zresztą też tam był. – Dębska wyglądała na zaniepokojoną. – Niech mi pan powie, o co chodzi?

Walter milczał. Znów utkwiał wzrok w grafice. Paul Posner, dwa „P”. Facet tam był, a on nie zwrócił na niego uwagi. Dlaczego zresztą miałby zwracać? Przecież nie dla Posnera się tam znalazł! Mimo wszystko czuł absurdalną złość – że miał go pod ręką i nic z tym nie zrobił.

– Co on ma z wami wspólnego? – zapytał w końcu.

– Posner? Nic. – Dębska wzruszyła ramionami. – Dlaczego miałby coś mieć?

Przez chwilę rozważał, ile może jej powiedzieć. Trochę, mniej niż trochę, wszystko? Wiedział już, kim jest zabójca Jarzabka – prawdopodobnie też Stróżyka – ale nie miał pewności, czy ta kobieta jest z nim szczerą.

– Pewne poszlaki wskazują, że Posner może mieć związek ze śmiercią pani męża i Sebastiana Halina – powiedział w końcu. – A mnie zastanawia, dlaczego akurat jego grafika wisi w pani salonie i dlaczego kilkadziesiąt godzin po śmierci męża zastają panią oraz Zarębę na wernisażu jego dzieł.

– Nie widzę w tym nic podejrzanego. – Dębska znów wzruszyła ramionami.

– A ja wręcz przeciwnie.

– Jestem właścicielką jednej z jego grafik. Nie kryję, że jego sztuka w pewien sposób mnie uwiodła. W tych dziełach jest jakiś mrok, który mnie pociąga. Posner robił wernisaż kolejnej serii grafik, więc zaprosił między innymi mnie jako swoją klientkę. Pewnie miał nadzieję, że znów coś kupię. Niestety, industrialne pejzaże, które wystawił, nie do końca przypadły mi do gustu. Wolałam jego poprzednie prace. Czy to wytłumaczenie pana satysfakcjonuje?

– Powiedzmy, że jest w nim jakaś logika.

– I co dalej? Aresztuje mnie pan czy może spróbuje wyjaśnić, co się stało z Arkiem? – Dębska skrzyżowała ręce na piersiach.

– Wiem, że nie mówi mi pani wszystkiego, ale i tak wkrótce się dowiem. Na razie to tyle. – Walter ruszył w kierunku drzwi wyjściowych.

– A co z Arkiem? – zawołała za nim.

Przystanął i odwrócił się.

– Dam znać, jak się dowiem.

Walter wsiadł do samochodu i już miał uruchomić silnik, gdy usłyszał energiczne pukanie w szybę.

– Coś sobie przypomniałam – zakomunikowała Dębska, gdy uchylił okno. Wsiadł z auta i oparł się o karoserię.

– Co takiego? – zapytał, zapalając papierosa.

– Nie wiem, na ile to istotne, ale na wernisazu, na którym Robert kupił dla mnie tę grafikę, był też Sebastian Halin.

– I co dalej? – Komisarz pytająco uniósł brwi.

– Strasznie wykpiwał jego dzieła. Mówił, że to tandeta, a nie sztuka, że nadaje się najwyżej na stragany odpustowe i takie tam rzeczy.

– Posner był świadkiem tej krytyki?

– Nie tylko on – wszyscy obecni. Jakies kilkadziesiąt osób słyszało, jak podpity Halin donośnym głosem porównuje sztukę Posnera do najgorszej tandety.

– Skąd u niego takie zachowanie?

– Nie wiem. Mogę tylko przypuszczać.

– A co pani przypuszcza?

– Kiedyś w chwili szczerości Robert powiedział mi, że Halin potrafi być chorobliwie zazdrosny i że czasem go to strasznie wkurza. Wydaje mi się, że wtedy w mniemaniu Halina Robert zbyt długo rozmawiał z Posnerem. Zalała go fala zazdrości i w ten sposób dał jej upust.

– Jak Posner zareagował? Wywiązała się jakaś awantura? – dopytywał Walter.

– Nie. Zachował spokój. Ale widziałam, że zaciska zęby, było też coś niepokojącego w tych jego bladoniebieskich oczach. Kiedy echa incydentu ucichły, widziałam, że podszedł do Halina i szepnął mu coś do ucha.

– Domyśla się pani może, co powiedział?

– Niestety nie. Ale potem Halin bardzo szybko wyszedł, nie żegnając się z nikim.

– Jest jeszcze coś, o czym sobie pani przypomina? – Walter zgasił niedopałek podeszwą buta.

– Nie, to wszystko. Myśli pan, że to może być istotne?

– Kto wie – odparł i wsiadł do samochodu.

Gdy Dębska zniknęła za drzwiami swojej posiadłości, Walter wyjął smartfona i wysłał do Magika wiadomość tekstową: „Sprawdź mi na cito wszystko, co wiadomo na temat Paula Posnera. Dowiedziałaś się czegoś w Gliwicach?”.

Następnie zadzwonił do Luizy. Ponownie usłyszał nagranie z poczty głosowej.

ROZDZIAŁ 45

Katowice, 15.05.2015

Zaparkował samochód kilka metrów od wejścia do galerii. Gdy sięgał do klamki, w kieszeni marynarki poczuł wibracje. Dzwonił Magik.

- Mów – zażądał bez zbędnych wstępów.
- Do Gliwic jeszcze nie dotarłem. Za to jeśli chodzi o Pawła Posnera, mam ciekawe informacje – zaczął komputerowiec.
- Paula – poprawił go Walter.
- Paul to on się podpisuje na swoich obrazkach. Naprawdę nazywa się Paweł Posner.
- Jak na to wpadłeś?
- Nie ma zbyt wielu osób o tym nazwisku, a Paula nie ma w ogóle. Za to Paweł Posner jest tylko jeden.
- No dobra, mów dalej.
- Paweł Posner alias Dawinczi jest domniemanym szefem jednej ze śląskich grup przestępczych. Prochy, samochody, wymuszenia. Klasyka – skwitował Magik.
- Domniemanym?
- Niczego mu nie udowodniono.
- Czekaj, chcesz powiedzieć, że śląski mafioso jest artystą i wystawia swoje prace we własnej galerii? – Walter nie krył zdziwienia.
- Dokładnie. Stąd ksywka Dawinczi. Poza tym ta galeria to najpewniej dobrze pomyślana pralnia pieniędzy. Trudno przecież udowodnić, że jakiś bohomaz jest wart tysiąc, a nie kilkanaście tysięcy, prawda?
- Brzmi sensownie. Coś jeszcze?
- W środowisku ma opinię skutecznego i bezwzględnego typu. Podobno osobiście załatwił kilkanaście osób, więc niech pan będzie ostrożny.
- Dzięki za troskę. Szukaj dalej w okręgowej. Odezwe się wkrótce.

Stalowe drzwi galerii były zamknięte. Walter zapukał w nie kilka razy, ale usłyszał tylko metaliczny łoskot odbijający się od ścian korytarza. Dochodziła szesnasta. Pomyślał, że może po prostu jest za wcześnie, żeby ktoś tu był. Powinien zapytać Magika o adres tego Posnera, a nie stać jak głupek pod zamkniętymi drzwiami. Sklął się w duchu i postanowił naprawić swój błąd.

W chwili gdy wybierał połączenie, usłyszał charakterystyczny brzęczyk

otwieranego zamka magnetycznego. Pchnął drzwi – ustąpiły. Zanim zrobił krok do przodu, rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś go nie obserwuje. Nikogo nie dostrzegł, natomiast kątem oka zauważył umocowaną na elewacji kamerę przemysłową. Była zainstalowana nietypowo – w odległości kilku metrów od wejścia. Wydawała się tłumaczyć to niespodziewane zaproszenie. Ktoś go obserwował.

Gdy zatrzasnęły się za nim drzwi, ogarnęła go ciasna, wręcz klaustrofobiczna ciemność. Walter nie należał do osób, które w zetknięciu z mrokiem tracą pewność siebie, lecz z poprzedniej wizyty pamiętał, że do głównego pomieszczenia galerii prowadzą wąskie i strome schody. Włączył latarkę w smartfonie i zaczął przeczesywać ściany klatki wejściowej w poszukiwaniu włącznika światła. Nagle prowadzący w dół korytarz pojaśniał. Światło było przytłumione, jakby dochodziło zza przykopconych szyb, lecz wystarczyło, by bezpiecznie zejść do dolnego pomieszczenia.

– Śmiało, proszę wejść. Przepraszam, że zapomniałem o świetle – dotarło do uszu Waltera. Głos dochodził z dołu. Był wyraźny i brzmiał tak, jakby wizyta komisarza nie była żadnym zaskoczeniem. Jego właściciel pozostawał jednak niewidoczny.

Walter wymacał pod marynarką kaburę, otworzył jej zapięcie, wysunął lekko broń i odbezpieczył ją.

– Niepotrzebne zabiegi, komisarzu. Nie musi pan się niczego obawiać – głos rozbrzmiał ponownie.

Walter odruchowo zaczął się rozglądać za kolejnymi kamerami. Tym razem żadnej nie znalazł. Musiały być dobrze zamaskowane między szczelinami bloków kamiennych, z których zbudowane były ściany i strop korytarza. Jednocześnie poczuł się jak zwierzyzna wchodząca w zastawioną nań pułapkę – i to z pełną świadomością. Powinien się wycofać. Zabezpieczyć odwrót i wsparcie. Bez dwóch zdań. Zdrowy rozsądek i lata praktyki przeczyły temu, co właśnie robił, lecz nie potrafił odpuścić. Nie mógł odejść, gdy w końcu znalazł się tak blisko odpowiedzi. Wziął kilka głębokich oddechów i zaczął schodzić niżej.

Za kontuarem, gdzie poprzednio spotkał puszystą kobietę okrytą wielgachnym poncho, stał Paweł Posner. Choć widział go po raz pierwszy, poznał go od razu. Wysoki blondyn w drogim garniturze; jego bładoniebieskie oczy jarzyły się jakąś niepokojącą poświatą, połyskującą w półmroku piwnicznego pomieszczenia. Oparty o kontuar, uśmiechał się szeroko, popijając coś z kubka. Na kubku widniały dwa charakterystyczne „P”.

– Napije się pan? – Gestem wskazał naczynie.

– Earl grey, jeśli jest – odparł Walter.

Posner sięgnął pod kontuar, włożył do kubka saszetkę z herbatą i zalał gorącą wodą.

– Nie powinna mieć więcej niż dziewięćdziesiąt stopni. Wrzątek zabija aromat – stwierdził, wręczając parujący kubek komisarzowi.

Walter rozejrzył się dookoła. Na tyle, na ile był w stanie stwierdzić z tej perspektywy, byli sami.

– Z pewnością ma pan do mnie wiele pytań. Usiądźmy – zaproponował Posner.

– Skąd ta pewność? – zapytał Walter, upijając łyk herbaty.

– Bo poza przyjacielską rozmową nic więcej nie może pan zrobić. – Gospodarz rozsiadł się wygodnie i założył nogę na nogę. Był pewny siebie i lekceważący jednocześnie.

– Lista tego, co mogę, wykracza daleko poza „nic”.

– No tak, mógłby pan na przykład wyciągnąć gnata, którego trzyma pod marynarką, i palnąć mi w łeb. Tylko że... – Posner uniósł palec wskazujący i na chwilę zawiesił głos – ...nie posądzam pana aż o taką głupotę. W końcu obaj jesteśmy w ukrytej kamerze. – Ostatnie zdanie wypowiedział teatralnym szeptem, przykładając dłonie do ust i uśmiechając się cynicznie. – Mógłby pan też, mimo oficjalnego odsunięcia go od sprawy, pobiec do Króla z informacją, że zna właściciela zapalniczki znalezionej przy nieodżałowanym prokuratorze Jarząbku. Tylko że... – powtórzył poprzedni zabieg – ...mam co najmniej kilku świadków, którzy potwierdzą, że w chwili gdy prokurator szedł na spotkanie z kostuchą, byłem w zupełnie innym miejscu. Pozostali zapewnią, że widzieli, jak ową zapalniczkę sprezentowałem grubasowi, gdy osobiście mnie odwiedził.

– Szczerze mówiąc, rozważam pierwszą opcję, ale zanim się zdecyduję, może rzeczywiście porozmawiajmy. – Walter upił kolejny łyk herbaty i odstawił kubek na stół. – Sebastian Halin. Dlaczego go zabiłeś?

– Wiesz co? Skoro już przeszliśmy na ty, powiem tak: nie masz żadnych dowodów, które mogłyby mnie obciążyć. A że Halinowi się oberwało... Swoją drogą cóż za idiotyczne nazwisko. – Posner skrzywił się z niesmakiem. – Wcale mnie to nie dziwi.

– Czym twoim zdaniem sobie zasłużył? – Komisarz znów sięgnął po herbatę. Była mocna, taka, jaką lubił, i miała specyficzny aromat, jakiego nie znał. Jej smak sprawiał, że po każdym łyku chciało się wziąć kolejny.

– Z tego co wiem, to była zarozumiała i arogancka ciota. Fagas z rodzaju tych, co to myślą, że są pępkiem świata i wszystko się kręci wokół nich. Zapalisz? – Posner wyciągnął w kierunku Waltera papierosnicę inkrustowaną masą perłową. Na środku widniały wygrawerowane dwie litery „P”.

– Chętnie. – Gospodarz podał mu ogień identyczną zapalniczką jak ta, którą znaleziono przy Jarząbku. – Masz problem z gejami? – zapytał Walter, wydmuchując dym.

– Nie interesuje mnie, kto, co i gdzie komu wsadza. – Dawinczi obojętnie

wzruszył ramionami. – Więc nie, nie mam problemu z gejami.

– I dlatego bez problemu załatwiłeś jego kochanka? – prychnął Walter, strzepując dym z papierosa.

– Dębskiego? To był spoko facet, zresztą mój dobry klient. Najwyraźniej czymś sobie zasłużył na taki los.

Komisarz odniósł wrażenie, że Posner wyzbył się na chwilę kpiąco-ironicznej pozy. Jednocześnie poczuł lekką duszność i przyśpieszyło mu tętno. W nieruchomym powietrzu w podziemiach galerii wisały kłęby siwoniebieskiego dymu – to tym wytłumaczył sobie odczuwany dyskomfort. Sięgnął po kubek i dopił do końca jego zawartość. Herbata była już chłodna i nie tak dobra jak na początku. Odchrząknął kilka razy i zgasił dopalonego w połowie papierosa.

– O Stróżyka nie zapytam, bo domyślam się powodu. Natomiast nie rozumiem, po co ta cała heca z Luizą i wrabianie mnie w... – Walter nie dokończył. W błyskawicznym tempie ogarnęło go odrętwienie i piekący ból, jakby w żyłach i tętnicach zamiast krwi zaczęła płynąć żrąca ciecz. Próbował wstać, lecz nie był w stanie poruszyć nawet małym palcem ani wydobyć z siebie dźwięku. Wysunął odrętwiały język, a z półotwartych ust zaczęła wypływać gęsta, mlecznobiała piana. W ostatniej świadomej chwili, gdy jego mózg resztką sił wspiał się na maksymalny poziom abstrakcji, z irracjonalnym rozbawieniem pomyślał, że jest teraz niczym zajaczek z reklamy, któremu wyczerpały się baterie. Zaraz potem stał się ludzką amebą – podatną tylko na podstawowe bodźce sterujące jej życiowymi odruchami.

Paweł Posner wrzucił do foliowej torebki kubek, z którego pił Walter, oraz zużytą saszetkę herbaty. Zawiązał torebkę, odłożył na stół, po czym wyjął z kieszeni telefon i nawiązał połączenie.

– Zrobione – zakomunikował.

ROZDZIAŁ 46

Gliwice, 15.05.2015

Magik – z upoważnieniem od Króla w kieszeni i drożdżówką w ręku – wsiadł do pociągu. W nozdrza od razu uderzył go charakterystyczny zapach dawnych, PRL-owskich kolei państwowych: mieszanki sproszkowanej rdzy, wysiedzianego skaju i jedyne w swoim rodzaju aromatu dochodzącego zza uchylonych drzwi toalety. Wspomnienie wrażeń zmysłowych, zakodowane głęboko w świadomości, przyniosło mu na myśl wycieczkę szkolną do gliwickiej palmiarni. Jego klasa jechała wtedy takim samym pociągiem. Dzisiaj nieczęsto już można było doświadczyć takich wrażeń.

Usiadł na pierwszym wolnym miejscu i zaczął zajadać drożdżówkę – cukierniczy relikwiarz dworców. Bułka miała słodko-kwaskowaty smak; lukier, którym była oblana, był mętny i pozostawiał na palcach lepkie ślady. Po zjedzeniu drożdżówki wytarł dłonie w papierową chusteczkę.

Widok za oknem też był jak tamten ze szkolnej wycieczki – kopalniane hałdy porośnięte trawą i lichymi brzożami, stawy powstałe w wyrobiskach, zakłady przemysłowe, dziś już w większości pozamykane. Gdy pociąg przekroczył granicę Zabrze, krajobraz się zmienił – ściany domów krzyczały zmurszałą starością i koślawym graffiti, za pomocą którego kibice jednego klubu piłkarskiego życzyli śmierci tym z klubu rywali.

Z dworca kolejowego w Gliwicach do siedziby prokuratury było nie dalej niż pięćset metrów. Magik przeszedł przez plac przylegający do dworca, przeciął ulicę Bohaterów Getta i ze Zwycięstwa skręcił w Dubois. Okolica była jednym wielkim placem budowy, pełnym ciężarówek, betoniarek i maszyn; wzdłuż Dubois budowano tunel dla ostatniego odcinka Drogowej Trasy Średnicowej łączącej kilkupasmową jezdnię stolicę Górnego Śląska z Gliwicami.

Uważając, aby się nie pośliznąć na umorusanej budowlanym błotem drewnianej kładce dla pieszych, Magik dotarł do celu. Masywny, nieotynkowany budynek z czerwonej cegły – tak jak instytucja, która się w nim mieściła – przynosił mu na myśl jedno z tych miejsc, które należy omijać szerokim łukiem. Niepokojące wrażenie spotęgował zapach, który poczuł, gdy tylko wszedł do środka – ledwo wyczuwalna, acz nie do pomylenia, woń ludzkich ciał, strachu, lęku, złych myśli i czynów, wsiąknięta w posadzkę i ściany instytucji, której sama nazwa przyprawia o gęsią skórę.

Archiwistka, do której dotarł, okazała się wyjątkowo pomocną i sympatyczną panią, odliczającą już dni do emerytury. Ciepło i swoisty optymizm,

którymi emanowała, zniwelowały nieco pierwotne przygnębienie Magika. Krągła w kształtach, choć dość drobna pani posadziła go przy biurku dla przeglądających akta, po czym udała się do sali archiwów. Przez lekko uchylone drzwi widział, jak sprawnie radzi sobie z potężnymi stalowymi regałami, umieszczonymi na specjalnych szynach. Nie minęło pięć minut, jak wróciła, pchając przed sobą wózek z niewielką kupką akt.

– Ma pan szczęście. Z czerwca dziewięćdziesiątego drugiego tylko tyle – stwierdziła z uśmiechem. – Jak pan skończy, proszę nacisnąć ten przycisk. – Wskazała na guzik i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Magik włożył słuchawki, na smartfonie włączył najnowszą płytę Foo Fighters i zaczął przeglądać akta. Już w trzeciej teczce natrafił na to, czego szukał. Z prawniczego, suchego niczym pustynny piasek tekstu wynikało, że dziewiętnastego czerwca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku w późnych godzinach nocnych przy ulicy Tarnogórskiej w Gliwicach doszło do śmiertelnego wypadku samochodowego. Na miejscu śmierć ponieśli kobieta i mężczyzna. Ich kilkuletnia córka w stanie ciężkim została przewieziona do szpitala. Przyczyną wypadku najprawdopodobniej było uderzenie w jadący samochód szklaną butelką, której resztki znaleziono na miejscu wypadku. W związku z brakiem świadków zdarzenia oraz jakichkolwiek śladów mogących naprowadzić na sprawcę śledztwo zostało umorzone.

Na wszelki wypadek sprawdził, czy jakimś zbiegiem okoliczności w tamtym miesiącu nie wydarzyło się więcej wypadków na rzeczonyj ulicy. Nic takiego nie znalazł, więc ponownie przeczytał treść dokumentu. Gdy dotarł do nazwiska ofiar wypadku, coś go tknęło. Gdzieś już je słyszał. Brzmiało znajomo i w jakiś dziwny sposób pachniało sprawą, którą zajmował się Walter.

– Mam! – krzyknął nagle i choć siedział sam w pokoju, odruchowo się rozejrzał.

Natychmiast sięgnął po telefon i wybrał numer Waltera. Muzyka w słuchawkach ucichła, lecz sygnał połączenia nie nadszedł. Magik zerknął na wyświetlacz – był poza zasięgiem sieci. Zaklął pod nosem i przyciskiem przywołał archiwistkę.

– Niech pani tego nie chowa, zaraz wracam – rzucił przez ramię i wybiegł na zewnątrz.

– To tak nie działa, młodzieńcze – odparła kobieta w pustkę i ze stoickim spokojem zabrała się do zbierania porozkładanych teczek.

Magik szybkim krokiem przemierzał korytarze prokuratury, obserwując wskaźnik powracającego zasięgu. Przekłete kółeczka pojawiały się i znikaly, aż zaczął się zastanawiać, czy armia pracujących tu ludzi jest odcięta od zewnętrznego świata. Wyrazny sygnał pojawił się dopiero w pobliżu głównego wejścia. Odblokował ekran i już miał ponownie wybrać numer Waltera, gdy jego oczom

ukazała się wielka tablica z rysunkiem telefonu przekreślonego grubą czerwoną kreską. Pokręcił głową z dezaprobatą i wyszedł na zabloconą ulicę.

– Halo, halo, proszę pana! – usłyszał, gdy tylko stanął na drewnianej kładce.

Kilka metrów od niego, przy samochodzie z otwartymi tylnymi drzwiami, stała jakaś kobieta, machając do niego.

– Proszę pana, czy może mi pan pomóc? – poprosiła, gdy upewniła się, że Magik ją zauważył.

– Jasne, tylko najpierw muszę zadzwonić – odparł, pokazując telefon.

– Bardzo pana proszę! To potrwa tylko chwilę, a ja wjechałam pod zakaz i pewnie zaraz wlepią mi mandat! – Złożyła ręce jak do modlitwy.

Magik skupił na niej wzrok. Przystojna trzydziestolatka, drobnej budowy ciała, w jasnokremowym wiosennym płaszczu i butach na wysokim obcasie, stała wśród kurzu i błota.

– A niech mnie... – burknął pod nosem i podszedł do kobiety. – W czym problem?

– Jak miło z pana strony – powiedziała, prezentując w szerokim uśmiechu rząd drobnych ładnych zębów. – Mam tu ciężkie pudło z dokumentami, które muszę dostarczyć do prokuratury, a w tych butach – wskazała na szpilki – po tym... czymś... nie doniosę go na pewno. Bardzo pana proszę, niech pan zanieś to do recepcji przy wejściu, a tam już ktoś to odbierze.

Magik zerknął na pudło. Leżało na drugim końcu tylnej kanapy, przy zamkniętych drzwiach. Nie wyglądało ani na wielkie, ani na ciężkie, więc trochę się zdziwił, ale machnął ręką i postanowił spełnić prośbę kobiety.

Pochylił się i zanurkował do wnętrza kabiny samochodu. Gdy złapał za pudło, poczuł bolesne uklucie w pośladek. Pierwsze, co przyszło mu do głowy, to to, że użądliła go pszczoła lub osa. Zaraz potem, gdy zaczęły mu wiotczeć mięśnie, uświadomił sobie absurd tej myśli. Ostatnią było zdziwienie, jak ta drobna kobietka, w butach na wysokim obcasie, sprawnie i bez wysiłku daje radę wcisnąć go do wnętrza wozu. Kolejnej myśli już nie było.

– Jeden do jednego – powiedziała kobieta, patrząc na plecy nieprzytomnego Magika, i zatrzasnęła drzwi.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ VIII

Okularnik leży na boku. Nie rusza się. Związane na plecach nadgarstki ma przytroczone do pęta owiniętego wokół kostek zgiętych w kolanach nóg. Dodatkowy sznur oplata jego stopy i szyję w taki sposób, że każda próba wyprostowania nóg powoduje zaciśnięcie się pętli na gardle niedosłego gwałciciela.

– Czy on...? – zaczyna dziewczyna.

– ...nie żyje? – chłopak kończy za nią, po czym kieruje solidnego kopniaka w bok okularnika. Z zakneblowanych szmatą ust dobywa się stłumiony jęk. – Jeszcze żyje.

– Co chcesz zrobić?

Chłopak pochyla się, przez chwilę grzebie w sianie i wyciąga coś na wierzch. Dziewczyna robi wielkie oczy i zasłania usta dłonią.

– Ja nic nie zrobię – odpowiada chłopak i wręcza jej kanister. – Ty zrobisz.

– Chyba zwariowałeś! – Dziewczyna kręci głową i rzuca kanister.

Pojemnik odbija się od ziemi z dźwiękiem blaszanego bębena. Dziewczynie wydaje się, że to bębni cała armia małych doboszy. Zasłania uszy i odwraca się, lecz nadal słyszy świdrujący dźwięk. Ma wrażenie, że powietrze wokół nich drży – krąg fal rozchodzi się od leżącego na ziemi kanistra.

Chłopak obejmuje ją i przyciąga do siebie.

– Spójrz mi w oczy – prosi, choć brzmi to trochę jak rozkaz.

Dziewczyna kręci głową i próbuje się uwolnić z objęć.

– Ten hałas, zrób coś! – prosi, wciąż zakrywając uszy.

– Jaki hałas? – pyta on, nic nie rozumiejąc.

– Zrób coś z tym kanistrem, nie wytrzymam tego łoskotu!

Chłopak odczuwa coś w rodzaju ulgi. To tylko wciąż działające prochy. Uśmiecha się i delikatnie odciąga jej dłonie od głowy.

– Jest cicho, nic nie hałasuje, to tylko złudzenie – przekonuje.

Rzeczywiście nagle dźwięk cichnie, jakby w ogóle nie istniał. Dziewczyna bierze głęboki oddech i ociera pot z czoła.

– Czy ty... – zawiesza głos na kilka sekund. – Czy ty chcesz go spalić?

– Uważasz, że na to nie zasługuje?

– No... nie wiem – odpowiada dziewczyna. I nagle, przez ułamek sekundy, znów słyszy blaszany bębenek. Czuje skurcz w podbrzuszu, jak wtedy, gdy okularnik wsadzał jej łapę pod spódniczkę.

– To może posłuchajmy, co on ma nam do powiedzenia? Jak wytłumaczy się z tego, co zrobił? – proponuje chłopak, po czym nachyla się nad okularnikiem

i wrywa mu z ust knebel. Szmaciany gałgan jest ciężki od śliny i śmierdzi rzygami. Chłopak z obrzydzeniem odrzuca go na bok.

– Wody... dajcie wody... – prosi okularnik.

Ma chrapliwy, lecz nadspodziewanie mocny głos, w którym zamiast pokory czy strachu wyraźnie słyhać butę.

Dziewczyna sięga do torebki, którą cały czas ma na ramieniu, i wyciąga małą butelkę wody. Klęka obok okularnika i przykłada szyjkę butelki do jego ust.

– Może mu jeszcze masaż zrobisz? – ironizuje chłopak.

Dziewczyna znów czuje kłujący ból w podbrzuszu. Jest tak silny, że odruchowo zaciska dłonie na spojeniu łonowym i odskakuje do tyłu, upadając na tyłek.

– Co ci jest? – Chłopak wygląda na zaniepokojonego.

– Nic, nic. Już wszystko w porządku. – Dziewczyna wstaje i otrzepuje spodnie.

Wtedy rozlega się chrapliwy głos okularnika:

– Co chcecie ze mną zrobić?

– Ja to zrobiłbym z ciebie pieczonkę. – Chłopak wskazuje gestem na kanister. – Ale moja dziewczyna chyba ma inne zdanie.

– Pojebało cię?! Chcesz mnie zabić? Za co, kurwa?!

– Chyba za mocno ci przywaliłem, bo pieprzysz jak potłuczony. Pytasz „za co”?

– No chyba nie za to, że miałem drobne spięcie z twoją panienką!

– Wsadzenie jej łapy w majty i machanie nad nią kutasem nazywasz „drobnym spięciem”, gwałcicielu? – Chłopak akcentuje ostatnie słowo celnym kopniakiem w jądra leżącego.

Okularnik wyje z bólu i szarpie skrępowanym ciałem, zaciskając powróż wokół szyi. Jego twarz robi się purpurowa. Zaczyna rozumieć, że jeśli zaraz się nie uspokoi, to się udusi. Mimo bólu pulsującego w jądrach udaje mu się zapanować nad ciałem. Uspokaja się, ale twarz nadal ma czerwoną, z oczu płyną łzy. Oddycha głęboko.

– Ty nic nie rozumiesz – zwraca się do chłopaka. – Jesteś ślepy. Ja ją znam, znam takie jak ona! – mówi coraz głośniejszy i szybciej. – Prędzej czy później da komuś dupy! One takie są, zrozum! Wszystkie to kurwy! Czy ty tego nie widzisz?! To ona powinna tu leżeć, nie ja!

Dziewczyna zamyka oczy. Pod jej czaszką defilada małych doboszy tłucze bez ładu i składu w blaszane bębenki. Klucie w podbrzuszu już nie pulsuje, jest ciągłe, a z rozciętej niedawno wargi znów płynie krew. Znowu czuje nad sobą śmierdzący oddech okularnika – dyszy nad nią, grzebiąc ręką przy rozporoku. Do gardła spływa jej metaliczna, słodko-słona krew ze śluzem z rozbitego nosa.

– Dobrze, sprawdźmy, czy to będzie się dobrze palić – decyduje chłopak.

Jest opanowany, w jego głosie nie słyhać cienia emocji. Sięga po kanister i wylewa trochę paliwa na buty okularnika.

– Przestań! – krzyczy okularnik.

Chłopak nie zwraca na niego uwagi. Wyjmuje paczkę zapalek, zapala jedną i przykłada do mokrej nogawki. Płynna parafina rozpala się niebieskim, powoli krocącym płomieniem. Niedoszły gwałcieł odruchowo zaczyna wierzgać skrepowanymi nogami. Pęto na szyi znów się zaciska.

Dziewczyna stoi z szeroko otwartymi oczami. Jest spocona i cała się trzęsie. Fantomowe odczucia kłują, gniotą, szarpia całym jej ciałem.

– No co tak się gapisz, cipo! – krzyczy zachrypłym głosem okularnik. – Zrób coś, bo ten twój pojebany szmaciarz zaraz mnie zjara!

Dziewczyna zaciska powieki. Gdy je otwiera, demony znikają. Już rozumie, co musi zrobić, żeby odeszły na dobre. Już wie, że właśnie tak musi być.

Podchodzi do chłopaka i bierze od niego kanister. Zaczyna wylewać jego zawartość na okularnika. Powoli, metodycznie, od stóp w kierunku głowy. Płomień leniwie wędruje do góry. Nigdzie mu się nie śpieszy – przecież nic go nie zatrzyma. Okularnik wrzeszczy i wierzga. Pęto na szyi się zaciska. Ogień robi swoje. Nasiąknięte ubranie pali się już na całej powierzchni. W powietrze unosi się odór spalenizny. Okularnik wyje i błaga o litość.

Nagle chłopak zaczyna płasać i skakać jak północnoamerykański Indianin wokół ogniska. Śpiewa, a raczej wydaje z siebie niezrozumiałe dźwięki, śmiejąc się wniebogłosy. Dziewczyna patrzy na niego. Okularnik przypomina już płonącego manekina, z którego spływają płaty stopionego plastiku. Unosi ręce i zastyga w tej pozie. Języki ognia z płonącego siana docierają do ściany stodoły. Pomieszczenie zaczyna wypełniać gęsty, biały dym.

Dziewczyna bierze chłopaka za rękę i wyprowadza na zewnątrz. Gdy są już na drodze, kilkaset metrów od stodoły, odwraca głowę. Kula ognia rozjaśnia horyzont. Po chwili mija ich wóz strażacki. Czerwone i niebieskie światła roztaczają nad nim hipnotyczną lunę.

ROZDZIAŁ 47

Katowice, 16.05.2015

Kroki były coraz bardziej wyraźne. Podczas gdy jedne nogi, widoczne tylko do wysokości kolan, pozostawały nieruchome, te drugie stąpały głośniejsze i głośniejsze. Tup tup, tup tup, tup tup – ktoś szybkim, sprężystym krokiem zbiegał z kamiennych stopni. Gdy ostatnie tupnięcie rozległo się tuż obok, dźwięk ucichł.

Ktoś kucnął obok jego głowy, nachylił się nad nim. Walter zobaczył rząd zębów okolonych gęstym czarnym zarostem i błyszczące oczy. Instykt ameby podpowiedział mu, że to nie są dobre oczy, że powinien się ich bać, a najlepiej będzie, jeśli zdoła od nich uciec, najdalej jak tylko może. Zacisnął powieki i natychmiast poczuł błogą ulgę. Potem zamrugał kilka razy w nadziei, że ten zabieg, niczym mechanizm przesuwający slajdy w projektorze, usunie nieprzyjemny obraz. Nie podziałało – włochata gęba wciąż nad nim wisiała, złe oczy świdrowały go na przestrzał. Tym razem na dobre opuścił powieki. Czego nie widać, nie istnieje. Zapadając w narkotyczny sen, poczuł słodycz bezpieczeństwa.

– Wszystko przygotowane?

– Zgodnie ze zleceniem. Nie biorę kasy za fuszerkę – odparł Posner.

– Jak długo to będzie działać?

– Wystarczająco. A jeśli trzeba, to go dopompujemy. Bez obaw, mam w tym spore doświadczenie. Można powiedzieć, że w branży chemii rozrywkowej moja firma ma tytuł lidera innowacji. – Uśmiechnął się, widząc badawcze spojrzenie tamtego.

– Renoma cię wyprzedza, więc pewnie tak jest. – Twarz mężczyzny wygięła się w grymasie, który w zamierzeniu miał odwzajemnić uśmiech.

– Musimy go stąd wynieść – stwierdził Posner.

– Myślałem, że pobranie będzie tutaj.

– Z wielu względów to nie jest dobre miejsce. Poza tym cała reszta jest już przygotowana tam, gdzie go przewieziemy.

– Czyli?

– Jak dobrze znasz to miasto?

– W ogóle. – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Więc po prostu mi zaufaj. Wszystko będzie, jak ma być. A teraz pomóż mi, bo sam nie dam rady go wynieść.

Najpierw poczuł pod plecami ucisk, wędrujący od pośladków w stronę karku. Za nim przyszedł kolejny i kolejny, jakby ktoś przeciągał go po gigantycznym kole zębatym. Głowa uderzała rytmicznie w każdy ząb – łup, łup, łup. Pomyślał, że otworzy oczy i sprawdzi, czy może coś zrobić z tym dyskomfortem, lecz zaraz zrezygnował z tego pomysłu. Patrzenie jest złe. Lepiej nie patrzeć, bo wtedy oni też widzą. A jak będą widzieć, to znów przyjdzie lęk. Lęk jest zły. Bez lęku jest lepiej, bezpieczniej. Postanowił więc poddać się bolesnemu masażowi kamiennych stopni schodów w nadziei, że prędzej czy później to się skończy.

Potem usłyszał skrzypnięcie, długie i pełne kruszącej się rdzy, zawodzące przestrzennym jękiem. Wpełzało mu przez uszy do mózgu niczym wąż penetrujący trzewia padłego truchła. Stalowe drzwi trzasnęły dudniącą wibracją dzwonu z wieży Notre Dame i rzucono go, niczym worek kartofli, do jakiejś budy, w której pachniało spalinami, smarem i gumą. Trzasnęły kolejne drzwi i głębokim basem zahuczał silnik. Po drodze trzęsło i bujało, samochód podskoczył parę razy na nierównej nawierzchni, ale nie przeszkadzało mu to. Wciąż miał zamknięte oczy. Pod powiekami roztańczyły się białe światła. Nie wiedział, że biel może mieć tyle odcieni – wylewały się znikąd nieskończonym strumieniem, a każdy był inny, każdy niepowtarzalny. Ach, jak by chciał móc je nazwać! Jak by chciał móc o nich opowiedzieć, podzielić się nimi. Z Joanną! Z nią i z nikim innym. Tylko jej chciałby podarować cząstkę tej rozkoszy i tylko od niej chciałby ją otrzymać. Dałby jej trochę światła na czoło – piękne, wysokie, okolone linią gęstych kasztanowych włosów, na głębokie, pełne ciepła i miłości oczy, na ramiona – zawsze tak dumnie wyprostowane. Wmasowałby trochę tego światła w zagłębienia pomiędzy barkiem a obojczykiem, wlałby jego roziskrzony nektar między lekko rozchylone wargi i patrzyłby, jak spływa, obmywając świetlicie perły jej drobnych zębów...

A co dla mnie, kochany? – szepnął jakiś głos za uchem. Alicja... Gdzie byłaś, Alicjo? Dlaczego o tobie zapomniałem? Ty, która byłaś od początku i zawsze obok, ty, która nie pozwoliłaś utonąć i uratowałaś mężczyznę, ty, z którą chciałem na zawsze i do końca... Jestem, szepnęła, jestem tuż obok. Nie czujesz mnie? Powiedz...

Światła spłynęły kolistymi falami i zalały podłogę, na której leżał. Węze strumieni wiły się między jego kończynami, wpełzając na uda, brzuch i piersi. Nagle wszystko zaczęło wrzeć, burzyć się i bulgotać. Poczł intensywny zapach wanilii; słodki, duszny i ciężki. Oplatał mu głowę, drażył nozdrza, chwycił za gardło i piersi. I nagle zniknął, pozostawiając po sobie ciepło. Przyjemnie rozkoszne ciepło, rozlewające się po klatce piersiowej, przyjemnie drażniące sutki, wchodzące gorącymi, delikatnymi dłońmi w pachwiny, obejmujące aksamitnym

dotykiem męskość, sunące po niej w górę i w dół, w górę i w dół... Dobrze ci? – zapytała szeptem. Dobrze, tak dobrze, tak bezpiecznie... A co ze mną, kochany? Zostawiłeś mnie? Zapomniałeś? Nie! Jak mógłbym cię zapomnieć, Joanno, Joasiu! Och... oj... tttakkk.... tak, jak dobrze! Szarpnął lędźwiami i opadł bezwładnie. Oddychał głęboko, dysząc ze zmęczenia. Pod zamkniętymi powiekami gałki pląsały w narkotycznym, szalonym tańcu świętego Wita. Po chwili oddech się uspokoił, spłynął. Walter zapadł w prawdziwy sen.

ROZDZIAŁ 48

Katowice, 16.05.2015

Ty, 07 zgłoś się, kurwa! – Ktoś klepał go po policzku, potem chwycił za podbródek i potrząsnął głową. – No, budź się, psie! – nie dawał za wygraną.

Walter spróbował unieść powieki. Na próżno. Kręciło mu się w głowie, w ustach czuł palącą suchość. Gdy chciał odchrząknąć, przełyk zapiekł boleśnie. Wszystko wewnątrz było posklejane i suche. Każdy ruch grdyki wywoływał też odruch wymiotny. Spróbował poruszyć rękoma – bez skutku, z nogami było podobnie. Siedział na jakimś krześle i był skrupowany. Szarpnął ciałem, na tyle, na ile zdołał – też bez efektu. Krzesło ani drgnęło. Albo był za słaby, albo to, na czym siedział, było zakotwiczone do podłogi.

– Pić, daj pić – z jego gardła dobył się sycząco-świszczący głos.

Usłyszał kroki. Po chwili ktoś chwycił go jedną ręką za żuchwę, uciskiem rozwierając szczęki, a drugą zaczął mu wlewać w usta zimną, wręcz lodowatą wodę. Pił łapczywie, starając się nie zakrztusić. Woda spływała mu po policzkach i szyi, wlewała się za koszulę. I mimo że każdy łyk, każdy ruch krtani wywoływał ten straszny ból, nie chciał przestać, pragnął więcej i więcej.

– Dobra, wystarczy, bo jeszcze ci się uleje – zarechotał mężczyzna i odjął butelkę.

Walter dyszał, oblizując spierzchnięte wargi. Tym razem powieki posłuchały i udało mu się je nieco unieść.

– Wyglądasz jak ćpun, który właśnie wrócił z tripa! – zadrwił mężczyzna.

– Kim jesteś? – zapytał Walter, próbując wyostrzyć pole widzenia. W głowie wciąż mu szumiało i czuł nieprzerwane mdłości, ale z każdą sekundą dyskomfort ustępował.

– Nie poznajesz mnie, ptysiu? – Mężczyzna przykucnął.

Gdy Walter spojrział na jego twarz, przez mgnienie oka poczuł irracjonalny, paniczny strach. Podświadomie wyczuł, że przeżywał coś takiego całkiem niedawno, i choć teraz to uczucie ledwo go musnęło, pozostawiło po sobie jakiś niezrozumiały niepokój. Zaraz potem świadomość Waltera cofnęła się w czasie – głębiej i gdzieś daleko stąd. Był wśród ludzi, ale jednocześnie zupełnie sam. Ktoś wyrwał go z jego samotni, usiłując wypchnąć z powrotem do kobiet i mężczyzn o wilgotnych ciałach, prowadzących miałkie dyskusje o wszystkim i o niczym, cuchnących mieszaniną perfum, potu, tytoniu i alkoholu. Wyszedł wtedy gdzieś, żeby ochłonać, zaczerpnąć świeżego powietrza i usłyszał krzyki... Tak... już pamiętał. Wszystko wróciło. Drohiczyn, przyjęcie u Karoliny Koszyńskiej i gnój

okładający pięściami dziewczynę w ogrodowej altance.

– To ty. – Głos Waltera był opanowany i spokojny.

– Tak, to ja – potwierdził brodaty młodzieniec. – Widzę, że pamięć ci wraca.

– Mało ci było ostatnio? Szukasz kolejnego guza? – Komisarz starał się rozruszać uwięzione nadgarstki.

– Kozak jesteś, muszę przyznać. Siedzisz na tym tronie, skrępowany jak rolmops, ale wciąż fikasz. No, no! – Facet pokręcił głową. Trudno było stwierdzić, czy chce okazać podziw, czy niedowierzanie, a może jedno i drugie zarazem.

Na tyle, na ile sytuacja pozwoliła, Walter rozejrzał się wokół. Przytłumione rurkowe jarzeniówki rzuciły trupio blade światło na pomieszczenie, które w pierwszym odruchu skojarzyło się mu z salą operacyjną w szpitalu, takim sprzed kilkadziesiąt lat, jakie widywał w filmach. Podłoga była wyłożona brudnymi, popękаныmi płytkami, taka sama pożółkła terakota do połowy pokrywała ściany. W rogach sali na ciężkich, pomalowanych farbą olejną stojakach rozstawiono lampy operacyjne. Ich okrągłe czasze przypominały oko gigantycznej ważki z dziesiątkami soczewek, gotowych do rozbłysnięcia. Dostrzegł też przeszkloną szafę, a w niej buteleczki różnej wielkości i kształtu, słoiki z jakimiś proszkami, kolby, kolumny destylacyjne, palniki i stojaki z probówkami oraz owalne kuwety ze stali nierdzewnej z jakimiś przyrządami. Po przeciwległej stronie sali stał fotel, a po obu jego bokach – dwa statywy. Widząc charakterystyczne, umocowane na przedłużeniu siedziska podkolanniki, Walter zorientował się, że patrzy na fotel ginekologiczny, ale to nie on wzbudził w nim niepokój. Najgorsze skojarzenia wywołały obiektywy dwóch kamer – skierowane wprost na specjalistyczne siedzisko.

– Jak ci się podoba? Muszę przyznać, że tutejsze chłopaki to zajebicie kreatywne bestie – zauważył brodac, tym razem z niekłamanym uznaniem. – Zrobili tu małe studio filmowe, w którym kręcą kino, jak by to powiedzieć... – Na jego czole pojawiła się pionowa bruzda. Zaczął pocierać skroń dwoma palcami. – ...artystyczne? Nie, nie artystyczne. Już wiem! – Klasnął dłonią w udo. – Niszowe, kino niszowe dla bardzo wymagającego widza.

– Widzę, że rajcuje cię to jak żuka kulka gówna. Zaraz sobie osmarkasz z podniety ten busz na ryju. Ale nadal nie wiem, po co mi to mówisz. – Komisarz spojrzał na zarośniętego młodzieńca z nieukrywaną pogardą.

Mężczyzna zbliżył się na odległość wyciągniętej ręki i na odlew uderzył go w twarz. Walterowi zadzwoniło w uchu; poczuł słodkawy smak krwi. Do piekącego policzka wkrótce dołączył pulsujący ból rozciętej wargi.

– Trochę szacunku, kundlu – wysyczał brodac. – Nie zmuszaj mnie, żebym sobie tobą brudził ręce. Poza tym obiecałem chłopakom, że dostaną cię świeżutkiego jak szczypiorek na wiosnę.

– Jakim chłopakom? Co ty bredzisz? – zapytał Walter, ponownie

sprawdzając moc kłępujących go pasów.

– Jest paru takich, którzy czekają na ciebie z wytęsknieniem.

– Skończ, proszę, pierdolić jak potłuczony, bo już mnie mdli od tych pozerskich dyrdymałów, i mów jak człowiek – odpalił Walter, wywołując u agresora kolejną falę gniewu. – Czekaj, niech skończę! – powiedział szybko, widząc, że drwał szykuje się do drugiego strzału. – Mogę?

– Mów – odparł tamten po chwili. Widać było, że ciekawość pokonała furję. – Tylko jeszcze raz mnie obraź, to wsadzę ci w dupę którąś z tych zabawek! – dodał, wskazując na kuwetę z narzędziami chirurgicznymi.

– Zobaczyłem cię, jak okładasz tamtą dziewczynę. Nie wiem, o co wam poszło, ale tak się nie robi. – Komisarz ze wszystkich sił starał się zachować spokój. – Prosiłem, żebyś przestał, nie posłuchałeś, no i doszło do rękoczynu. Sorry, taki już jestem. Ale rozumiem też, że nosisz urazę. Ostatecznie sponiewierałem cię na oczach laski. Sam bym się wkurzył, uwierz mi. To, czego nie rozumiem, to cała ta sytuacja. Taka szopka z powodu jednego incydentu? Przecież to, kurwa, zakrawa na jakąś farsę! Tyle zabiegów, żeby mnie dorwać? – Walter pokręcił głową.

– Masz rację, nie rozumiesz. Ale zaraz wszystko pojmiesz. – Z tonu głosu brodacza zniknęła kpiarska poza. – Gdyby chodziło tylko o mnie, wynająłbym jakiegoś cyngla, który wpakowałby ci pół magazynka w łeb, i byłoby po sprawie. I wiesz co? Gadałem już z takim jednym, ale jak się dowiedział, o kogo chodzi, to po paru dniach z pierdła w Strzelcach Opolskich dostałem zaproszenie na widzenie z kimś, komu się nie odmawia. Wiesz, kogo mam na myśli?

– Miotła?

– Bingo! Wygrałeś toster i wycieczkę do Lichenia. – Brodacz wyciągnął w kierunku Waltera palec wskazujący.

– Co słyhać u tego skurwiela?

– Ma się bardzo dobrze. Wygląda na to, że nic nie trzyma przy życiu tak jak zdrowa i czysta nienawiść. A tej u pana Miotły jak piasku na Saharze. Okazuje się, że ma z tobą jakieś porachunki. Swoją drogą nie pojmuje, dlaczego wszystkich tak wkurwiasz? Ale nieistotne. Macie więc na pieńku i jak Miotła dowiedział się od cyngla, że wyhodowałeś sobie kolejnego wroga, zaproponował mi bardzo intratny deal: masz wylądować w pierdłu. On już się postara, żeby to był ten sam dołek, w którym przesiaduje. A ja nie dość, że się zemszczę, to jeszcze zarobię ładną kasę. Jak mówiłem, Miotła ma sporo kontaktów, wszędzie ktoś dla niego pracuje, i wyobraź sobie, że doskonale wiedział o twoim przyjeździe na Śląsk. Z jego polecenia dojście do Posnera było już tylko formalnością. W ten sposób Miotła dostanie swoje, ja wygram w dwójnasób, Posner zarobi i pozbędzie się wrzodu na dupie, a ty możesz szykować swoją, jak Miotła dostanie cię w swoje ręce. Nieźle, co? – Mężczyzna uśmiechnął się cynicznie i poklepał Waltera po policzku.

Komisarz zacisnął zęby i wziął kilka głębokich oddechów. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że powinien wtedy wykończyć bydlaka – nie trafiłby tu dzisiaj. Być może teraz byłby już na wolności, może na warunkowym, może po apelacji, na pewno jednak nie byłby policjantem. Może, co prawdopodobne, odpłynąłby do krainy wiecznej szczęśliwości na falach żołądkowej, ale przynajmniej kilku innych by żyło. Tych, którzy zginęli w wyniku intrygi uknutej przez chorego z nienawiści człowieka. Potwora, który wciąż się nie nasycił nektarem zemsty, choć zabrał mu już wszystko, co miał najcenniejsze – żonę i córkę. Później próbował odebrać mu życie. Nie udało mu się. Na co teraz się łąsi? Na godność? Człowieczeństwo? Chce mu wyrwać duszę w więziennym piekle? Co tych dwóch wymyśliło? Jaki chory plan wykuł się w ich głowach?

– Zastanawiasz się pewnie, co się teraz stanie? – Brodacz jakby czytał mu w myślach. – Dowiesz się już niedługo. A teraz posiedź tu trochę i porozmyślaj o życiu, które właśnie mówi ci: „pa, pa”. – Pomachał ręką i nasunął czarną foliową torbę na głowę swojej ofiary.

W pierwszej chwili Walter pomyślał, że facet owinie dół worka taśmą klejącą wokół jego szyi i najzwyczajniej go udusi. Nic takiego jednak się nie stało. Po chwili usłyszał odgłos oddalających się kroków. Ile czasu minęło, zanim znów zasnął, nie wiedział. Mogło to być zarówno kilkanaście minut, jak i godzina. Odurzony narkotykami spał jednak na tyle twardo, że nie usłyszał, jak do pomieszczenia ktoś wszedł. Nie słyszał odgłosów wydawanych przez kręcących się obok niego ludzi ani hałasu, który robili, przenosząc i rozstawiając jakieś sprzęty. Ocknął się dopiero, gdy bezpardonowo zerwano mu z głowy worek i w rozespiane oczy uderzyła go fala ostrego, białego światła.

ROZDZIAŁ 49

Katowice, 16.05.2015

Początkowo obraz był zamazany. Ostre, tańczące w tle światło załamywało się, nie pozwalając na rozpoznanie tego, co działo się przed nim. Odruchowo chciał unieść ręce, aby przetrzeć oczy, lecz te nadal były uwięzione w stalowych obejmach, przymocowanych do podłokietników fotela, na którym go posadzono. Ogólne odrętwienie i ból kręgosłupa świadczyły o tym, że jest w tej pozycji od czasu, gdy znalazł się w tym ponurym pomieszczeniu. Z braku innych możliwości kilka razy mocno zacisnął powieki, usuwając nadmiar łez. Powoli odzyskiwał ostrość widzenia.

Pierwsze, co dostrzegł, to źródło światła, skupionego na części pomieszczenia z ginekologicznym fotelem. Były to owadookie lampy zabiegowe, rozstawione po obu stronach tej prowizorycznej sceny. Chwilę później jego wzrok spoczął na samym fotelu, który stanowił centralny element dziwacznej scenografii. Jednocześnie gdzieś w tyle głowy, w świadomości równoległej do tej, która analizowała otaczającą go przestrzeń, zastanawiał się, czym go naszprycowano, że co rusz zapada w sen tak głęboki, że skutecznie odcina go od rzeczywistości, aby w kilka chwil po przebudzeniu być zupełnie trzeźwym i zdolnym do oceny sytuacji. Przypominało to jazdę rollercoasterem, który wspina się na szczyt, by zaraz z zawrotną prędkością polecieć w dół.

Ponownie skupił uwagę na fotelu ginekologicznym. Jego obecność w tym ponurym pomieszczeniu, w świetle lamp i stojących po bokach kamer, wzbudzała w nim więcej niż niepokój. Jednak tym, co postawiło wszystkie włoski na ciele policjanta, było dodatkowe wyposażenie: podłokietniki, podkolanniki, oparcie i zagłówek fotela były wyposażone w skórzane troki. Ponadto pod siedziskiem, na specjalnym wysięgniku, umocowano misę z białej emaliowanej stali. Jej powierzchnię tu i ówdzie pstrzyły czarne odpryski, a wewnątrz zabrudzone było brunatnymi, nieregularnymi zaciekami. Na spodzie miski zamontowany był odpływ, zakończony króćcem mniej więcej jednocalowej średnicy. Od króćca odchodził wąż, którego koniec ginął gdzieś w ciemnym rogu pomieszczenia.

– Jak ci się podoba nasze małe studio filmowe? – za plecami usłyszał znajomy głos.

– To twoje hobby? – zapytał Walter, odwracając głowę w kierunku jego źródła. – Taka odskocznia od handlu prochami? Siadasz na tym fotelu, drugi koleś ładuje ci w dupę, a potem oglądacie to razem, popijając koniak przy blasku kominka? Lubisz pan tak, panie Posner?

– Fidel wspominał, że masz tupet, ale szczerze mówiąc, mnie to nie rusza.

– Fidel? – Walter parsknął śmiechem. – Che Guevara też gdzieś jest?

– Żebyś wiedział, że taką ma ksywkę. A wracając do ładowania, to w pewnym sensie masz rację – zabawiłem się z kimś kiedyś na tym foteliku, z tą jednak różnicą, że to ja pakowałem, a ona była w pozycji półhoryzontalnej. Zresztą, co ci będę opowiadał. Wkrótce sam zobaczysz i posmakujesz tych przyjemności.

Walter nie odpowiedział. Jego umysł analizował dziesiątki scenariuszy perwersji, którym mogli go poddać. Każda z nich w przebiegu i efekcie końcowym, w dodatku nagrana kamerą i upubliczniona, mogła stanowić doskonale narzędzie zemsty, satysfakcjonujące chory umysł. Wynaturzony film z nim w roli głównej mógł mu zniszczyć karierę, choć na niej akurat już od dawna niespecjalnie mu zależało, ale w jaki sposób miało go to doprowadzić przed sąd i skazać na odsiadkę? Co takiego miałyby się tu wydarzyć? Czym chcieli go obciążyć na tyle skutecznie, by wpadł w łapska Miotły?

– Możecie mnie znów naszprycować i nakręcić ze mną jakieś perwersyjne gówno. Zwisz mi to – odezwał się po dłuższej chwili. – Zresztą i tak do niczego mnie nie zmusicie, więc raczej nie będzie w tym wiele akcji.

– A kto powiedział, że będziesz do czegokolwiek zmuszany? – Posner uniósł rękę w geście poddania.

Do uszu Waltera dotarł dźwięk otwieranych i zaraz potem zamykanych drzwi. Po chwili dostrzegł brodatego młodzieńca, który niósł kogoś na rękach. Gdy zorientował się, kto to jest, pociemniało mu przed oczami, a w uszach zadudniła pulsująca krew.

– Co chcecie z nią zrobić? Zresztą nie, nie chcę wiedzieć. Po prostu dajcie jej spokój, a ze mną zróbcie, co chcecie – zwrócił się do Posnera. W jego oczach po raz pierwszy pojawiła się niepewność.

– Zrobimy to, co chcemy, zapewniam cię – odparł gangster, po czym zwrócił się do Fidela: – Na fotel z nią. Musisz ją przygotować.

Brodacz ułożył Luizę na fotelu. Dziewczyna była półprzytomna i majaczyła pod nosem. Powolnym i monotonnym ruchem, jak lalka nakręcana sprężyną, kręciła głowę w lewo i prawo. Miała zroszone potem czoło i wodziła wokół błędnym wzrokiem. Jej włosy były w nieładzie, miała poplamioną bluzkę, a na przegubie jej ramienia Walter dostrzegł wkłuty w żyłę wenflon.

Brodacz nachylił się nad Luizą i zaczął rozpinać jej spodnie.

– Co robisz, kurwa?! Zostaw ją! – krzyknął komisarz. – Posner, dogadajmy się, zrobię, co... – Nie dokończył. Posner uderzył go w twarz i wykorzystując chwilę zamroczenia, wepchnął mu w usta zwiniętą w gałgan szmatę.

– Teraz musisz być cicho, bo będziemy kręcić bez postsynchronów – powiedział, klepiąc zakneblowanego Waltera po policzku.

Fidel, gdy już uporał się z džinsami Luizy, odrzucił je na bok, po czym obiema dłońmi chwycił jej majtki i zdarł je jednym mocnym szarpnięciem. Uniósł podartą bieliznę pod światło lampy i zaczął oglądać niczym trofeum. Następnie zwinął, przyłożył sobie do nosa i zaciągnął się głęboko.

– Ech! – sapnął z rozkoszą. Schował majtki do tylnej kieszeni spodni i lubieżnym wzrokiem zaczął się gapić na krocze dziewczyny.

Luiza patrzyła niewidzącym wzrokiem na Waltera. Wydało mu się, że spod zamglonego narkotykami spojrzenia przedziera się wołanie o pomoc. Musi coś zrobić, coś wymyślić. Nie może dopuścić do tego, co tamci chcą z nią zrobić. Cokolwiek miało to być.

Wykorzystując chwilę, gdy Posner skupił uwagę na brodaczu, ponownie omiół wzrokiem pomieszczenie. Po prawej stronie, w odległości mniej więcej dwóch metrów, dostrzegł stolik, na którym leżała skrzynka narzędziowa. Powinien znaleźć w niej coś, czym będzie mógł zrobić im krzywdę. Tylko jak się tam dostać? Spojrzał na swoje nadgarstki, uwięzione w obręczach. Były zamocowane na sztywno. To dobrze, pomyślał. Kiedyś, jako nastolatek, robił ten numer. Zakładał się z kolegami, że uwolni dłoń ze stalowej obejmy, którą zrobił razem z Kostkiem. Przygotowali ją tak, aby nie krępowała nadgarstka za mocno, ale na tyle ściśle, że każdy wierzył w jej skuteczność. Już po przecięciu zakładu smarował dłoń wazeliną – cieniutką warstewką, aby nikt nie dostrzegł fortelu – po czym, gwałcąc kości i chrząstki śródręcza, ku uciesze gawiedzi, a zmartwieniu inwestorów, uwalniał się ze stalowego uścisku. Zwykle przez kilka dni po takim numerze nie był w stanie nic zrobić lewą dłonią, ale w końcu wszystko wracało do normy. Wtedy miał lat kilkanaście, był wysportowany i gibki. Dzisiaj, sporo po czterdziestce, z zeszywniałymi stawami, z kośćmi pozbawionymi części wapnia i fosforanów, musiał zrobić ten numer jeszcze raz. Zaczął intensywnie zginać i prostować palce lewej dłoni. Musiał ją rozgrzać, jeśli miał mieć choć cień szansy.

Znowu trzasnęły drzwi. Walter wytrzeszczył oczy. Na moment zapomniał o swoich planach. Do makabrycznego studia filmowego, ubrany we włochate wdzianko, dysząc jak po stumetrowym sprincie, z obłędem w oczach i czerwonym nosem, wkroczył aspirant Szutkowski. Trzymał coś pod pachą. Komisarz dopiero po chwili zorientował się, że to wielki łeb psa Pluto i że z tyłu wdzianka Szutkowskiego dynda wielki psi ogon.

– Świetnie! – Posner klasnął w dłonie. – Skoro jesteśmy w komplecie, możemy zaczynać. – Fidel, pośpiesz się, bo ten idiota – wskazał na Szutkowskiego – wciągnął tyle koksu, że zaraz go rozerwie. Ja tymczasem zapoznam naszego gościa ze scenariuszem.

Rzeczywiście Szutkowski wyglądał, jakby miał wyjść z siebie – miał zaciśnięte szczęki i zgrzytał zębami. Jego przyrodzenie musiało być w pełnym wzwodzie, gdyż psie wdzianko w okolicach krocza napięło się do granic

możliwości.

– Więc tak – zaczął Posner – ten tutaj – wskazał na Szutkowskiego – zerźnie twoją siostrzenicę. Uparł się na ten kretyński kostium, twierdząc, że bez tego mu nie stanie. Debil! – roześmiał się w głos. – Ale to nie wszystko, w zasadzie to dopiero początek spektaklu – kontynuował w manierze artysty prezentującego swój happening. – Widzisz pętlę, którą Fidel właśnie zakłada jej na szyję? Spójrz w górę, o tam. – Wskazał na skomplikowany zestaw bloczków i zacisków szcękowych podwieszonych u sufitu. – Tak to wykombinowaliśmy, że jak ten zwierz będzie ją stukać, to z każdym pchnięciem pętla na jej szyi będzie się zaciskać. Jeśli zbok szybko nie skończy, pannie oczy wyjdą na wierzch – zarechotał, rozbawiony własnym dowcipem.

Walter kiwnął głową. Wyglądał na spokojnego, bez poprzedniego błysku szaleństwa w oczach.

– Chcesz coś powiedzieć? – zapytał Posner. – Będziesz spokojny? – Spojrzał Walterowi w oczy. – Dobrze, masz jedną szansę – stwierdził i wyjął mu szmatę z ust.

– Po co to wszystko? – Z kącików ust komisarza spływała ślina, nagromadzona wcześniej pod kneblującą szmatą. – Zrobisz *snuff movie* z dziewczyną, ale jaka jest moja rola? – spytał, pracując zawzięcie lewą dłonią.

– Nie doceniasz możliwości współczesnej sztuki filmowej. – Posner zaakcentował słowo „sztuka”.

– Oświeć mnie.

– Widzisz kamerę po prawej stronie? No przecież, że widzisz, ślepy nie jesteś. – Walter wzruszył ramionami. – Więc ta kamera ujmie buźkę i szyję naszej drogiej Luizy oraz dolną część ciała naszego Pluto. W kadrze drugiej natomiast – gestem głowy wskazał na kamerę ustawioną bliżej fotela – znajdzie się górna część tego idioty. Później, gdy będzie już po wszystkim, zmontujemy nagranie tak, żeby w miejscu głowy Szutkowskiego znalazła się twoja facjata. Uprzedzając twoje ewentualne wątpliwości, zaznaczę, że nikt nie będzie w stanie stwierdzić, że to montaż.

– Muszę cię uprzedzić, że marny ze mnie aktor – odparł Walter. – Nie licz na to, że moja twarz odda cokolwiek, co można by skojarzyć z podobną sytuacją. Jakkolwiek perfekcyjnie to zmontujecie.

– O to się nie martw. – Posner lekceważąco machnął ręką. – Dla pełnego efektu wesprzemy się zdobyczą współczesnej chemii. Muszę ci się pochwalić, że mój Heisenberg jest znacznie lepszy od tego z serialu 11. Robi takie cuda, że bez krzty talentu aktorskiego odegrasz rolę swojego życia. Sam uwierzysz, że brałeś w tym udział. A wisienką na torcie będzie to. – Gangster sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zakorkowaną probówkę z płynem o białym, przechodzącym w bladą żółć kolorze.

Walter w jednej sekundzie doznał olśnienia. Przeżyte w malignie dusznego, narkotycznego snu wspomnienie wróciło z całą mocą. Zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia.

– Oksana obrabiała cię tak finezyjnie, że aż zazdrość człowieka brała – kontynuował Posner z szerokim uśmiechem. – Widząc twoją zadowoloną minę, zastanawiałem się, czy samemu tego nie spróbować!

– Możemy zaczynać – oznajmił Fidel. – Panna gotowa, czeka na oblubieńca.

Walter spojrzął na Luizę. Wciąż była otumaniona. Jej nadgarstki przywiązano do podłokietników fotela, podobnie jak nogi – na szeroko rozsuniętych podkolannikach. W międzyczasie brodacz musiał zedrzeć z niej resztkę odzienia, gdyż była kompletnie naga. Na szyi, zgodnie z zapowiedzią Posnera, miała założone coś w rodzaju obroży, od której odchodziła stalowa linka. Szutkowski, który w międzyczasie gdzieś zniknął, pojawił się ponownie. Stał przed Luizą i zaczął się na nią gapić. W jego oczach pląsał obłęd zmieszany ze zwierzęcym pożądaniem. Sięgnął w okolice rozporka i oczom Waltera ukazał się zwiędły i pomarszczony penis. Szutkowski spojrzął na niego i wyszczerzył zęby niczym pies gotowy do ataku. Potem, zadzierając głowę, zawył przeciągle i zaczął się wściekle masturbować.

– Pieskowi opadła fujara – zauważył z niepokojem Fidel.

– Bez obaw. Zaraz ją uruchomi. – Posner poklepał brodacza po plecach i stanął za jedną z kamer. – A ty się pośpiesz, bo akcja może się w każdej chwili zacząć.

Gdy obaj stanęli za kamerami, Walter postanowił przejść do kolejnego punktu swojego planu. Miał nadzieję, że wystarczająco rozruszał kości i chrząstki, by zwilżona potem dłoń wysliznęła się z uwięzi. Wyprostował palce, z całej siły ścisnął dłoń i zaczął nią kręcić to w jedną, to w drugą stronę, jednocześnie ciągnąc ramię w stronę oparcia fotela. Czuł, jak stalowy rant obejmy rozrywa mu skórę, wręcz słyszał chrzęst miażdżonych kości śródrezcza. Potworny ból, jakby wsadził dłoń w otchłań rozpalonego pieca, promieniował przez ramię do podstawy czaszki. Z rozerwanej skóry zaczęła płynąć strużka krwi, lecz ręka wciąż tkwiła w okowach. Musiał przestać. Na moment, na krótką chwilę, aby odetchnąć i zapanować nad bólem. Bał się, że jeśli nie przerwie, mimowolnie wrzaśnie, skupiając na sobie uwagę oprawców.

– Myślicie, że łyknę waszą bajkę, bo znajdą w niej mój materiał genetyczny? Uwierzą, że zgwałciłem i w wymyślny sposób udusiłem własną bratanicę? – zapytał, starając się, aby jego głos nie zdradził cierpienia.

– Nie myślimy, jesteście przekonani. – Posner nawet się nie odwrócił, gdyż Szutkowski właśnie zaczął się dobierać do Luizy. – Z twoją alkoholową przeszłością, z udokumentowaną agresją i mieszkanką dragów, które znajdują w twojej krwi, sąd nie będzie miał najmniejszych wątpliwości. Po prostu – chory

świr w pijackim widzie i narkotycznym haju zgwałcił i zamordował własną bratanicę.

Luiza jęknęła. Walter z przerażeniem stwierdził, że Szutkowski przeszedł do czynów. Powoli, acz zdecydowanie uderzał biodrami w pośladki dziewczyny. Z rozchylonych ust ciekła mu strużka śliny, kapiąc ciągnącymi się kroplami na nagi brzuch ofiary. Dłońmi brutalnie miętolił jej piersi. Luiza wydawała jęczące westchnienia, słabnące z każdym pchnięciem bioder Szutkowskiego. Chory wynalazek Posnera bez wątpienia zaciskał się na jej szyi – skóra jej twarzy była coraz bardziej przekrwiona, a rozchylone usta łapały powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Walter uświadomił sobie, że ma coraz mniej czasu. Jeśli zaraz czegoś nie zrobi, dziewczyna umrze. Zacisnął zęby, wziął kilka głębokich oddechów i szarpnął ręką do tyłu. Pod wpływem bólu bezwarunkowo popuścił mocz, czego sam nie był świadomy. Krew, płynąca obficie z rozerwanej skóry, zmieszana z potem zadziałała jak naturalny smar. Bliski omdlenia, w końcu wyszarpnął dłoń z obręczy.

Oczy zalewał mu pot, mocz spływał nogawkami spodni na posadzkę. Tłumiąc zwierzęcy wrzask, Walter rozprostował zmasakrowaną dłoń. Wiedział, że niezwykle trudno będzie mu użyć jej do oswobodzenia drugiej, wciąż tkwiącej w okowach. Drżącymi palcami ujął skobel blokujący obręcz i pociągnął. Niestety – bez skutku; skobel wyśliznął się z zakrwawionych palców. Spróbował ponownie – to samo. Przez tętniące w uszach fale krwi i bólu słyszał, jak Szutkowski rzeźi i sapie. Luizy już nie słyszał. Przez lzy widział jej spuchniętą, czerwoną twarz i wytrzeszczone oczy. Jej ciało drgało rytmicznie z każdym pchnięciem bioder gwałciciela. Nie reagowała. Posner i Fidel wciąż filmowali.

Nie zdążyłem, pomyślał Walter. W tej chwili zapragnął tylko jednego: rzucić się na nich i zębami rozerwać im gardła, wyrwać tchawice i poczekać, aż szczeną we własnej krwi i odchodach. Wsunął mokrą od krwi dłoń pod pachę uwięzionej ręki, osuszając nieco palce z krwi, i ponownie ujął skobel. Powoli, jakby z niezłomnym uporem, skobel ustąpił. Uwolnioną ręką Walter oswobodził nogi i natychmiast doskoczył do skrzynki z narzędziami.

Najbliżej był Posner. Śrubokręt wszedł w jego skroń jak w masło. Po samą rączkę.

Wtedy zgasło światło.

Padły dwa strzały. Kamery, które automatycznie przestawiły się na filmowanie w podczerwieni, rejestrowały leżącego w kałuży krwi Posnera – i Szutkowskiego, który bezwładnie osunął się na podłogę, z głową zaklinowaną między udami Luizy. Fidel, z wlotową dziurą w potylicy i połową twarzy oderwaną od czaszki, leżał na wznak w konfiturze z własnego mózgu.

11 Werner Karl Heisenberg – niemiecki fizyk teoretyk. Był jednym ze

współtwórców mechaniki kwantowej, laureat Nagrody Nobla z fizyki w roku 1932.
W serialu *Breaking Bad* pseudonim głównego bohatera.

ROZDZIAŁ 50

Chorzów, 17.05.2015

Od kiedy przestał pić, zaczął mieć sny. W czasach gdy zalegał w łóżku, sponiewierany alkoholem, jego umysł po prostu się wyłączał. Wpadał w stan podobny do hibernacji, podtrzymując jedynie procesy życiowe, choć i te z trudem spełniały swoje funkcje. Kiedy sny wróciły, przez pierwsze miesiące było dobrze. Wcześniej, jeszcze zanim zaczął pić, zawsze miał dobre sny. Był w nich szczęśliwy i niczym reżyser filmowy potrafił nimi tak sterować, aby utrzymać to szczęście do końca, do momentu przekroczenia granicy jawy. Wszystko było dobrze, dopóki żyły Joanna i Anetka. Cokolwiek złego by się wtedy działo zawodowo, miał dla kogo żyć, do kogo wracać, miał swój azyl, w którym mógł zawsze się ukryć. Gdy odeszły, jego świat runął, a dobre sny stały się przekleństwem, bólem ściskającym gardło niemal każdego ranka, gdy musiał się zmierzyć ze świadomością, że nocna obietnica szczęścia uleciała niczym piórko pisklęcia porwane przez huraganowy wiatr.

Przez krótki, dobry czas, gdy był z Alicją, sny o szczęściu znów były dobre, a poranki nie witały go szyderczym rechotem. Po jej śmierci wszystko wróciło i Walter stanął nad krawędzią. Wybrał trzeźwość. Zolpidem pomagał przetrwać szczególnie ciężkie noce, gdy świat „pomiędzy” przenikał ten rzeczywisty, a poranek witał, dźgając go w oczy środkowym palcem.

Mieszanka prochów, którą uraczył Waltera Posner, wessała go w świat snów. Gdy się w nich znalazł, nie potrafił wyjść – choć tak naprawdę wcale nie chciał. W pierwszej fazie narkotykowego odplywu przeżył spełnienie tak głębokie i elektryzujące, że gdyby nie późniejsza świadomość, czemu to służyło, chciałby jeszcze i jeszcze. Drugi odplyw porwał go, gdy padły strzały. Świadomość zgasła niczym nagle wyłączone światło i Walter zanurzył się w snach. Było jednak inaczej niż zwykle. Tym razem wiedział, że to, co czuje, co przeżywa, nie dzieje się naprawdę, ale z drugiej strony wszystko było tak prawdziwe, realne, unurzane w endorfinach, że nie chciał wracać. Pozostało tylko znaleźć sposób, sztuczkę, tajemny zabieg, dzięki któremu już się nie obudzi. Czytał gdzieś o tych sposobach, metodach na pozostanie w świecie „pomiędzy”. U Gaimana? U Grzędowicza? Nie pamiętał, ale już chyba wiedział, już rozumiał, co trzeba zrobić.

I wtedy otworzył oczy.

– Jak się czujesz? – zapytała Kaja Nawara, przecierając wilgotną gazą jego zroszone czoło.

– Co jest, kurwa?! Nie, nie chcę! – krzyknął, widząc, jak świat, w którym

jeszcze przed chwilą przebywał, ucieka niczym rozpedzony pociąg.

Usiadł gwałtownie i bezradnie zaczął się rozglądać. Z każdym uderzeniem serca, terabajtowymi porcjami pamięci, świat potu i łez, bólu i nienawiści, świat, w którym wszelkie życie już od pierwszych sekund istnienia było skazane na śmierć – wracał, by zająć należne mu miejsce w świadomości. Zacisnął powieki, przez chwilę miał ochotę zapłakać. Jak mały chłopiec położyć głowę na kolanach lekarki i poczuć jej dłonie, tulące go do piersi. Zaraz jednak wyparł to pragnienie. Nie mógł się mu poddać, nie teraz, nie dzisiaj. Nawara... Skąd się wzięła? Co on robi w tym łóżku?

– Widzę w twoich oczach wiele pytań – stwierdziła kobieta. – Nie dziwię się, sama byłabym skonfundowana w takiej sytuacji. Ale musimy trochę poczekać, aż twój organizm pozbędzie się większości toksyn, które wpompowali w ciebie ci bandyci. – Zaczęła majstrować u wezłowia łóżka.

Walter odwrócił głowę i dostrzegł wiszący na stojaku worek z przezroczystym płynem. Kaja Nawara za pomocą strzykawki przez specjalny zawór coś w niego wlewała. Drugie spostrzeżenie dotyczyło elastycznego wężyka biegnącego od worka wprost do przegubu jego ramienia. Wzdrygnął się i odruchowo spróbował wyrwać tkwiący w żyłę wenflon, lecz lekarka była szybsza. Zdecydowanym ruchem, jakby ćwiczyła to dziesiątki razy, z siłą zupełnie niepasującą do jej postury, unieruchomiła jego wolną rękę. Nie trwało to długo – już po kilkunastu sekundach poczuła, że pacjent słabnie. Po minucie stwierdziła, że może go puścić. Środek zaczął działać.

– Co z Luizą? – zapytał Walter słabnącym głosem.

– Porozmawiamy, jak dojdiesz do siebie. Teraz odpoczywaj i pozwól działać lekom – odparła, układając mu ręce na kołdrze.

Z każdą sekundą tracił ostrość widzenia, przedmioty się rozmywały i klonowały. Ostatnie, co odnotował jego usypiający umysł, to dłoń Kai głaszcząca z czułością jego policzek.

Tym razem nie było snów. Sen był głęboki i pozbawiony czasu. Walter był pewien, że ocknął się w tej samej sekundzie, w której zasnął, lecz brak stojaka z kroplówką i usunięty wenflon uświadomiły go, że musiało minąć trochę czasu. Podobnie jak poprzednio zaczął się rozglądać, tym razem jednak zauważając szczegóły, których podczas ostatniego przebudzenia jego świadomość w ogóle nie odnotowała. Był w niewielkim pokoju. Oprócz łóżka, na którym leżał, znajdowały się tu dwudrzwiowa szafa i stolik nocny, na którym dostrzegł kubek z wodą, ciśnieniomierz i komplet gazików opatrunkowych, ułożonych w niewielką pryzmę. Po prawej stronie było okno. Nie potrafił stwierdzić, co jest za nim, gdyż była noc. Nie słyszał żadnych odgłosów, nie widział też światła, więc okno raczej nie

wychodziło na ulicę. Może za nim było podwórze, dziedziniec lub ogród? Każda opcja była prawdopodobna, lecz póki co nic nie tłumaczyło, jakim cudem znalazł się pod opieką doktor Nawary.

Usiadł na brzegu łóżka i poczuł szarpnięcie między nogami. Pełen obaw, odrzucił kołdrę.

– Co jest grane, do nędzy! – zaklął pod nosem.

Był zupełnie nagi i zacewnikowany. Z łóżka zwisał worek wypełniony do połowy moczem. Walter chwycił za wężyk lewą, zdrową dłonią i lekko pociągnął. Nie poczuł bólu, ale coś tak dziwnego i obcego, że natychmiast zrezygnował. Na czoło wystąpił mu zimny pot, zalało go zażenowanie pomieszane ze wstydem. Pragnął otrzymać odpowiedzi na nurtujące go pytania.

– Halo, pani doktor, czy może pani przyjść i uwolnić mnie od tego ustrojstwa? – zawołał. – Halo, jest pani tutaj?

Doktor Kaja Nawara stanęła w progu.

– Pamiętam, że ostatnio byliśmy na ty – stwierdziła z uśmiechem. – Jak się czujesz?

– Z tą rurą w... w... w wacku? – Wskazał na kołdrę poniżej pasa i pokręcił głową. – Nieszczęśliwie.

– Musiałam cię zacewnikować. Inaczej byś się obsikał, i to wielokrotnie. Nie masz pojęcia, iloma litrami przepłukałam twój organizm, żeby cię oczyścić.

– Oczyścić?

– Nie wiem, czym tamci cię nafaszerowali, ale parametry życiowe miałeś kiepskie. A jeśli już o tym mowa, to daj rękę. Sprawdzimy ciśnienie – poprosiła i sięgnęła po aparat leżący na nocnej szafce. Założyła mankiet ciśnieniomierza i włączyła urządzenie. Maszyna zabuczała cicho i po kilkunastu sekundach dała odczyt. – Sto trzydzieści na osiemdziesiąt. Całkiem nieźle.

– Czy ja jestem w szpitalu? – zapytał Walter.

– Nie – odparła lekarka bez ogródek.

– W takim razie gdzie?

– U mnie. Zdejmujemy to czy pochodzisz sobie jeszcze trochę z cewnikiem? – zapytała, jakby nie chciała dopuścić do kolejnego pytania.

– Tutaj chcesz to zdjąć? – Walter rozejrzył się bezradnie.

– A gdzie? Na OIOM mam cię wieźć? Nie bój się, to nic takiego. Nie jestem co prawda urologiem, ale potrafię to robić. Każdy lekarz powinien mieć tę umiejętność – dodała uspokajającym tonem.

– Jezu... – jęknął Walter, po czym zrzucił z nóg kołdrę i odwrócił wzrok. – Rób swoje.

Po chwili poczuł lekkie szarpnięcie i pieczenie między nogami. Strach przed nieznanym odruchowo zacisnął mu pięści i zamiast spodziewanego bólu przy usuwaniu cewnika poczuł ćmienie w obandażowanej dłoni. Świadomie poluzował

mięśnie.

Kaja Nawara wstała i ruszyła w stronę drzwi.

– Co? Już? – zapytał.

– A chciałbyś jeszcze? – Puściła do niego oko. – Zaraz wracam, tylko to wywalę. – Wskazała na worek z moczem i zrolowany przewód.

– Czy możesz mi przynieść moje ubrania? – zawołał za nią.

Po chwili lekarka wróciła ze stertą poskładanych ubrań.

– Wszystko uprane i uprasowane – stwierdziła.

– Możesz się odwrócić? – Walter zakręcił palcem kółko. – Wiem, że nic, co moje, nie jest ci już obce, ale mimo wszystko czułbym się lepiej.

– Żaden problem. – Wzruszyła ramionami, wykonując prośbę.

– No dobrze, a teraz chcę, żebyś odpowiedziała na moje pytania – oznajmił, wciągając podkoszulek. – Dlaczego tu jestem? Jak się tu znalazłem? I najważniejsze: co z Luizą? Wyjaśnij mi to wszystko?

– Oczywiście. Zaraz wszystkiego się dowiesz. Chodź, usiądziemy w bardziej komfortowym miejscu. Poza tym ktoś na ciebie czeka.

Walter poczuł dreszcz biegnący po plecach i strach, że to nie będzie osoba, którą tak bardzo pragnął zobaczyć.

Gdy weszli do salonu, poczuł jednak niewysłowioną ulgę. Na kanapie, w wielgachnym szlafroku frotté, z nogami podwiniętymi pod brodę, siedziała Luiza.

– Zostawię was na chwilę i przygotuję coś do jedzenia. Na pewno macie sobie sporo do powiedzenia – powiedziała Kaja, po czym wyszła z salonu.

Walter spojrzał na Luizę. Radość, że dziewczyna jest cała, że żyje, przygasła, gdy zobaczył wyraz jej twarzy. Była spięta i chłodna. Niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w miejsce, gdzie przed chwilą stała Nawara. Nie tego się spodziewał. Lecz zaraz uzmysłowił sobie, co przeszła ta młoda dziewczyna. Ma pełne prawo do traumy oraz żalu, że jej nie uchronił. Usiadł obok niej i objął ją ramieniem.

– Słuchaj, nigdy sobie nie wybaczę, że cię zawiodłem, że dopuściłem do tego, co się stało... – Zaczął ją głaskać po włosach.

Luiza uwolniła się z uścisku i spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Naszprycowali mnie i nic nie pamiętam. NIC. I tak ma pozostać, rozumiesz?

Walter oniemiał. Był przygotowany na płacz, załamanie nerwowe – wydawało się to naturalną reakcją. Tymczasem Luiza zdawała się wykorzystywać błogosławieństwo amnezji jako parawan chroniący ją przed demonem wspomnień.

– Jesteś pewna, że...

– Tak. Jestem pewna – przerwała mu. – Nie jestem też głupia i wiem, dlaczego wszystko tam mnie boli. – Wskazała ręką na podbrzusze. – Wiem też, że rozgrzebywanie tego na pewno nie ukoji bólu, więc temat jest zamknięty. Natomiast nie rozumiem, dlaczego siedzisz sobie tak spokojnie, podczas gdy ona gdzieś tam jest. – Spojrzała wymownie na drzwi, za którymi zniknęła gospodyni.

– O czym ty mówisz, Luiza? Babka najwyraźniej uratowała nam tyłki – stwierdził Walter. – Co prawda mam do niej mnóstwo pytań, bo wszystko to jest trochę... – zawiesił na chwilę głos, po czym zaklął: – O kurwa!

Jej tatuaż. Widział go tyle razy. Pierwszy raz, gdy go zaprosiła. Potem wielokrotnie w ciągu ostatnich godzin. Miał niejasne wrażenie, że widział go jeszcze gdzieś, lecz wspomnienie było na tyle słabe i niewyraźne, że nie zaprzętał sobie tym głowy. Teraz wróciło – krystalicznie przejrzyste. Kobieta na nagraniu, przed którą Robert Dębski otwierał drzwi restauracji. Jej twarzy nie było widać, za to tatuaż na ręce był widoczny w całej okazałości. Kaja Nawara, koleżanka z oddziału anestezjologii Arkadiusza Zaręby, była w lokalu, w którym Zaręba spotkał się z Robertem Dębskim, zamordowanym tego samego wieczora. Zgodnie z badaniem patologa Dębski miał we krwi tiopental – lek anestezjologiczny. Dwa plus dwa równa się cztery.

– Widzę, że w końcu to rozkminiłeś – od progu rozległ się głos Nawary. – Bo panna wie chyba od jakiegoś czasu.

Kobieta położyła na stole tacę z herbatą i kanapkami, po czym usiadła naprzeciw Waltera i Luizy. Nalała do filiżanek herbatę i sięgnęła po kanapkę. Klasyczna bułka francuska z plastrem wędliny, żółtego sera oraz pomidora – kulinarny evergreen szybkich przekąsek – wyglądała apetycznie. I choć Walter nie zdążył jeszcze oswoić się z faktami, czując głód, sięgnął po jedną.

Tymczasem Kaja Nawara podjęła:

– Wszystko zaczęło się w czerwcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.

ROZDZIAŁ 51

Zabrze i Gliwice, wiosna 1992

Arkadiusz Zaręba – słyszy swoje imię i czuje pełną po karku dreszcz emocji.

To, co przez ostatnie kilkadziesiąt minut skradało się po jego łądzwiach, teraz stawia włoski na całym ciele i jest wyjątkowo przyjemne. Wręcz podniecające. Dzisiaj, właśnie w tej chwili, ma wrażenie, prawie przekonanie, że świat leży u jego stóp i nie ma wyzwań, którym nie mógłby podołać. Na podwyższeniu audytorium stoją trzy osoby ubrane w profesorskie togi: rektor Akademii Medycznej, dziekan i opiekun jego grupy.

Wchodzi na scenę, o mało nie potykając się na schodach.

– Gratulujemy dyplomu i życzymy wszelkiej pomyślności – mówi rektor.

W jego głosie słychać nutę znużenia, lecz Arkadiusz Zaręba tego nie słyszy. Upaja się chwilą. Otwiera niewielką książeczkę. U góry strony widnieje wytłuszczonym drukiem napis: „Dyplom”. Poniżej – zdjęcie opatrzone pieczęcią z godłem i już mniejszym drukiem: „Arkadiusz Zaręba, lekarz medycyny”. To mu wystarcza, resztę przeczyta później.

Odwraca się, robi krok, żeby zejść ze sceny, i w tej chwili zdaje sobie sprawę, że nie podał ręki profesorom. Szybko naprawia faux pas i wraca na swoje miejsce.

– Brawo, Arek! Pokazałeś im! – rozlega się nagle ze szczytu sali.

Wśród kolegów i koleżanek, odzianych w obowiązkowe garnitury tudzież spódnice i białe bluzki, dostrzega postać jaskrawo odróżniającą się od monochromatycznego tłumu. Robert Dębski – w swoim stylu, nie bacząc na konwenanse – klaszcze i pohukuje niczym kibic drużyny koszykarskiej, która właśnie wygrała eliminacje do następnej rundy rozgrywek.

Arek i Robert znają się od lat. Po maturze razem wystartowali na medycynę i obaj (co wtedy szczerze zdziwiło Zarębę) się na nią dostali. Dębski jednak nie zagrzebał zbyt długo miejsca na uczelni. Odsiało go sito egzaminów na pierwszym roku. Oblał biochemię i biofizykę. Na sesji poprawkowej nawet się nie pojawił. Kilka tygodni później do jego domu przyszedł listonosz. W ręku trzymał kartę powołania do wojska. Dębski wręczył mu parę banknotów i listonosz zwrócił list na pocztę z adnotacją: „Adresat nie mieszka już pod wskazanym adresem”. Robert powiedział później Arkowi: „Nie mam zamiaru salutować trepom. Prędkiej mnie do

pierdla wsadzą”. Wkrótce wyjechał do Niemiec. Wrócił po pięciu latach – kilka tygodni przed uroczystością wręczenia dyplomów.

Padają ostatnie nazwiska, ostatnie uściski rąk i tłum podnosi się z miejsc. Gdzieś słychać nieśmiało okrzyki, kilka osób klaszcze, nikt nie rzuca biretów pod sufit. To nie Ameryka. Audytorium pustoszeje.

Robert czeka na zewnątrz.

– Gratuluję, panie doktorze. – Klepie Zarębę po plecach.

– Nie śpiesz się tak z tym „doktorem”. Wiesz, jeszcze staż i tak dalej. – Arek sili się na skromność, lecz tak naprawdę czuje się mile połączony.

– A gdzie Anka?

– Nie mówiłem? Jest na praktykach.

– A, tak! – Robert teatralnie klepie się w czoło. – Nasza paleontolog siedzi w jakimś szitolu i grzebie w ziemi. Tak, mówiłeś.

– Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy się dowie, jak to nazywasz – zauważa Arek z uśmiechem.

– No to jej nie mów. Chodź, oblejemy twój dyplom! – Dębski popycha kolegę w kierunku swojego samochodu, zaparkowanego po drugiej stronie ulicy.

Połykający w słońcu grafitowy volkswagen golf cabrio ma hamburskie tablice rejestracyjne. Arek czuje ukłucie zazdrości; w tym momencie świat wydaje mu się być trochę mniej w zasięgu ręki.

– Nie wiedziałem, że bujasz się taką bryką – zauważa niby od niechcienia.

– Trochę się nią pobujam i sprzedam.

– Aha.

Arek ma nieodparte wrażenie, że Robert w ten sam sposób mógłby zakomunikować zamiar zmiany koszuli lub skarpetek. Do zazdrości dochodzi kolejne uczucie, którego nie jest w stanie dokładnie określić.

– Chcesz prowadzić? – pyta Robert.

Zaręba zapomina o zazdrości. Wskazówka emocji natychmiast wraca na pole „świat jest mój”. Z niekłamanej przyjemnością przekręca kluczyk w stacyjce.

– Łapiduch? – proponuje Robert, choć brzmi to bardziej jak polecenie.

– Jasne. Ale najpierw do mnie. Muszę wyskoczyć z tego cholernego garniaka.

Za niecałe dwie godziny parkują pod kultową studencką knajpą. Siadają w ogródku. Zamawiają piwo i metrowej średnicy pizzę. Grafitowy golf stoi po drugiej stronie ulicy. Robert ma go na oku, więc nie obawia się zostawić otwartego dachu. Z przyjemnością konstatuje, że samochód wzbudza zainteresowanie. Nie ma przechodnia, który nie zwróciłby uwagi na takie cacko. No, może z wyjątkiem jakichś staruchów, ale oni nie odróżnią furmanki od mercedesa.

Kelnerka przynosi pizzę i dwie półlitrowe szklanki EB. Szkło jest zroszone i wręcz zachęca, by zamoczyć usta w piwie. Kelnerka jest ubrana w dzinsowe szorty na szelkach. Na nich, podobnie jak na wpuszczonej w spodnie pasiastej koszuli, ma dziesiątki przypinek z mniej lub bardziej bezsensownymi sloganami. Robert kątem oka zauważa, że jej koleżanka ma ten sam dziwaczny uniform. Zaczyna się zastanawiać, czy gdzieś już tego nie widział. Tak, to było w Hamburgu. Jakaś amerykańska sieciówka ze stekami. TGI czy jakoś tak. Łapiduch kupiony przez Amerykańców? – zastanawia się. Poza dziwacznie ubranymi kelnerkami wszystko jest po staremu, więc to chyba Jasiek, właściciel, podpatrzył gdzieś stroje i bez żenady skopiował je w swojej spelunie, dochodzi do wniosku i natychmiast przestaje o tym myśleć.

– Twoje zdrowie, brachu. – Unosi szklankę i jednym haustem opróżnia połowę jej zawartości.

– Nasze – dodaje Arek i idzie w ślad za kumplem.

Bierze zaledwie trzy łyki i odkłada kufel na stół. Zauważa zdziwiony, ale też trochę kpiący wzrok Roberta.

– Nie piłem prawie trzy miesiące. Wiesz, egzaminy i tak dalej. Nie chcę się narębać za szybko – tłumaczy, choć sam nie wie dlaczego.

– Spoko, stary. Nie jesteśmy na zawodach – uspokaja Robert i opróżnia drugą połowę swojej szklanki.

– No, to mów.

– Co mam mówić?

– Co u ciebie? Co robiłeś przez te wszystkie lata?

– Wiesz, trochę tego, trochę tamtego...

– „Trochę tego, trochę tamtego”? Nie rób se jaj, tylko opowiadaj.

Robert zamawia drugą kolejkę. Tym razem wychyla mniej niż pół i zaczyna opowieść.

Gdy dostał wezwanie na Wojskową Komisję Uzupełnień, poprosił ojca o dokumenty i wyjechał. To był ostatni rok, gdy prawo przesiedleńcze w Niemczech, jeśli tylko wykazało się tak zwane pochodzenie, umożliwiło szybki i bezbolesny start w nowej ojczyźnie – mieszkanie, pełen socjał, darmowa edukacja, pomoc w znalezieniu pracy. Żyć nie umierać. Brać pełnymi garściami. W akcie urodzenia ojca Roberta stało:

Geburtsurkunde

Eduard Eichmann

ist am... 29 April 1940

in... Königshütte O.S.

Vater: Schutzpolizei – Oberwachtmeister Georg Eichmann

Mutter: Marianne geborene Lazarek

Georg, dziadek Roberta, nie wrócił z plaży w Normandii. Babkę, ojca i jego starszego brata przed rozstrzelaniem przez czerwonarmistów uchroniła znajomość języka polskiego. Język, którym posługiwali się płynnie i którym mówili ich przodkowie. Babka ubłagała oprawców, drąc na sobie ubrania i ofiarując swe ciało w zamian za życie synów i własne. Nie wiedzieć czemu żołdacy nie skorzystali. Odeszli, zerwawszy uprzednio z jej szyi złoty łańcuszek z Matką Boską.

Znajomość języka polskiego i zapobiegawcza zmiana niesławnego w dwójnasób nazwiska z Eichmann na Dębski uchroniły ich przed deportacją do powojennych Niemiec. Pięć lat temu akt urodzenia ojca z niesławnie brzmiącym pierwotnym nazwiskiem zapewnił Robertowi obywatelstwo i wszelkie przesiedleńcze przywileje. Miał niewielkie mieszkanie, uczył się języka i pracował w zieleni miejskiej. Gdy zdał egzamin z języka, zaoferowano mu możliwość podjęcia studiów za państwowe pieniądze. Nie chciał. Pracować w zieleni też nie chciał. Chciał mieć. Szybko i łatwo. Sportowy samochód, markowe ciuchy, wakacje na Majorce.

Któregoś dnia na dyskotecie Robert poznał Olega. Oleg jeszcze trzy lata temu nazywał się Zajcew. Teraz w jego papierach stało Hase. Tak jak u pradziada, który pod koniec osiemnastego wieku osiadł nad Wołgą. Oleg po niemiecku nie mówił prawie wcale. Nie musiał. Miał wielu znajomych, krajan z ziemi nadwożańskiej. Znali niemiecki i zaopiekowali się swojakiem. Oleg często podróżował – za każdym razem przez Polskę. W tamtą stronę jeździł samochodem, czasami ciężarówką. Wracał zawsze pociągiem i za każdym razem jego portfel był grubszy o kilka banknotów stumarkowych. Oleg lubił swoją pracę i bardzo polubił Roberta. Przedstawił go opiekunom. Im też Robert się spodobał, a jeszcze bardziej fakt, że miał dwa paszporty – w zielonym stało „Robert Eichmann”, w niebieskim, z trochę innym orłem na okładce, „Robert Dębski”. Dwa paszporty, dwa języki perfekty i rosyjski na przyzwoitym poziomie. Jeździł dwa, trzy razy w miesiącu. Przez trzy lata odłożył trochę grosza i postanowił wrócić do kraju.

– A co to były za auta? – drąży Arek.

– Różne. Najczęściej merole. Ruscy mają istnego pierdolca na ich punkcie.

– No ale jak to? Wiozłeś merola do Rosji i co dalej?

– Zawoziłem pod adres, oddawałem kluczyki i wracałem. Nic prostszego.

– Czekaj, czy to było... no wiesz... legalne? Te auta nie były, no wiesz...

Robert dopija piwo i patrzy przyjacielowi w oczy. Jest poważny, wręcz chłodny. Po krótkiej chwili uśmiech wraca na jego oblicze. Obejmuje głowę Arka i przyciąga do siebie. Pochyleni nad stołem, stykają się czołami.

– Pełen legal, brachu. Nie bój żaby. – Mierzwi mu włosy i zamawia następną kolejkę.

Powoli zapada zmrok. Jest ciepły, wiosenny wieczór. Powietrze jest jakby czystsze niż zwykle, a dziewczęta coraz śmielej eksponują swą kobiecość. Z metrowej pizzy zostało parę okruchów. Na stole stoi sześć pustych szklanek, z czego cztery przed Robertem, który w pewnym momencie ostentacyjnie beka.

– Mam dość. Już mi się nie mieści. Chodźmy gdzieś indziej.

– Masz jakiś pomysł? – pyta Zaręba.

– Stary, pięć lat mnie tu nie było mnie. Zaskocz mnie.

Arek przez chwilę drapie się po grdyce.

– Plastik czy metal? – pyta w końcu.

Robert przekrzywia głowę i mruży oczy.

– Pewnie, że metal. Nie będziemy się, kurwa, katować jakimś disco polo!

Tym razem Robert nie daje Arkowi prowadzić. Sam siada za kierownicą i wyjmując ze schowka paczkę gum do żucia z czerwoną strzałką na opakowaniu. Proponuje Zarębie, po czym bierze dla siebie dwa miętowe listki. Odpala silnik, rozgląda się uważnie i włącza do ruchu. Pociesza się, że mają do przejechania nie więcej niż dwa kilometry, więc nie powinno być żadnych kłopotów. Kwestia, co zrobi z samochodem, gdy wyjdą z Kuźni, nie zajmuje jego myśli.

Gdy parkują pod Kuźnią, dochodzi dwudziesta druga. Robert naciska guzik na małym pilocie. Golf ćwierka dwa razy i uruchamia się mechanizm zamykający dach.

Wchodzą do lokalu, zajmującego parter i przebudowaną piwnicę osiemnastowiecznej kamienicy. Na parterze nie ma tłumów. Kilka mieszanych par siedzi przy posiłku. Przy jednym ze stołów urzęduje grupka kobiet, których średnia wieku znacznie przekracza czterdziestkę. Panie są w wesołym nastroju. Sądząc po napoczętej butelce smirnoffa, impreza dopiero się rozkręca. W jednej z pań Arek rozpoznaje asystentkę z patofizjologii. Kłania się i przyjmuje gratulacje, okraszone wilgotnym całusem. Cieszy się, że w smirnoffie jeszcze nie widać dna, gdyż dama ta znana jest z kochliwości ukierunkowanej na studentów płci męskiej.

Krętymi niedoświetlonymi schodami schodzą do piwnicy. Wzdłuż poręczy

na ścianie wiszą plakaty w antyramach. Pearl Jam, Nirvana, Alice in Chains, Metallica i parę innych kultowych kapel z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Piwnica, celowo pogłębiona na potrzeby klubu, ma prawie trzy metry wysokości. Łukowe sklepienia wspierają się na stalowych filarach. Wzdłuż ścian, po obu stronach ciągną się rury wyciągowe. Muszą być zepsute albo niewydolne, gdyż powietrze jest aż gęste od papierosowego dymu. Nie ma stolików – jest za to bar, na którym stoi kilka nalewaków do piwa; na podświetlonym regale króluje bateria alkoholi. Vis-à-vis wejścia znajduje się scena, na której czteroosobowy band gra rockowe evergreeny. Jest tłoczno. Końcówka roku szkolnego i akademickiego nastraja do zabawy.

Robert zamawia podwójną wódkę z colą („Równo pół na pół”, instruuje barmana), a Arek małe piwo. Opierają się plecami o bar. Zespół gra właśnie *Sweet Home Alabama* – kawałek, który prawie każdy kiedyś słyszał, a prawie nikt nie wie, kto jest jego oryginalnym wykonawcą. Tłum podryguje, podskakuje i wyśpiewuje refren razem z kapelą.

– Sporo tu niezłych lasek – zauważa Robert.

– Na przykład?

– A choćby tam. – Wskazuje grupkę dziewcząt.

Są ubrane w porozciągane swetry, sięgające prawie do pół uda, dzinsy opinają ich nogi, tak że widać zarys mięśni, a na stopach mają wojskowe buty na grubych koturnach. Nieokreślony styl uzupełnia ostry makijaż i farbowane kruczoczarne włosy, sprawiające wrażenie rozczochranych. Arek nie jest pewien, czy dziewczyny pozują na grunge, czy na postpunka, jest natomiast pewien, że nie są z jego bajki. Komunikuje to Robertowi, gdy zespół zaczyna ciąć *Cocaine* Claptona.

– A tamte dwie? – pyta Dębski.

Mają nie więcej niż dziewiętnaście lat. Robert jest prawie pewien, że to tegoroczne maturzystki. Wyższa, ciemna blondynka ma na sobie ramoneskę, plisowaną spódnicę, czarne rajstopy i botki nabite ćwiekami. Robert nie może oderwać oczu od jej nóg. Dziewczyna ma co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu, z czego połowa, w oczach Roberta, przypada właśnie na nogi. Druga, o głowę niższa szatynka, z wyjątkiem przewieszzonej przez ramię jasnoniebieskiej dzinsowej kurtki, od stóp do głów ubrana jest na czarno: czółenka, czarne rajstopy, obcisła spódniczka mini i bluzka z długim rękawem.

– No, te dwie są całkiem niezłe. – Tym razem Arek podziela gust przyjaciela.

– Uderzamy?

– Ja wiem...

– Ochujaleś?! Chłopie, właśnie odebrałeś dyplom, skończyłeś studia! To chyba dobra okazja, żeby się zabawić?

– Ty, ale ja mam dziewczynę – oponuje Arek, lecz w uszach Roberta nie brzmi zbyt przekonująco.

– Anka jest dwieście kilometrów stąd. Przy takiej odległości to już nie zdrada. A tak w ogóle kto ci każe od razu ciągnąć je do łóżka? Pogadamy, napijemy się i będzie gites!

Arek chce coś powiedzieć, potwierdzić, że w sumie czemu nie, okej, mogą pogadać, napić się, a nawet zatańczyć, lecz Robert już jest przy dziewczynach. Sądząc po jego gestykulacji, zaprasza je do baru.

Drugiego dnia Arek ma luki w pamięci. Budzi się we własnym łóżku, ale nie wie, jak się w nim znalazł. Próbuje posklejać zerwany film. Pierwsza myśl – alkohol. Za dużo alkoholu. Ale przecież on nigdy się nie upija. Wczoraj w pizzerii wypił dwa piwa, a potem... No właśnie, co było potem? Zadymiona piwnica, kapela rockowa... Kuźnia! Tam zamawiał małe piwa, tylko małe piwa. Ile musiałby ich wypić, żeby doprowadzić się do nieprzytomności? Dziesięć, piętnaście? Nie, to niemożliwe. Więc co? Wziął coś? Nigdy w życiu nie zażywał narkotyków, nigdy go nie ciągnęły; zawsze odmawiał, gdy go częstowano. Chyba że... wziął coś nieświadomie? Ale kto mógłby go zrobić? Robert? Jaki miałby powód? Te dwie laski... Właśnie! Poznali dwie dziewczyny. Gadali przy barze, a w zasadzie cały czas to Robert nawijał. Ta wysoka kleiła się do niego. Jak zaczęli grać *Brothers in Arms*, tańczyli tak namiętnie, jakby zaraz mieli się pieprzyć w rogu sali. Ta druga... Arek zamyka oczy i próbuje przełknąć ślinę, której mu brakuje.

Idzie do kuchni i nalewa sobie szklankę wody. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jak bardzo był spragniony. Oparty o zlew, patrzy na otwartą szafę w przedpokoju. Obok jego ubrań wiszą jej rzeczy, na podłodze stoją jej buty. Mieszka z Anką od ponad dwóch lat. Wprowadzili się tu, gdy zmarła jego babcia. Arek formalnie był współwłaścicielem jej czterdziestometrowego mieszkania w bloku. Teraz mieszkanie jest w całości jego i mieszka tu razem ze swoją dziewczyną. Z kobietą, którą zamierza poprosić o rękę. A tamta... Ta z wczoraj... Jak ona miała na imię? Basia, Bogna, Barbara? Nie pamięta. Pamięta za to, że się całowali. Miętolił jej piersi, gdy ręka dziewczyny gmerała przy jego rozporoku.

Odstawia szklankę na blat i idzie do łazienki. Włącza światło i przegląda się w lustrze. Jego twarz wygląda normalnie. Nie jest spuchnięty, nie ma podkrążonych czy załzawionych oczu. Ale ciągle go suszy. Tak bardzo suszy. Spogląda na swoją szyję i cofa się gwałtownie. Jest podrapany. Oprócz śladów zakrzepłej krwi ma trzy, nie trzy – cztery malinki. Ślady namiętności. Wzdryga się i czuje w podbrzuszu nagły przypływ lodowatego zimna.

Biegnie z łazienki i zrzuca kołdrę z łóżka. Lodowe igły znikają, zastąpione

blógiem uczuciem ulgi. Łóóko jest puste. Poduszka i kołdra po stronie Anki s zasłane. Nie gościł tej nocy intruza.

W miejsce ulgi przychodzi głód. W lodówce znajduje słoik z ogórkami kiszonymi i karton mleka. Podstawia karton pod nos i naciska lekko na ścianki. Raz, drugi, trzeci. Wydaje się całkiem świeóe. Otwiera szafkę, w której zwykle trzyma płatki śniadaniowe. Drzwiczki skrzypią niemiłosiernie. Dolny zawias jest urwany, górny wkrótce podzieli jego los. Wtedy przypomina sobie obietnicę złożoną Ance. „Kochanie, jak wrócisz, będą naprawione”, zapewniał, gdy po raz enty zwróciła mu na to uwagę. Wyjmuje worek z płatkami. Szafka z talerzami ziele pustką, za to w zlewie piętrzą się wszelkiej maści naczynia. Arek zachodzi w głowę, jak zdołał upchać w tak ograniczonej przestrzeni legiony szklanek, kubków, talerzy i sztućców. Talerz, którego potrzebuje, w geologicznych warstwach zlewozmywaka znajduje się gdzieś pomiędzy triasem a karbonem. Przenosi górn warstwę na blat obok zlewu i dokopuje się do naczynia. Sięga po mleko i w tym momencie piramida zsuwa się na podłogę. Trzask tłukcych się naczyń uruchamia zatrzymany film.

Golf cabrio, otwarty dach. Jad pust ulic. Prowadzi Robert. Obok niego siedzi dziewczyna. Arek, choć targany sprzecznymi uczuciami, godzi się na to szaleństwo. Wysoka blondyna wisi na szyi Roberta. Ten coś wrzeszczy. Na zmianę z blondyn pociąg z butelki. Co to jest? Piwo? A moóe wino? Arek nie potrafi dostrzec. Jest zajęty szatynk w małej czarnej i sam pociga ze swojej butelki. Ma rozpięty rozporek. Dłóń dziewczyny rytmicznie unosi się i opada na jego nabrzmiałym penisie. On pakuje rękę między jej nogi. Próbuje dostać się pod majtki i choć dziewczyna nie oponuje – nie potrafi pokonać jej cholernych czarnych rajtuz.

Robert wydaje z siebie kolejny wrzask i butelka, niczym kometa z ognistym ogonem, zatacza łuk na firmamencie. Leci, kręcc piruety. Szybuję w przestworza, tryskc świetlistymi refleksami w blasku ulicznych lamp. Arek dokładnie widzi, jaki ma kolor. Dokładnie widzi etykietę, wypisan na niej nazwę i przyklejon cenówkę: „Owocowy napóó winny, produkt Spółdzielni Ogrodniczej LOBO, cena – 70 000 zł”. Pchany jakimś irracjonalnym impulsem, robi coś, czego w tej samej chwili zaczyna óalować. Widzi, jak dwie butelki, jedna za drug, znikają za balustrad wiaduktu, po którym toczy się ich kabriolet. Słysz brzęk tłuczonego szkła, pisk opon i huk uderzenia. Chwilę później – sekundę, pół sekundy, a moóe mniej – rozbrzmiewa blaszany dźwięk toczcego się kołpaka. Kabriolet jedzie dalej. Robert wrzeszczy. Blondyna trzyma głowę na jego podbrzuszu. Szatynka przesuwa dłóń po przyrodzeniu Arka. W góré i w dół, w góré i w dół.

ROZDZIAŁ 52

Chorzów, 18.05.2015

Roman Walter słuchał opowieści Kai Nawary, jednocześnie rozważając możliwości przejęcia kontroli nad sytuacją. Mógł po prostu wstać, podejść do telefonu i zadzwonić do Króla, prosząc o przysłanie radiowozu, w końcu był mężczyzną fizycznie silniejszym od drobnej lekarki i w razie czego siłą powstrzymałby ją od próby ucieczki. Z drugiej strony wszystko wskazywało na to, że to właśnie ta kobietka profesjonalnie załatwiła Fidela i Szutkowskiego, ratując Luizę i jego samego. Może więc nie powinien poddawać jej powierzchownej ocenie, bo pozory, jak zdążyła udowodnić, mylą.

– Gdzie są zwłoki Arkadiusza Zaręby? – zapytał, chcąc kupić sobie więcej czasu.

– Nigdzie – odparła Nawara.

– Jak to nigdzie? – zapytała milcząca dotąd Luiza.

– Zaręba żyje. Przynajmniej na razie.

– Na razie? – Walter zmarszczył czoło.

– Dojdziemy do tego w swoim czasie – odparła enigmatycznie Nawara.

– Dlaczego „na razie” go oszczędziłaś? – zapytał komisarz.

– Być może niezbyt precyzyjnie się wyraziłam. Powinam powiedzieć: „jeszcze”.

Luiza już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, lecz Nawara znacząco uniosła rękę.

– Początkowo nie miałam takiego zamiaru – kontynuowała. – W końcu obaj rzucili tymi butelkami. Ale po jakimś czasie doszłam do wniosku, że Zaręba wystarczająco spieprzył sobie życie i chyba już zawsze będzie ponosił konsekwencje tego, co zrobił. Ale nie od razu mu darowałam. Musiało minąć trochę czasu... Pewnej nocy mieliśmy wspólny dyżur. Już od dawna wiedziałam, że coś go trapi i że nie jest to świeża sprawa, typu kłótnia z żoną, tylko coś głębokiego, duszącego go od środka na tyle, że często wyglądał jak żywy trup, a nie człowiek z krwi i kości. Tamtego wieczora postanowiłam wydusić to z niego. Nie wiem, czy kierowało mną współczucie, czy raczej złość, że wciąż patrzę na jego cierpięcniczą twarz. Gdy doszedł do końca opowieści, w moich oczach nie był już nieszczęśliwym człowiekiem, któremu chciałam pomóc. Był ręką, która bezpowrotnie i druzgocąco wpłynęła na moje życie, przyczyną całego bagna, w którym się znalazłam, i źródłem, z którego wypłynęły wszystkie moje demony. On, który siedział wtedy obok mnie, i Dębski, którego dopiero miałam poznać.

– Spotkałaś się z Dębskim, zanim go zabiłaś? – zapytał Walter.

– A po co? – Nawara uniosła brwi.

– Nie chciałaś sprawdzić, kim jest? A może Zaręba to zmyślił, może podkoloryzował opowieść, żeby dodać jej dramaturgii?

– Po pierwsze, wiem, kiedy i gdzie zginęli moi rodzice, a ja cudem uszłam z życiem. Było to dokładnie pod wiaduktem, o którym opowiadał Zaręba. Po drugie, prześwietliłam faceta lepiej niż rentgen i uwierz mi – ten gość nie miał żadnych wyrzutów sumienia. Szedł przez życie tanecznym krokiem, po drodze kradnąc Zarębie kobietę, by później porzucić ją dla kochanka. Ale jak tylko dostał parę anonimów przypominających mu pamiętną czerwcową noc, od razu skurczyły mu się wydmuszki i zaczął odświeżać znajomość z dawnym kumplem. Nie dość, żeby potwierdzić prawdomówność Arka?

– Jeśli, jak mówisz, postanowiłaś oszczędzić Zarębę, to po jaką cholere zwabiłaś ich obu do tej knajpy? – zapytała Luiza. – Mogłaś przecież zasadzić się tylko na Dębskiego.

– Widzę, komisarzu, że wychowujesz sobie pomocnicę. – W głosie Nawary zabrzmiała ironia.

Walter zignorował jej uwagę.

– Odpowiesz? – zapytał.

– Do samego końca chciałam ukarać ich obu. Zmieniłam zdanie w ostatniej chwili. Uprzedzę kolejne pytanie. – Uniosła rękę. – Zaręba wypił dużo mniej tiopentalu, którym ich uraczyłam, i niestety mnie rozpoznał, tam, w tym parku. To dlatego musiałam zabrać go ze sobą.

– Wcześniej nie dostrzegł cię w knajpie?

– Nie rzucałam się w oczy. Stałam w cieniu i czekałam na okazję.

– A po co ta cała makabra z Dębskim?

– Masz na myśli butelkę w tyłku?

– Tak.

– Dębski za pomocą butelki zrujnował moje życie. A poza tym to taka ściema na wasze potrzeby.

– Zemsta geja albo na geju?

– Dokładnie. Myślałam nawet, że będziecie się kręcić wokół Dolores Halin i Dębskiej, ale ta pierwsza skończyła na sznurze i wtedy się pogmatwało. W sumie szkoda, że nie odpuściłeś, gdy Jarzabek i spółka wrobili tę biedną gwiazdkę disco polo w zabójstwo męża. Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. – Kaja Nawara lekko posmutniała.

– Zastanawiam się, skąd o tym wszystkim wiesz? – zapytał Walter i w tym momencie dostrzegł swoją kaburę z pistoletem. Leżała na regale z książkami nieopodal miejsca, w którym siedziała gospodyni.

– O Dolores Halin? Od tego twojego Magika. – Nawara wzruszyła

ramionami, jakby to było całkiem oczywiste.

– Co? Jak to?! – krzyknął Walter, odrywając wzrok od regału.

– Odpowiem, ale chciałabym, abyś przestał się wgapiać w ten pistolet. Tam – wskazała na szafkę z drzwiczkami – jest drugi, ten, którym załatwiłam tych obrzydliwych zbrojców. Możesz teraz wstać i sięgnąć po którykolwiek z nich.

Przez chwilę tylko się w nią wpatrywał. Przez chwilę rozważał, czy nie skorzystać z jej oferty, przerywając to dziwaczne przedstawienie, lecz doszedł do wniosku, że nie składałaby mu takiej propozycji bez odpowiedniego zabezpieczenia tyłów.

– Powiesz, gdzie jest haczyk? – zapytał.

– Jeśli zależy ci na życiu Zaręby i Magika, dokończymy tę konwersację. Potem ja zniknę z waszego życia, a wy, w co głęboko wierzę, poradzicie sobie z odnalezieniem obu panów, całych i zdrowych. W przeciwnym razie obaj uduszą się z braku tlenu w ciągu – zerknęła na zegarek – mniej więcej półtorej godziny.

– Dlaczego on ma ci uwierzyć? – zapytała Luiza, krzywiąc usta w grymasie.

– To już nie mój problem. – Nawara znów wzruszyła ramionami.

– Okej, przypuścimy, że ci wierzę – odezwał się Walter. – Zamieniam się w słuch.

– A może jeszcze herbaty? – Gospodyni spojrzała na pusty dzbanek. – Zaraz wracam. Tylko nie róbcie żadnych głupstw.

Zanim wyszła do kuchni, podeszła do wychodzącego na ogród okna i zaciągnęła ciężkie zasłony. Tę samą czynność powtórzyła z przeciwległym oknem, wychodzącym na uliczkę o tej porze uliczkę.

– No i co? – syknęła Luiza, gdy Nawara zniknęła za drzwiami. – Będiesz tak siedział, mając tę spluwę w zasięgu ręki?

– Spluwa nie jest mi potrzebna, żeby sobie z nią poradzić – odparł Walter.

– No to czemu nic nie robisz?

– Nie będę narażać Magika i Zaręby. Ona może mówić prawdę.

– Wierzysz jej? Jak w ogóle się tu znaleźliśmy? Ja nic nie pamiętam, a już na pewno nie kojarzę akcji ratunkowej w postaci doktor Kai Nawary. – W trzy ostatnie słowa Luiza włożyła sporą dawkę sarkazmu. – Może ona z nimi współpracuje, nie pomyślałeś o tym?

– Luiza, ja widziałem, co ta kobieta zrobiła, choć wciąż nie rozumiem powodów. Dlatego chcę usłyszeć, co jeszcze ma do powiedzenia.

Zapadła cisza. Z kuchni dochodziły odgłosy zamykanych i otwieranych szafek oraz szum wody gotującej się w elektrycznym czajniku.

Nawara wróciła po kilku minutach, niosąc na tacy świeżo zaparzoną herbatę.

– Ten wasz Magik to całkiem fajny chłopak – stwierdziła, kładąc poczęstunek na stole.

– Jak na niego wpadłaś? – zainteresował się Walter.

– Nasze pierwsze spotkanie było całkiem... energetyczne, jeśli mogę to tak określić. – Upiła łyk herbaty, patrząc Walterowi w oczy znad filiżanki.

Nie był pewien, czy sprawiły to sugestie Luizy, czy rzeczywiście dostrzegł w jej oczach jakiś dziwny błysk.

– Zupełnie przypadkowo wpadliśmy na siebie, gdy pojawił się po nagraniu z monitoringu. Tak się złożyło, że przyszedłam tam w tym samym celu. Zaskoczył mnie tym paralizatorem i już wiedziałam, że mogę mieć z tobą kłopot, ale postanowiłam czekać. Gdy spotkaliśmy się po raz drugi i dowiedziałam się, że wyszła na jaw sprawa wypadku, zrozumiałam, że mam poważny problem.

– Zaraz, zaraz... – Walter wysunął przed siebie otwartą dłoń. – Dlaczego Magik miałby cię wypytywać o ten wypadek? Jeśli znalazł coś w archiwum prokuratury, powinien przyjść z tym do mnie, a nie odgrywać Colombo.

– Wcale tak nie zrobił. Po prostu przyszedł do szpitala i zaczął mnie wypytywać, czy Zaręba nie zostawił w dyżurce swojego laptopa. Kiedy zaprzeczyłam, zapytał, czy Zaręba nie wspominał czegoś o wypadku samochodowym w Gliwicach w latach dziewięćdziesiątych. Ponownie zaprzeczyłam, więc zostawił mi numer swojej komórki, na wypadek gdybym coś sobie przypomniała, i wyszedł.

– Po co złożył ci wizytę? Przecież nie prosiłem go o to – zastanawiał się komisarz.

– Nie wiem. Może chciał się wykazać inicjatywą? – rzuciła Nawara. – W każdym razie zaświeciła mi się w głowie czerwona lampka i doszłam do wniosku, że muszę interweniować. Na drugi dzień zadzwoniłam do niego i poprosiłam o spotkanie. Okłamałam go, że znalazłam coś, co go zainteresuje, lecz odparł, że właśnie się wybiera do prokuratury w Gliwicach i może się ze mną spotkać dopiero wieczorem. Zdałam sobie sprawę, że mleko się wylało. Zdażyłam dojechać do Gliwic na czas i zgarnęłam go spod prokuratury. Potem odbyliśmy długą i szczerą rozmowę.

Zapadła cisza przerywana tylko tykaniem ściennego zegara z wahadłem. Luiza wpatrywała się w czubki swoich stóp. Walter opierał marsowe czoło na wewnętrznych stronach dłoni. Nawara z rękami wsuniętymi w obszerne kieszenie swetra, zapinanego na kościane guziki, założywszy nogę na nogę, wydawała się zrelaksowana i pewna swoich decyzji.

– Kaju, chciałbym ci zadać jeszcze jedno pytanie, zanim skończymy – Walter przerwał ciszę.

– Zanim skończymy co? – Gospodyni rozkrzyżowała nogi i położyła dłonie na udach.

– Dlaczego przyszedł do Posnera czy gdzie tam nas trzymali? Skąd wiedziałas, gdzie jesteśmy? I po co to zrobiłaś? Przecież w ten sposób zaprzepaściłaś okazję do pogrzebania sprawy Dębskiego.

DZIEWCZYNA, CZĘŚĆ IX

O tym, co się wydarzyło w wiosce kilkadziesiąt kilometrów na południe od Monachium, nie rozmawiają. Nigdy nie wspominają tamtego wieczora, dziewczyna też nigdy nie pyta chłopaka, co to było za miejsce i jak je znalazł. W lokalnych gazetach i telewizji ukazuje się lakoniczny news o pożarze i zwęglonych zwłokach. Służby, a za nimi media szybko przypisują zdarzenie bezdomnemu narkomanowi, który najprawdopodobniej sam zaproszył ogień i w ten sposób pożegnał się ze światem. Jedynym realnym śladem po tamtej nocy jest tatuaż, który zrobił jej na rękę i barku. Płomienie wyglądają jak żywe. Pełzną do góry w kierunku szyi.

Mniej więcej rok później dziewczyna uświadamia sobie, że jest uzależniona. Prochy, które na początku miały dawać wielkiego kopa i pomoc na pełnym speedzie przehulać kilka bezsennych nocy, stały się codzienną koniecznością, gwarantem przeżycia kolejnego dnia bez demonów wyjących pod czaszką.

Wuj dziewczyny, choć od pewnego czasu widzi, że coś jest z nią nie tak, na wszelki wypadek o nic nie pyta. Wypiera kłopotliwą prawdę tak skutecznie, że nawet nie zauważa, kiedy siostrzenica staje nad przepaścią. Ale gdy któreś nocy dzwonią z oddziału ratunkowego jednego z monachijskich szpitali z informacją, że dziewczyna ma zapaść po przedawkowaniu, nie potrafi dłużej udawać, że wszystko gra. Przerażony własną biernością i obawą, że może już być za późno, bierze sprawy w swoje ręce. Po detoksie wysyła dziewczynę do jednej ze szwajcarskich klinik odwykowych.

Przez pierwsze tygodnie z chłopakiem rozmawia przez telefon kilka razy dziennie. Ten planuje nawet, że do niej przyjedzie, lecz jedna z zasad ośrodka wyklucza kontakt pensjonariuszy ze światem zewnętrznym. Obiecuje więc, że będzie czekał na jej powrót. Dziewczyna jednak z każdą rozmową czuje, że coś się zmienia, że coś jest nie tak. Coraz rzadziej zerka na zegarek, niecierpliwie odliczając czas do umówionej godziny, coraz częściej zastanawia się, czy po zdawkowych pytaniach o samopoczucie i pogodę znów nie zapadnie krępująca cisza, na przerwanie której nie będzie miała pomysłu. Początkowo wini za to chłopaka, wyrzuca mu nawet, że nie dość się stara, że nie wie, jak to jest być na łasce personelu ośrodka, i że to przez niego się tu znalazła. Wkrótce, gdy przestaje odbierać jego telefony, a codzienne rozmowy przeistaczają się w SMS-y, dziewczyna zaczyna odczuwać coś na kształt ulgi. Uświadamia sobie, że właśnie tego chciała.

„Nie ma sensu tego ciągnąć. Powinniśmy się rozstać”, pisze w wiadomości tekstowej, którą wysyła któregoś dnia, gdy chłopak po raz kolejny próbuje się do niej dodzwonić.

Przez kilka dni trwa cisza. Chłopak już nie dzwoni, nie odpisuje. Po

tygodniu dziewczyna w końcu dostaje odpowiedź: „Nie zostawisz mnie ot tak. Nie po tym, co dla ciebie zrobiłem. Nie myśl, że zniknę z twego życia”. Czuje, że w tych trzech zdaniach kryje się groźba. Dzwoni do niego, lecz teraz to on nie odbiera. Po trzeciej próbie dziewczyna rezygnuje.

Za parę tygodni od koleżanki z monachijskiej szkoły dowiaduje się, że chłopak nie żyje. Naćpany spadł z peronu prosto pod nadjeżdżający pociąg metra. Chociaż są świadkowie twierdzący, że ktoś mu w tym pomógł.

Dziewczyna nie nosi żałoby. Nie cierpi z powodu śmierci chłopaka, z jej oczu nie płynie nawet jedna łza. Świadoma swego emocjonalnego zlodowacenia, próbuje wywołać w sobie wyrzuty sumienia i w ten sposób zrekompensować pustkę w swej duszy, lecz nie potrafi. Rozumie, że dzieje się coś dziwnego, że z miesiąca na miesiąc przeistacza się w pustą skorupę. Postanawia poszukać pomocy. Podczas sesji indywidualnej zwierza się terapeutce. Ten diagnozuje anhedonię i po konsultacji z wujem dziewczyny organizuje jej terapię u najlepszego specjalisty w kraju. Podczas jednej z sesji dziewczyna opowiada o tym, jak straciła rodziców w wypadku samochodowym, i o koszmarach, w których nawiedzała ją matka. Terapeuta wysnuwa wniosek o genezie wszystkich jej problemów. Na nim od tego czasu opiera całą terapię.

Dziewczyna opuszcza klinikę po dwunastu miesiącach. W międzyczasie zdaje maturę i kończy terapię. Jest w lepszej formie – dobrze sypia i nie czuje się już jak puste naczynie. Jedzenie znów jej smakuje, spotkanie z wujostwem cieszy, a wiosenne słońce napawa radością.

Po pięciu latach od opuszczenia kliniki uzyskuje dyplom lekarza medycyny i oświadcza wujostwu, że wraca do swojej ojczyzny. Dzięki pomocy finansowej wuja remontuje dom po rodzicach, a jego znajomości pozwalają jej dostać się na staż do jednego z renomowanych ośrodków na Śląsku. Tam zdobywa specjalizację z anestezjologii. W chorzowskim szpitalu, podczas jednego z nocnych dyżurów, cierpiący na depresję kolega zwierza się jej z pewnego zdarzenia sprzed lat. Dziewczyna już wie, że właśnie powrócił jeden z jej koszmarów. Nie wie jeszcze, że wkrótce do jej drzwi zapuka drugi. Będzie miał niepokojąco niebieskie oczy, uszyty na miarę garnitur i platynowy sygnet z wygrawerowanym symbolem „PP”.

ROZDZIAŁ 53

Chorzów, 18.05.2015

Dlaczego przyszedłaś do Posnera? Skąd wiedziałaś, gdzie jesteśmy? – Walter ponowił pytanie.

Milcząca od dłuższej chwili Kaja Nawara lekko uniosła kąciuki ust. Komisarz odniósł wrażenie, że w jej oczach, wpatrujących się w niego spod lekko opuszczonych powiek, błyszczy lekkie niedowierzanie.

– Nie domyślasz się? – odparła pytaniem.

– Jest tylko jedno sensowne wyjaśnienie.

– Znają się, to proste – prychnęła Luiza.

– A nie mówiłam! Rośnie ci u boku detektywistyczny talent. Wkrótce uczeń przerośnie mistrza. – Nawara z uznaniem kiwnęła głową w kierunku Luizy.

Walter nie zareagował, nie wykonał żadnego gestu świadczącego o tym, że ta informacja go zaskoczyła. Domyślał się tego od momentu, w którym uświadomił sobie, kto uratował ich z opresji. Nie rozumiał tylko dlaczego.

– Pawła Posnera poznałam dawno temu, gdy jeszcze mieszkałam w Monachium. Wtedy nazywał się Paul Posner i był moim chłopakiem – podjęła Nawara. – To, kim jestem dzisiaj, jak wygląda moje życie, to przede wszystkim jego dzieło. Pod koniec naszej znajomości z czasów Monachium dzięki Paulowi zostałam profesjonalną narkomanką z epizodem w postaci udziału w morderstwie, choć tego drugiego akurat nie żałuję. Gdy sięgnęłam dna, rodzina wywiozła mnie na leczenie do Szwajcarii. Tam miałam sporo czasu, żeby wszystko przemyśleć. Posner był psychopata, zrozumiałam to, gdy w moich żyłach przestała płynąć rzeka dragów. Wtedy też dotarło do mnie, że jeśli chcę przeżyć, muszę z nim skończyć. Wiedziałam, że nie będzie to łatwe, że on nie pozwoli mi tak po prostu odejść, ale musiałam zaryzykować. I wtedy, jak się wydawało, los sprawił mi prezent. Dowiedziałam się, że naćpany Posner wpadł pod pociąg metra. Z tą świadomością żyłam przez kilka następnych lat, dobrych lat, chyba najlepszych w moim życiu. Aż do dnia, w którym Posner, cały i zdrowy, zapukał do drzwi tego domu.

– Clyde zmartwychwstał i wrócił do Bonnie? – wtrąciła ironicznie Luiza.

– Jeśli taka paralela ci odpowiada, niech będzie – odparła obojętnie Nawara.

– Coś mi tu nie pasuje – odezwał się Walter. – Jeśli Posner zrujnował ci młodość, to dlaczego znów się z nim zadałaś?

– „Zadałaś” być może nie jest najszcześliwszym określeniem. Postanowiłam go wykorzystać.

– W jaki sposób?

– Okazało się, że historię ze śmiercią Posnera spreparował mój wuj. Nie wiedział, że sama podjęłam decyzję o zerwaniu znajomości z Paulem, i postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Zapłacił Posnerowi, aby zniknął z mojego życia, a temu, jak się okazało, bardziej zależało na kasie niż na mnie. Zgarnął pieniądze i wrócił do Polski, gdzie w ciągu kilku lat z narkomana przeistoczył się w gangstera trzęsącego przestępczym podziemiem Śląska i Zagłębia. Tego dnia, gdy wrócił z grobu i przyszedł do mnie, początkowo spanikowałam. Chciałam jak najszybciej uciec i zaszyć się gdzieś na końcu świata. Ale gdy atak paniki minął, uświadomiłam sobie, że ci trzej mężczyźni, którzy zniszczyli mi życie, będą sobie nadal chodzić po ziemi, podczas gdy ja ugrzęznę w jakiejś norze, przytłoczona ciężarem, który znów ugniatał mi pierś. Zdecydowałam więc, że wykorzystam Paula do pozbycia się tej dwójki. Jednemu, jak wiecie, ostatecznie darowałam, ale teraz to nie ma znaczenia. Udałam przed Posnerem, że możemy znów być razem, tak jak kiedyś jeździć bez trzymanki, i on w to uwierzył. Opowiedziałam mu o Dębskim i Zarębie, a on zgodził się mi pomóc. To dzięki jego układom i znajomościom miałam pełny dostęp do kont internetowych i komputerów Dębskiego i Zaręby, mogłam więc wszystko zaplanować od A do Z. Niestety, Paul wykazał się niepotrzebną nadgorliwością i zamordował też małżeństwo Halinów. Jego osobiście, a ją przy pomocy swoich sługusów ze służb.

– „Niestety”? Ich śmierć cię obeszła? – Walter pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Ty nic nie rozumiesz, niczego nie widzisz – stwierdziła Kaja z nutą żalu.

– Oświeć mnie, proszę. – Komisarz rozłożył ręce.

– Dolores i Sebastian Halin byli niewinni. Nie zasłużyli na taki koniec. Ale dla Paula to nie miało żadnego znaczenia. Twierdził, że ich śmierć jest potrzebna do zagmatwania śledztwa.

– A ty, anioł zemsty, rościsz sobie prawo do decydowania, kto zasługuje na życie, a kto nie?

– Żebyś wiedział. I docień to, bo mogłam nic nie zrobić, gdy przyszłam do tej nory! – Kobieta podniosła głos, a w jej oczach pojawiły się łzy. – Co ty w ogóle tam robiłeś? – zapytała, mrugając szybko.

– Nieważne. Po co tam przyszłaś?

– Wiedziałam, że Paul tam będzie, i miałam klucze. Nie wiedziałam tylko, że zastanę tam to, co zastałam. Powiem wprost: chciałam mu wpakować kulkę w łeb i wynieść się w diabły, ale mnie wyręczyłeś. Nawet przez sekundę się nie wahałam i rozwalłam dwa pozostałe ścierwa, a potem spaliłam norę razem z tymi padalcami. Dlaczego was zabrałam? Widziałam, co zrobili tobie i jej. – Wskazała na Luizę. – Kiedyś też zostałam zgwałcona. Ja naprawdę nie jestem złym człowiekiem. – Nawara zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Nie mogłam was zostawić z jeszcze jednego powodu.

– Jakiego? – zapytał Walter.

– Ktoś musi uwolnić Zarębę i Magika. A ja muszę mieć czas, żeby się ulotnić. Pójdę już. – Nagle wstała i odruchowo wygładziła nogawki spodni.

– Nie mogę pozwolić ci odejść. – Walter doskoczył do regału i błyskawicznie sięgnął po swój pistolet. – Luiza, bierz ten drugi! Stań po drugiej stronie pokoju – zarządził.

Dziewczyna posłusznie wykonała jego polecenie.

– Zastrzelisz mnie? Za co? – zapytała Nawara, tracąc dotychczasowe opanowanie. – Za to, że uwolniłam świat od kilku ścierw?

– Kaja, ty nie jesteś sędzią ani katem. Nie powinnaś tego robić. A ja nie mogę pozwolić ci odejść.

– Nie ma dla ciebie znaczenia, że ci ludzie zasługiwali na śmierć? Ani że Posner i spółka zamordowaliby z zimną krwią ciebie i tę dziewczuchę? – Lekarka gestem głowy wskazała na Luizę.

Dziewczyna, zamiast odciąć się Nawarze w swoim stylu, stała nieruchomo z bronią w ręku, co nie uszło uwadze Waltera.

– Jestem przekonany, że będzie to istotna okoliczność łagodząca – zapewnił.

– Nie zależy ci na Magiku i Zarębie? Oni umrą.

– Nie wierzę, że to zrobisz. Zarębie już wybaczyłaś, a Magik jest niewinny. Nie skrzywdzisz niewinnego człowieka. To twoje słowa.

Nawara mierzyła go przez moment wzrokiem. Uniesienie sprzed kilku chwil zniknęło, a w jego miejsce pojawiły się smutek i rozczarowanie.

– Cholerny, nic nierozumiejący glina z zasadami – powiedziała, wsuwając rękę do kieszeni swetra.

W tej samej chwili w całym domu zgasły światła – budynek wypełniła nieprzenikniona ciemność. Luiza i Walter usłyszeli trzask zamykanych drzwi i łoskot zamków. Po dziesięciu minutach, w czasie których bezskutecznie usiłowali się wydostać, zamek w drzwiach się odblokował. W szufladzie komody stojącej w rogu salonu zabręczał telefon. Na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość: „Zaręba i Magik zamknięci w piwnicy. Klucz wisi nad drzwiami przy schodach. Nie musicie się śpieszyć, nic im nie grozi”.

CHORZÓW, KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ

Roman Walter, w luźnych lnianych spodniach w kolorze piasku Sahary i lekkiej wełnianej marynarce, siedział na ławce w Parku Śląskim i chłonąc promienie letniego słońca, starał się uwolnić myśli od wydarzeń sprzed kilku tygodni. Wiedział, że minie jeszcze kilka kolejnych, zanim prokuratura zamknie dochodzenie i pozwoli mu stąd wyjechać, lecz na razie musiał się stawiać na każde ich wezwanie i odpowiadać na niekończące się pytania. Co będzie robił, gdy to się skończy? Tego jeszcze nie wiedział, ale jednego był pewien – nie chciał dłużej pracować w policji. Ta robota była jak kamień u szyi bezlitośnie ciągnący na dno, a on mimo wszystko chciał żyć. Może na jakiś czas wróci do Drohiczyzna i zastanowi się, co dalej? Powinien też jakoś się zająć Luizą – pomóc jej w poukładaniu spraw. Może wytworzy się między nimi prawdziwa więź? W końcu z całej rodziny zostali tylko oni.

Sprawdził godzinę na telefonie. Młoda spóźnia się już dziesięć minut, stwierdził w myślach. Gdy chował komórkę do wewnętrznej kieszeni marynarki, aparat zawibrował. Dzwoni, żeby się wytłumaczyć? Spojrzał na ekran i zmarszczył czoło. Dzwonił inspektor Rymarski z Warszawy.

– Walter, słucham – odezwał się w swoim zwyczaju.

– Roman – natychmiast wyczuł napięcie w głosie byłego przełożonego – mam złe wieści. Miotła nawiał z zakładu. Wkrótce będzie o tym w mediach. Chciałem, abyś dowiedział się pierwszy.

Bez słowa przerwał połączenie. Poczuł, że kurczy mu się żołądek, a po plecach ślizgają się dreszcze. Nawet nie zauważył, kiedy nadeszła Luiza. Nie zdążył przybrać swobodnej pozy i miną zamaskować wrażenia, jakie wywarła na nim wiadomość od Rymarskiego, gdyż od razu zorientował się, że z siostrzenicą coś jest nie tak.

– O co tu chodzi? – zapytała bez ogródek, wręczając mu swoją komórkę.

Treść wiadomości od niezidentyfikowanego nadawcy brzmiała: „Zapytaj stryja, co zrobił twojemu ojcu”.

